

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT **ZBROJNI**

ŚWIAT DYSKU



TERRY PRATCHETT

Zbrojni

(Przełożył Piotr W. Cholewa)

Kapral Marchewa ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork (nocna zmiana) usiadł w koszuli nocnej przy blacie, wziął ołówek, posłał koniec i zaczął pisać:

„Kochana Mamo i Tato,

Zdarzył się kolejny piękny przypadek do zanotowania, gdyż zostałem, Kapralem! To znaczy dodatkowe pięć dolarów miesięcznie plus mam też nową kurtkę z, dwoma paskami. I nową odznakę. To wielka odpowiedzialność. A wszystko z powodu tego, żeśmy przyjęli nowych rektutów, bo Patrycjusz który, jak wcześniej powiadałem, jest władcą, zgodził się, że Straż musi odbijać etniczne odcienie Miasta...”

Marchewa przerwał na chwilę. Spojrzał przez niewielkie, zakurzone okno swego pokoiku na zachodzące słońce nad rzeką. Potem znów schylił się nad kartką.

„...czego w pełni nie pojąłem, ale ma to chyba coś wspólnego z kosmetykami z fabryki krasnoluda Grabpota Gromowego Decha. Także, kapitan Vimes, o którym często wam pisałem niedługo, opuszcza Straż bo się żeni i będzie Eleganckim Dżentelmenem. My, wszyscy życzymy mu jak najlepiej. To on nauczył mnie Wszystkiego Co Wiem, poza tym, czego sam się nauczyłem. Zrobiliśmy składkę żeby mu, kupić Prezent Pożegnalny, myślałem o jednym z tych nowych Zegarków, co to nie potrzebują demonów do chodzenia i moglibyśmy wyryć na nim coś w rodzaju „Na pamiątkę wszystkich szczęśliwych Godzin w Straży „, to taki żart, bo zegarek odmierza godziny. Nie wiemy kto, będzie nowym kapitanem. Sierżant Colon mówi, że odejdzie, jakby na niego padło, kapral Nobbs...”

Marchewa znów wyjrzał przez okno. Jego szerokie, szczere czoło zmarszczyło się, gdy szukał czegoś dobrego, co mógłby napisać o kapralu Nobbsie.

„...chyba najlepiej się czuje na Obecnym Stanowisku, a ja jestem w Straży za krótko. Musimy więc poczekać...”

Zaczął się, jak wiele spraw, od śmierci. I pogrzebu wiosennym rankiem, z mgłą nad gruntem tak gęstą, że wlewała się do grobu, więc trumnę opuszczono w chmurę. Nieduży szary kundel, siedlisko tylu psich chorób, że otaczały go obłokiem kurzu, z kopczyka ziemi obojętnie przyglądał się ceremonii. Rozmaite krewne szłochały, jednak Edward d'Eath nie płakał - z trzech powodów. Był najstarszym synem, trzydziestym siódmym lordem d'Eath, a d'Eathowie nie płaczą. Był - od niedawna, dyplom zachował jeszcze sztywność - skrytobójcą, a skrytobójcy nie płaczą przy śmierci, inaczej nigdy by nie przestawali. I po trzecie, był zły. Właściwie nawet był wściekły.

Wściekły, że musiał pożyczyć pieniądze na ten nędzny pogrzeb. Wściekły na pogodę, na ten nędzny cmentarz, na fakt, że gwar miasta nie zmienił się choćby o ton, nawet przy takiej okazji. Wściekły na historię. Nie tak to miało wyglądać. Nie tak to powinno wyglądać.

Spojrzał za rzekę, na posępną bryłę pałacu patrycjusza, a jego gniew podkreślił się jeszcze i zogniskował.

Edwarda posłano do szkoły Gildii Skrytobójców, ponieważ była to najlepsza edukacja dla tych, których status społeczny jest nieco wyższy od inteligencji. Gdyby szkolił się na błazna* [przyp.: Oczywiście, żaden dzentelmen nawet by nie pomyślał o zostaniu błaznem.], wymyśliłby satyrę i

powtarzał niebezpieczne dowcipy o patrycjuszu. Gdyby został złodziejem, zakradłby się do pałacu i ukradł patrycjuszowi coś bardzo cennego.

Jednakże... posłano go do skrytobójców...

Tego popołudnia sprzedał wszystko, co pozostało z majątku d'Eathów, i raz jeszcze zapisał się do szkoły gildii. Na kurs podyplomowy.

Dostał najwyższe oceny, co przydarzyło się po raz pierwszy w historii gildii. Nauczyciele opisywali go jako człowieka, którego należy pilnie obserwować. A ponieważ miał w sobie coś, co nawet w skrytobójcach budziło niepokój - obserwować raczej ze sporej odległości.

Na cmentarzu samotny grabarz zasypał dół, który był miejscem ostatniego spoczynku d'Eatha seniora. I nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co uznał za myśli we własnej głowie. Mówiły coś takiego:

Będzie szansa na kawałek kości? Nie, przepraszam, to było w złym guście, zapomnij, że o tym wspomniałem. Ale masz kanapki z bekonem w swoim, jak mu tam, tym pudełku na kanapki czy co. Dlaczego by nie dać jednej temu miłemu pieskowi? Grabarz oparł się na łopacie i rozejrzał uważnie. Szary kundel obserwował go czujnie.

- Hau - powiedział.

Edward d'Eath poświęcił pięć miesięcy na znalezienie tego, czego szukał. Co było tym trudniejsze, że naprawdę nie wiedział, czego szuka. Tyle tylko że kiedy znajdzie, natychmiast się dowie. Edward głęboko wierzył w Przeznaczenie. Tacy ludzie często wierzą.

Biblioteka Gildii Skrytobójców należała do największych w mieście. W

pewnych szczególnych, specjalistycznych dziedzinach wręcz była największa. Te dziedziny dotyczyły zwykle nieszczęsnej ulotności ludzkiego żywota oraz środków jej wywołania.

Edward spędzał dużo czasu wśród regałów, często na szczycie drabiny, często w obłoku kurzu.

Przeczytał wszystkie znane teksty o uzbrojeniu. Nie wiedział, czego szuka, ale znalazł to w notce na marginesie nudnej poza tym i bardzo niedokładnej pracy na temat balistyki kuszy. Skopiował wszystko starannie.

Dużo czasu poświęcił też na książki historyczne. Gildia Skrytobójców była towarzystwem dżentelmenów z dobrych rodzin, a tacy ludzie często traktują całą spisaną historię jak listę inwentarza. Biblioteka Gildii posiadała mnóstwo takich książek, a także całą galerię portretów królów i królowych* [przyp.: Często z dyskretnymi tabliczkami u dołu, skromnie rejestrującymi dla potomności imię osoby, która ich zabiła. W końcu była to galeria portretów należąca do Gildii Skrytobójców.]. Edward d'Eath poznał ich arystokratyczne twarze lepiej niż własną - w galerii spędzał przerwy na drugie śniadanie.

Mówiono potem, że na tym właśnie etapie znalazł się pod złym wpływem. Ale tajemnica historii Edwarda d'Eatha polega na tym, że nie ulegał żadnym zewnętrznym wpływom, chyba że policzyć wszystkich tych martwych królów. Po prostu znalazł się pod własnym wpływem.

Tego ludzie zwykle nie rozumieją. Pojedyncze osobniki nie są w naturalny sposób etatowymi członkami ludzkiej rasy - najwyżej biologicznie. Muszą być popychani dookoła przez brownowskie ruchy społeczeństwa, będącego mechanizmem, dzięki któremu istoty ludzkie cały czas przypominają sobie nawzajem, że są... no... istotami ludzkimi. D'Eath także krążył po spirali - w głąb, co często się zdarza w takich przypadkach.

Nie miał żadnego planu. Wycofał się tylko - jak ludzie, którzy czują, że są atakowani - na pozycję łatwiejszą do obrony, to znaczy w przeszłość. A potem wydarzyło się coś, co podziało na niego tak, jak na badacza dawnych gadów podziałyoby odkrycie plezjozaura w sadzawce ze złotymi rybkami.

Pewnego upalnego popołudnia, mrużąc oczy, wyszedł na dwór po całym dniu spędzonym w towarzystwie minionej chwały. I nagle zobaczył twarz przeszłości, idącej niespiesznie i przyjaźnie kiwającej głową do przechodniów.

Edward nie potrafił się opanować.

- Hej, ty! - zawołał. - Kim j-esteś?

- Kapral Marchewa - odpowiedziała przeszłość. - Nocna straż. Pan d'Eath, prawda? Mogę w czymś pomóc?

- Co? Nie! Nie. Masz p-ewnie ważne sprawy.

Przeszłość skinęła głową, uśmiechnęła się i poszła dalej, w przyszłość.

Marchewa przestał wpatrywać się w ścianę.

„Wydałem trzy dolary na ikonograf który, jest takim pudełkiem ze skrzatem w środku co maluje obrazki różnych rzeczy, to straszny szal ostatnio. Dołączam obrazki mojego pokoju i moich przyjaciół ze Straży. Nobby to ten, co robi Zabawny Gest, ale to Nieoszlifowany Diament i w głębi serca dobra dusza.”

Znów przerwał. Pisywał do domu co najmniej raz w tygodniu - krasnoludy zwykle tak robią. Marchewa miał dwa metry wzrostu, ale został wychowany jako krasnolud, a dopiero potem jako człowiek. Wyczyny literackie nie przychodziły mu łatwo, jednak się nie poddawał.

Pisał bardzo powoli i bardzo starannie:

„Pogoda wciąż jest Niezwykłe Upalna...”

Edward nie mógł uwierzyć. Sprawdził zapisy. Potem sprawdził jeszcze raz. Zadawał pytania, a ponieważ były to pytania w zasadzie niewinne, ludzie udzielali mu odpowiedzi. W końcu pojechał na wycieczkę w Ramtopy, a tam ostrożne śledztwo doprowadziło go do kopalni krasnoludów pod Miedzianką, a następnie na niczym się niewyróżniającą polankę w bukowym lesie, gdzie - rzeczywiście - kilka minut cierpliwego kopania pozwoliło mu odkryć ślady zwęglonego drewna.

Spędził tam cały dzień. Kiedy skończył o zachodzie słońca, starannie zasypał miejsce próchnem. Wreszcie zyskał pewność.

Ankh-Morpork znowu miało króla.

A on, Edward, miał Rację. To „los” pozwolił mu odkryć ten fakt „akurat” w chwili, kiedy miał już Plan. I „słusznie” uważał, że to „Przeznaczenie” i że miasto zostanie „Zbawione” z niegodnej terażniejszości przez swą „chwalebną” przeszłość. Miał „Środki” i miał „Cel”. I tak dalej.

Myśli Edwarda często biegły takimi drogami.

Potrafił myśleć „kursywą”. Takich ludzi trzeba obserwować uważnie.

Najlepiej z bezpiecznej odległości.

„Zainteresował mnie wasz list, gdzie piszecie że, przyjeżdżali ludzie i pytali o mnie to zadziwiające, jestem tu ledwie Parę Minut, a już zdobyłem Sławę. Bardzo się ucieszyłem, że otworzyliście sztolnię 7. Muszę Warn

przryznąć, że choć jestem tu bardzo szczęśliwy, tęsknię za Domem. Czasami, kiedy mam Wolne, schodzę i, siadam w piwnicy i, biję się po głowie ttronkiem topora, ale to Nie To Samo. Mam nadzieję, że cieszyacie się dobrym zdrowiem. Uściski

Wasz kochający syn (adoptowany) Marchewa”

Złożył list, wsunął do środka ikonografie, zapieczętował kulką świecowego wosku wciśniętą na miejsce kciukiem, po czym schował list do kieszeni. Krasnoludzia poczta do Ramtopów działała w miarę pewnie. Coraz więcej krasnoludów szukało pracy w mieście, a ponieważ są to osobniki bardzo odpowiedzialne, wielu z nich posyłało pieniądze do domu. Dzięki temu przesyłki były bardzo pewne, gdyż silnie strzeżone. Krasnoludy są bardzo przywiązane do złota. Każdy zbójca, wysuwający żądanie „pieniądze albo życie”, powinien się zaopatrzyć w składane krzeselko, kanapki i książkę do czytania, by jakoś przeczekać dyskusję.

Marchewa obmył twarz, wciągnął skózaną koszulę, spodnie i kolczugę, zapiął półpancerz, wziął hełm pod pachę i wyszedł na ulice - z uśmiechem, gotów na spotkanie wszystkiego, co mogła mu nieść przyszłość.

To był już inny pokój, w innym miejscu. Był trochę ciasny, tynk na ścianach osypywał się nieco, a sufit osiadał niczym dolna strona łóżka jakiegoś grubasa. Wrażenie ciasnoty powiększały jeszcze meble.

Były to solidne stare meble, tyle że znalazły się w nieodpowiednim dla siebie miejscu. Powinny stać w rozległych salach, gdzie echo odbija się od ścian. Tutaj wydawały się stłoczone. Były tu ciemne dębowe krzesła. Były szerokie kredensy. Była nawet zbroja. Za to właściwie nie było miejsca dla siedzących przy stole kilku ludzi. Nawet na stół właściwie nie było miejsca. Zegar tykał cicho w mroku.

Okna przesłaniały ciężkie, aksamitne zasłony, choć do zachodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu. Było gorąco, zarówno od upału, jak od świec w latarni magicznej.

Jedynе światło rzucał ekran, który w tej chwili ukazywał bardzo dobry profil kaprała Marchewy Żelaznywładssona.

Nieliczna, starannie dobrana publiczność przyglądała mu się ostrożnie, zachowując przy tym obojętny wyraz twarzy ludzi, którzy są niemal pewni, że ich gospodarz jest odrobinę niespełna rozumu. Godzą się z tym jednak, ponieważ właśnie zjedli posiłek i niegrzecznie byłoby wychodzić zbyt szybko.

- I co? - odezwał się jeden z gości. - Widziałem go chyba, jak spaceruje po mieście. Co z tego? To zwykły strażnik, Edwardzie.

- Oczywiście. Ważne, żeby nim był. Niska pozycja w życiu. Wszystko p-asuje do klasycznego wzorca. - Edward d'Eath dał znak. Pstryknęło i kolejna szklana płytka wsunęła się na miejsce. - To nie jest żywy model. Król Paragore, stary portret. - A ten... - pstryk! - to król Veltrick III. Z innego portretu. To jest królowa Alguinna IV... Zwróćcie uwagę na linię podbródka. Tu mamy... - pstryk! - siedmiop-ensową monetę z czasów p-anowania króla Webblethorpe'a Nieprzytomnego, p-roszę znowu przyjrzeć się szczegółom p-odbródka i ogólnej strukturze kości. Tutaj... - pstryk! - odwrócony obrazek wazonu z kwiatami. Ostróżki, jak sądzę. Skąd się wzięły?

- Ehm... Przepraszam, panie Edwardzie. Zostało parę szklanych płytek, a demony nie były zmęczone, więc...

- Poproszę następny obraz. A potem możesz nas zostawić.

- Tak, panie Edwardzie.

- Zgłosisz się do dyżurnego oprawcy.

- Tak, panie Edwardzie. Pstryk!

- Tu widzimy całkiem udany... dobra robota, Blenkin... obraz popiersia

królowej Coanny.

- Dziękuję, panie Edwardzie.

- Gdybyśmy jednak widzieli większą część jej twarzy, z pewnością dostrzeglibyśmy podobieństwo. Wystarczy jednak i to. Możesz odejść, Blenkin.

- Tak, panie Edwardzie.

- Może trochę przyszybyć przy uszach, jak sądzę.

- Tak, panie Edwardzie.

Sługa z szacunkiem zamknął za sobą drzwi. Ruszył do kuchni, kręcąc ze smutkiem głową. Już od lat d'Eathowie nie mogli sobie pozwolić na rodzinnego oprawcę. Dla dobra chłopca będzie musiał spróbować jakoś sobie poradzić nożem kuchennym.

Goście czekali, aż gospodarz się odezwie, ale chyba nie zamierzał. Co prawda z Edwardem czasem trudno było się zorientować. Kiedy był podniecony, nie tyle się jąkał, ile raczej mówił z nieregularnymi pauzami, jakby mózg na moment wyłączał usta.

Wreszcie głos zabrał jeden z widzów.

- Doskonale - rzekł. - W jaki celu nam to pokazałeś?

- Sami widzieliście podobieństwo. Czy to nie oczywiste?

- Och, daj spokój...

Edward d'Eath przysunął do siebie zawiniątko ze skóry i zaczął rozwiązywać tasiemki.

- Ale... Chłopiec był adoptowany przez krasnoludy. Znaleźli go jako niemowlę w puszczy w górach, w Ramtopach. Były tam płonące p-owozy, trupy i takie rzeczy. Najwyraźniej atak bandytów. Krasnoludy znalazły wśród szczątków miecz. Nosi go teraz. Bardzo stary miecz. I zawsze jest ostry.

- Co z tego? Świat pełen jest starych mieczy. I osełek.

- Ten miecz był bardzo dobrze ukryty w jednym z powozów, który się rozpadł. Dziwne. Należałoby się raczej spodziewać, że zechcą go mieć pod ręką, prawda? Żeby go używać, prawda? Tam gdzie grasują bandyci. A potem chłopiec dorasta i... Los... sprawia, że wraz z mieczem trafia do Ankh-Morpork, gdzie zostaje strażnikiem w nocnej straży. Nie mogłem w to uwierzyć!

- To przecież żaden...

Edward uniósł dłoń, po czym wyjął z zawiniątka jakiś niewielki przedmiot.

- P-rzeprowadziłem staranne śledztwo, rozumiecie, i udało mi się znaleźć miejsce, gdzie nastąpił atak. Dokładne przeszukanie gruntu ujawniło parę starych gwoździ z powozów, kilka miedzianych monet, a w bryle zwęglonego drewna... to.

Wyciągnęli szyje.

- Wygląda na obrączkę.

- Tak. Oczywiście, powierzchnia jest odbarwiona, inaczej ktoś by zauważył. Pewnie była schowana gdzieś w powozie. Kazałem ją trochę oczyścić, więc można przeczytać inskrypcję. Natomiast tutaj mamy ilustrowany spis klejnotów koronnych Ankh, wykonany w roku 907 AM, za panowania Tyrrila. Jeśli wolno, pozwolę sobie zwrócić waszą uwagę na tę niewielką ślubną obrączkę w lewym dolnym rogu stronicy. Jak zauważycie, artysta uprzejmie zapisał inskrypcję.

Minęło kilka minut, zanim wszyscy obejrzelі obrączkę i rysunek. Byli ludźmi z natury podejrzliwymi. Byli potomkami ludzi, dla których podejrzliwość i paranoja stanowiły zasadnicze cechy umożliwiające przetrwanie.

A to dlatego, że wszyscy należeli do arystokracji. Nie znalazłby się wśród nich nikt, kto by nie znał imienia swego praprapradziadka i nazwy

wstydlivej choroby, na którą umarł.

Niedawno spożyli nie najlepszy posiłek, który jednak zawierał liczne stare i godne uwagi wina. Przybyli na spotkanie, ponieważ wszyscy znali ojca Edwarda, a d'Eathowie byli wspaniałym rodem, choć obecnie w dość trudnej sytuacji.

- Widzicie zatem - rzekł z dumą Edward - że dowody nie pozostawiają miejsca na wątpliwości. Mamy króla!

Goście starali się unikać patrzenia sobie nawzajem w oczy.

- Myślałem, że się ucieszycie...

Wreszcie lord Rust wyraził wspólną opinię. W jego lodowatych, błękitnych oczach nie było miejsca na litość, która nie stanowiła cechy ułatwiającej przetrwanie. Czasem jednak mógł zaryzykować odrobinę łagodności.

- Edwardzie - powiedział. - Ostatni król Ankh-Morpork zginął setki lat temu.

- Ścięty p-rzez zdrajców!

- Nawet gdyby udało się znaleźć potomka, królewska krew nieco by się przez ten czas rozcieńczyła, nie sądzisz?

- Królewskiej krwi nie da się r-ozcieńczyć!

No tak, pomyślał lord Rust. Więc to taki typ... Młody Edward wierzy pewnie, że dotknięcie króla może uleczyć skrofuły, jakby królewska krew była odpowiednikiem maści siarkowej. Młody Edward uważa, że nie istnieje jezioro krwi zbyt głębokie, by nie warto było przez nie przebrnąć w celu osadzenia na tronie prawowitego króla, że nie ma czynu zbyt haniebnego w obronie korony. Właściwie to romantyk.

Lord Rust nie był romantykiem. Rustowie dobrze się przystosowali do postmonarchicznych stuleci w Ankh-Morpork, kupując, sprzedając, wynajmując, szukając kontaktów i robiąc to, czym zawsze zajmowali się

arystokraci: renowaniem żagli i trwaniem.

- Cóż, możliwe - zgodził się łagodnym tonem człowieka, który próbuje namówić samobójcę do zejścia z parapetu. - Musimy jednak zadać sobie pytanie, czy Ankh-Morpork w obecnym momencie potrzebuje króla.

Edward popatrzył na niego jak na wariata.

- Potrzebuje? Czy potrzebuje? Przecież nasze wspaniałe miasto usycha pod butem tyrana!

- Aha... Masz na myśli Vetinariego.

- Czy nie widzicie, co zrobił z Ankh-Morpork?

- To rzeczywiście bardzo nieprzyjemny człowiek, nuworysz - przyznała lady Selachii. - Ale trudno mu zarzucić, żeby realnie kogokolwiek terroryzował. W każdym razie nie bardzo. Nie w ścisłym sensie.

- Musisz mu to przyznać - dodał wicehrabia Skater. - Miasto funkcjonuje, tak? Mniej więcej. Pospólstwo i kto tam jeszcze pracuje.

- Ulice są bezpieczniejsze niż za czasów Snapcase'a Psychoneurotycznego - zauważyła lady Selachii.

- Bezpieczniejsze? Vetinari powołał Gildię Złodziei! - krzyknął Edward.

- Tak, tak, naturalnie, bardzo naganna decyzja, nie ma wątpliwości. Z drugiej strony, skromna roczna opłata pozwala spacerować bezpiecznie...

- Zawsze powtarza - wtrącił lord Rust - że jeśli musi już występować przestępczość, niech to przynajmniej będzie przestępczość zorganizowana.

- Mam wrażenie - odezwał się wicehrabia Skater - że ludzie z gildii tolerują go, bo ktokolwiek inny byłby gorszy, tak? Mieliśmy przecież kilka naprawdę... trudnych przypadków. Ktoś jeszcze pamięta Windera Morderczego?

- Harmoniego Szalonego?

- Scapulę Wesołego? Człowieka o bardzo ostrym dowcipie?

- Za to Vetinari... to coś niezupełnie... - zaczął lord Rust.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - wtrącił wicehrabia Skater. -Nie podoba mi się, że on zawsze wie, co myślisz, zanim jeszcze zdążysz o tym pomyśleć.

- Wszyscy wiedzą, że skrytobójcy wyznaczyli za niego honorarium w wysokości miliona dolarów - przypomniała lady Selachii. -Tyle by kosztowało jego zabicie.

- Prześladowuje mnie myśl - dodał lord Rust - że o wiele więcej kosztowałoby dopilnowanie, by pozostał zabity.

- Na bogów! Co się stało z dumą? Co się stało z honorem? Wszyscy wyraźnie drgnęli, gdy ostatni lord d'Eath poderwał się na równe nogi.

- Spróbujcie sami siebie posłuchać! Spójrzcie na siebie! Czy jest tu choć jeden człowiek, który nie patrzył na poniżenie swego rodu od czasu królów? Nie pamiętacie już czynów swych przodków?

Edward zaczął krążyć wokół stołu. Musieli odwracać głowy, by go obserwować.

Wyciągnął rękę.

- Pan, lordzie Rust! Pański p-rzodek został mianowany baronem, kiedy samotnie, uzbrojony jedynie w szp-ilkę, wybił oddział trzydziestu siedmiu Klatchian. Czy tak?

- Tak, ale...

- Pan... lordzie Monflathers! Pierwszy diuk poprowadził sześciuset ludzi do chwalebnej i bohaterskiej klęski w bitwie pod Quirmem! Czy to już nic nie znaczy? Pan, lordzie Venturi, i pan, sir George... Siedzicie w Ankh, w swoich starych rezydencjach, pod starymi nazwiskami, na starych pieniądzach, podczas gdy gildie... Gildie! Bandy mętów i sklepikarzy...

Gildie, powiadam, zabierają głos w sp-rawach miasta!

W dwóch krokach znalazł się obok półki i rzucił na stół potężny, oprawny w skórę tom, potracając nim kieliszek lorda Rusta.

- „Herbarz” Niemózziego! - krzyknął. - Wszyscy mamy w nim swoje stronice! Należy do nas! Ale ten człowiek chyba was zahipnotyzował! Zapewniam was, że zbudowany jest z krwi i kości, że jest śmiertelny! Nikt nie śmie go usunąć, bo obawia się, że sytuacja ułoży się wtedy trochę gorzej! Na bogów!

Goście słuchali ponuro. Miał rację, oczywiście... jeśli tak to ująć. I ocena wcale nie brzmiała lepiej, wygłaszana przez tego wzburzonego, patetycznego młodzieńca.

- Tak, tak. Dobrze, stare czasy. Iglice rosnące w niebo, proporce, rycerskość i takie tam - rzekł wicehrabia Skater. - Damy w spiczastych kapeluszach. Chłopcy w zbrojach, walący się czym popadnie. I tak dalej. Ale wiesz przecież, że trzeba iść z duchem czasu...

- To był złoty wiek.

O bogowie, pomyślał lord Rust. On naprawdę w to wierzy.

- Widzisz, mój chłopcze... - Lady Selachii próbowała uspokoić Edwarda. - Kilka przypadkowych podobieństw i skromny element biżuterii nie dają jeszcze mocnych podstaw, prawda?

- Niania mi opowiadała - wtrącił wicehrabia Skater - że prawdziwy król potrafi wydobyć miecz z kamienia.

- Tak, tak. I wyleczyć łupież - mruknął lord Rust. - To tylko legenda. Nie naprawdę. Nawiasem mówiąc, ta opowieść zawsze mnie dziwiła. Niby co jest takiego skomplikowanego w wyciągnięciu miecza z kamienia? Największa trudność została już pokonana. Jeśli ktoś chce się do czegoś przydać, powinien najpierw poszukać tego miłego człowieka, który wbił miecz w kamień, prawda?

Zabrzmiały pełne ulgi śmiechy. Tyle Edward zapamiętał. Wszystko skończyło się śmiechem. Nie z niego, być może, ale należał do ludzi, którzy śmiech przyjmują bardzo personalnie.

Dziesięć minut później dziedzic rodu d'Eathów został sam.

Byli tacy uprzejmi... Iść z duchem czasu! Oczekiwał od nich czegoś więcej. O wiele więcej. Miał wręcz nadzieję, że porwie ich za sobą. Wyobrażał sobie, że dowodzi armią...

Blenkin zjawił się, z szacunkiem powłócząc nogami.

- Odprowadziłem ich, panie Edwardzie - oznajmił.

- Dziękuję ci, Blenkin. Możesz sprzątnąć ze stołu. - Tak, panie Edwardzie.

- Gdzie się podział honor, Blenkin?

- Nie wiem, proszę pana. Ja go nie brałem.

- Nie chcieli słuchać.

- Nie, panie Edwardzie.

- Nie chcieli słuchać...

Edward siedział przy gasnącym palenisku, z wytartym egzemplarzem „Sukcesji Ankh-Morpork” Udgryszjela na kolanach. Martwi królowie i królowe patrzyli na niego z wyrzutem.

I tutaj wszystko mogłoby się skończyć. Właściwie nawet skończyło się w tym miejscu, w milionie innych wszechświatów. Edwardowi d'Eath przybyło lat, a jego obsesja zmieniła się w rodzaj książkowego szaleństwa z tej odmiany, która używa rękawiczek z obciętymi palcami i ciepłych bamboszy. Stał się ekspertem od królewskich rodów, choć nikt o tym nie wiedział, gdyż rzadko opuszczał swoje pokoje. Kapral Marchewa został sierżantem Marchewą, a w odpowiednim czasie - mając lat siedemdziesiąt - zginął na posterunku wskutek nieprawdopodobnego przypadku, w który

zamieszany był mrówkojad.

W milionie jeszcze innych wszechświatów młodszy funkcjonariusze Cuddy i Detrytus nie wpadli do dziury. W milionie wszechświatów Vimes nie znalazł rurek. (W jednym dziwnym, ale teoretycznie możliwym wszechświecie budynek Straży Miejskiej został wymalowany w pastelowe kolory przez zabłąkaną trąbę powietrzną, która naprawiła także skobel w drzwiach i wykonała kilka innych drobnych robót). W milionie wszechświatów Straż Miejska poniosła klęskę.

W milionie wszechświatów była to bardzo krótka książka.

Edward zdrzemnął się z grubym tomem na kolanach i miał dziwny sen. Śnił o chwalebnej walce. „Chwała” była kolejnym bardzo ważnym pojęciem w jego słowniku, podobnie jak „honor”.

Skoro zdrajcy i ludzie niehonorowi nie chcą dostrzec prawdy, to on, Edward d'Eath, stanie się palcem Przeznaczenia.

Kłopot z Przeznaczeniem, niestety, polega na tym, że często nie uważa, gdzie wtyka palec.

Kapitan Sam Vimes ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork (nocna zmiana) siedział w wietrznym przedpokoju komnaty przyjąć patrycjusza. Miał na sobie swój najlepszy płaszcz i wypolerowany półpancerz, a na kolanach trzymał hełm.

Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ścianę.

Powinienem być szczęśliwy, powtarzał sobie. I był. W pewnym sensie. Stanowczo. Szczęśliwy jak mało kto.

Za parę dni miał się ożenić.

Miał przestać już być strażnikiem.

Miał się stać dżentelmenem z towarzystwa.

Zdjął miedzianą odznakę i odruchowo przetarł ją o skraj płaszcza. Potem uniósł ją tak, że światło odbiło się od pokrytej patyną powierzchni. SMAM Nr 177. Czasami zastanawiał się, ilu strażników nosiło przed nim tę odznakę.

No cóż, teraz ktoś będzie ją nosił po nim.

Oto Ankh-Morpork, Gród Tysiąca Niespodzianek (według przewodnika wydanego przez Gildię Kupców). Co jeszcze można dodać? Rozległe miasto, dom miliona mieszkańców, największe na Dysku, położone na obu brzegach rzeki Ankh, tak mętnej i błotnistej, że wygląda, jakby płynęła dnem do góry.

Przybysze często pytają: Jak może istnieć tak wielkie miasto? Skoro ma rzekę, którą można przeżuwać, skąd pochodzi woda do picia? Co jest podstawą jego gospodarki? Jak to się dzieje, że -wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu - działa?

Szczerze mówiąc, przybysze nie pytają o to zbyt często. Zwykle mówią coś w stylu: „Którędy do, no wie pan, do... hm... wie pan, młode panienki, jasne?”.

Ale gdyby zaczęli choć przez chwilę do myślenia używać mózgu, właśnie o to by zapytali.

Patrycjusz Ankh-Morpork siedział na swym prostym krześle z dziwnym promiennym uśmiechem zapracowanego człowieka, który po ciężkim dniu znajduje w terminarzu notatkę: „7.00-7.05. Bądź wesoły, spokojny i uprzejmy”.

- Cóż, bardzo się zmartwiłem, kiedy otrzymałem pański list, kapitanie...

- Tak jest - odparł Vimes z miną drewnianą jak skład mebli.

- Proszę usiąść, kapitanie.

- Tak jest. - Vimes stał nadal. To była kwestia godności.

- Ale doskonale rozumiem, oczywiście. Wiejskie posiadłości Ramkinów są bardzo rozległe, o ile się orientuję. Jestem przekonany, że lady Ramkin będzie wdzięczna za pomoc pańskiej silnej prawicy.

- Tak jest. - Kapitan Vimes w obecności władcy miasta zawsze kierował spojrzenie w punkt o stopę powyżej i sześć cali w lewo od jego głowy.

- Naturalnie, będzie pan również bardzo bogatym człowiekiem, kapitanie.

- Tak jest.

- Mam nadzieję, że dobrze pan to sobie przemyślał. Czekają pana nowe obowiązki.

- Tak jest.

Patrycjusz uświadomił sobie nagle, że sam dba o obie strony konwersacji. Przerzucił papiery na biurku.

- Ma się rozumieć, będę musiał mianować nowego oficera nocnej straży - stwierdził. - Ma pan jakieś sugestie, kapitanie?

Zdawało się, że Vimes sfruwa z obłoku, jaki otulał przed chwilą jego umysł. Wreszcie chodziło o strażniczą robotę.

- W każdym razie nie Fred Colon. On jest urodzonym sierżantem...

Sierżant Colon ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork (nocna zmiana) spojrział na promienne twarze nowych rekrutów. Westchnął. Przypomniawsobie swój pierwszy dzień. Starego sierżanta Wimblera... Co za drań! Ciął językiem jak pejczem. Gdyby dożył i zobaczył...

Jak to nazwali? Rekrutacja afirmatywna czy jakoś tak. Krzemowa Liga Walki ze Zniesławieniem nachodziła patrycjusza tak długo, że w końcu...

- Spróbujcie jeszcze raz, młodszy funkcjonariuszu Detrytus - powiedział Colon. - Sztuczka polega na tym, że zatrzymujecie rękę tuż nad uchem. No już, wstańcie z podłogi i spróbujcie znowu zasalutować. A teraz... Młodszy funkcjonariusz Cuddy?

- Tutaj!

- Gdzie?

- Przed panem, sierżancie.

Colon spojrział w dół i cofnął się o krok. Wypukła krzywizna jego bardziej niż godziwego brzucha usunęła się, odsłaniając skierowaną ku górze twarz młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego, z przyjazną, inteligentną miną i jednym szklanym okiem.

- Aha. Rzeczywiście.

- Jestem wyższy, niż wyglądam.

O bogowie, pomyślał smętnie sierżant Colon. Dodać by ich do siebie i podzielić na pół, toby się dostało dwóch normalnych ludzi, tyle że normalni ludzie nie wstępują do straży. Troll i krasnolud. To zresztą jeszcze nie jest najgorsze...

Vimes zabębnił palcami o blat.

- A zatem nie Colon - rzekł. - Zresztą nie jest już taki młody. Pora, żeby został na komendzie i zajął się papierkową robotą. Poza tym i tak sporo mu dołożyliśmy.

- Sierżant Colon zawsze lubił dokładki, o ile wiem - zauważył patrycjusz.

- Miałem na myśli pracę z nowymi rekrutami - wyjaśnił Vimes. - Pamięta pan?

To ci, których kazał mi pan przyjąć, dodał już w myślach. Oczywiście, nie trafili na dzienną rotę. A ci dranie z gwardii pałacowej też nie chcieli ich u siebie. Nie, poślijcie ich do nocnej straży, bo ona i tak się nie liczy, więc nikt ich nie zobaczy. W każdym razie nikt ważny.

Vimes ustąpił tylko dlatego, że już niedługo miał to być problem kogoś innego. Nie chodzi o to, że był gatunkistą, przekonywał sam siebie. Ale straż to praca dla ludzi.

- A może kapral Nobbs? - spytał Patrycjusz.

- Nobby?

Równocześnie przywołali przed oczy wizerunek kaprała Nobbsa.

- Nie.

- Nie.

- Jest też, oczywiście... - patrycjusz uśmiechnął się lekko - ... kapral Marchewa. Wspaniały młody człowiek. Jak rozumiem, jest już dosyć znany.

- To... prawda - przyznał Vimes.

- Może więc możliwość dalszego awansu? Będę wdzięczny za radę.

Vimes wyobraził sobie kaprała Marchewę...

- To - rzekł Marchewa -jest Brama Osiowa. Do całego miasta. Jej właśnie strzeżemy.

- Przed czym? - spytała młodsza funkcjonariusz Angua, ostatnia z nowych rekrutów.

- No wiesz. Barbarzyńskie hordy, wojownicze plemiona, bandyckie armie... Takie rzeczy.

- Jak to? My sami?

- My? Ależ nie! - Marchewa roześmiał się głośno. - To by przecież było niemądre. Nie. Jeśli zobaczysz coś w tym rodzaju, zadzwonisz swoim dzwonkiem, jak najgłośniej potrafisz.

- I co się wtedy stanie?

- Sierżant Colon, Nobby i cała reszta przybiegną jak najszybciej. Funkcjonariusz Angua zbadała wzrokiem zamglony horyzont.

I uśmiechnęła się.

Marchewa oblał się rumieńcem.

Funkcjonariusz Angua opanowała salutowanie już przy pierwszej próbie. Nie nosiła na razie kompletnego munduru - i nie będzie, dopóki ktoś nie zanieśie jej... no, co tu ukrywać, napierśnika do starego płatnerza Remitta, żeby wyklepał solidnie tutaj i tutaj. I żaden hełm na świecie nie zdołałby przykryć tej masy popielato-blond włosów. Co prawda Marchewie przyszło do głowy, że Angua wcale tego wszystkiego nie potrzebuje. Ludzie i tak będą ustawiać się w kolejce, żeby dać się zaaresztować.

- Co będziemy teraz robić? - zapytała.

- Przejdziemy się z powrotem na komendę - wyjaśnił Marchewa. -

Sierżant Colon będzie pewnie czytał wieczorny raport.

„Przechadzanie się” opanowała także. Był to specjalny krok, opracowany przez funkcjonariuszy na patrolach w całym multiwersum: lekkie uniesienie podbicia, ostrożne machnięcie nogą - krok marszowy, który można utrzymywać godziną po godzinie, ulica po ulicy. Młodszy funkcjonariusz Detrytus nie zacznie nauki „przechadzania się” jeszcze przez dłuższy czas, a przynajmniej dopóki przy salutowaniu nie przestanie powalać sam siebie na ulicę.

- Sierżant Colon - powtórzyła Angua - to ten gruby?

- Zgadza się.

- Dlaczego chodzi z tą małpiatką?

- Hm - mruknął kapral Marchewa. - Wydaje mi się, że masz na myśli kaprała Nobbsa.

- Jest człowiekiem? Przecież ma twarz jak te łamigłówki „Połącz punkty”.

- Ma, biedaczysko, spory zbiór wągrows. Robi z nimi różne sztuczki. Nigdy nie stawaj między nim a lustrem.

Niewielu ludzi spacerowało o tej porze po ulicach. Było za gorąco, nawet jak na lato w Ankh-Morpork. Żar promieniował z każdej powierzchni. Rzeka po dnie swego koryta wlokła się smętnie niczym student około pierwszej w nocy. Ludzie niemający pilnych spraw czekali w piwnicach i wychodzili jedynie po zmroku.

Marchewa sunął po przypiekanych ulicach z miną właściciela oraz lekką patyną uczciwego potu. Od czasu do czasu wymieniał z kimś powitanie. Wszyscy znali Marchewę. Był łatwo rozpoznawalny. Nikt poza nim nie miał dwóch metrów wzrostu i płomiennie rudych włosów. Poza tym szedł tak, jakby do niego należało miasto.

- A kim był ten z granitową twarzą, co go widziałam na komendzie? -

wypytywała Angua, kiedy przechodzili przez Broad-Way.

- To troll Detrytus - wyjaśnił Marchewa. - Kiedyś był trochę przestępcą, ale teraz zaleca się do Ruby i musi...

- Nie. Pytam o człowieka - wyjaśniła Angua, odkrywając, jak już wiele osób przed nią, że Marchewa ma niejaki problemy z metaforami. - Twarz zachmu... jak u kogoś głęboko rozczarowanego.

- Och, to kapitan Vimes. Ale wydaje mi się, że on nigdy nie był zaczarowany. Odchodzi pod koniec tygodnia i żeni się.

- Nie wygląda na szczęśliwego.

- Trudno powiedzieć.

- Nie przypuszczam, żeby lubił nowych rekrutów.

Kolejną cechą kaprała Marchewy była jego niezdolność do kłamstwa.

- Rzeczywiście, niezbyt lubi trolle. Kiedy się dowiedział, że ma dać ogłoszenie o poszukiwaniu rekruta trolla, przez cały dzień nie odezwał się ani słowem. Potem musieliśmy przyjąć krasnoluda; inaczej byłyby kłopoty. Ja też jestem krasnoludem, ale tutejsze chyba mi nie wierzą.

- Co ty powiesz? - Angua uniosła głowę, żeby mu się przyjrzeć.

- Matka urodziła mnie przez adopcję.

- Aha. Ale przecież ja nie jestem trollem ani krasnoludem - zauważyła słodko Angua.

- Nie, ale jesteś ko... Zatrzymała się w miejscu.

- I o to chodzi? Wielcy bogowie! Żyjemy przecież w Wieku Nietoperza. Czy on naprawdę myśli w taki sposób?

- Jest trochę staromodny...

- Raczej zakrzepły.

- Patrycjusz uznał, że powinniśmy mieć reprezentantów wszystkich grup mniejszościowych.

- Grup mniejszościowych?

- Przykro mi. Zresztą zostało mu jeszcze tylko parę dni...

Z drugiej strony ulicy zabrzmiał trzask łamanego drewna. Odwrócili się oboje akurat w chwili, gdy jakaś postać wypadła z tawerny i pomknęła ulicą jak zając, ścigana - przynajmniej przez kilka pierwszych kroków - przez grubego mężczyznę w fartuchu.

- Stój! Stój! Złodziej bez licencji!

- Aha - rzeki z naciskiem Marchewa. Przeszedł przez ulicę. Angua maszerowała za nim, a gruby mężczyzna zwolnił do truchtu. - Dzień dobry, panie Flannel. Jakież kłopoty?

- Zabrał mi siedem dolarów, a nawet nie zauważyłem złodziejskiej licencji! - poskarżył się pan Flannel. - Co macie zamiar zrobić? Płacę podatki!

- Już za chwilę podejmiemy nieustępliwy pościg - zapewnił spokojnie Marchewa i sięgnął po notes. - Siedem dolarów, tak?

- Co najmniej czternaście.

Pan Flannel wzrokiem zmierzył Anguę od stóp do głów. Mężczyźni rzadko kiedy rezygnowali z takiej okazji.

- Dlaczego ona nosi hełm? - zapytał.

- To nowy rekrut, panie Flannel.

Angua uśmiechnęła się promiennie. Pan Flannel cofnął się o krok.

- Przecież jest...

- Musimy iść z duchem czasu, panie Flannel - wyjaśnił Marchewa, chowając notes.

Pan Flannel z pewnym wysiłkiem wrócił myślami do ważniejszych spraw.

- A tymczasem ucieka gdzieś osiemnaście dolarów, których już pewnie nie zobaczę - rzekł ostrym tonem.

- Ależ nil desperandum, panie Flannel, nil desperandum. Chodźmy, młodsza funkcjonariusz Angua. Podejmiemy śledztwo.

Odeszli. Flannel spoglądał za nimi z otwartymi ustami.

- Nie zapomnijcie o moich dwudziestu pięciu dolarach! - krzyknął jeszcze.

- Nie masz zamiaru gonić tego człowieka? - spytała Angua, podbiegając, żeby dotrzymać kroku Marchewie.

- Nie warto - odparł i skręcił w boczną alejkę, tak wąską, że prawie niewidoczną. Szedł dalej między wilgotnymi, porośniętymi mchem ścianami, w głębokim cieniu. - To ciekawe - dodał. - Niewielu ludzi wie, założę się, że można dotrzeć z Broad-Wayu prosto na Zefir. Zapytaj kogokolwiek. Powie, że nie przedostaniesz się z drugiego końca Zaułka Koszuli. Ale to możliwe, ponieważ wystarczy przejść przez Mormius, potem przecisnąć się między tymi tutaj słupkami na Aleję Borborygmiczną... dobre żelazo, trzeba przyznać... i już jesteśmy na Wcześniejszej...

Podszedł do wylotu alejki i zaczął nasłuchiwać.

- Na co czekamy? - zainteresowała się Angua.

Zabrzmiał tupot biegnących stóp. Marchewa oparł się o ścianę i wystawił rękę na ulicę Zefir. Rozległ się głuchy stuk, a ramię Marchewy nie przesunęło się nawet o cal. To musiało przypominać zderzenie ze stalowym dźwigarem.

Przyjrzeni się nieprzytomnemu na bruku. Srebrne dolary potoczyły się

po kamieniach.

- Ojjoj - westchnął Marchewa. - Biedny Tuiteraż. Przecież obiecał mi, że da spokój. No trudno...

Chwycił leżącego za nogę.

- Ile pieniędzy? - zapytał.

- Chyba trzy dolary - odparła Angua.

- Dobra robota. Zgadza się co do pensa.

- Nie, oberżysta mówił...

- Wracamy na komendę. Idziemy, Tuiteraż. To twój szczęśliwy dzień.

- Dlaczego szczęśliwy? Przecież został schwytany.

- Tak. Przez nas. Gildia Złodziei nie dorwała go pierwsza. Oni nie są tacy delikatni jak my.

Głowa Tuiteraż podskakiwała na kamieniach.

- Zwinął trzy dolary i zaraz pobiegł do domu - westchnął Marchewa. - Cały Tuiteraż. Najgorszy złodziej na świecie.

- Ale mówiłeś, że Gildia Złodziei...

- Kiedy popracujesz jakiś czas, zrozumiesz, jak to wszystko działa. - Głowa Tuiteraż odbiła się od krawężnika. - W końcu - dodał Marchewa - rzeczywiście działa. Zdziwisz się. Wszystko działa. Wolałbym, żeby nie działało. Ale działa.

W czasie kiedy Tuiteraż doznawał lekkich wstrząsów w drodze do

bezpiecznego aresztu, ginął klaun. Szedł sobie alejką, swobodny i pewny siebie jak człowiek, który w pełni spłacił ten rok u Gildii Złodziei. I nagle stanęła przed nim zakapturzona postać.

- Fasollo?

- O, to ty... Edward, prawda? Postać zawahała się.

- Właśnie wracałem do gildii - wyjaśnił Fasollo. Zakapturzona postać skinęła głową.

- Dobrze się czujesz? - spytał Fasollo.

- P-rzykro mi - oświadczyła postać. - Ale to dla dobra miasta. Nic osobistego.

Przeszła za plecy klauna. Fasollo poczuł chrupnięcie, a później jego osobisty wszechświat nagle się wyłączył.

Potem Fasollo usiadł.

- Au - powiedział. - To bolą... Ale wcale nie bolało.

Edward d'Eath spoglądał na niego z góry przerażonym wzrokiem.

- Oj... Nie chciałem uderzyć cię tak mocno! Chciałem tylko usunąć cię z drogi!

- A dlaczego w ogóle musiałeś mnie uderzyć?

I wtedy Fasollo doznał wrażenia, że Edward nie patrzy właściwie na niego i z pewnością nie do niego mówi.

Spuścił wzrok i ogarnęło go dziwne uczucie, znane tylko niedawno zmarłym - groza, gdy patrzył na to, co leżało przed nim, a zaraz potem niepokojące pytanie: kto właściwie patrzy?

PRZYCHODZI ŚMIERĆ DO LEKARZA...

Uniósł głowę.

- A lekarz pyta... - podjął.

Chłód przeszył powietrze. Fasollo czekał. Edward gorączkowo poklepywał jego twarz... to, co jeszcze niedawno było jego twarzą.

MOŻE... CZYMOGLIBYŚMY ZACZAĆ OD POCZĄTKU? JAKOŚ NIE UMIEM ZAŁAPAĆ, O CO W TYM CHODZI.

- Słucham?

- Przep-raszam! - jęczał Edward. - Chciałem jak najlepiej. Fasollo przyglądał się, jak morderca odciąga jego ciało... Nie, odciąga ciało.

- Nic osobistego, powiedział - wymruczał pod nosem. - Miło, że to nic osobistego. Byłoby mi naprawdę przykro, gdyby mnie zabił z powodów osobistych.

CHODZI O TO, ŻE NIEDAWNO ZASUGEROWANO MI, BYM ZACHOWYWAŁ SIĘ BARDZIEJ DELIKATNIE.

- Ale dlaczego? Myślałem, że całkiem dobrze się dogadujemy. W moim fachu trudno znaleźć przyjaciół. W twoim też, jak przypuszczam.

STARAJ SIĘ PRZEKAZAĆ IM TO ŁAGODNIE, O TO CHODZI.

- W jednej chwili człowiek idzie sobie spokojnie, a w następnej jest już martwy. Dlaczego?

POMYŚL, ŻE JESTEŚ RACZEJ... WYMIAROWO UPOŚLEDZONY.

Cień klauna Fasollo zwrócił się do Śmierci.

- O czym ty gadasz?

JESTEŚ MARTWY.

- Tak, wiem. - Fasollo rozluźnił się i przestał zbyt intensywnie myśleć

o coraz bardziej nieważnym świecie. Śmierć przekonał się, że ludzie często tak robią, kiedy się otrząsną z początkowego szoku. W końcu najgorsze mieli już za sobą... przy odrobinie szczęścia.

GDYBYŚ ZECHCIAŁ PÓJŚĆ TERAZ ZA MNĄ...

- Czy będą tam torty? Czerwone nosy? Żonglerka? Czy są szansę na za szerokie spodnie?

NIE.

Fasollo niemal całe swoje krótkie życie przeżył jako klaun. Uśmiechnął się posępnie pod makijażem.

- To mi się podoba.

Spotkanie Vimesa z patrycjuszem skończyło się tak, jak często takie rozmowy - gość wyszedł z niejasnym, ale dokuczliwym wrażeniem, że ledwie udało mu się ujść z życiem.

Vimes powlókł się więc na spotkanie z narzeczoną. Wiedział, gdzie może ją znaleźć.

Napis nabazgrany w poprzek podwójnych wrót przy ulicy Morficznej głosił: „Tu żyją smoki”.

Mosiężna tabliczka obok wrót głosiła: „Słoneczne Schronisko dla Chorych Smoków”.

Obok stał mały, pusty w środku i żalosny smok z papier-mâché. Trzymał przykutą ciężkim łańcuchem do muru skarbonkę z napisem: „Nie pozwól, by zgasł mój płomień”.

Tutaj właśnie lady Sybil Ramkin spędzała prawie całe dni.

Była, jak poinformowano Vimesa, najbogatszą kobietą w Ankh-Morpork. Właściwie to była bogatsza niż wszystkie inne kobiety w Ankh-Morpork złane - gdyby to było możliwe - w jedną.

To będzie dziwaczny ślub, mówili ludzie. Vimes traktował osoby o wyższej pozycji towarzyskiej z ledwie skrywanym niesmakiem, ponieważ kobiety powodowały u niego ból głowy, a mężczyźni świerzbienie pięści. Natomiast Sybil Ramkin pochodziła z jednej z najstarszych rodzin w Ankh. Ale los rzucił ich razem niczym wir wodny dwie gałązki, poddali się więc temu, co nieuniknione.

Sam Vimes w dzieciństwie wierzył, że bardzo bogaci jadają ze złotych talerzy i żyją w marmurowych domach. Teraz nauczył się czegoś nowego: ci bardzo, bardzo bogaci mogą sobie pozwolić na ubóstwo. Sybil Ramkin żyła w nędzy, dostępnej tylko bogaczom - w biedzie, do której podchodzili z przeciwnej strony. Kobiety, którym zwyczajnie dobrze się powodziło, oszczędzały i kupowały suknie zdobione koronką i perłami; lady Ramkin była tak bogata, że mogła sobie pozwolić na chodzenie w gumowych butach i tweedowej spódnicy, która należała do jej matki. Była tak bogata, że stacją było na żywienie się sucharkami i kanapkami z serem. Tak bogata, że korzystała tylko z trzech pokoiów w trzydziestoczeropokojowej rezydencji; w pozostałych stały bardzo drogie i bardzo stare meble osłonięte pokrowcami od kurzu.

Powodem, dla którego bogacze są tacy bogaci, rozumował Vimes, jest to, że mogą wydawać mniej pieniędzy.

Weźmy na przykład buty. Vimes zarabiał trzydzieści osiem dolarów miesięcznie, nie licząc dodatków. Porządna para skórzanych butów kosztowała pięćdziesiąt dolarów. Ale para butów, na jaką mógł sobie pozwolić - całkiem przyzwoita na jeden czy dwa sezony, bo potem zupełnie przetarła się tektura, przeciekająca jak demony, to koszt około dziesięciu dolarów. Takie właśnie buty zawsze kupował Vimes i nosił je, aż podeszwy były tak cienkie, że w mgliste noce po kamieniach bruku poznawał, gdzie w Ankh-Morpork się znajduje.

Jednak dobre buty wytrzymały lata, długie lata. Bogatego stać na wydanie pięćdziesięciu dolarów na parę butów, w których po dziesięciu

latach wciąż będzie miał suche nogi. Tymczasem biedak, którego stać tylko na tanie buty, wyda w tym czasie sto dolarów -a nogi i tak stale będzie miał przemoczone.

To właśnie kapitan Vimes nazywał obuwniczą teorią niesprawiedliwości społecznej.

W dodatku Sybil Ramkin rzadko w ogóle musiała coś kupować. Rezydencja była pełna ciężkich, solidnych mebli kupionych przez jej przodków. Nigdy się nie zużywały. Miała całe skrzynie biżuterii, która jakoś tak się nazbierała przez wieki. Vimes widział piwnicę z winem, w której cały regiment speleologów mógłby pić tak długo, aż przestałoby im przeszkadzać, że zaginęli bez śladu.

Lady Sybil Ramkin mogła żyć wygodnie z dnia na dzień, wydając - jak oceniał Vimes - połowę tego co on. Ale o wiele więcej wydawała na smoki.

Słoneczne Schronisko dla Smoków miało bardzo, ale to bardzo grube mury i bardzo, ale to bardzo lekki dach - architektoniczne dziwactwo, normalnie spotykane tylko w fabrykach fajerwerków.

To dlatego, że naturalnym stanem pospolitego smoka bagiennego jest chroniczna choroba, a naturalnym stanem chorego smoka jest rozsmarowanie się na ścianach, podłodze i suficie pomieszczenia, w którym akurat przebywał. Smok bagieny to fatalnie zorganizowany, ryzykownie niestabilny zakład chemiczny, o jeden krok od katastrofy. Całkiem mały krok.

Istnieją teorie, że zwyczaj wybuchania w chwili gniewu, podniecenia, strachu czy zwyczajnej nudy to wykształcona ewolucyjnie cecha, zwiększająca szansę przetrwania* [przy.: Z punktu widzenia gatunku jako całości. Nie z punktu widzenia smoka, który właśnie ląduje w małych kawałkach w najbliższej okolicy.] - metodą odstraszania drapieżników. Zjedz smoka, głosi płynąca z niej nauka, a będziesz miał taką niestrawność, do której opisu odpowiednim terminem jest „promień rażenia”.

Dlatego Vimes bardzo ostrożnie pchnął drzwi. Owionął go zapach smoków. Był to zapach niezwykły, nawet jak na standardy Ankh-Morpork -

Vimesowi kojarzył się ze stawem, gdzie przez kilka lat zatapiano odpady chemiczne, a potem go osuszono.

Małe smoki świstały i skamlały na niego ze swoich boksów po obu stronach przejścia. Kilka podekscytowanych strug ognia przypaliło mu włoski na nagich łydkach.

Znalazł Sybil Ramkin w towarzystwie kilku młodych, ubranych w spodnie kobiet, które pomagały jej prowadzić schronisko. Zwykle miały na imię Sara albo Emma i dla Vimesa wyglądały identycznie. W tej chwili walczyły z czymś, co wyglądało na rozzłoszczony worek.

Kiedy się zbliżył, Sybil podniosła głowę.

- O, jest Sam - powiedziała. - Przytrzymaj naszego baranka.

Wciśnięto mu worek do rąk. W tej samej chwili szpon rozciął materiał i drapnął o półpancerz w entuzjastycznej próbie wyprucia Vimesowi flaków. Ostrouchy łeb wysunął się z drugiego końca, para lśniących czerwieni oczu na moment skupiła na nim wzrok, zębata paszcza rozwarła się i dmuchnęła cuchnącym oparem.

Lady Ramkin tryumfalnie chwyciła dolną szczękę małego smoka, a drugą rękę aż po łokieć wcisnęła mu do gardła.

- Mam cię! - Spojrzała na Vimesa, wciąż nieruchomego z zaskoczenia.
- Ten mały diabeł nie chce połknąć swojej wapiennej tabletki. Łykaj! No, łykaj! O właśnie! Grzeczny maluch. Możesz go już puścić.

Worek wysunął się z rąk Vimesa.

- Paskudny przypadek kolki bezogniowej - wyjaśniła lady Ramkin. - Mam nadzieję, że zdążyliśmy na czas.

Smok rozpruł worek i rozejrzał się za czymś, co mógłby spopielić. Wszyscy starali się zejść mu z pola widzenia.

Potem zrobił zeza i czknął. Wapienna tabletką stuknęła o ścianę.

- Wszyscy padnij!

Skoczyli za osłony, jakich mogły im dostarczyć koryto z wodą i stos cegieł.

Smok znowu czknął i spojrzał zdumiony.

Po czym eksplodował. Kiedy dym się rozwiął, wystawili zza osłon głowy i zobaczyli smętny, nieduży krater.

Lady Ramkin wyjęła z kieszeni skórzanego kombinezonu chusteczkę i wytarła nos.

- Biedny głuptas... -Westchnęła. - No cóż... Jak się masz, Sam? Rozmawiałeś z Havelockiem?

Vimes przytaknął. Nigdy w życiu, uznał, nie przyzwyczai się do myśli, że patrycjusz Ankh-Morpork ma jakieś imię albo że ktokolwiek może go znać tak dobrze, by się do niego tym imieniem zwracać.

- Zastanawiałem się nad jutrzejszym bankietem - oznajmił z desperacją.
- Wiesz, naprawdę nie wydaje mi się, żebym mógł...

- Bądź rozsądny - przerwała mu lady Ramkin. - Spodoba ci się. Najwyższa pora, żebyś zaczął spotykać Odpowiednich Ludzi. Sam wiesz.

Żałośnie pokiwał głową.

- W takim razie czekamy na ciebie w domu koło ósmej - rzekła. - I nie rób takiej miny. To ci bardzo pomoże. Jesteś za dobry, żeby po całych nocach włóczyć się po ciemnych, wilgotnych zaułkach. Czas, żebyś wszedł w wielki świat.

Vimes miał ochotę odpowiedzieć, że lubi włóczyć się po ciemnych i wilgotnych zaułkach, ale uznał, że to nie ma sensu. Aż tak tego nie lubił. Po prostu zawsze się tym zajmował. Myślał o swojej odznace tak samo jak o swoim nosie. Nie to, że ją lubił albo jej nienawidził. Zwyczajnie - to była jego odznaka.

- Uciekaj teraz. Zobaczysz, będzie świetnie. Masz chusteczkę? Vimes wpadł w panikę.

- Co?

- Daj. - Podsunęła mu swoją do ust. - Popluj - nakazała.

Po czym starła mu brud z twarzy. Któraś Wymienna Emma zachichotała ledwie dosłyszalnie. Lady Ramkin nie zwróciła na to uwagi.

- Dobrze - stwierdziła. - Już lepiej. Teraz idź i dopilnuj, żeby ulice były dla nas bezpieczne. A jeśli chcesz naprawdę się na coś przydać, to poszukaj Chubby'ego.

- Chubby'ego?

- Wczorajszej nocy zniknął z boksu.

- Smoka?

Vimes jęknął i sięgnął do kieszeni po tanie cygaro. Smoki bagienne zaczynały być utrapieniem w mieście. Lady Ramkin bardzo to irytowało. Ludzie kupowali je, kiedy miały sześć cali długości i służyły jako przymilny przyrząd do rozpalania ognia, a potem, kiedy przypalały meble i zostawiały żrące dziury w dywanach, podłogach i sklepieniach piwnic pod spodem, wyrzucali je na ulicę, żeby same się o siebie troszczyły.

- Uratowaliśmy go od kowala przy Łatwej - wyjaśniła lady Ramkin. - Powiedziałam: „Mój dobry człowieku, możesz przecież używać paleniska, tak jak wszyscy”. Biedne maleństwo.

- Chubby - powtórzył Vimes. - Ktoś ma ogień?

- Nosi niebieską obrożę - dodała lady Ramkin. - Tak, oczywiście.

- Pójdzie za tobą jak baranek, jeśli pomyśli, że masz węglowe ciasteczko.

- Rozumiem. - Vimes poklepał się po kieszeniach.

- W tym upale są trochę pobudzone.

Vimes sięgnął do zagrody pisklaków. Wybrał jednego, który w podnieceniu machał krótkimi skrzydłami i dmuchnął strużką błękitnego ognia. Vimes zaciągnął się szybko.

- Sam, naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Przepraszam.

- I gdybyś poleciał młodemu Marchewie i temu przemiłemu kapralowi Nobbsowi, żeby mieli oko na...

- Żaden kłopot.

Z jakiegoś nieznanego powodu lady Ramkin, pod każdym innym względem bystra i rozsądna, uparcie uznawała kaprała Nobbsa za bezczelnego, lecz sympatycznego łobuza. Dla Sama Vimesa była to nierozwiązalna zagadka. Pewnie chodzi o to, że przeciwieństwa się przyciągają. Ramkinowie mieli pochodzenie wyższe niż spacer po szczytach, podczas gdy kapral Nobbs w ewolucyjnej rozgrywce został zdyskwalifikowany za faule.

Kiedy Vimes szedł potem ulicą w swojej starej skórzanej tunice i zardzewiałej kolczudze, a bruk wyczuwany przez wytarte podeszwy butów mówił mu, że jest w Akrowym Zaułku, nikt by nie uwierzył, że oto idzie człowiek, który już niedługo ma poślubić najbogatszą kobietę w Ankh-Morpork.

Chubby nie był szczęśliwym smokiem. Tęsknił za kuźnią. Całkiem mu się tam podobało. Miał tyle węgla, ile mógł zjeść, a kowal nie był człowiekiem okrutnym. Chubby niewiele pragnał od życia i dostawał to.

Potem przyszła ta wielka kobieta i wsadziła go do zagrody. Dookoła były też inne smoki. Chubby niespecjalnie lubił inne smoki. I ludzie dawali

mu nieznajomy węgiel.

Właściwie to nawet był zadowolony, kiedy ktoś nocą go stamtąd zabrał. Myślał, że wraca do kowala.

Teraz zaczynał sobie uświadamiać, że stanie się inaczej. Siedział w skrzynce, obijał się o ścianki i zaczynał odczuwać irytację...

Sierżant Colon wachlował się kartką z notesu, spoglądając ponuro na zebranych strażników. Odchrząknął. - No dobra, chłopcy - powiedział. - Siadać.

- Już siedzimy, Fred - odpowiedział kapral Nobbs.

- Dla ciebie jestem sierżantem, Nobby.

- A w ogóle to po co mamy siedzieć? Kiedyś tego nie było. Czuję się jak głupek, kiedy tak siedzę i słucham, jak nawijasz o...

- Teraz, kiedy jest nas więcej, trzeba załatwiać sprawy jak należy - przypomniał koledze sierżant Colon. - Jasne! Ehem... jasne? Dobrze. Dzisiaj witamy w naszych szeregach młodszego funkcjonariusza Detrytusa... nie salutować!... Młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego i młodszą funkcjonariusz Anguę. Mam nadzieję, że wasza służba będzie... Co tam macie, Cuddy?

- Ja? - zdziwił się Cuddy z niewinną miną.

- Trudno mi nie zauważyć, że wciąż trzymacie coś, co mi wygląda na dwuostrzowy topór do rzutów, mimo że tłumaczyłem przecież, co mówi regulamin Straży Miejskiej.

- Broń etniczna, sierżancie? - zasugerował z nadzieją Cuddy.

- Możecie ją trzymać w szafce. Strażnicy noszą miecz, krótki, jedna

sztuka, i pałkę, jedna sztuka.

Z wyjątkiem Detrytusa, dodał w myślach. Po pierwsze dlatego, że nawet najdłuższy miecz wygląda w łapskach trolla jak wykałaczka. A po drugie, dopóki nie nauczy się salutować, Colon nie chciał ryzykować, że funkcjonariusz Straży Miejskiej przybije sobie własną rękę do własnego ucha. Detrytus będzie nosił pałkę i koniec. I tak zresztą pewnie zatłucze sam siebie na śmierć.

Trolle i krasnoludy... Krasnoludy i trolle... Czym sobie na to zasłużył, w swoim wieku? A to jeszcze nie jest najgorsze.

Odchrząknął znowu. Kiedy czytał z kartki, mówił śpiewnym głosem człowieka, który wystąpien publicznym uczył się w szkole.

- Dobrze - powtórzył znowu, odrobinę niepewnie. - No tak. Mam tu napisane...

- Sierzancie...

- O co... A, to wy, kapralu Marchewa. Słucham.

- Czy nie zapomniał pan o czymś, sierzancie?

- Nie wiem - odparł czujnie Colon. - A zapomniałem?

- Chodzi o rekrutów, sierzancie. O coś, co powinni przyjąć - podpowiadał Marchewa.

Colon potarł z roztargnieniem nos. Chwileczkę... Dostali zgodnie z regulaminem i za pokwitowaniem kolczugę jedną, hełm jeden, żelazno-miedziany, półpancerz jeden, żelazny (z wyjątkiem młodszej funkcjonariusz Anguy, której trzeba sprzęt specjalnie dopasować, i młodszego funkcjonariusza Detrytusa, który pokwitował odbiór prowizorycznie dostosowanej zbroi, przeznaczonej kiedyś dla słonia bojowego), pałkę jedną, dębową, pikę lub halabardę alarmową jedną, kuszę jedną, klepsydrę jedną, miecz krótki jeden (oprócz młodszego funkcjonariusza Detrytusa) oraz odznakę jedną, urzędową, Straży Miejskiej, miedzianą.

- Chyba przyjęli już wszystko, Marchewa - stwierdził. - Za pokwitowaniem. Nawet Detrytus znalazł kogoś, kto postawił za niego krzyżyk.

- Powinni przyjąć zobowiązanie. Klątwę znaczy, sierżancie.

- Aha. No tak. Powinni?

- Tak, sierżancie. Takie jest prawo.

Sierżant Colon wyraźnie się stropił. Pewnie rzeczywiście było takie prawo. Marchewa lepiej się w tym wszystkim orientował. Prawa Ankh-Morpork znał na pamięć. Był pod tym względem absolutnie wyjątkowy. Colon pamiętał tylko, że on sam nie przyjmował żadnych zobowiązań. Co do Nobby'ego, to klątwy przychodziły mu dość łatwo, a w sytuacjach szczególnie uroczystych ograniczał się do „niech demon porwie takie zabawy”.

- No dobra - zgodził się w końcu. - Wszyscy macie przyjąć klątwę i... tego... Kapral Marchewa wyjaśni wam jak. A czy ty, no, ty przyjmowałeś, kiedy do nas przyszedłeś, Marchewa?

- Oczywiście, sierżancie. Tylko nikt tego nie żądał, więc złożyłem klątwę sam sobie, tak po cichu.

- Tak? Aha. No to prowadź.

Marchewa wstał i zdjął hełm. Przygładził włosy. Uniósł prawą dłoń.

- Wy też podnieście prawe ręce - polecił. - Ehm... Funkcjonariuszu Detrytus, to ta bliższa funkcjonariusz Anguy. Powtarzajcie za mną...

Przymknął oczy i poruszył wargami, jak gdyby odczytywał coś zapisanego wewnątrz czaszki.

- Ja przecinek nawias kwadratowy imię rekruta zamknąć nawias przecinek...

Skinął na pozostałych.

- Powtarzajcie.

Zaczęli chórem. Angua usiłowała się nie roześmiać.

- ...uroczyście przysięgam na nawias kwadratowy bóstwo do wyboru rekruta zamknąć nawias przestrzegać Praw i Przepisów Porządkowych Miasta Ankh-Morpork przecinek nie zawieść publicznego zaufania i chronić poddanych Jego łamane Jej nawias kwadratowy niepotrzebne skreślić zamknąć nawias Wysokości nawias kwadratowy imię panującego Monarchy zamknąć nawias...

Angua usiłowała wpatrywać się nieruchomo w punkt powyżej ucha Marchewy. Na dodatek spokojny, monotonny głos Detrytusa był już o kilkanaście słów spóźniony.

- ...bez trwogi przecinek korzyści ani dbałości o własne bezpieczeństwo średnik ścigać złoczyńców i osłaniać niewinnych przecinek a w razie konieczności własne życie złożyć dla wspomnianej Sprawy przecinek tak mi dopomóż nawias kwadratowy wyżej wymienione bóstwo zamknąć nawias kropka Bogowie chronicie Króla łamane Królową nawias kwadratowy niepotrzebne skreślić zamknąć nawias kropka.

Angua dokończyła z ulgą i dopiero wtedy przyjrzała się twarzy Marchewy. Trudno było nie zauważyć, że po policzkach spływają mu prawdziwe łzy wzruszenia.

- Tego... bardzo dobrze. No to załatwione, dziękuję - rzekł po chwili sierżant Colon.

- ...osła-niać nie-win-nych przeci-nek...

- Bez pośpiechu, Detrytus.

Sierżant odchrząknął i znowu zajrzał do notatek.

- Do rzeczy. Łapacz Hoskins znowu wyszedł z aresztu, więc uważajcie. Wiecie, jak się zachowuje, kiedy zacznie świętować. Ten przekłety troll Węglarz pobił wczoraj cztery osoby...

- ...dla wspom-nianej Spra-wy przeci-nek...

- Gdzie jest kapitan Vimes? - zainteresował się Nobby. - On powinien to prowadzić.

- Kapitan Vimes... porządkuje swoje sprawy - wyjaśnił Colon. - Nie tak łatwo nauczyć się cywilnego życia. No dobrze. - Znowu zajrzał do notatek, a potem na swoich ludzi. Ludzi... akurat!

Poruszył ustami, licząc w myślach. O tam, między Nobbym i funkcjonariuszem Cuddym, siedział niski, obszarpany człowieczek z brodą i włosami tak zapuszczonymi i splątanymi, że przypominał fretkę wyglądającą zza krzaka.

- ...mi dopo-móz na-wias kwadratowy wy-żej wymie-ni-one bós-two zamk-nąć na-wias kro-pka.

- Nie, nie! - jęknął Colon. - Co tu robisz, Tuiteraż? Dziękuję, Detrytus... nie salutuj! Możesz usiąść.

- Pan Marchewa mnie przyprowadził - wyjaśnił Tuiteraż.

- Areszt zapobiegawczy, sierżancie - dodał Marchewa.

- Znowu? - Z gwoźdźnia nad biurkiem Colon zdjął pęk kluczy i rzucił je złodziejowi. - Niech tam. Cela numer trzy. Weź klucze. Zawołamy, gdyby były potrzebne.

- Niezły z pana gość, sierżancie - rzucił jeszcze Tuiteraż, po czym ruszył po schodach do celi.

Colon pokręcił głową.

- Najgorszy złodziej na świecie - mruknął.

- Nie wyglądał na takiego sprytnego - zauważyła Angua.

- Nie, on jest najgorszy. Znaczący: niedobry w tym, co robi.

- Pamiętacie, kiedyś chciał się wspiąć aż do Dunmainfestin, żeby wykraść bogom Tajemnicę Ognia? - przypomniał Nobby.

- Powiedziałem mu wtedy: „Przecież ją mamy, Tuiteraz, mamy od tysięcy lat” - dodał Marchewa. - A on mi na to: „I dobrze, ma wartość muzealną”* [przyp.: Palcy-Mazda, pierwszy złodziej na świecie, wykradł bogom ogień. Ale nie mógł go sprzedać, bo towar był zbyt gorący.* [przyp.: Mocno się sparzył na tym interesie.]].

- Biedaczysko - westchnął Colon. - W porządku. Co tam jeszcze mamy... Słucham, Marchewa?

- Teraz powinni wziąć Królewskiego Szylinga, sierżancie - podpowiedział Marchewa.

- A tak, rzeczywiście. - Colon pogrzebał w kieszeni i wyjął trzy ankhmorporskie dolary rozmiaru cekinów, mające zawartość złota mniej więcej równą morskiej wodzie. Rzucił je po jednym w stronę rekrutów.

- To się nazywa Królewski Szyling - poinformował, zerkając na Marchewę. - Nie wiem czemu. Musicie takiego dostać, jak wstępujecie do straży. Regulamin, znaczy. Pokazuje, że wstąpiliście. - Przez moment był wyraźnie zakłopotany. Odchrząknął. - No to do rzeczy. Kupa kamul... grupa trolli - poprawił się szybko - urządza jakiś marsz ulicą Krótką. Młodszy funkcjonariusz Detrytus... Nie pozwólcie mu salutować! Dobrze. O co tam chodzi?

- Trollowy Nowy Rok - wyjaśnił Detrytus.

- Naprawdę? Musimy to zapamiętać. Mam tu jeszcze zapisane, że banda żwiroja... że odbywa się jakieś zgromadzenie krasnoludów czy coś w tym rodzaju...

- Rocznicą bitwy w dolinie Koom - oznajmił funkcjonariusz Cuddy. - Wielkie zwycięstwo nad trollami. - Wyglądał na zadowolonego z siebie, o ile w ogóle można było coś dostrzec pod gęstą brodą.

- Tak? Ale z zasadzki - burknął Detrytus, spoglądając na niego ponuro.

- Jak to? Przecież to trolle...* [przyp.: Bitwa w dolinie Koom jest jedyną znaną w historii, gdzie obie strony zwabiły przeciwnika w zasadzkę.]
- zaczął Cuddy.

- Cisza! - przerwał im Colon. - Tu stoi... tu stoi, że maszerują... stoi, że maszerują też ulicą Krótką. - Przewrócił kartkę. - Zgadza się?

- Trolle w jedną stronę, a krasnoludy w drugą - domyślił się Marchewa.

- Takiej parady nie wolno przegapić - mruknął Nobby.

- Coś z nią nie tak? - zdziwiła się Angua. Marchewa zamachał rękami.

- Ojej... Będzie strasznie. Musimy coś zrobić.

- Krasnoludy i trolle dogadują się jak drzewo i ogień - wtrącił Nobby. - Byłaś kiedyś w pożarze, panienko?

Czerwona zwykle twarz Golona przybrała barwę bladoróżową. Pospiesznie zapiął pas z mieczem i sięgnął po pałkę.

- Pamiętajcie - powiedział jeszcze. - Zachowajcie szczególną ostrożność.

- Akurat - burknął Nobby. - Szczególna ostrożność byłaby, gdybyśmy się nie ruszali z komendy.

Żeby zrozumieć, dlaczego krasnoludy i trolle tak się nie lubią, należy się cofnąć daleko w mroki historii. Można ich porównać do kredy i sera. To bardzo dobre porównanie -jedno jest organiczne, drugie nie, ale też trochę pachnie serem. Krasnoludy żyją z tego, że rozbijają kamienie zawierające cenne minerały, a oparte na krzemie formy życia, znane jako trolle, to w zasadzie kamienie zawierające cenne minerały. W warunkach naturalnych godziny dnia spędzają w uśpieniu, nieruchomo - a nie tak powinien się zachowywać kamień zawierający cenne minerały, kiedy w pobliżu są

krasróludy. Krasróludy zaś nienawidzą trolli, ponieważ kiedy już się znajdlie interesującą żyłę cennego minerału, nie chciałoby się, żeby kamień nagle wstawiał i wyrwał komuś rękę tylko dlatego, że ten ktoś akurat walnął go kilofem w ucho.

Między krasróludami a trollami trwała permanentna międzygatunkowa wendeta i jak wszystkie porządne wendety nie potrzebowała już żadnych dodatkowych powodów. Wystarczy, że trwała od zawsze. Krasróludy nienawidziły trolli, bo trolle nienawidziły krasróludów. I odwrotnie.

Strażnicy przyczaili się w Zaułku Trzech Lamp, mniej więcej w połowie ulicy Krótkiej. Z dala dobiegały trzaski sztucznych ogni. Krasróludy wystrzeliwały je, żeby odpędzić złe duchy kopalń. Trolle wypuszczały je, bo miały przyjemny smak.

- Nie rozumiem, czemu nie pozwolimy im rozstrzygnąć tego między sobą, a potem aresztować przegranych - odezwał się kapral Nobbs. - Zawsze tak robiliśmy.

- Patrycjusz się denerwuje z powodu rozruchów etnicznych -wyjaśnił smętnie sierżant Colon. - I robi się sarkastyczny.

Wpadła mu do głowy pewna myśl. Uśmiechnął się. - Masz jakiś pomysł, Marchewa?

I zaraz wpadła mu do głowy inna myśl. Marchewa był prostym chłopakiem.

- Kapralu Marchewa!

- Słucham, sierżancie.

- Załatwcie tę sprawę, dobrze?

Marchewa wyrżał zza rogu na zbliżające się ściany trolli i krasróludów. Już widzieli siebie nawzajem.

- Tak jest, sierżancie - powiedział. - Młodzi funkcjonariusze Cuddy i Detrytus... nie salutować! Pójdziecie ze mną.

- Nie możecie go tam posyłać! - wystraszyła się Angua. - To pewna śmierć!

- Ten chłopak ma poczucie obowiązku - stwierdził kapral Nobbs. Wyjął z zapałki niedopałek i zapalił zapałkę o podeszwę buta.

- Nie ma powodu do obaw, panienko - pocieszył Anguę Colon. - On...

- Młodsza funkcjonariusz - poprawiła go.

- Co?

- Młodsza funkcjonariusz - powtórzyła. - Nie „panienka”. Marchewa twierdzi, że kiedy jestem na służbie, seks dla mnie nie istnieje.

- Chodzi mi o to - powiedział szybko Colon przy akompaniamencie nerwowego kaszlu Nobby’ego - że nasz młody Marchewa ma krizmę. Całe mnóstwo.

- Krizmę?

- Mnóstwo.

Kołysanie ustało. Chubby był teraz naprawdę zły. Bardzo, ale to bardzo zły.

Coś zaszeleściło. Kawałek szmaty odsunął się na bok, a za nim, patrząc na Chubby’ego, stał inny smoczy samiec. Wyglądał na rozzłoszczonego. Chubby zareagował w jedyny znany sobie sposób.

Marchewa stanął na środku ulicy i skrzyżował ręce na piersi. Obaj nowi rekruci trzymali się za jego plecami, usiłując obserwować dwa zbliżające się marsze równocześnie.

Colon uważał, że Marchewa jest prostym chłopakiem. Na innych ludziach Marchewa też często robił wrażenie prostego chłopaka. Był nim.

Ludzie jednak mylili się często, uznając, że prosty oznacza głupi.

Marchewa nie był głupi. Był bezpośredni, szczery, uprzejmy i honorowy we wszystkich swych działaniach. W Ankh-Morpork cechy te i tak sprowadzały się do głupoty i dawałyby mu oczekiwaną długość życia meduzy w wielkim piecu - jednak istniały też inne czynniki. Jednym z nich był cios, który nawet trolle nauczyły się szanować. Drugi to fakt, że Marchewa był szczerze, niemal w nadprzyrodzony sposób sympatyczny. Ludzie lubili go, nawet kiedy ich aresztował. I miał wyjątkową pamięć do nazwisk.

Większą część dzieciństwa i młodości przeżył w niewielkiej kolonii krasnoludów, gdzie po prostu brakowało osób, które mogłyby rozpoznawać. Potem nagle znalazł się w wielkim mieście i zdawało się, że jego talent czekał na tę okazję, by się rozwinąć. Wciąż się rozwijał.

Marchewa pomachał serdecznie w stronę nadchodzących krasnoludów.

- Dzień dobry, panie Stospopas! Witam, panie Wręcemocny.

Potem odwrócił się i skinął głową prowadzącemu pochód trollowi. Zabrzmiało stłumione puknięcie, gdy wystrzelił kolejny fajerwerk.

- Dzień dobry, panie Boksyt. Złożył dłonie koło ust.

- Proszę się zatrzymać i posłuchać! - huknął.

Oba pochody rzeczywiście się zatrzymały, z pewnym wahaniem i ogólnym wpadaniem na siebie tych, co szli z tyłu. Mieli do wyboru albo to, albo przejść po Marchewie.

Jeśli Marchewa miał jakąś niewielką wadę, polegała na tym, że kiedy

był skupiony na innych sprawach, nie zwracał uwagi, co dzieje się dookoła. Dlatego umknęła mu rozmowa, prowadzona szeptem za jego plecami.

- Ha! To też była zasadzka! A twoja matka była rudą...

- Moi panowie - zaczął Marchewa spokojnym, przyjaznym tonem. - Jestem przekonany, że nie ma powodów do tak wojowniczej postawy...

- Wy też nas zasadzka! Mój prapradziadek on w dolinie Koom i on mówił!

- ...w naszym pięknym mieście w tak pogodny dzionek - mówił dalej Marchewa. - Muszę poprosić was, dobrzy obywatele Ankh--Morpork...

- Tak? To nawet wiesz, kim był twój ojciec?

- ...abyście, absolutnie nie rezygnując z prawa do świętowania waszych wspaniałych etnicznych tradycji, brali przykład z moich kolegów funkcjonariuszy, którzy zapomnieli o dawnych waśniach...

- Rozbiję ci głowę, ty paskudny krasnolud!

- ...dla dobra naszego...

- Załatwię cię nawet z ręką przywiązaną za plecami!

- ...miasta, któremu służą i którego odznakę...

- To masz okazja! Zwiążę ci dwie ręce za plecy!

- ...noszą z dumą i godnością.

- Aargh!

- Auuu!

Marchewa uświadomił sobie, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Obejrzał się.

Młodszy funkcjonariusz Cuddy odwrócony był nogami do góry, ponieważ młodszy funkcjonariusz Detrytus usiłował obijać bruk jego hełmem, chociaż młodszy funkcjonariusz Cuddy wykorzystywał tę pozycję, ściskając młodszego funkcjonariusza Detrytusa za kolana i próbując wbić zęby w jego kostkę.

Uczestnicy obu marszów przyglądali się im zafascynowani.

- Powinniśmy coś zrobić! - stwierdziła Angua w zaułku, gdzie kryli się strażnicy.

- Boja wiem... - odparł z wolna sierżant Colon. - Takie etniczne historie są zawsze bardzo delikatne.

- Można łatwo pogorszyć sytuację - dodał Nobby. - Strasznie wrażliwi są tacy typowi etnicy.

- Wrażliwi? Przecież oni próbują się pozabijać!

- To kwestia kulturowa - wyjaśnił żałośnie Colon. - Nie możemy przecież narzucać im norm naszej kultury. To byłby gatunkizm.

Na środku ulicy kapral Marchewa poczerwieniał.

- Jeśli tknie któregoś choćby palcem, kiedy wszyscy ich kumple patrzą, wiejemy ile sił - szepnął Nobby.

Żyły wystąpiły Marchewie na karku. Podparł się pod boki.

- Młodszy funkcjonariusz Detrytus! - ryknął. - Zasalutować!

Wiele godzin usiłowali go tego nauczyć. Mózg Detrytusa potrzebował czasu, by przyswoić sobie zasadę, kiedy jednak już tam trafiła, nie zniknęła prędko.

Zasalutował. Ręką pełną krasnoluda.

Zasalutował, trzymając młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego - podnosząc go niczym niewielką, rozzłoszczoną maczugę.

Brzęk uderzających o siebie hełmów odbił się echem od ścian budynków. Po nim nastąpił trzask obu ciał padających na bruk.

Marchewa potrącił ich czubkiem sandała.

Potem odwrócił się i podszedł do krasnoludów. Trząśł się z gniewu.

W zaułku sierżant Colon zaczął z przerażenia ssać brzeg własnego hełmu.

- Macie broń, co? - warknął Marchewa, zwracając się do setki krasnoludów. - Oddajcie ją! Jeśli krasnoludy, które mają broń, nie rzucą jej natychmiast, cała parada, i to naprawdę cała, trafi do aresztu! Nie żartuję!

Krasnoludy w pierwszym szeregu cofnęły się o krok. Tu i tam brzęknęły padające na bruk metalowe narzędzia.

- Całą broń - powiedział groźnie Marchewa. - To dotyczy również ciebie, z tą czarną brodą, co się chowasz za panem Młociskaczem! Widzę pana, panie Wręcemocny! Proszę to odłożyć! Nikogo to nie śmieszy!

- On tam zginie, prawda? - spytała cicho Angua.

- To zabawne - odparł Nobby. - Gdybyśmy to my czegoś takiego spróbowali, już byśmy byli małymi kawałkami mielonki. Ale jemu jakoś się udaje.

- Krizma - stwierdził sierżant Colon, który musiał oprzeć się o mur.

- Chce pan powiedzieć: charyzma? - domyśliła się Angua.

- Jedna z nich. Zgadza się.

- Jak on to robi?

- Nie wiem - mruknął Nobby. - Pewnie to dlatego, że łatwo daje się polubić.

Marchewa zwrócił się do trolli, które uśmiechały się drwiąco, widząc

zakłopotanie krasnoludów.

- A co do was - powiedział - z całą pewnością będę dziś patrolował okolice Alei Kamieniołomów. Na pewno nie zobaczę tam niczego niestosownego, prawda?

Nastąpiło ogólne przestępowanie z jednej wielkiej nogi na drugą i pomrukiwanie.

Marchewa przyłożył dłoń do ucha.

- Nie dosłyszałem...

Pomruk wzniósł się jak toccata rozpisana na setkę niechętnych głosów, podejmujących wspólny temat: „Tak, panie kapralu Marchewo”.

- Doskonale. A teraz rozejść się. I nie chcę już żadnych awantur. Dobre chłopaki.

Marchewa strzepnął pył z rąk i uśmiechnął się do wszystkich. Trolle przyglądały mu się zaskoczone. W teorii powinien już być cienką warstwą mazi na kamieniach, ale jakoś się tak nie stało.

- On właśnie nazwał sto trolli dobrymi chłopakami - szepnęła zdumiona Angua. - Przecież niektóre dopiero co zeszyły z gór! Mech je porasta!

- Najsprytniejsza rzecz na trollu - stwierdził sierżant Colon.

A potem świat eksplodował.

Strażnicy wyszli, zanim kapitan Vimes zdążył wrócić do Pseudopolis Yard. Powlókł się schodami do gabinetu i usiadł na brudnym skórzanym krześle. Patrzył tępo na ścianę.

Chciał przecież odejść ze Straży. Oczywiście, że chciał.

Przecież tego tutaj nie można nazwać życiem. Nie prawdziwym życiem.

Nienormalne godziny pracy. Człowiek z dnia na dzień nie jest pewien, jakie prawo obowiązuje aktualnie w tym pragmatycznym mieście. Żadnego życia rodzinnego. Marne posiłki, zjadane, gdy akurat trafi się wolna chwila - Vimes kilka razy jadł nawet kielbaskę w bułce od Gardło Sobie Podrzynam Dibblera. Zawsze panuje upał albo leje deszcz. Żadnych przyjaciół oprócz innych strażników, bo tylko oni żyli w jego świecie.

Tymczasem on za parę dni przeniesie się, jak to określał sierżant Colon, do luksusów. Całe dni nic do roboty, tylko jeść, jeździć sobie na wielkim koniu i wykrzykiwać rozkazy.

W takich chwilach pamięć przywoływała wspomnienie starego sierżanta Kepple. To on dowodził Strażą Miejską, kiedy Vimes był młodym rekrutem. Wkrótce potem odszedł na emeryturę. Zrobili składkę i kupili mu tani zegarek, jeden z tych, co chodzą przez parę lat, aż demon w środku wyparuje.

Głupi pomysł, myślał ponuro Vimes, wpatrzony w ścianę. Człowiek odchodzi z pracy, oddaje komuś odznakę, klepsydrę i dzwonek, a my co mu dajemy? Zegarek.

Ale i tak przyszedł następnego dnia do pracy - ze swoim nowym zegarkiem. Żeby pokazać młodym, jak wszystko działa - tak powiedział; żeby załatwić parę niedokończonych spraw, cha, cha. Dopilnować, żebyście wy, żółtodzioby, nie narobili sobie kłopotów, cha, cha. Miesiąc później nosił węgiel, zmiatał podłogę, biegał na posyłki i pomagał ludziom pisać raporty. I wciąż przychodził sześć lat później, aż raz ktoś zjawił się wcześniej i znalazł go na podłodze...

Okazało się, że nikt, ale to nikt nie wiedział, gdzie mieszkał, ani nawet czy istniała pani Kepple. Vimes pamiętał, że musieli się zrzucić, by go pochować. Na pogrzeb przyszli tylko strażnicy...

Właściwie, jeśli się zastanowić, to zawsze tylko strażnicy przychodzą na pogrzeb strażnika.

Oczywiście, teraz wszystko wygląda inaczej. Sierżant Colon od lat jest szczęśliwie żonaty - głównie dlatego, że on i żona tak sobie zorganizowali pracę, by spotykać się z rzadka, najczęściej w drzwiach. Ale zostawiała mu w piekarniku solidne posiłki i rzeczywiście coś ich łączyło - mieli nawet wnuki, więc musiały się zdarzać okazje, kiedy nie unikali siebie nawzajem. Młody Marchewa niemal miotłą odpędzał dziewczyny. Nobbs... cóż, pewnie też to jakoś załatwiał. Podobno miał ciało osoby dwudziestopięcioletniej, chociaż nikt nie wiedział, gdzie je trzyma.

Rzecz w tym, że każdy kogoś miał, chociaż w przypadku Nobby'ego prawdopodobnie wbrew woli.

A więc, kapitanie Vimes, o co naprawdę chodzi? Nie zależy ci na niej? Miłością nie warto się przejmować, to ryzykowne określenie u ludzi po czterdziestce. A może zwyczajnie się boisz, że zmienisz się w staruszka, umrzesz w rynsztoku swego życia i zostaniesz pochowany z litości przez bandę młodziaków, którzy znali cię tylko jako starego piernika, co to zawsze kręcił się w pobliżu, chodził po kawę i pączki i można było się z niego pośmiać za plecami?

Tego wolałby uniknąć. I nagle Los podsunął mu rozwiązanie jak z bajki.

Wiedział, oczywiście, że jest bogata. Ale nie oczekiwał wezwania do biura pana Morecombe.

Pan Morecombe był prawnikiem rodziny Ramkin od bardzo dawna. Prawdę mówiąc, od wieków. Był wampirem.

Vimes nie lubił wampirów. Krasnoludy to praworządne małe dranie - kiedy są trzeźwe; nawet trolle są mniej więcej w porządku, byle je mieć na oku. Ale ci wszyscy nieumarli powodowali u niego świerzbienie na karku. Żyj i daj żyć innym - to ładne hasło, ale tkwił w nim pewien haczyk, jeśli człowiek logicznie się zastanowił...

Pan Morecombe był chudy, pomarszczony jak żółw i bardzo blady. Całe wieki trwało, zanim przeszedł do rzeczy, ale kiedy już przeszedł, rzecz wgniotła Vimesa w fotel.

- Ile?!

- Ehm... Nie pomyłę się chyba, mówiąc, że nieruchomości, włączając w to farmy, tereny zabudowy miejskiej i niewielki obszar odrobinę ruchomej nieruchomości w pobliżu uniwersytetu są razem warte w przybliżeniu... siedem milionów dolarów rocznie. Tak. Siedem milionów wedle dzisiejszej wyceny.

- I to wszystko moje?

- Od chwili pańskiego ślubu z lady Sybil. Chociaż w liście instruuje mnie, że ma pan uzyskać dostęp do wszelkich jej aktywów już w tej chwili.

Perłowe, martwe oczy z uwagą obserwowały Vimesa.

- Lady Sybil - rzekł adwokat - jest właścicielką około jednej dziesiątej Ankh, a także sporych terenów w Morpork, plus oczywiście znaczne posiadłości wiejskie w...

- Ale... ale... przecież będą nasze wspólne...

- Lady Sybil udzieliła bardzo szczegółowych instrukcji. Przekazuje cały swój majątek panu jako swojemu małżonkowi. Ma nieco... staroświeckie poglądy.

Morecombe podsunął mu jakiś dokument. Vimes wziął go, rozłożył i spojrzał.

- Gdyby zmarł pan wcześniej niż ona - mówił dalej Morecombe - majątek powróci do niej, wedle prawa małżeńskiego. Lub do owoców związku, naturalnie.

Vimes nawet się nie odezwał. Poczuł tylko, że opada mu szczęka, a niewielkie obszary mózgu stapiają się razem.

- Lady Sybil - tłumaczył prawnik, a jego słowa zdawały się dobiegać z bardzo daleka - choć już nie tak młoda jak kiedyś, cieszy się jednak doskonałym zdrowiem i nie ma powodu...

Całą resztę spotkania Vimes przetrwał w trybie automatycznym. W tej chwili nie potrafił o tym myśleć. Kiedy tylko spróbował, myśli rozbiegały się natychmiast. I jak zawsze, kiedy świat przesadził, odpływały w inne miejsca.

Otworzył dolną szufladę biurka i spojrzał na błyszczącą butelkę Starej Wybornej Whiskey Bearhuggera. Nie był pewien, skąd się tam wzięła. I jakoś nigdy się nie zdecydował, żeby ją wyrzucić.

Zacznij znowu, pomyślał, a nawet nie doczekasz emerytury. Trzymaj się cygar.

Zamknął szufladę, oparł się wygodnie i wyjął z kieszeni na wpół wypalone cygaro.

Zresztą Straż Miejska nie była już taka jak dawniej. Polityka, ot co! Starzy strażnicy, tacy jak Kepple, przewracaliby się w grobach, gdyby wiedzieli, że do straży przyjmują teraz te...

I nagle świat eksplodował.

Podmuch wybił szyby, odłamki uderzyły w ścianę za fotelem Vi-mesa. Jeden skaleczył go w ucho.

Vimes rzucił się na podłogę i wtoczył pod biurko.

Tego już za wiele! Alchemicy wysadzili w powietrze swoją gildię po raz ostatni, jeśli tylko Vimes będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia...

Ale potem wyrzął przez okno i zobaczył kolumnę dymu wznoszącą się za rzeką nad budynkiem Gildii Skrytobójców.

Cała reszta Straży Miejskiej przybiegła od strony Filigranowej w chwili, gdy Vimes dotarł przed bramę gildii. Para czarno ubranych skrytobójców zastąpiła mu drogę uprzejmie, lecz w sposób sugerujący, że nieuprzejmość wciąż pozostaje otwartą opcją. Zza wrót dochodził tupot licznych biegnących stóp.

- Widzicie odznakę? - zapytał Vimes. - Widzicie?

- Mimo wszystko jest to posiadłość gildii - odparł skrytobójca. - Wpuśćcie nas w imieniu prawa! - ryknął Vimes. Skrytobójca uśmiechnął się nerwowo.

- Prawo mówi, że wewnątrz murów gildii obowiązuje prawo gildii.

Vimes zmierzył go wzrokiem. Prawo miasta, jakiegokolwiek by było, kończyło się przed bramami budynków gildii. Gildie miały swoje własne prawa. Gildie posiadały...

Znieruchomiał.

Za jego plecami młodsza funkcjonariusz Angua schyliła się i podniosła z ziemi kawałek szkła.

Potem czubkiem sandała rozgarnęła gruz.

W tej właśnie chwili poczuła na sobie spojrzenie trudnego do opisanie kundla, który przyglądał jej się uważnie spod jakiegoś wózka. Właściwie był całkiem łatwy do opisanie - wyglądał jak cuchnący oddech z wilgotnym nosem.

- Hau, hau - powiedział z wyraźnym znudzeniem. - Hau, hau, hau i jeszcze wark, wark.

Po czym odbiegł i zniknął w bocznym zaułku. Angua rozejrzała się czujnie i ruszyła za nim. Reszta grupy stała nieruchomo za Vimesem, który nagle się uspokoił.

- Sprowadź tu Mistrza Skrytobójców - polecił. - Natychmiast. Młody skrytobójca usiłował uśmiechnąć się drwiąco.

- Pański mundur nie robi na mnie wrażenia - rzekł. Vimes spojrzał na swój powgniatany półpancerz i wytartą kolczugę.

- Masz rację - przyznał. - Nie jest to imponujący mundur. Kapral Marchewa i młodszy funkcjonariusz Detrytus, wystąp.

Skrytobójca dostrzegł nagle, że promienie słońca przesłaniają coś dużego.

- Te za to - odezwał się Vimes gdzieś spoza zaćmienia - to mundury, które mogą wystraszyć.

Skrytobójca wolno pokiwał głową. Nie prosił o tę funkcję. Zwykle przed bramą gildii nie było wartowników. Po co? On osobiście miał ukryte w idealnie skrojonym czarnym kostiumie co najmniej osiemnaście narzędzi służących do zabijania ludzi. Zaczynał jednak uświadamiać sobie, że młodszy funkcjonariusz Detrytus miał po jednym na końcu każdego z ramion. I miał je -jeśli można tak powiedzieć - pod ręką.

- Ja, tego, może... Pójdę po mistrza, dobrze? Marchewa schylił się.

- Dziękujemy za współpracę - powiedział groźnie.

Angua patrzyła na psa. Pies patrzył na nią. Przykucnęła, kiedy pies usiadł i zaczął wściekle drapać się w ucho. Rozejrzała się uważnie, by mieć pewność, że nikt ich nie podgląda, po czym szczeknęła pytająco.

- Nie męcz się - powiedział pies.

- Umiesz mówić?

- Jasne. To akurat nie wymaga specjalnej inteligencji. Podofnie jak rozpoznanie ciebie.

- Po czym poznałeś? - wystraszyła się Angua.

- Po zapachu, dziewczyno. Niczego się nie nauczyłaś? Wyczułem cię o milę stąd. I pomyślałem: Ho, ho, coś jeden z nich robi w straży?

Angua pogroziła mu palcem.

- Jeśli komuś powiesz...

Pies zrobił minę bardziej zbolałą niż zwykle.

- Nikt nie fędzie słuchał.

- Dlaczego nie?

- Fo wszyscy wiedzą, że psy nie umieją mówić. Słyszają mnie, rozumiesz, ale dopóki sytuacja nie jest naprawdę fatalna, wydaje im się, że sami to do siebie myślą. - Westchnął. - Możesz mi zaufać. Wiem, o czym mówię. Czytałem książki. No... Przeżuwałem książki. - Znowu podrapał się w ucho. - Mam wrażenie - rzekł - że możemy sobie nawzajem pomóc.

- W jaki sposób?

- Na przykład mogłabyś mnie postawić na drodze funtowego steku. Taki stek czyni prawdziwe cuda z moją pamięcią. Nagle staje się czysta i wyraźna.

Angua zmarszczyła brwi.

- Ludzie nie lubią słowa „szantaż”.

- To nie jedyne słowo, którego nie lubią. Weź mój przypadek. Cierpię na chroniczną inteligencję. Czy psu to do czegoś potrzebne? Prosiłem o nią? A skąd. Znajduję sobie wygodne miejsce na nocki w fudynku Magii Wysokich Energii na uniwersytecie, ale nikt mnie nie uprzedza o tej wrednej magii, co fez przerwy tam wycieka. I zaraz potem otwieram oczy, w głowie mi szumi jak po dawce soli trzeźwiących, ojoj, myślę, znowu się zaczyna, witaj afstrakcyjna konceptualizacja, rozwoju intelektualny, oto nadchodzi... Ale po demona mi to wszystko? Ostatnim razem, kiedy mnie trafiło,

musiałem ratować świat przed ohydnyimi... jak im tam z Piekielnych Wymiarów. I czy ktoś chociaż powiedział dziękuję? Grzeczny piesek, dajcie mu kość? Cha, cha. - Podniósł wytartą łapę. - Mam na imię Gaspode. Coś takiego zdarza mi się mniej więcej raz na tydzień. Poza tym jestem zwyczajnym psem.

Angua poddała się. Chwyciła wyżartą przez mole łapę i potrząsnęła nią energicznie.

- Mam na imię Angua - powiedziała. - Wiesz, czym jestem.

- Już zapomniałem - zapewnił ją Gaspode.

Kapitan Vimes przyjrzał się gruzom rozrzuconym po dziedzińcu z otworu wybitego w ścianie jednego z pomieszczeń na parterze. Wszystkie okna były powybijane, a na ziemi leżały odłamki szkła. Lustrzanego szkła. Oczywiście wiadomo, że skrytobójcy są próżni, ale lustra powinny wisieć w pokojach, prawda? Skąd się wzięło szkło na dziedzińcu? Podmuch eksplozji wypycha je do środka, nie na zewnątrz.

Zauważył, że młodszy funkcjonariusz Cuddy podnosi kilka krążków z kawałkiem przypalonej na końcu linki.

Wśród gruzu Vimes spostrzegł prostokątny kartonik. Poczuł, że jeżą mu się włoski na grzbietach dłoni.

Poczuł dziwny odór w powietrzu.

Vimes sam pierwszy chętnie by przyznał, że nie jest dobrym gliną, ale mógł sobie zaoszczędzić fatygi, gdyż wiele osób przyznałoby to za niego. Miał w sobie jądro ślepego uporu, które działa na nerwy ważnym ludziom, a ktoś, kto działa na nerwy ważnym ludziom, oczywiście nie może być dobrym gliną. Ale rozwinął w sobie instynkty. Bez nich nie da się przeżyć tylu lat na ulicach. I tak jak cała dżungla zmienia się subtelnie, gdy nadchodzi łowca,

tak i teraz nastąpiła przemiana w jego odczuwaniu miasta.

Coś się tutaj działo, coś niedobrego... I nie całkiem pojmowałem, co to takiego. Zaczął się schylać...

- Co to ma znaczyć?

Vimes wyprostował się. Nie odwracał głowy.

- Sierzancie - zwrócił się do Golona. - Wróćcie na posterunek razem z Nobbym i Detrytusem. Kapral Marchewa i młodszy funkcjonariusz Cuddy zostaną ze mną.

- Taa jest! - Sierżant Colon głośno stuknął obcasami i zasalutował, żeby zdenerwować skrytobójców.

Vimes skinął głową. Dopiero wtedy się odwrócił.

- Och, doktor Cruces - powiedział.

Mistrz skrytobójców był blady ze złości, co tworzyło ładny kontrast z absolutną czernią jego ubioru.

- Nikt was tu nie wzywał! - oznajmił. - Jakim prawem pan tu wtargnął, panie policjancie? I tak sobie pan spaceruje, jakby był pan właścicielem tej posesji?

Vimes znieruchomiał. Serce śpiewało mu z radości. Rozkoszował się tą chwilą. Chciałby zachować ją, włożyć ostrożnie między kartki grubej książki, żeby na starość wyjmować czasem i wspominać.

Sięgnął pod pancerz i wyjął list od prawnika.

- Cóż, jeśli chce pan poznać najbardziej zasadniczy powód - rzekł - to dlatego, że wydaje mi się, iż nim jestem.

Człowieka definiuje to, czego nienawidzi. Istniało wiele rzeczy, których nienawidził kapitan Vimes. Skrytobójcy byli prawie na samym szczycie listy, zaraz za królami i nieumarłymi.

Musiał jednak przyznać, że doktor Cruces opanował się błyskawicznie. Nie wybuchnął złością, kiedy przeczytał list, nie protestował, nie twierdził, że to fałszerstwo. Złożył dokument i oddał go Vimesowi.

- Rozumiem - oświadczył lodowato. - Przynajmniej dożywotnio.

- W samej rzeczy. Czy mógłbym się więc dowiedzieć, co tu zaszło?

Kątem oka widział, że inni starsi skrytobójcy wychodzą na dziedziniec przez dziurę w ścianie budynku. Bardzo uważnie wpatrywali się w gruzowisko.

Doktor Cruces zawahał się na moment.

- Fajerwerki - wyjaśnił.

- Stało się to - tłumaczył Gaspode - że ktoś wsadził smoka do skrzynki tuż przy ścianie na dziedzińcu, potem się schował za posągami i pociągnął za sznurek. A zaraz potem: fęć!

- Bęc?

- Tak. Nasz przyjaciel wskakuje do dziury na parę sekund, rozumiesz, wychodzi, fiegnie dookoła dziedzińca, a potem wszędzie roi się od skrytofójców, a on między nimi. Co mu tam, jeszcze jeden facet w czerni. Nikt nie zauważył, rozumiesz.

- Chcesz powiedzieć, że on ciągle tu jest?

- Skąd mam wiedzieć? Kaptury, płaszcze, wszyscy na czarno...

- A jak to się stało, że to zobaczyłeś?

- W środy wieczorem zawsze zaglądam do Gildii Skrytofójców. Ruszt.
- Gaspode westchnął, widząc brak zrozumienia Anguy. - Co środę kucharz

przygotowuje kolację z rusztu. Nikt nie je kaszanki.

Wystarczy pobiegać koło kuchni, rozumiesz, hau, hau, służyć, służyć, jaki grzeczny piesek, wygląda, jakby rozumiał każde słowo, zofaczmy, co się tu znajdzie dla pieska...

Zawstydził się na moment.

- Duma jest w porządku, ale jedzenie to jedzenie - zakończył.

- Fajerwerki? - powtórzył Vimes.

Doktor Cruces wyglądał jak człowiek, który na wzburzonym morzu zdołał chwycić dryfującą belkę.

- Tak. Fajerwerki. Na Dzień Fundatora. Ktoś przypadkiem upuścił płonącą zapalniczkę i wybuchła cała skrzynka. - Cruces uśmiechnął się nagle. - Mój drogi kapitanie - rzekł, składając dłonie. - Naprawdę szczerze jestem wdzięczny za pańską troskę, jednak...

- Były przechowywane w tamtym pokoju?

- Tak, ale to przecież...

Vimes podszedł do dziury w ścianie i zajrzał do środka. Kilku skrytobójców spojrzało na Crucesa i nonszalancko sięgnęło pod różne części odzieży. Pokręcił głową. Jego ostrożność mogła wynikać z faktu, że Marchewa położył dłoń na rękojeści miecza, ale może i z tego, że skrytobójcy przestrzegali jednak pewnego kodeksu. Zabijanie ludzi bez zapłaty uznawane było za niehonorowe.

- To wygląda jak muzeum - stwierdził Vimes. - Pamiątki gildii, jak się domyślam.

- W samej rzeczy. Różne drobiazgi. Wie pan, jak potrafią gromadzić

się przez lata.

- No tak. Cóż, chyba wszystko jest tu w porządku. Przepraszam, doktorze, że zająłem panu czas. Pójdę już. Mam nadzieję, że nie sprawiłem kłopotu.

- Ależ skąd! Cieszę się, że mogłem pomóc.

Strażników uprzejmie, ale stanowczo poprowadzono w stronę bramy.

- Na pańskim miejscu kazałbym sprzątnąć to szkło - rzucił Vimes, raz jeszcze patrząc na gruz. - Ktoś może sobie zrobić krzywdę, kiedy tyle szkła leży na ziemi. Nie chciałbym, żeby któryś z pańskich ludzi się pokaleczył.

- Zajmiemy się tym natychmiast, kapitanie - obiecał doktor Cruces.

- Dobrze. Dobrze. Bardzo panu dziękuję. - Vimes zatrzymał się jeszcze w bramie i nagle uderzył dłonią o czoło. - Najmocniej przepraszam... pamięć mam ostatnio jak sito... Mówił pan, że co zostało skradzione?

Ani jeden mięsień, ani ścięgno nie drgnęło na twarzy doktora Crucesa.

- Nie powiedziałem, że cokolwiek zostało skradzione, kapitanie.

Vimes przyglądał mu się przez chwilę.

- Rzeczywiście! Przepraszam. Naturalnie, że pan nie powiedział. Proszę wybaczyć, jestem ostatnio przepracowany. Cóż, chyba już pójdę.

Furtka zatrzasnęła mu się przed nosem.

- Dobrze - powiedział.

- Kapitanie, dlaczego... - zaczął Marchewa. Vimes uniósł dłoń.

- No to sprawa załatwiona - oświadczył nieco głośniejszym głosem, niż było to konieczne. - Nie ma się czym przejmować. Wracajmy do Yardu. Gdzie jest młodsza funkcjonariusz... jak jej tam było?

- Tutaj, kapitanie. - Angua wyszła zza rogu.
- Chowałaś się, tak? A to co takiego?
- Hau, hau, pisk, pisk.
- To mały piesek, kapitanie. - Na bogów...

Dźwięk wielkiego, zardzewiałego Dzwonu Inhumacyjnego odbił się echem w korytarzach Gildii Skrytobójców. Czarno odziane postacie pospieszyły ze wszystkich stron, przeciskając się i przepychając, by jak najprędzej dotrzeć na dziedziniec.

Wykładowcy Gildii Skrytobójców zebrali się natychmiast przed drzwiami gabinetu doktora Crucesa. Zastępca mistrza, pan Downey, zastukał delikatnie. - Proszę.

Weszli gęsiego.

Gabinet Crucesa był największym pomieszczeniem w całym budynku. Gościom zawsze wydawało się niewłaściwe, że Gildia Skrytobójców dysponuje tak przestronnymi, doskonale zaprojektowanymi lokalami, bardziej nadającymi się na klub dżentelmenów niż na budynek, gdzie codziennie planuje się czyjś zgon.

Na ścianach wisały barwne widoczki z polowania, choć - kiedy się dobrze przyjrzeć - zwierzyną nie były lisy ani jelenie. Zebrano też sporo miedziorytów, a ostatnio dodano nawet nowomodne ikonogramy. Członkowie gildii siedzieli na nich w rzędach, z uśmiechniętymi twarzami wśród czerni, najmłodszy w pierwszym szeregu, ze skrzyżowanymi nogami, a jeden robił głupią minę* [przyp.: Zawsze jest jeden taki.].

Z boku stał długi mahoniowy stół, przy którym starsi gildii zasiadali na cotygodniowych naradach. Po drugiej stronie była osobista biblioteczka Crucesa i niewielki warsztat. Nad blatem wisała aptekarska szafka,

zbudowana z setek małych szufladek; nazwy na szufladkach zapisano kodem skrytobójców, ale goście spoza gildii i tak byli zwykle dostatecznie zdenerwowani, by nie przyjmować poczęstunków.

Sklepienie podtrzymywały cztery filary z czarnego granitu. Wyrzeźbiono na nich nazwiska słynnych historycznych skrytobójców. Cruces ustawił swoje biurko pomiędzy filarami. Teraz stał obok niego, z twarzą drewnianą jak blat.

- Chcę sprawdzić obecność - oznajmił. - Czy ktoś opuścił gildię?

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Wartownicy na dachach domów przy Filigranowej zapewniają, że nikt nie wchodził ani nie wychodził.

- A kto ich pilnuje?

- Pilnują siebie nawzajem.

- Doskonale. Posłuchajcie uważnie. Trzeba sprzątnąć te gruzy. Jeśli ktokolwiek będzie musiał opuścić teren, ma być pilnowany. A potem przeszukacie gildię od piwnic po stropy. Zrozumiano?

- Czego mamy szukać, doktorze? - zapytał młodszy wykładowca trucizn.

- No... wszystkiego, co jest ukryte. Jeśli znajdziecie cokolwiek i nie będziecie wiedzieć, co to jest, natychmiast wezwiecie członka rady. I niczego nie dotykajcie.

- Ależ doktorze, wiele tu jest ukrytych rzeczy...

- Ta będzie inna. Zrozumiano?

- Nie, panie doktorze.

- To dobrze. I nikomu nie wolno pisać ani słowa tej przeklętej straży. Ty, chłopcze, przynieś mi kapelusz. - Cruces westchnął. - Obawiam się, że muszę powiedzieć o tym patrycjuszowi.

- To pech, panie doktorze.

Kapitan nie odzywał się, dopóki nie minęli Mosiężnego Mostu.

- A teraz, kapralu Marchewa... - rzekł wtedy. - Pamiętacie, zawsze mówiłem, jak ważna jest obserwacja?

- Tak, panie kapitanie. Uważnie wysłuchiwałem pańskich uwag w tej kwestii.

- Co więc zaobserwowaliście?

- Ktoś rozbił lustro. Wszyscy wiedzą, że skrytobójcy lubią lustra. Ale jeśli to muzeum, po co je tam powiesili?

- ...Można?

- Kto to powiedział?!

- Tu na dole, kapitanie. Młodszy funkcjonariusz Cuddy.

- A tak. Słucham.

- Znam się trochę na fajerwerkach, kapitanie. I jest pewien szczególny zapach, który po nich pozostaje. Nie wyczułem go tam. Pachniało czymś innym.

- Dobrze... wywączane, Cuddy.

- Znalazłem też kawałki przypalonej liny i rolki.

- Ja wyczułem smoka - dodał Vimes.

- Jest pan pewien, kapitanie?

- Możecie mi wierzyć.

Vimes skrzywił się. Po spędzeniu pewnego czasu w towarzystwie lady Ramkin człowiek uczył się, jak pachną smoki. A kiedy przy posiłku coś kładło mu łeb na kolanach, milczał, podawał smaczne kąski i miał nadzieję, że temu czemuś się nie odbije.

- W tym pomieszczeniu stała szklana gablota - rzekł. - Rozbita. Ha! Coś zostało skradzione. Na dziedzińcu leżał kartonik, ale ktoś musiał go podnieść, kiedy rozmawiałem z Crucesem. Dałbym sto dolarów, żeby się dowiedzieć, co na nim było napisane.

- Dlaczego, kapitanie? - zdziwił się Marchewa.

- Bo ten drań Cruces nie chce, żebym się dowiedział.

- Wiem, co mogło wybić tę dziurę w murze - wtrąciła Angua.

- Co takiego?

- Wybuchający smok.

Przez chwilę szli w zdumionym milczeniu.

- To możliwe - przyznał Marchewa. - Te małe łobuzy wybuchają od upuszczenia hełmu.

- Smok... - mruknął Vimes. - Skąd pomysł, że to smok, młodsza funkcjonariusz Angua?

Angua zawahała się. „Pies mi mówił” nie było, w jej ocenie, wypowiedzią zwiększającą szansę na szybki awans.

- Kobieca intuicja? - spróbowała.

- Podejrzewam - odparł Vimes - że nie zaryzykujecie intuicyjnego odgadnięcia, co takiego skradziono?

Angua wzruszyła ramionami. Marchewa zauważył, jak interesująco faluje jej klatka piersiowa.

- Coś, co skrytobójcy tam trzymali, żeby móc na to popatrzeć?

- No tak... A zaraz powiecie jeszcze, że ten pies wszystko widział.

- Hau?

Edward d'Eath zaciągnął zasłony, zaryglował drzwi i oparł się o nie plecami. To było takie łatwe! Położył zawiniątko na stole. Było wąskie, długości około czterech stóp.

Rozwinął je ostrożnie i... on... leżał przed nim. Wyglądał całkiem jak na rysunku. Typowe dla tego człowieka: cała strona starannie wykreślonych kuszy, a coś takiego na marginesie, jakby nie miało znaczenia.

Taki prosty! Czemu go ukrywać? Pewnie dlatego że ludzie się bali. Ludzie zawsze boją się rzeczy, dających władzę. Robią się nerwowi.

Edward podniósł go, przez chwilę ważył w dłoni, po czym odkrył, że idealnie pasuje do ramienia i ręki.

„Jesteś mój.”

I to był - mniej więcej - koniec Edwarda d'Eatha. Coś jeszcze istniało przez pewien czas, ale czym było i w jaki sposób myślało, nie do końca mieści się w ludzkich kategoriach rozumienia.

Było już prawie południe. Sierżant Colon zabrał nowych rekrutów na strzelnicę przy Antałku. Vimes poszedł z Marchewą na patrol. Czuł, jak coś w nim się gotuje i przelewa na zewnątrz. Coś łechtało skorodowane, ale wciąż czynne instynkty, próbując zwrócić na siebie uwagę. Musiał być w ruchu. Marchewa mógł najwyżej dotrzymywać mu kroku.

Uczniowie wciąż sprząтали ulice wokół gildii.

- Skrytobójcy w biały dzień - burknął Vimes. - Aż dziwne, że nie rozpadają się w proch.

- To robią wampiry, panie kapitanie - poprawił go Marchewa.

- Ha! Masz rację. Skrytobójcy, licencjonowani złodzieje i przeklęte wampiry! Wiesz, chłopcze, kiedyś to było wspaniałe miasto.

Odruchowo weszli w zwykły rytm kroków... Przechadzali się.

- Kiedy mieliśmy królów, panie kapitanie?

- Królów? Królów? Nie, do licha!

Kilku skrytobójców obejrzało się ze zdziwieniem.

- Coś ci powiem - podjął Vimes. - Monarcha jest władcą absolutnym, tak? Głównym szefem...

- Chyba że jest królową - wtrącił Marchewa.

Vimes spojrzał na niego niepewnie, po czym skinął głową.

- Owszem, albo główną szefetką...

- Nie, to pasuje raczej do młodych kobiet. Królowa jest zwykle starsza. Musiałyby być... szefessą? Nie, to raczej młode księżniczki. Jak by to... Chyba szeferiną.

Vimes przystanął. To chyba coś w atmosferze miasta, pomyślał. Gdyby Stwórca powiedział w Ankh-Morpork: „Niech się stanie światło”, nie

posunąłby się już dalej, bo ludzie zaczęliby pytać: „A jakiego koloru?”.

- Najwyższym władcą, tak? - podsumował, ruszając przed siebie.

- Tak.

- Ale to niesłuszne, rozumiesz? Żeby jeden człowiek miał władzę nad życiem i śmiercią.

- Ale jeśli jest dobrym człowiekiem... - zaczął Marchewa.

- Co? Co?! No dobrze. Przyjmijmy, że jest dobrym człowiekiem. Ale jego zastępca też jest dobrym człowiekiem. Miejmy taką nadzieję. Bo on też jest najwyższym władcą, w imieniu króla. I reszta dworu... też muszą być dobrymi ludźmi. Bo jeśli choć jeden z nich jest człowiekiem złym, w rezultacie rodzi się korupcja i kumoterstwo.

- Patrycjusz jest najwyższym władcą - zauważył Marchewa. Skinął głową przechodzącemu trollowi. - Dzień dobry, panie Karbunkuł.

- Ale nie nosi korony, nie siedzi na tronie i nie tłumaczy ci, że powinien rządzić - wyjaśnił Vimes. - Nienawidzę tego drania. Ale jest uczciwy. Uczciwy jak korkociąg.

- Mimo wszystko dobry człowiek na tronie...

- Tak. A potem co? Królowanie zatruwa ludzkie umysły, mój chłopcze. Porządni ludzie zaczynają kłaniać się i dygać tylko dlatego, że czyjś ojciec był większym morderczym sukinsynem niż ich ojciec. Posłuchaj mnie tylko! Kiedyś pewnie mieliśmy dobrych królów. Ale królowie płodzą innych królów. Krew robi swoje i w końcu dostajesz bandę aroganckich, morderczych sukinsynów! Takich, co to ścinają głowy królowym i co pięć minut walczą ze swoimi kuzynami! To trwało całe wieki! Aż pewnego dnia jakiś człowiek powiedział: „Dosyć już królów!”, powstaliśmy i walczyliśmy z przekłętymi arystokratami, ściągnęliśmy króla z tronu i zawlekliśmy go na plac Sator, a tam odrąbaliśmy mu ten jego paskudny łeb! Dobra robota!

- A niech mnie... - westchnął z podziwem Marchewa. - Kto to był?

- Kto?

- Ten człowiek, który powiedział: „Dosyć już królów”. Ludzie się im przyglądali. Twarz Vimesa, czerwona z gniewu, stała się czerwona z zakłopotania. Jednak odcień nie zmienił się zbytnio.

- Och... Był... był wtedy komendantem Straży Miejskiej - wymamrotał.
- Nazywali go Kamienną Gębą.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- On, tego... nieczęsto występuje w podręcznikach historii - wyjaśnił Vimes. - Czasami musi się zdarzyć wojna domowa, a czasami potem lepiej jest udawać, że nic nie zaszło. Ludzie muszą wykonać jakieś zadanie, a później powinni być zapomniani. To on wznosił topór, rozumiesz. Nikt inny nie chciał tego zrobić. W końcu chodziło o królewską szyję. Królowie są... wyjątkowi. - Niemal wypluł to ostatnie słowo. - Nawet kiedy widzieli już... prywatne pomieszczenia i zebrali... kawałki. Nawet wtedy. Nikt nie chciał oczyścić świata. Ale on chwycił topór, przeklął ich wszystkich i zrobił, co należało.

- Który to był król? - spytał Marchewa.

- Lorenzo Łagodny - odparł z roztargnieniem Vimes.

- Widziałem jego portret w pałacowym muzeum. Gruby staruszek. Otoczony przez gromadę dzieci.

- O tak - zgodził się ostrożnie Vimes. - Bardzo lubił dzieci. Marchewa pomachał ręką parze krasnoludów.

- Nie wiedziałem o tym - stwierdził. - Myślałem, że wybuchła jakaś haniebna rebelia czy coś w tym rodzaju.

Vimes wzruszył ramionami.

- Można to znaleźć w książkach historycznych, jeśli się umie szukać.

- I to był koniec królów w Ankh-Morpork?

- Nie, ocalał jeszcze jeden syn, o ile pamiętam. I paru obłąkanych krewnych. Wgnano ich. To podobno straszny los dla królewskiego rodu. Ja tam nie uważam, żeby był taki straszny.

- A ja chyba tak. Pan przecież lubi to miasto, kapitanie.

- Niby tak. Ale gdybym miał wybierać między wygnaniem a odrąbaniem głowy... to podajcie moją walizkę. Nie, królów pozbyliśmy się na dobre. Ale miasto działało.

- Wciąż działa.

Minęli już Gildię Skrytobójców i szli obok wysokich, ponurych murów Gildii Błaznów stojącej przy sąsiedniej ulicy.

- Nie. Ono tylko toczy się z rozpędu. Popatrz tam. Marchewa posłusznie uniósł głowę.

Przy rogu Broad-Wayu i Alchemików wznosił się znajomy budynek. Miał ozdobną, ale pokrytą brudem fasadę. Dach skolonizowały gargulce.

Wykute nad wejściem motto głosiło pokruszonymi literami:

DESZCZ NI ŚNIEG, NI MROK NOCY NIE PSZESZKODZOM
POŚLAŃCOM W WYPEŁNIENIU OBOWIONZKU.

W lepszych czasach mogło to być prawdą, ale ostatnio ktoś uznał za stosowne przybić do muru załącznik o treści:

ALE LEPIEJ NIE PYTAJ O:

skały

trolle z kijami

wszelkiego typu smoki

panią Cake

wjelkie zielone stwory z zembami

dowolne odmiany czarnych psów z pomarańczowymi brwiami

stada spanieli

mgłę

panią Cake

- Rozumiem - rzekł Marchewa. - Królewska Poczta.

- Urząd Pocztowy - poprawił go Vimes. - Dziadek opowiadał, że kiedyś można było nadać tu list i w ciągu miesiąca docierał na miejsce, bez opóźnienia. Nie trzeba było czekać na przejeżdżającego krasnoluda i mieć nadzieję, że mały drań nie zje przesyłki, zanim... - przerwał nagle. - Tego. Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

- Nic nie szkodzi - zapewnił grzecznie Marchewa.

- Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko krasnoludom. Zawsze powtarzałem, że trzeba by długo szukać, żeby znaleźć lepiej wykwalifikowanych, praworządnych i pracowitych...

- ...małych drani?

- Tak. Nie! Przeszli się dalej.

- Ta pani Cake - zaczął Marchewa. - Z pewnością bardzo stanowcza osoba, prawda?

- Niestety, prawda - zgodził się Vimes.

Coś zgrzytnęło pod wielkim sandałem Marchewy.

- Znowu szkło! - zdziwił się. - Ależ daleko zaleciało.

- Wybuchające smoki! Ta dziewczyna ma wyobraźnię!

- Hau, hau - odezwał się jakiś głos za ich plecami.

- Ten przeklęty pies biegnie za nami - stwierdził Vimes.

- Szczeka na coś na murze - zauważył Marchewa. Gaspode zmierzył ich lodowatym wzrokiem.

- Hau, hau, do demona, pisk, pisk - powiedział. - Jesteście ślepi czy co?

To prawda - zwykli ludzie nie słyszeli, jak Gaspode mówi, ponieważ psy nie mówią. To powszechnie znany fakt. Jest powszechnie znany na poziomie organicznym, jak liczne powszechnie znane fakty, które blokują obserwacje zmysłów. No bo gdyby ludzie chcieli zauważać wszystko, co się dzieje dookoła, nikt by niczego nie robił* [przyp.: To kolejna cecha zwiększająca szansę przetrwania.]. Poza tym prawie wszystkie psy rzeczywiście nie mówią. Te, które potrafią, to jedynie błąd statystyczny i jako taki można je zaniedbać.

Jednak Gaspode odkrył, że na ogół potrafi być słyszalny na poziomie podświadomości. Zaledwie wczoraj ktoś odruchowo kopnął go do rynsztoka i przeszedł kilka kroków, nim nagle pomyślał: Ależ ze mnie drań, prawda?

- Tam coś jest na górze - powiedział Marchewa. - Proszę spojrzeć! Coś niebieskiego wisi na tym gargulcu.

- Hau, hau, hau! Zauważyliście wreszcie!

Vimes stanął na ramionach Marchewy i przesunął dłoń po murze, ale niebieski pasek wciąż był poza zasięgiem.

Gargulec przesunął kamienne oko i spojrzał na niego.

- Można prosić? - zapytał Vimes. - Wisi ci na uchu...

Ze zgrzytem kamienia o kamień gargulec sięgnął łapą i zdjął niepożądany obiekt.

- Dziękuję.

- Nie a o czy óić.

Vimes zsunął się na ziemię.

- Lubi pan gargulce, prawda, kapitanie? - spytał Marchewa, kiedy odeszli kawałek.

- Owszem. To wprowadzie tylko odmiana trolli, ale nie mieszają się w cudze sprawy, rzadko kiedy schodzą poniżej pierwszego piętra i nie popełniają przestępstw, które inni mogą odkryć. Lubię takich.

Obejrzał niebieski pasek.

Była to obroża, a przynajmniej coś, co z obroży zostało po przypaleniu z obu końców. Imię „Chubby” wciąż było czytelne pod sadzą.

- To dranie! - zaklął Vimes. - Rzeczywiście wybuchnęli smoka.

W tym miejscu należy przedstawić najbardziej niebezpiecznego człowieka na świecie.

Nigdy, ale to nigdy nie wyrządził krzywdy żywemu stworzeniu. Owszem, rozciął kilka, ale dopiero kiedy byty martwe* [przyp.: Ponieważ byt wczesną formą uczonego wolnomysliciela i nie wierzył, by ludzie zostali stworzeni przez jakąś boską istotę. Rozcinanie ludzi, gdy jeszcze żyją, było zwykle zajęciem kapłanów; oni myślą, że ludzkość została stworzona przez jakąś boską istotę i chcą bliżej się przyjrzeć Jej dziełu.], i zachwycił się tym, jak wspaniale są poskładane - jak na dzieło niewykwalifikowanej siły

roboczej. Od kilku lat nie wychodził z dużego, przestronnego pomieszczenia, co mu nie przeszkadzało, ponieważ większość czasu spędzał wewnątrz własnego umysłu. Niektórych ludzi bardzo trudno jest uwięzić.

Uważał jednak, że godzina fizycznych ćwiczeń dziennie jest niezbędna dla zdrowego apetytu i prawidłowej pracy jelit. W tej chwili siedział na urządzeniu własnego wynalazku.

Składało się z siodełka nad parą pedałów, które poprzez łańcuch napędzały duże drewniane koło, obecnie uniesione nad podłogą na metalowym stojaku. Drugie, swobodne drewniane koło umieszczone było przed siodełkiem i można było je skręcać czymś w rodzaju poprzecznego rumpla. To dodatkowe koło i rumpel dołączył, żeby po zakończeniu ćwiczeń móc całe urządzenie podprowadzić do ściany, a poza tym dzięki temu zyskiwało miłą dla oka symetrię.

Nazwał je „maszyna-z-kołem-obracanym-pedałami-i-drugim-kołem”.

Lord Vetinari pracował.

Zwykle zamykał się w Podłużnym Gabinetcie albo siedział na swym prostym drewnianym krześle u stóp stopni w pałacu; na szczycie stopni stał bogato zdobiony tron pokryty grubą warstwą kurzu. Był to tron Ankh-Morpork, rzeczywiście zrobiony ze złota. Vetinari nawet nie pomyślał, żeby na nim zasiąść.

Dziś jednak była ładna pogoda, więc postanowił wyjść do ogrodu. Odwiedzający Ankh-Morpork często byli zdziwieni, odkrywając, że obok pałacu patrycjusza leżą bardzo interesujące ogrody.

Patrycjusz osobiście nie przepadał za ogrodami. Ale niektórzy z jego poprzedników je lubili, a Vetinari nigdy niczego nie zmieniał ani nie niszczył, jeśli nie było po temu logicznych powodów. Utrzymywał więc małe zoo, stajnię wyścigową, uznawał nawet, że sanie ogrody są niezwykle

ciekawym zabytkiem, ponieważ w oczywisty sposób tak właśnie było.

Zostały zaprojektowane przez Bezdennie Głupiego Johnsona.

Wielu znakomitych ogrodników i artystów pejzaży przeszło do historii, a potomność pamięta o nich dzięki wspaniałym parkom i ogrodom, stworzonym z niemal boską potęgą i zdolnością przewidywania, niewahającą się przed kopaniem jezior, przesuwaniem wzgórz i sadzeniem lasów po to, by przyszłe pokolenia mogły podziwiać subtelne piękno dzikiej Natury przekształconej ręką Człowieka. Byli wśród nich Uzdolniony Brown, Przewidujący Smith, Intuicja De Vere Slade-Gore...

A w Ankh-Morpork był Bezdennie Głupi Johnson.

Bezdennie Głupi „Może teraz wygląda to trochę nieporządnie, ale proszę przyjść za pięćset lat” Johnson. Bezdennie Głupi „Przecież te plany nie były odwrócone, kiedy je rysowałem” Johnson. Bezdennie Głupi Johnson, który z dwóch tysięcy ton ziemi zbudował sztuczny pagórek przed frontem Quirm Manor, bo „chybabym zwariował, jakbym tak musiał się cały dzień gapić na kupę drzew i góry, a wy nie?”.

Ogrody pałacowe w Ankh-Morpork uznawano za szczytowe osiągnięcie - jeśli tak można określić - jego kariery. Na przykład był w nich malowniczy staw rybny, długi na trzysta łokci, ale - wskutek jednej z tych błahych pomyłek w notacji, będących tak charakterystyczną cechą projektów Bezdennie Głupiego - szeroki na cal. Mieszkał w nim jeden pstrąg i było mu całkiem wygodnie, pod warunkiem że nie próbował zawrócić. Przy stawie zbudowano kiedyś ozdobną fontannę, która - uruchomiona po raz pierwszy - przez pięć minut tylko warczała groźnie, po czym wystrzeliła kamiennego cherubina na tysiąc stóp w górę.

W ogrodzie był też rów graniczny - właściwie rowek, tyle że dość głęboki. Rowek graniczny służył oznaczeniu posiadłości i powstrzymaniu bydła czy nieproszonych biedaków od włóczenia się po trawnikach, w taki sposób jednak, by - w przeciwieństwie do muru granicznego - nie zasłaniać pięknych widoków. Tutaj - zgodnie ze wskazaniem błędnego ołówka Bezdennie Głupiego - został wykopany na głębokość pięćdziesięciu stóp i pochłonął już trzech ogrodników.

Za to labirynt był tak mały, że ludzie gubili się, szukając go po okolicy.

Jednak patrycjusz dosyć lubił ogrody - na swój spokojny sposób. Miał pewne poglądy na temat umysłowości większej części rodzaju ludzkiego i ogrody sprawiały, że uznawał je za w pełni uzasadnione.

Stosy papierów leżały równo na trawie dookoła krzesła. Co jakiś czas urzędnicy uzupełniali je lub wynosili. Byli to różni urzędnicy. Do pałacu spływały wszelkie rodzaje i typy informacji, ale tylko w jednym miejscu zbiegały się razem, całkiem jak pajęczne nici, które łączą się w środku pajęczyny.

Wielu, bardzo wielu władców - dobrych, złych, a bardzo często martwych, z reguły wie, co się działo. Nieliczni potrafią, kosztem ogromnego wysiłku, wiedzieć, co się dzieje. Vetinari oba typy uważał za pozbawione ambicji.

- Słucham, doktorze Cruces - powiedział, nie podnosząc głowy. Skąd on to wie, u diabła? - pomyślał Cruces. Przecież jestem pewien, że nie wywołałem żadnego hałasu...

- Och, Havelock... - zaczął.

- Ma pan mi coś do powiedzenia, doktorze?

- On gdzieś... Gdzieś się zawieruszył.

- Tak. I bez wątpienia pilnie go szukacie. Doskonale. Miłego dnia. Przez cały czas patrycjusz nie odwracał głowy. Nie zadał sobie nawet trudu, by zapytać, co takiego się zawieruszyło. On to wie, do licha, myślał Cruces. Dlaczego nigdy nie można mu powiedzieć czegoś, czego już by nie wiedział?

Vetinari odłożył na jeden ze stosów kartkę papieru i sięgnął po następną.

- Wciąż pan tu jest, doktorze Cruces. - Mogę zapewnić, panie, że...

- Jestem pewien, że pan może. Bez wątpienia. Jest jednak drobny problem, który mnie intryguje.

- Tak, panie?

- Skąd on się wziął w budynku gildii, przez co mógł zostać skradziony? Dano mi do zrozumienia, że go zniszczono. Jestem przekonany, że wydałem rozkazy.

No tak, skrytobójca liczył, że akurat to pytanie nie padnie. Ale patrycjusz był zbyt dobry w tej grze.

- Tego... Uznaliśmy... to znaczy mój poprzednik uznał... że powinien służyć za ostrzeżenie i przykład.

Patrycjusz uniósł głowę i uśmiechnął się promiennie.

- Kapitalne! - stwierdził. - Zawsze głęboko wierzyłem w skuteczność przykładów. Jestem więc przekonany, że potraficie rozwiązać ten problem przy minimalnych komplikacjach.

- Oczywiście, panie - zapewnił posępnie skrytobójca. - Ale... Zaczęło się południe.

Południe w Ankh-Morpork zwykle trwa dłuższą chwilę, gdyż godzina dwunasta ustalana jest przez ogólny konsensus. Zwykle pierwszym dzwonem, który ją wybijał, był ten należący do Gildii Nauczycieli, w odpowiedzi na powszechne modły jej członków. Następnie zegar wodny w świątyni Pomniejszych Bóstw uruchamiał wielki gong z brązu. Czarny dzwon w świątyni Losu uderzał tylko raz, nieoczekiwanie, ale wtedy dźwięczał już srebrny, napędzany pedałami carillon w Gildii Błaznów, a gongi, dzwony i kuranty wszystkich gildii i świątyń kołysały się mocno i trudno było je odróżnić -z wyjątkiem pozbawionego serca, oktironowego dzwonu zwanego Starym Tomem na wieży zegarowej Niewidocznego Uniwersytetu, którego dwanaście odmierzonych ciszy na moment przytłumiło ogólny hałas.

W końcu, o kilka uderzeń za resztą, odzywał się dzwon Gildii Skrytobójców, który zawsze był ostatni.

Ozdobny słoneczny zegar obok patrycjusza brzęknął dwa razy i przewrócił się.

- Coś pan mówił? - zapytał uprzejmie patrycjusz.
- Kapitan Vimes - wyjaśnił Cruces - przejawia zainteresowanie.
- Coś podobnego. Ale to jego praca.
- Doprawdy? Muszę zażądać, by go odwołano.

Słowa przemknęły echem po ogrodzie. Kilka gołębi odfrunęło.

- Zażądać? - powtórzył słodkim głosem patrycjusz. Doktor Cruces cofnął się o krok.

- Jest przecież tylko sługą - tłumaczył rozpaczliwie. - Nie widzę powodu, by miał się zajmować sprawami, które go nie dotyczą.

- Ja sędzę raczej, że jest sługą prawa - oświadczył patrycjusz.

- To zwykły figurant i bezczelny zarozumialec!

- Coś podobnego. Nie doceniałem siły pańskich uczuć, doktorze. Ale skoro pan żąda, natychmiast przywołam go do porządku.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Niech pan mi nie pozwala się zatrzymywać.

Doktor Cruces odszedł w kierunku wskazanym lekkim gestem patrycjusza.

Vetinari pochylił się nad papierami i nawet nie podniósł wzroku, gdy rozległ się daleki, stłumiony krzyk. Sięgnął tylko po mały srebrny dzwonek.

Po chwili przybiegł urzędnik.

- Przynieś drabinę, dobrze, Drumknott? Doktor Cruces wpadł chyba do

rowka granicznego.

Skobel tylnego wejścia do warsztatu krasnoluda Bjorna Młotokuja uniósł się, zgrzytnęły drzwi. Krasnolud wyszedł sprawdzić, czy nikogo nie ma, i zadrżał. Zamknął drzwi.

- Chłodny wiatr - stwierdził, zwracając się do drugiego obecnego w warsztacie. - Ale można sobie z tym poradzić.

Sklepienie warsztatu znajdowało się zaledwie pięć stóp nad podłogą. To dostatecznie wysoko dla krasnoluda.

AU, odezwał się głos, którego nikt nie usłyszał.

Młotokuj spojrział na przedmiot zamocowany w imadle i sięgnął po śrubokręt.

AU.

- Zadziwiające - stwierdził. - Wydaje mi się, że poruszanie tej rury wzdłuż lufy zmusza te, hm, sześć komór do przesunięcia i podania nowej do, hm, otworu odpalającego. To dość oczywiste. Mechanizm spustowy to właściwie zwykłe pudełko z hubką i krzesiwo. Sprężyna... o tutaj... całkiem przerdzewiała. Łatwo ją wymienić. Wiesz - powiedział, unosząc głowę - to bardzo interesujące urządzenie. Razem z tymi alchemikaliami w rurkach i całą resztą. Taki prosty pomysł... To jakiś klaunowski aparat? Jakaś mechaniczna sztuczka?

Pogrzebał w wiadrze metalowych ścinków, znalazł kawałek stali i wybrał pilnik.

- Potem chciałbym zrobić parę szkiców - powiedział. Trzydzieści sekund później zabrzmiał huk i wzniósł się obłok dymu.

Bjorn Młotokuj podniósł się i potrząsnął głową.

- Mieliśmy szczęście - stwierdził. - Mógł się zdarzyć paskudny wypadek.

Spróbował dłonią odpędzić dym, po czym znów sięgnął po pilnik.

Dłoń przeszła mu przez narzędzie.

EHM.

Bjorn spróbował jeszcze raz.

Pilnik był niematerialny jak dym.

- Co jest...

EHM.

Właściciel dziwnego urządzenia wpatrywał się przerażony w coś leżącego na podłodze. Bjorn spojrzał także.

- Ojej... - powiedział. Zrozumienie, unoszące się na obrzeżach świadomości, wreszcie zajaśniało pełnym blaskiem. Tak to już jest ze śmiercią. Kiedy się komuś przytrafi, on sam zwykle dowiaduje się o tym pierwszy.

Gość porwał urządzenie z pulpitu i wcisnął je do worka. Rozejrzał się nerwowo, uniósł zwłoki pana Młotokuja i przez tylne drzwi powlókł w stronę rzeki.

Rozległo się ciche pluśnięcie, a przynajmniej odgłos tak bliski pluśnięcia, jak to tylko możliwe w Ankh.

- Niedobrze - westchnął Bjorn. - Przecież nie umiem pływać.

TO, OCZYWIŚCIE, NIE SPRAWI ŻADNYCH KŁOPOTÓW, zapewnił go Śmierć.

Bjorn spojrzał na niego.

- Jesteś niższy, niż sobie wyobrażałem.

JA KŁĘCZĘ, PANIE MŁOTOKUJ.

- To paskudztwo mnie zabiło!

TAK.

- Pierwszy raz mnie coś takiego spotkało.

JAK WSZYSTKICH. ALE NIE OSTATNI, JAK PRZYPUSZCZAM.

Śmierć wyprostował się. Stuknęły stawy kolanowe. Nie zaczepiał już czaszką o sufit - nie było sufitu. Pomieszczenie rozwiewało się z wolna.

Istnieją bogowie krasnoludów. Krasnoludy nie są osobnikami z natury religijnymi, ale w świecie, gdzie kopalniane stemple mogą pęknąć bez najmniejszego ostrzeżenia, gdzie nagle może wybuchnąć metan, bogowie są potrzebni jako rodzaj nadprzyrodzonego odpowiednika kasku ochronnego. Poza tym, kiedy ktoś uderzy się w palec ośmiofuntowym młotem, przyjemnie jest rzucić jakieś bluźnierstwo. Tylko wyjątkowy ateista o bardzo zdecydowanych poglądach potrafi w takiej sytuacji podskakiwać, wsuwając dłoń pod pachę, i krzyczyć: „A niech to przypadkowe fluktuacje w kontinuum czasoprzestrzennym!”, albo „Aargh, prymitywna i przestarzała koncepcja na krzyżu!”.

Bjorn nie marnował czasu na pytania. Wiele spraw staje się bardziej pilnych, kiedy się już zginie.

- Wierzę w reinkarnację - oznajmił. WIEM.

- Starłem się żyć przyzwoicie. Czy to pomoże?

NIE JA O TYM DECYDUJĘ. Śmierć odchrząknął. OCZYWIŚCIE, SKORO PAN WIERZY W REINKARNACJĘ, PANIE MŁOTOKUJ... BĘDZIE PAN JAK NA NOWO WYKUTY.

Odczekał chwilę.

- Tak, to prawda - przyznał Bjorn.

Krasnoludy znane są ze swego poczucia humoru... w pewnym sensie. Ludzie wskazują ich palcami i mówią: „Te małe dranie nie mają poczucia humoru”.

HM... CZYW MOJEJ WYPOWIEDZI BYŁO COŚ ZABAWNEGO?

- No... Nie, raczej nie. Nie zauważyłem.

TO TAKA GRA SŁÓW. NA NOWO WYKUTY. MŁOTEM. MŁOTOKUJ.

- I co?

NIE ZROZUMIAŁ PAN?

- Niestety.

CÓŻ...

- Przykro mi.

ZASUGEROWANO MI, ŻE POWINIENEM ZADBAĆ, BY PRZY TAKICH OKAZJACH NIECO POPRAWIĆ NASTRÓJ.

- Wykuty?

TAK.

- Pomyślę nad tym.

DZIĘKUJĘ.

- No dobra - rzekł sierżant Colon. - Rekruci, to jest wasza pałka

służbowa. - Przerwał na chwilę, sięgając pamięcią do czasów służby wojskowej. - Będziecie o nią dbać. Będziecie z nią spać, z nią jeść...

- Przepraszam.

- Kto to powiedział?

- Tu, na dole. Młodszy funkcjonariusz Cuddy. - Słucham, rekrucie.

- Jak mamy nią jeść, sierżancie?

Rozpędzona machina wymowy sierżanta Golona wyhamowała nagle. Miał swoje podejrzenia co do młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego. Podejrzał mianowicie, że młodszy funkcjonariusz Cuddy jest wichrzycielem.

- Co?

- No, czy mamy jej używać jako noża, widelca, czy może przeciąć na pół, żeby dostać pałeczki? Czy jak?

- O czym ty gadasz?

- Przepraszam, sierżancie.

- O co jeszcze chodzi, młodsza funkcjonariusz Angua?

- Jak dokładnie mamy z nią spać?

- No więc... chodziło mi o to, że... Kapral Nobbs, w tej chwili przestańcie chichotać!

Colon poprawił półpancerz i zdecydował, by zmienić temat dyskusji.

- Tutaj widzicie kukłę, manekina czy też sylwetkę - rzekł, wskazując mniej więcej humanoidalny kształt wykonany ze skóry wypchanej sianem i osadzony na paliku. - Znany pod imieniem Artura, do użytku przy ćwiczeniach z bronią. Młodsza funkcjonariusz Angua, wystąp. Powiedzcie no, młodsza funkcjonariusz, czy bylibyście w stanie zabić człowieka?

- A jak długo mogę próbować?

Nastąpiła przerwa w ćwiczeniach, podczas której podnosili z ziemi kaprała Nobbsa i klepali go po plecach, dopóki się nie uspokoił.

- Wracamy do zajęć! - zawołał w końcu Colon. - Macie teraz chwycić swoją pałkę o tak, na raz podejść szybko do Artura i na dwa stuknąć go w głowę. Raz... dwa...

Pałka odbiła się od Arturowego hełmu.

- Bardzo dobrze, zjedna poprawkę. Ktoś wie, o co mi chodzi?

Pokręcili głowami.

- Od tyłu - wyjaśnił sierżant. - Uderzacie ich od tyłu. Po co narażać się na kłopoty, prawda? Teraz wy, młodszy funkcjonariusz Cuddy.

- Ale sierżancie...

- Wykonać! Patrzyli.

- Może przynieść mu stołek? - zaproponowała Angua po krępujących piętnastu sekundach.

Detrytus parsknął.

- On za mały, żeby strażnik - powiedział.

Młodszy funkcjonariusz Cuddy przestał podskakiwać.

- Przepraszam, sierżancie - wysapał. - Krasnoludy robią to inaczej.

- Ale strażnicy robią to właśnie tak - odparł Colon. - Teraz młodszy funkcjonariusz Detrytus... nie salutować... Wy spróbujcie.

Detrytus chwycił pałkę między coś, co technicznie było jego kciukiem i palcem wskazującym, po czym uderzył Artura w hełm. Spojrzał w zadumie na ułamek pałki. Potem zacisnął swoją - z braku lepszego określenia - pięść i

walił Artura w to, co było głową, do chwili kiedy wbił palik na trzy stopy w ziemię.

- Teraz krasnolud, on spróbuje - rzekł.

Na kolejne pięć sekund zapadło pełne zakłopotania milczenie. Sierżant Colon odchrząknął.

- No tak. Możemy go chyba uznać za dokładnie zatrzymanego - stwierdził. - Kapralu Nobbs, proszę zanotować: młodszego funkcjonariusza Detrytusa... nie salutować... obciążyć sumą jednego dolara za stratę pałki. Poza tym po wszystkim macie jeszcze mieć możliwość zadawania im pytań.

Zerknął na szczątki Artura.

- Myślę, że pora już zademonstrować wam trudną sztukę łucznictwa.

Lady Sybil Ramkin spoglądała na smętny skórzany pasek, który był wszystkim, co pozostało po nieszczęsnym Chubbym. - Kto mógł zrobić coś takiego biednemu smokowi? - zapytała.

- Staramy się to odkryć - zapewnił Vimes. - Sądzymy... Sądzymy, że został może przywiązany do muru i wtedy wybuchł.

Marchewa przechylił się nad ścianą zagrody.

- Kuci-kuci-kuu - powiedział. Przyjazny ogień spalił mu brwi.

- Przecież był oswojony i spokojny - ciągnęła lady Ramkin. - Muchy by nie skrzywdził.

- Jak można spowodować wybuch smoka? - zapytał Vimes. - Można na przykład go kopnąć?

- Na pewno - przyznała Sybil. - Tyle że wtedy stracisz nogę.

- Więc to nie to. Jakiś inny sposób? Tak żeby samemu nie ucierpieć?

- Właściwie nie. Już łatwiej go skłonić, żeby sam eksplodował. Naprawdę, Sam, nie lubię mówić o...

- Muszę to wiedzieć.

- Cóż... O tej porze roku samce walczą ze sobą nawzajem. Próbuja wydać się jak największe, rozumiesz. Dlatego zawsze staram się trzymać je osobno.

Vimes pokręcił głową.

- Tam był tylko jeden smok - przypomniał.

Za nimi Marchewa pochylił się nad następną zagrodą, gdzie gruszkowaty smoczy samiec otworzył jedno oko i spojrzał na niego leniwie.

- Grzeczny smoczek - wymruczał Marchewa. - Czekał, mam gdzieś kawałek węgla...

Smok otworzył drugie oko, zamrugał i nagle rozbudził się całkowicie. Skoczył na tylne łapy. Uszy spłaszczyły się, nozdrza rozszerzyły, skrzydła rozwinęły na pełną rozpiętość. Nabrał tchu. Z żołądka dobiegł bulgot płynących kwasów, gdy otworzyły się śluzy i zawory. Stopy oderwały się od ziemi, pierś wypięła...

Vimes skoczył, trafił Marchewę na wysokości pasa i powalił na ziemię.

Smok w zagrodzie zamrugał. Wróg zniknął tajemniczo... Przestraszył się!

Zwierzę uspokoiło się, wypuszczając z paszczy strugę ognia.

Vimes przestał osłaniać głowę i przetoczył się na bok.

- Dlaczego pan to zrobił, kapitanie? - zdziwił się Marchewa. - Przecież nie...

- On atakował smoka! - zawołał Vimes. - Takiego, który by się nie cofnął!

Podniósł się na kolana i stuknął w pancerz Marchewy.

- Idealnie wypolerowałeś tę zbroję. Mógłbym się w niej przejrzeć. I wszystko inne też.

- No tak, oczywiście, o tym nie pomyślałam - przyznała lady Sybil. - Wszyscy wiedzą, że trzeba trzymać smoki z dala od luster.

- Lustra - powtórzył Marchewa. - Zaraz, przecież odłamki...

- Tak - zgodził się Vimes. - Pokazał Chubby'emu lustro.

- I biedaczysko próbował wydać się większy, niż był naprawdę - domyślił się Marchewa.

- Mamy tu do czynienia ze zboczonym umysłem - oznajmił Vimes.

- Nie! Naprawdę pan tak myśli?

- Tak.

- Ale... Nie... To niemożliwe. Przecież Nobby był z nami przez cały czas.

- Nie z Nobbym - rzucił niechętnie Vimes. - Cokolwiek mógłby zrobić ze smokiem, wątpię, czy skłoniłby go do wybuchu. Mój chłopcze, na tym świecie zdarzają się ludzie jeszcze dziwniejsi od kaprała Nobbsa.

Twarz Marchewy zastygła powoli w wyrazie zdumienia i grozy.

- Niesamowite - szepnął.

Sierżant Colon rozejrzał się po strzelnicy. Potem zdjął hełm i otarł czoło. - Myślę, że młodsza funkcjonariusz Angua powinna zrezygnować z ćwiczeń, dopóki się nie nauczy, jak usuwać z drogi... siebie.

- Przepraszam, sierżancie.

Podeszli do Detrytusa, który stał zakłopotany obok stosu połamanych łuków. Kusze nie wchodziły w grę - w jego masywnych dłoniach wyglądały jak spinki do włosów. W teorii powinien ze śmiertelną skutecznością używać długiego łuku - gdy tylko nauczy się, kiedy przerwać naciąganie cięciwy.

Detrytus wzruszył ramionami.

- Przepraszam pana - rzekł. - Łuki to nie broń trolli.

- Ha! - burknął niechętnie Colon. - A co do was, młodszy funkcjonariuszu Cuddy...

- Jakoś nie mogę załapać tego numeru z celowaniem, sierżancie.

- Myślałem, że krasnoludy są znane ze swych talentów bojowych.

- Tak, ale... nie tych talentów.

- Z zasadzek - mruknął Detrytus.

A ponieważ był trollem, jego pomruk odbił się echem od dalekich budynków. Cuddy zjeżył brodę.

- Ty kłamliwy trollu, niech tylko...

- Spokój! - zawołał szybko Colon. - Chyba na tym zakończymy szkolenie. Będziecie musieli, no... doksztalcać się po drodze. Jasne?

Westchnął. Nie był człowiekiem okrutnym, ale przez całe życie służył albo jako żołnierz, albo strażnik. Teraz czuł się wykorzystywany. W przeciwnym razie nie powiedziałby tego, co właśnie powiedział.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Kłóćcie się między sobą, łamiecie

własną broń... Znaczy, kogo właściwie chcemy tu oszukiwać? Już prawie południe, weźcie sobie parę godzin wolnego, zobaczymy się wieczorem. Jeśli uważacie, że warto zjawiać się na posterunku.

Coś brzęknęło - to kusza Cuddy'ego wystrzeliła mu w rękę. Bełt świsnął koło ucha kaprała Nobbsa i wylądował w rzece, gdzie utknął.

- Przepraszam - powiedział Cuddy.

- Tsk, tsk... - rzucił Colon.

To było najgorsze. Lepiej, gdyby krasnoludowi nawymyślał. Gdyby uznał, że Cuddy wart jest przekleństwa.

Odwrócił się i odszedł w stronę Pseudopolis Yard. Usłyszeli, jak mruczy coś pod nosem.

- Co powiedział? - zainteresował się Detrytus.

- Ładnych chłopów mi dali - odparła Angua i zaczerwieniła się.

Cuddy splunął na ziemię, co nie trwało długo z powodu jej niewielkiego oddalenia. Potem sięgnął pod płaszcz i wydobył - niczym iluzjonista wyjmujący królika rozmiaru 10 z kapelusza rozmiaru 5 - swój obosieczny topór bojowy. I ruszył biegiem.

Nim dotarł do swego dziewiczego celu, mknął już jak błyskawica. Świsnęło i manekin eksplodował niczym atomowy stos siana.

Pozostała dwójka podeszła wolniej, by obejrzeć efekty. Niewielkie strzępki wolno opadały na ziemię.

- Tak, niby w porządku - przyznała Angua. - Ale mówił przecież, że potem mamy mieć możliwość zadawania im pytań.

- Ale nie mówił, że mają być w stanie odpowiadać - zauważył ponuro Cuddy.

- Młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego obciążyć sumą jednego dolara

za stratę celu - powiedział Detrytus, który miał już jedenaście dolarów długu za łuki.

- Jeśli warto się zjawiać! - Cuddy znowu ukrył gdzieś topór. - Gatunkista!

- Na pewno nie miał nic złego na myśli - uspokajała go Angua.

- Dobrze ci mówić, tobie to nie przeszkadza - burknął Cuddy.

- Dlaczego?

- Bo ty chłop - wyjaśnił Detrytus.

Angua była dostatecznie inteligentna, żeby przemyśleć ten zarzut, zanim odpowie.

- Raczej chłopka - poprawiła.

- Na jedno wychodzi.

- Tylko w sensie ogólnym. Chodźcie, napijemy się czegoś. Ulotne poczucie wspólnoty wobec przeciwności losu minęło.

- Pić z trollem?

- Pić z krasnoludem?

- No dobrze - przerwała im Angua. - A może tak ty i ty pójdziecie się napić ze mną?

Zdjęła hełm i potrząsnęła włosami. Żeńskie trolle nie mają włosów, choć te, którym dopisze szczęście, hodują czasem na głowach delikatny mech. Natomiast kobiety krasnoludów liczą raczej na komplementy związane z jedwabistością brody, nie fryzury. Ale całkiem możliwe, że widok Angui wykrzeszał drobne isierki jakiejś wspólnej, kosmicznej samczości.

- Właściwie nie zdążyłam się jeszcze rozejrzeć - powiedziała. - Ale widziałam sensowne miejsce przy Błyskotnej.

To oznaczało, że muszą przejść na drugą stronę rzeki. I przynajmniej dwójka z nich starała się wyrzucić na przechodniach wrażenie, że nie idą razem z przynajmniej jednym z pozostałej dwójki. To z kolei znaczyło, że rozglądali się z desperacką nonszalancją.

Co doprowadziło do tego, że Cuddy zauważył krasnoluda w wodzie.

Jeśli można to nazwać wodą.

Jeśli nadal można go nazwać krasnoludem.

Spojrżeli w dół.

- Wiecie - zauważył po chwili Detrytus - on wygląda jak ten krasnolud, co robi broń przy Szronowej.

- Bjorn Młotokuj? - odpowiedział Cuddy.

- On. Tak.

- To rzeczywiście trochę go przypomina - zgodził się Cuddy, wciąż lodowatym tonem. - Ale niezupełnie.

- O co ci chodzi? - nie zrozumiała Angua.

- O to, że pan Młotokuj nie miał takiej strasznie wielkiej dziury w miejscu, gdzie normalnie jest pierś.

Czy on w ogóle śpi? - zastanawiał się Vimes. Czy ten przekłety typ kiedyś kładzie głowę na poduszce? Czy jest gdzieś pokój, w którym na drzwiach wisi czarny szlafrok? Zastukał do drzwi Podłużnego Gabinetu.

- Witam, kapitanie - rzucił patrycjusz, unosząc głowę znad papierów. - Jest pan niezwykle szybki.

- Szybki?

- Dostał pan moją wiadomość?

- Nie. Byłem... zajęty.

- Doprawdy? A cóż pana zajmowało?

- Ktoś zabił pana Młotokuja. Gruba ryba wśród krasnoludów. Został... zastrzelony, chyba z jakiejś maszyny oblężniczej, i wrzucony do rzeki. Właśnie go wyłowiliśmy. Szedłem zawiadomić jego żonę. Mieszka gdzieś przy Melasy. I wtedy pomyślałem, że skoro już przechodzę...

- To bardzo nieszczęśliwy wypadek - zauważył patrycjusz.

- Dla pana Młotokuja z całą pewnością. Patrycjusz oparł się wygodnie i spojrzał na Vimesa.

- Niech pan opowie - rzekł - jak został zabity.

- Nie wiem. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Miał w piersi taką wielką dziurę... Ale dowiem się, co to było.

- Hm... Czy wspominałem, że dziś rano odwiedził mnie doktor Cruces?

- Nie, sir.

- Był niezwykle... zatroskany.

- Tak jest.

- Myślę, że go pan zirytował.

- Tak, sir?

Zdawało się, że patrycjusz podjął decyzję. Przysunął krzesło do biurka.

- Kapitanie Vimes...

- Tak jest?

- Wiem, że pojutrze przechodzi pan w stan spoczynku, a więc czuje się pan odrobinę... podekscytowany. Ale dopóki pozostaje pan kapitanem Nocnej Straży, chciałbym, żeby przestrzegał pan dwóch bardzo konkretnych instrukcji...

- Tak jest.

- Przerwie pan wszelkie dochodzenia w sprawie tej kradzieży w Gildii Skrytobójców. Rozumie pan? To wewnętrzna sprawa gildii.

- Sir... - Vimes starał się zachować nieruchomą twarz.

- Chcę wierzyć, że niedopowiedziane słowo w tej uwadze brzmiało „tak”, kapitanie.

- Sir.

- I w tej również. A co do nieszczęsnego pana Młotokuja... Ciało zostało odkryte niedawno?

- Tak, sir.

- A więc nie leży w zakresie pańskiej jurysdykcji.

- Co? Sir?

- Zajmie się tym dzienna zmiana.

- Przecież nigdy nie dbaliśmy o te ograniczenia „poza godzinami dnia”!

- Mimo to, w obecnych okolicznościach, polecę kapitanowi Quirke, by przejął dochodzenie. Jeśli okaże się ono konieczne.

Jeśli okaże się konieczne, myślał Vimes. Jeśli ludzie nie kończą z dziurą na połowę piersi całkiem przypadkiem. Może od uderzenia meteoru?

Odetchnął głęboko, pochylił się i oparł dłonie na biurku patrycjusza.

- Majonez Quirke nie potrafiłby znaleźć własnego tyłka, nawet gdyby mu dać atlas. I nie ma pojęcia, jak rozmawiać z krasnoludami. Nazywa ich żwirojadami! To moi ludzie znaleźli ciało. I podpada pod moją jurysdykcję!

Patrycjusz zerknął na dłonie Vimesa.

Vimes zdjął je z biurka, jakby blat nagle rozpalił się do czerwoności.

- Nocna Straż. Tym właśnie pan jest, kapitanie. Pańskie obowiązki dotyczą godzin ciemności.

- Tutaj chodzi o krasnoludy! Jeśli nie załatwimy tego jak trzeba, wezmą sprawiedliwość we własne ręce! A to zwykle oznacza odrąbanie łba najbliższemu trollowi! I do tego chce pan posłać Quirke'a?

- Wydałem panu rozkaz, kapitanie.

- Ale...

- Może pan odejść. - Nie można...

- Powiedziałem: może pan odejść, kapitanie Vimes!

- Sir...

Vimes zasalutował, po czym odwrócił się i wymaszerował z gabinetu. Zamknął drzwi ostrożnie, tak że ledwie stuknęły.

Patrycjusz słyszał, jak huknął pięścią o ścianę w korytarzu. Vimes nie zdawał sobie z tego sprawy, ale ściany przed Podłużnym Gabinetem znaczyło kilka ledwie widocznych wgnieceń; ich głębokość odpowiadała jego stanowi emocjonalnemu w danej chwili.

Sądząc po odgłosie, do tego trzeba będzie wezwać tynkarza.

Lord Vetinari pozwolił sobie na lekki, pozbawiony wesołości uśmiezek.

Miasto działało. Było samoczynnie regulowanym zespołem gildii

połączonych żelaznymi prawami wzajemnych korzyści - i działało. Na ogół. Zwykle. Normalnie.

Na pewno nie potrzebowało jakiegoś strażnika, który kręciłby się i budził niepokój, niczym spuszczone z uwięzi... spuszczone... spuszczone katapulta oblężnicza.

Normalnie.

Wyglądało na to, że Vimes osiągnął odpowiedni stan emocjonalny. Przy odrobinie szczęścia rozkazy powinny doprowadzić do pożądanego skutku.

W każdym dużym mieście jest taki bar. Bar, gdzie piją gliny. Strażnicy po służbie rzadko zaglądali do przyjemniejszych lokali - zbyt łatwo było tam zobaczyć coś, co znowu posłałoby ich na służbę* [przyp.: Samobójstwo na przykład. Morderstwo w Ankh-Morpork zdarzało się raczej rzadko, ale było wiele samobójstw. Zapuszczać się nocą w zaułki na Mrokach to samobójstwo. Poprosić o małego drinka w barze dla krasnoludów to samobójstwo. Powiedzieć „Masz kamienie we łbie” do trolla to samobójstwo. Łatwo jest popełnić samobójstwo w Ankh-Morpork, jeśli się nie uważa.]. Dlatego zwykle chodzili Pod Kubeł przy Błyskotnej. Tawerna była mała, niska, a obecność strażników miejskich zniechęcała innych gości, ale pan Cheese, właściciel, nie przejmował się tym specjalnie. Nikt nie pije tak jak gliniarz, który za dużo widział, żeby zostać trzeźwy.

Marchewa przeliczył monety na ladzie.

- To będą trzy piwa, jedno mleko, jedna płynna siarka z koką i kwasem fosforowym...

- I parasolką - uzupełnił Detrytus.

- ...i Powolne Swobodne Podwójne Entendre z lemoniadą.

- I sałatką owocową w środku - dodał Nobby.

- Hau?

- I trochę piwa w miseczce - zamówiła Angua.

- Ten piesek wyraźnie cię polubił - zauważył Marchewa.

- Rzeczywiście. Nie mam pojęcia dlaczego. Drinki stanęły na barze. Popatrzyli na nie. Wypili.

Pan Cheese, który znał gliny, bez słowa napełnił szklanki i izolowany kubek Detrytusa.

Popatrzyli na swoje drinki. Wypili swoje drinki.

- Wiecie? - odezwał się po chwili Colon. - Złości mnie, ale naprawdę złości, że tak cisnęli go do wody. Znaczący, nawet nie obciążyli kamieniami. Zwyczajnie go wyrzucili. Jakby nie miało znaczenia, czy ktoś go znajdzie. Wiecie, o co mi chodzi?

- Mnie bardziej złości - wtrącił Cuddy - że to był krasnolud.

- A mnie, że ktoś go zamordował - odparł Marchewa.

Pan Cheese znów przeszedł wzdłuż baru. Popatrzyli na swoje drinki. Wypili swoje drinki.

Wbrew wszelkim sugestiom morderstwo nie było w Ankh-Morpork częstym zjawiskiem. Jak już wspomniano, istniało wiele sposobów mimowolnego popełnienia samobójstwa. W sobotnie noce zdarzały się też awantury domowe, kiedy ludzie szukali tańszej alternatywy rozwodu. To wszystko się działo, ale tam przynajmniej był jakiś logiczny powód, choćby i całkiem nielogiczny.

- Wielki człowiek wśród krasnoludów ten Młotokuj - stwierdził Marchewa. - I dobry obywatel. Nie z tych, co to ciągle robią problemy, jak pan Wręcemocny.

- Ma warsztat przy Szronowej - przypomniał Nobby.

- Miał - poprawił go sierżant Colon. Popatrzeli na swoje drinki. Wypili swoje drinki.

- A ja bym chciała się dowiedzieć czegoś innego - odezwała się Angua.
- Co wybiło w nim taką dziurę?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - przyznał Colon.

- Chyba ktoś powinien iść i zawiadomić panią Młotokujową - zauważyła Angua.

- Kapitan Vimes się tym zajął - rzeki Marchewa. - Powiedział, że nikogo nie mógłby o to prosić.

- Lepiej on niż ja - zgodził się z powagą Colon. - Nie poszedłbym tam nawet za skarby świata. Te małe dranie potrafią być straszne, kiedy się rozzłoszczą.

Wszyscy ponuro pokiwali głowami, łącznie z małym draniem i większym małym draniem przez adopcję.

Popatrzeli na swoje drinki. Wypili swoje drinki.

- Nie powinniśmy szukać tego, kto to zrobił? - zapytała znowu Angua.

- Po co? - zdziwił się Nobby.

Raz czy dwa otworzyła i zamknęła usta, nim wreszcie odpowiedziała:

- Bo mógłby spróbować jeszcze raz.

- To nie było skrytobójstwo, prawda? - upewnił się Cuddy.

- Nie - zgodził się Marchewa. - Oni zawsze zostawiają notkę. Zgodnie z prawem.

Popatrzeli na swoje drinki. Wypili swoje drinki.

- Co za miasto - westchnęła Angua.

- Ale wszystko działa. To jest właśnie zabawne - odparł Marchewa. - Wiesz, kiedy wstąpiłem do straży, byłem taki naiwny, że aresztowałem przewodniczącego Gildii Złodziei za kradzież.

- Jak dla mnie, całkiem rozsądnie.

- Miałem potem trochę kłopotów.

- Widzisz - wyjaśnił Colon - złodzieje są tutaj zorganizowani. Znaczą się, działają oficjalnie. Pewien zakres kradzieży jest dozwolony. Chociaż ostatnio nie pracują zbyt dużo. Jeśli płacić im niewielki datek raz w roku, dają pokwitowanie i zostawiają w spokoju. Obie strony oszczędzają sobie czasu i trudu.

- I wszyscy złodzieje są członkami?

- O tak - zapewnił Marchewa. - W Ankh-Morpork nie da się kraść bez zezwolenia gildii. Chyba że ktoś ma szczególny talent.

- Dlaczego? I co wtedy? Jaki talent?

- Na przykład potrafi przeżyć, wisząc głową w dół na którejś z miejskich bram, z uszami przybitymi do kolan.

- To straszne - szepnęła po chwili Angua.

- Owszem, wiem - zgodził się Marchewa. - Ale rzecz w tym, że to działa. Wszystko działa. Gildie, przestępczość zorganizowana i wszystko. Jakoś funkcjonuje.

- Ale dla pana Młotokuja nie zadziałało - przypomniał Colon.

Popatrzyli na swoje drinki. Bardzo powoli, niczym potężna sekwoja wykonująca swój pierwszy krok ku zmartwychwstaniu jako miliony ulotek „Ratujmy drzewa”, Detrytus runął na plecy, wciąż ściskając swój kubek. Poza zmianą pozycji o dziewięćdziesiąt stopni nie poruszył nawet palcem.

- To siarka - stwierdził Cuddy, nie oglądając się nawet. - Uderza im do głów.

Marchewa walnął pięścią w bar.

- Powinniśmy coś zrobić!

- Możemy zwinąć jego buty - zaproponował Nobby.

- Chodzi mi o pana Młotokuja.

- No tak, jasne. - Nobby machnął ręką. - Mówisz jak stary Vimesio. Gdybyśmy mieli się martwić o każdego trupa w tym mieście...

- Nie w taki sposób zabitego - przerwał mu Marchewa. - Na ogół to zwyczajne, no... samobójstwa albo wewnętrzne konflikty gildii. Takie rzeczy. Ale on był zwykłym krasnoludem! Filarem społeczności! Po całych dniach robił miecze, topory, broń pogrzebową, kusze i narzędzia tortur. I nagle znajduje się w rzece z wielką dziurą w piersi! Kto się zajmie tą sprawą, jeśli nie my?

- Chyba dosypałeś sobie czegoś do mleka - uznał Colon. - Przecież krasnoludy załatwią to same. To jak Aleja Kamieniołomów. Nie wystawiaj nosa, bo ktoś ci go złapie i odgryzie.

- Jesteśmy Strażą Miejską - oznajmił stanowczo Marchewa. - A to nie oznacza wyłącznie tej części miasta, która przypadkiem ma ponad cztery stopy wzrostu i jest zrobiona z ciała!

- Tego nie zrobił krasnolud - stwierdził Cuddy, który kołysał się lekko. - Ani troll. - Spróbował puknąć się palcem w bok nosa, ale chybił. - A to z powodu tego, że wciąż miał jeszcze ręce i nogi.

- Kapitan Vimes na pewno będzie chciał przeprowadzić dochodzenie - uznał Marchewa.

- Kapitan Vimes próbuje się nauczyć, jak być cywilem - przypomniał Nobby.

- No, ja w każdym razie nie mam zamiaru... - zaczął Colon i nagle poderwał się ze stołka.

Podskoczył. Podskoczył jeszcze kilka razy, otwierając i zamykając usta. Wreszcie wydobył z siebie jakieś słowa.

- Moja noga!

- Co z twoją nogą?

- Coś się do niej przyczepiło!

Odskoczył do tyłu, chwytając rękami sandał, i potknął się o Detrytusa.

- Zdziwiłbyś się, co może się w tym mieście przyczepić do butów - mruknął Marchewa.

- Coś tu jest na podeszwie sandała - zauważyła Angua. - No, proszę nie machać nogą!

Sięgnęła po sztylet.

- Jakaś kartka albo coś. Z pinezką. Musiał pan na nią nadepnąć, sierżancie. Trochę trwało, zanim przebiła się przez podeszwę... Mam.

- Karton? - upewnił się Marchewa.

- Coś tu jest napisane... Angua zeskrobała błoto.

RUSZNIC

- Co to znaczy? - zdziwiła się.

- Nie wiem. Że nie można niczego ruszać, chyba. A może to wizytówka jakiegoś pana Rusznica - zgadywał Nobby. - Kogo to obchodzi? Wypijmy

jeszcze po...

Marchewa obracał w ręku kartonik.

- Nie wyrzucaj pinezki - ostrzegł go Cuddy. - Sprzedają je po pięć za pensa. Wiem, bo mój kuzyn Gimick je robi.

- To ważne - powiedział wolno Marchewa. - Kapitan musi się o tym dowiedzieć. Wydaje mi się, że tego szukał.

- Co tu może być ważnego? - zdziwił się Colon. - Oprócz tego, że stopa mnie boli jak poparzona.

- Nie wiem. Kapitan wie - upierał się Marchewa.

- No to sam mu powiedz - zdecydował Colon. - Mieszka teraz u jej wysokości.

- Uczy się być dżentelmenem - dodał Nobby.

- Pewnie, że mu powiem.

Angua zerknęła przez brudną szybę. Niedługo wszędzie księżyc... Na tym polega kłopot z życiem w mieście - łobuz może się czaić za jakąś wieżą, a człowiek niczego nawet nie podejrzewa.

- Ja chyba wrócę na kwaterę - powiedziała.

- Pójdę z tobą - zaproponował szybko Marchewa. - I tak muszę szukać kapitana.

- To nie po drodze...

- Naprawdę, będzie mi miło. Przyjrzała się jego szczerzej twarzy.

- Nie chcę sprawiać kłopotu.

- Nic nie szkodzi. Lubię chodzić. To mi pomaga w myśleniu. Angua uśmiechnęła się mimo desperacji.

Wyszli na zewnątrz, w nie tak już dokuczliwy upał wieczoru. Marchewa instynktownie ruszył krokiem policjanta.

- To bardzo stara ulica - powiedział. - Podobno płynie tędy podziemny strumień. Jak myślisz?

- Naprawdę lubisz chodzić? - spytała Angua, podchwytyjąc rytm marszu.

- O tak. Tu jest mnóstwo ciekawych uliczek i historycznych budynków do oglądania. Kiedy mam wolne, często chodzę na spacer.

Przyjrzała mu się z uwagą. O bogowie, pomyślała.

- Dlaczego wstąpiłeś do straży?

- Ojciec mówił, że zrobią tu ze mnie mężczyznę.

- Chyba miał rację.

- Chyba tak. To najlepsza praca, jaką można znaleźć.

- Naprawdę?

- Tak. Wiesz, co to znaczy „policjant”? Angua wzruszyła ramionami.

- Nie.

- To znaczy „człowiek polis”. To takie stare określenie miasta.

- Tak?

- Przeczytałem w książce. Człowiek miasta.

Znowu zerknęła z ukosa. Jego twarz lśniła w świetle pochodni na rogu ulicy, ale miała też własny, wewnętrzny blask. Jest dumny, pomyślała. Przypomniła sobie klątwę. Dumny, że służy w tej przeklętej straży, na litość bogów...

- A ty czemu wstąpiłaś?

- Ja? Wiesz... Lubię jeść regularnie i spać pod dachem. Zresztą nie ma wielkiego wyboru, prawda? Albo straż, albo zostać... no... szwaczką* [przyp.: Przeprowadzone przez Gildię Kupców badania aktywności zawodowej osób zatrudnionych w okolicy doków w Morpork odkryły 987 kobiet określających swoją profesję jako „szwaczka”. Aha - i dwie igły.].

- A szycie nie bardzo ci wychodzi?

Ostry wzrok Angui wykrył na jego twarzy jedynie szczerą niewinność.

- Właśnie - przyznała z westchnieniem. - Zgadza, się. I nagle zobaczyłam ten plakat: „Zostań prawdziwym mężczyzną w straży! Straż Miejska potrzebuje ludzi!”. Pomyślałam, że spróbuję. W końcu mogłam tylko coś zdobyć.

Czekała, czy tego też nie zauważy. Rzeczywiście.

- Sierżant Colon wypisał tę wiadomość - wyjaśnił. - On myśli w sposób bardzo bezpośredni.

Pociągnął nosem.

- Czujesz coś? - zapytał. - Pachnie jak... trochę jakby ktoś wyrzucił stary chodnik z wygodki.

- Och, dziękuję uprzejmie - odezwał się jakiś głos bardzo nisko, gdzieś w ciemności. - Tak, fardzo dziękuję. To fardzo jak to się mówi z twojej strony. Stary chodnik z wygodki. Dokładnie.

- Niczego nie czuję - oświadczyła Angua.

- Kłamiesz - stwierdził głos.

- I niczego nie słyszę.

Buty kapitana Vimesa poinformowały go, że jest na Alei Scoone'a. Stopy maszerowały samodzielnie - umysł krążył gdzie indziej. Właściwie to jego część rozpuszczała się z wolna w najlepszym nektarze Jima Bearhuggera.

Gdyby chociaż nie byli tacy wściekle uprzejmi! Widział już w życiu sporo rzeczy, o których wciąż próbował - choć bez wielkich sukcesów - zapomnieć. Do dzisiaj na szczycie listy skłonny był umieścić migdałki wielkiego smoka, który nabiera tchu, by zmienić kapitana Straży Miejskiej w bryłkę zanieczyszczonego węgla. Wciąż budził się spocony na samo wspomnienie niewielkiego światełka sygnalizacyjnego, zapowiadającego strumień ognia. Obawiał się jednak, że teraz tamten widok zostanie zastąpiony przez wspomnienie obojętnych krasnoludów, przyglądających mu się uprzejmie, i uczucia, że jego słowa spadają w bezdenną przepaść.

W końcu co mógł im powiedzieć? Przykro mi, on nie żyje - to pewne. A dalej co? Sprawą zajmują się nasi najgorsi ludzie?

Dom zmarłego Bjorna Młotokuja był pełen krasnoludów - milczących, obojętnych, uprzejmych... Wiadomości szybko się rozchodziły - Vimes nie powiedział nic, o czym by już nie wiedzieli. Wielu z nich miało przy sobie broń. Był tam też pan Wręcemocny. Kapitan Vimes odbył z nim kiedyś rozmowę na temat tych jego przemówień o konieczności rozkruszenia trolli na małe kawałki i wykorzystania do budowy dróg. Teraz Wręcemocny po prostu wyglądał na zadowolonego z siebie. Panowała atmosfera uprzejmej groźby. Jakby mówili: Wysłuchamy cię, a potem zrobimy to, co sami postanowimy.

Vimes nie był nawet pewien, która z nich jest panią Młotokujową. Kiedy mu ją przedstawiono - brodatą, w hełmie - udzielała grzecznych, wymijających odpowiedzi. Nie, zamknęłam warsztat męża i chyba gdzieś zapodziałam klucz. Dziękuję.

Starał się możliwie subtelnie zasugerować, że gromadny marsz na Aleję Kamieniołomów nie będzie dobrze widziany przez Straż Miejską (prawdopodobnie dlatego że będzie go oglądać ze sporej odległości), ale nie

miał odwagi zakazać im tego wprost. Nie mógł przecież powiedzieć: Nie bierzcie spraw we własne ręce, bo straż ściga właśnie złoczyńcę. Nie wiedział nawet, od czego zacząć. Czy pani mąż miał wrogów? Rzeczywiście, ktoś wybił w nim wielką dziurę, ale czy miał jakichś wrogów poza tym?

Dlatego wyszedł stamtąd, zachowując resztki godności - nie za wiele. Potem stoczył bitwę sam ze sobą i przegrał: sięgnął po pół butelki Old Persnickety Bearhuggera i powędrował w noc.

Marchewa i Angua dotarli do końca Błyskotnej.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał Marchewa.

- Kawalek stąd. - Pokazała palcem.

- Przy Wiązów? Chyba nie u pani Cake?

- Owszem. Dlaczego nie? Szukałam czystego pokoju w rozsądnej cenie. Co w tym złego?

- No... rozumiesz, nic nie mam przeciwko pani Cake, wspaniała kobieta, jedna z najlepszych... Ale... no wiesz... musiałaś przecież zauważyć...

- Co zauważyć?

- Tego... że ona nie jest... no wiesz... wybredna.

- Przepraszam, wciąż nie bardzo rozumiem.

- Na pewno widziałaś innych jej lokatorów? Wiesz, na przykład Reg Shoe... Nadal tam mieszka?

- Och - domyśliła się Angua. - Chodzi ci o zombi.

- I jeszcze banshee na strychu.

- Pan Ixolite. Zgadza się.

- I jeszcze starsza pani Drull.

- Ghoul. Ale wycofała się. Teraz przygotowuje bale dla dzieci.

- Chodzi mi o to, czy ten dom nie wydaje ci się trochę dziwny.

- Ale czynsz jest rozsądny, a łóżka czyste.

- Bo pewnie mało kto w nich sypia.

- No dobrze! Musiałam brać to, co mogłam znaleźć!

- Przepraszam. Wiem, jak to jest. Sam taki byłem, kiedy pierwszy raz tu przyszedłem. Ale dam ci dobrą radę: wyprowadź się jak najszybciej, kiedy tylko będzie już wypadało, i poszukaj sobie mieszkania... no... bardziej odpowiedniego dla młodej damy, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Właściwie to nie wiem. Pan Shoe próbował nawet pomóc mi wnieść na górę moje rzeczy. Fakt, musiałam mu potem pomagać wnosić jego ręce. Cały czas gubi jakieś swoje kawałki, biedaczysko.

- Ale oni nie są... no, nie są z naszej sfery - tłumaczył zakłopotany Marchewa. - Nie zrozum mnie źle. Bo wiesz... Krasnoludy? Kilku moich najlepszych przyjaciół jest krasnoludami. Moi rodzice to krasnoludy. Trolle? Żadnych problemów. Sól ziemi, dosłownie. Świetne chłopaki pod tą swoją skorupą. Ale... nieumarli... Wolałbym, żeby wrócili tam, skąd przyszli. Nic więcej.

- Większość pochodzi z tych okolic.

- Zwyczajnie ich nie lubię. Przykro mi.

- Muszę już iść - oświadczyła chłodno Angua. Przystanęła przy mrocznym wylocie zaułka.

- Dobrze, dobrze. Hm... kiedy cię znowu zobaczę?
- Jutro. Pracujemy w tym samym miejscu, prawda?
- Ale może po służbie moglibyśmy...
- Muszę lecieć!

Angua odwróciła się i odbiegła. Nad dachami Niewidocznego Uniwersytetu widoczne już było księżycowe halo.

- Oczywiście. Jasne. W porządku. No to do jutra! - zawołał za nią Marchewa.

Angua czuła, jak świat wiruje wokół niej. Potykając się, biegła wśród cieni. Nie powinna tak długo tego odkładać. Przebiegła uliczkę, którą szło kilku ludzi, i wbiegła za róg, szarpiąc ubranie...

Widział ją Bundo Prung, niedawno usunięty z Gildii Złodziei za nadmierny entuzjizm i zachowanie nielicujące z profesją bandyty, człowiek zdesperowany. Samotna kobieta w ciemnym zaułku była mniej więcej tym, z czym powinien sobie poradzić.

Rozejrzał się i ruszył za nią.

Przez pięć sekund trwała cisza. Potem wybiegł Bundo, bardzo szybko - i nie zwalniał, dopóki nie dotarł do nabrzeża, gdzie akurat statek szykował się do wyjścia w morze. Bundo wpadł na pokład tuż przed wciągnięciem trapu, został marynarzem i zginął trzy lata później, kiedy w dalekim kraju spadł mu na głowę pancernik. Przez cały ten czas nikomu nie zdradził, co widział, chociaż krzyczał trochę za każdym razem, kiedy zobaczył psa.

Angua pojawiła się kilka sekund po nim i pobiegła przed siebie.

Lady Sybil Ramkin otworzyła drzwi i wciągnęła nosem powietrze. - Samuelu Vimes! Jesteś pijany!

- Jeszcze nie! Ale mam nadzieję, że będę - odparł Vimes z satysfakcją.

- I nie przebrałeś się z munduru!

Vimes spojrzał w dół, po czym uniósł głowę. - Zgadza się - potwierdził radośnie.

- Goście zjawiają się tu łąda chwila. Idź do swojego pokoju. Masz wodę w wannie, a Willikins przygotował ci ubranie. No, już cię nie ma...

- I bardzo dobrze...

Vimes wykapał się w letniej wodzie i różanej alkoholowej mgiełce. Potem wytarł się jak najlepiej potrafił i przyjrzał ubraniu na łóżku.

Uszył je dla niego najlepszy krawiec w mieście. Sybil Ramkin miała dobre serce. Takie kobiety dają wszystko, co mogą.

Ubranie było niebieskie i ciemnofioletowe, z koronką na mankietach i kołnierzu. Powiedziano mu, że to najnowszy krzyk mody. Sybil chciała, żeby wszedł do wyższych sfer - nie mówiła tego wprost, ale wiedział, że jej zdaniem jest za dobry na zwykłego glinę.

Przyglądał się ubraniu w zamglonym niezrozumieniu. Nigdy dotąd nie nosił jeszcze czegoś takiego. Kiedy był chłopakiem, wkładał takie łachmany, jakie potrafił na sobie umocować. Potem zmienił je na skórzane spodnie do kolan i kolczugę straży - wygodny, praktyczny kostium.

Do ubrania dodano jeszcze kapelusz. Z naszytymi perłami.

Vimes nigdy dotąd nie założył żadnego nakrycia głowy, które nie zostało wykute z jednego kawałka metalu.

Buty były długie i spiczaste.

Zawsze latem nosił sandały, a zimą tradycyjne tanie buty.

Kapitan Vimes jako tako radził sobie z byciem oficerem. Zupełnie nie miał pojęcia, jak być dżentelmenem. Włożenie tego ubrania stanowiło chyba ważny element funkcji...

Przybywali już goście. Słyszał chrzęst kół powozów na podjeździe i tupanie noszących lektyki.

Wyjrzał przez okno. Aleja Scoone'a znajdowała się wyżej niż większość Morpork i dawała niezrównany widok na miasto, jeśli człowiekowi podobały się akurat takie rzeczy. Pałac patrycjusza wyrastał jako ciemniejszy kształt w półmroku, z jednym tylko rozświetlonym oknem na którymś z wyższych pięter. Stanowił centrum dobrze oświetlonego rejonu, lecz miasto ciemniało w miarę, jak wzrok obejmował coraz większą jego część, aż po dzielnicę, gdzie nie zapalało się świecy, bo szkoda marnować dobre jedzenie. Wokół Alei Kamieniołomów jarzył się czerwony blask pochodni - to zrozumiałe, trollowy Nowy Rok. I lekko lśnił budynek Magii Wysokich Energii na terenach Niewidocznego Uniwersytetu; Vimes chętnie aresztowałby wszystkich magów pod zarzutem bycia dwa razy za sprytnymi. Więcej niż zwykle świateł paliło się przy Kablowej i Stromej, w tej części miasta, którą ludzie podobni do kapitana Quirke'a nazywali „małym miasteczkiem”...

- Samuelu!

Vimes, jak umiał, zawiązał pod szyją chustę.

Stawał już twarzą w twarz ze smokami i trollami, ale teraz miał spotkać całkiem nowy gatunek: bogaczy.

Zawsze potem trudno było sobie przypomnieć, jak wyglądał świat, kiedy ona znajdowała się „dans une certaine condition”, jak to delikatnie określała jej matka.

Pamiętała na przykład, że widziała zapachy. Ulice i budynki... istniały, naturalnie, ale tylko jako szare, monochromatyczne tło, a na nim dźwięki i - tak - zapachy płonęły niczym jaskrawe linie... barwnego ognia i chmury... no, barwnego dymu.

O to właśnie chodzi. Na tym się wszystko załamywało. Potem nie miała już odpowiednich słów, żeby opisać to, co słyszała i czuła. Gdyby człowiek mógł choćby na moment zobaczyć wyraźnie ósmy kolor, a potem opisać go po powrocie do siedmiobarwnego świata, mówiłby, że to... „coś w rodzaju zielono-fioletowego”. Doświadczenia niełatwo się przenoszą z jednego gatunku na drugi.

Czasami, choć niezbyt często, Angua uważała, że ma szczęście i widzi oba światy. Zawsze też było te dwadzieścia minut po Przemianie, kiedy wszystkie zmysły są wyczulone, a świat jarzy się w pasmach widm niczym tęcza. To wspomnienie niemal wynagradzało jej niewygody.

Istnieją różne odmiany wilkołaków. Niektórzy muszą jedynie golić się co godzinę i nosić kapelusz, żeby ukryć uszy. Uchodzą za prawie normalnych.

Ale ona i tak ich rozpoznawała. Wilkołaki potrafią zauważyć inne wilkołaki nawet wśród tłumu na ulicy. Zdradzało je coś dziwnego w oczach. Oczywiście, jeśli było dość czasu, dało się zauważyć inne charakterystyczne cechy. Wilkołaki mieszkaly samotnie i nie podejmowały prac, które wymagały bliskiego kontaktu ze zwierzętami. Obficie używały perfum lub płynu po goleniu i były bardzo wybredne, jeśli chodzi o jedzenie. I prowadziły dzienniki z fazami księżyca wyraźnie zaznaczonymi czerwonym atramentem.

Życie wilkołaka na wsi jest trudne. Wystarczy, że zginęła gdzieś kura, a natychmiast stawał się podejrzanym numer jeden. Wszyscy twierdzili, że w mieście jest łatwiej.

Z pewnością było tu porażająco.

Angua widziała naraz kilka ostatnich godzin ulicy Wiązów. Strach opryszka był gasnącą pomarańczową linią. Ślad Marchewy to rozszerzająca

się bladozielona chmura z odcieniem sugerującym, że jest lekko zaniepokojony; towarzyszyły jej dodatkowe tony starej skóry i proszku do polerowania zbroi. Inne tropy, słabe i mocne, przecinały ulicę tam i z powrotem.

Jeden przypominał stary dywanik z wygodki.

- Cześć, suczko - odezwał się jakiś głos z tyłu.

Odwróciła głowę. W psim systemie widzenia Gaspode nie wyglądał lepiej, tyle że teraz był również ośrodkiem chmury zmieszanych odorów.

- Aha. To ty.

- Zgadza się. - Gaspode podrapał się gorączkowo. Spojrzał na nią z nadzieją. - Tylko pytam, rozumiesz, chcę załatwić tę sprawę od razu, dla samej zasady, żefy potem do tego nie wracać... Przypuszczam, że nie ma szansy, żefym mógł ofwachać...

- Najmniejszej.

- Tylko spytałem. Fez urazy. Angua skrzywiła pysk.

- Jak to możliwe, że tak strasznie pachniesz? Znaczy owszem, kiedy byłam człowiekiem, też paskudnie cuchnąłeś, ale teraz...

Gaspode zrobił dumną minę.

- Nieźle, co? To nie przyszło samo. Musiałem się napracować. Gdyfys ryla prawdziwym psem, fyłofy to dla ciebie jak porządny płyn po goleniu. A przy okazji, potrzebujesz ofroży, panienko. Nikt cię nie zaczepi, jeśli masz ofrozę.

- Dzięki.

Gaspode'a wyraźnie coś niepokoiło.

- Tego... Nie wyrywasz serc, prawda?

- Nie, chyba że mi na tym zależy - odparła Angua.

- Jasne, oczywiście - zgodził się szybko Gaspode. - Gdzie teraz idziesz?

Ruszył truchtem na krzywych nogach, by dotrzymać jej kroku.

- Chcę powęszyć u Młotokuja. Nie prosiłam, żebyś szedł ze mną.

- Nie mam nic innego do rofoty. W Zeferkach u Hargi nie wystawiają śmieci przed północą.

- Nie masz domu, do którego mógłbyś wracać? - zainteresowała się Angua, kiedy przebiegli pod straganem z rybami.

- Domu? Ja? Domu? Oczywiście. No proflemo. Roześmiane dzieciaki, wielka kuchnia, trzy posiłki dziennie, nadęty kot u sąsiadów, żeby fyło kogo pogonić, własny koc i miejsce przy kominku, wiesz, to stary pieszczocho, ale i tak go kochamy i w ogóle. Zero fraków. Ale lufie się czasem wyrwać.

- Tyle że, jak widzę, nie masz obroży.

- Spadła.

- Naprawdę?

- Pod ciężarem wszystkich tych zdofień.

- Tak przypuszczałam.

- Pozwalają mi rofić, co zechcę - zaznaczył Gaspode.

- Rozumiem.

- Czasami nie wracam do domu, no, całymi dniami.

- Naprawdę?

- Fywa, że tygodniami.

- Jasne.

- Ale zawsze się cieszą, kiedy wracam.

- Mówiłeś, zdaje się, że sypiasz na uniwersytecie - przypomniała Angua, kiedy na Szronowej odskoczyli przed wózkiem.

Przez chwilę Gaspode pachniał zakłopotaniem, ale błyskawicznie odzyskał głos.

- Rzeczywiście - przyznał. - Wiesz, jak to fywa w rodzinie... Wszystkie dzieciaki chcą cię nosić na rękach, dawać herfatniki i takie tam, ludzie fez przerwy cię głaszczą. Działa na nerwy. Dlatego często tam sypiam.

- Aha.

- Częściej tam niż gdzie indziej, szczerze mówiąc.

- Naprawdę?

Gaspode zaskomlał krótko.

- Musisz uważać, wiesz? Takiej młodej suczce jak ty mogą się w tym psim mieście przytrafić duże kłopoty.

Dotarli do drewnianego pomostu za warsztatem Młotokuja.

- Skąd ty... - zaczęła Angua.

Unosiła się tu mieszanina zapachów, a jeden z nich był ostry jak piła.

- Fajerwerki?

- I strach - dodał Gaspode. - Dużo strachu. Obwąchał deski.

- Ludzki strach, nie krasnoludzi. Krasnoludzi łatwo można poznać. To przez tę ich szczurzą dietę, rozumiesz? Fiu, fiu... Musiał być rzeczywiście mocny, skoro tak długo wytrzymał.

- Wyczuwam jednego człowieka i jednego krasnoluda.

- Zgadza się. Jednego martwego krasnoluda.

Gaspode przytknął swój zmaltretowany nos do szczeliny pod drzwiami i głośno wciągnął powietrze.

- Są też inne rzeczy - oznajmił. - Ale wściekle ciężko poznać tak flisko rzeki i w ogóle. Jest olej... smar... i różne... Hej, dokąd fiegiesz?

Ruszył za Anguą, która z nosem przy ziemi zawróciła na Szronową.

- Idę za tropem.

- Po co? Przecież wiesz, że on ci nie podziękuje.

- Kto nie podziękuje?

- Ten twój młody człowiek.

Angua zatrzymała się tak nagle, że Gaspode wpadł na nią z tyłu.

- Chodzi ci o kaprała Marchewę? On nie jest moim młodym człowiekiem.

- Akurat. Jestem psem, nie? Wszystko tkwi w nosie, nie? Zapach nie kłamie. Feromonologia. Klasyczna płciowa alchemia.

- Przecież znam go dopiero od paru nocy!

- Aha!

- Co ma znaczyć to „aha”?

- Nic, nic. Zresztą nic w tym złego.

- Nie istnieje żadne „to”, żeby mogło w nim być coś złego!

- Pewnie, pewnie. Alefy nie ryło - dodał szybko Gaspode - nawet gdyfy

istniało. Wszyscy lufią kaprała Marchewę.

- Lubią, to fakt. - Angua uspokajała się. - Jest bardzo... sympatyczny.

- Nawet Wielki Fido tylko ugryzł go w rękę, kiedy Marchewa próbował go pogłaskać.

- Kto to jest Wielki Fido?

- Główny Szczekacz Psiej Gildii.

- Psy mają gildię? Psy? Spróbuj czegoś innego, ten numer nie przejdzie.

- Nie, poważnie. Prawo grzefania w śmietnikach, miejsca wylegiwania się na słońcu, nocne dyżury szczekania, prawo rozmnażania, przydziały czasu wycia... Cała ta kość gumowa.

- Psia Gildia - warknęła sarkastycznie Angua. - No tak.

- Pogoń kawałek rurą za szczurem przy niewłaściwej ulicy i wtedy nazwij mnie kłamcą. Masz szczęście, że jestem przy tofie, bo mogłabyś wpaść w poważne kłopoty. Takie, jakie czekają w tym mieście każdego psa, który nie jest członkiem gildii. Naprawdę ci się udało, że mnie spotkałaś.

- Jak przypuszczam, jesteś w tej gildii grubą ryb... grubym psem?

- Nie jestem członkiem - odparł z satysfakcją Gaspode.

- No to jak przeżyłeś?

- Potrafię myśleć, stojąc na łapach. I tyle. Zresztą Wielki Fido zostawia mnie w spokoju. Mam Moc.

- Jaką moc?

- Mniejsza z tym. Wielki Fido... to mój kumpel.

- Gryzienie człowieka w rękę za to, że próbował go pogłaskać, nie

wydaje mi się szczególnie przyjazne.

- Nie? Kiedy poprzednio jakiś człowiek chciał pogłaskać Wielkiego Fido, znaleźli po nim tylko sprzączkę od paska.

- Tak?

- Wisiała na drzewie.

- Gdzie jesteśmy?

- I to nie było drzewo w pobliżu. Co?

Gaspode powęszył chwilę. Jego nos potrafił czytać na mapie miasta w sposób przypominający wyedukowane podeszwy kapitana Vimesa.

- Na rogu Scoone'a i Dumy - wyjaśnił.

- Trop tu zanika. Za bardzo jest wymieszany z innymi. Przez chwilę Angua łapała okalające ją zapachy. Ktoś dotarł aż tutaj, ale potem zbyt wielu ludzi przecinało ślad. Ostry zapach wciąż był obecny, lecz tylko jako sugestia w kotle walczących o pierwszeństwo aromatów.

Nagle zdała sobie sprawę, że czuje przytłaczający zapach zbliżającego się mydła. Zauważała go już wcześniej, ale tylko jako kobieta i tylko jako delikatny podmuch. Dla czworonoga zapach ten zdawał się wypełniać cały świat.

Kapral Marchewa szedł ulicą i wyglądał na zamyślnego. Nie patrzył, dokąd idzie - nie potrzebował. Ludzie schodzili z drogi kapralowi Marchewie.

Po raz pierwszy widziała go tymi oczami. Wielcy bogowie! Jak ludzie mogą tego nie dostrzegać? Szedł przez miasto niczym tygrys przez wysokie trawy albo niedźwiedź osiowy po śniegu, nosząc miejski pejzaż jak skórę...

Gaspode zerknął z ukosa. Angua przysiadła na tylnych łapach i patrzyła.

- Język ci wisi - zauważył.

- Co... ? Tak? I co z tego? To naturalne. Dyszę.

- Cha, cha.

Marchewa zauważył ich i przystanął.

- Coś podobnego, to przecież ten mały kundelek - powiedział.

- Hau, hau - odparł Gaspode; jego zdradziecki ogon zaczął merdać.

- Widzę, że chociaż ty masz przyjaciółkę - stwierdził Marchewa, poklepał psa po głowie i odruchowo wytarł dłoń o tunikę. - Niech mnie, co za piękne zwierzę. Ramtopowy wilczarz, jeśli się nie mylę. - Pogłaskał Anguę przyjaźnie, choć z roztargnieniem. - Trzeba się zbierać. W ten sposób niczego nie załatwię.

- Hau, hau, pisk, pisk, daj pieskowi ciasteczko - powiedział Gaspode.

Marchewa wstał i poklepał się po kieszeniach.

- Miałem tu gdzieś kawałek herbatnika... Można by pomyśleć, że rozumiesz każde moje słowo...

Gaspode zaczął służyć i po chwili bez trudu złapał herbatnik.

- Hau, hau, pisk, hau - oświadczył.

Marchewa rzucił mu nieco zdziwione spojrzenie - jak wszyscy, kiedy Gaspode mówił „hau”, zamiast szczekać. Potem skinął głową Angui i ruszył Aleją Scoone’a w stronę rezydencji lady Ramkin.

- Tam oto - stwierdził Gaspode, głośno przeżuując zeschnięte ciasteczko - idzie fardzo miły chłopak. Prosty, ale miły.

- Tak, rzeczywiście jest prosty, prawda? - zgodziła się Angua. -To właśnie pierwsze rzuciło mi się w oczy. A wszystko inne jest tu skomplikowane.

- Wiesz, on już wcześniej rofił do ciebie cielőce oczy. Nie żefym miał coś przeciwko cielőcym oczom. O ile są świeże.

- Jesteś obrzydliwy.

- Może. Ale przynajmniej zachowuję ten sam kształt przez cały miesiąc. Fez urazy.

- Prosisz się o ugryzienie.

- Ach, tak - jęknął Gaspode. - Tak, na pewno mnie ugryziesz. Auuu. Teraz to się naprawdę zmartwiłem. Poważnie, pomyśl chwilę. Mam tyle psich choróf, że żyję, fo te małe dranie zajęte są walkami między sofą. Mam nawet lizawy język, a na to można zachorować tylko wtedy, kiedy się jest ciężarną owcą. No dalej. Ugryź mnie. Odmień moje życie. Przy każdej pełni fędzie mi wyrastać sierść, żółte zęfy i fędę fiegał po okolicy na czworakach. Tak, to fędzie istotna zmiana w stosunku do ofecnej sytuacji. Właściwie... - Zastanowił się. - Muszę przyznać, że w zakresie sierści jestem trochę do tyłu, więc może, no wiesz, nie porządne ugryzienie, ale choćfy skufnięcie...

- Zamknij się.

Chociaż ty masz przyjaciółkę, mówił Marchewa. Całkiem jakby miał coś na myśli...

- To może szyfkie liźnięcie?

- Zamknij się.

- Te niepokoje to wina Vetinariego - stwierdził diuk Eorle. - Ten człowiek nie ma wyczucia stylu. Teraz więc, naturalnie, mamy miasto, gdzie sklepikarze dorównują wpływami baronom. Przecież nawet hydraulikom pozwolił stworzyć własną gildię! Jeśli wolno mi wyrazić swoją pokorną opinię, takie rzeczy są wbrew naturze.

- Nie byłoby źle, gdyby sam towarzysko dawał przykład - oświadczyła lady Omnibus.

- Czy choćby rządził - dodała lady Selachii. - A teraz wydaje się, że ludziom wszystko może ujść na sucho.

- Przyznaję, że dawni królowie niekoniecznie byli ludźmi z naszej sfery, zwłaszcza pod koniec - ciągnął diuk Eorle. - Ale przynajmniej coś sobą reprezentowali, jeśli wolno mi wyrazić swoją pokorną opinię. W tamtych czasach mieliśmy przyzwoite miasto. Ludzie okazywali szacunek i znali swoje miejsce. Pracowali uczciwie, a nie lenili się po całych dniach. I z całą pewnością nie otwieraliśmy bram przed wszelkim tałatajstwem, które potrafi przez nie przejść. Mieliśmy też prawa. Czy nie tak, kapitanie?

Kapitan Vimes wpatrywał się zaszklonym wzrokiem w punkt tuż powyżej lewego ucha mówiącego.

Dym cygar niemal nieporuszony wisiał w powietrzu. Vimes niejasno uświadamiał sobie, że spędził kilka godzin, za dużo jedząc w towarzystwie ludzi, których nie lubił.

Tęsknił za zapachem wilgotnych ulic i uciskiem bruku przez tekturowe podeszwy. Taca z drinkami orbitowała wokół stołu, ale jej nie dotykał, bo to denerwowało Sybil. Starła się tego nie okazywać, co z kolei jego denerwowało jeszcze bardziej.

Bearhugger przestał już działać. Vimes nienawidził bycia trzeźwym. Oznaczało, że zaczynał myśleć. Jedną z myśli, które walczyły o miejsce, podpowiadała, że nie ma czegoś takiego jak czyjaś pokorna opinia.

Nie miał doświadczenia z bogatymi i potężnymi. Gliniarze nie spotykali się z nimi zbyt często. Nie dlatego że bogaci są mniej skłonni do popełniania przestępstw, ale dlatego że ich przestępstwa tak dalece przewyższają normalny poziom przestępczości, że pozostają niedosiężne dla kogoś w marnych butach i rdzewiejącej kolczudze. Posiadanie setki ruder w mieście nie jest przestępstwem, chociaż mieszkanie w jednej z nich już tak - prawie. Bycie skrytobójcą - gildia nigdy nie stwierdziła tego wprost, ale jedną z istotnych kwalifikacji było odpowiednie pochodzenie - nie jest

przestępstwem. Jeśli człowiek ma dość pieniędzy, trudno mu w ogóle popełnić jakieś przestępstwo. Zdarzają mu się tylko zabawne, drobne niezręczności.

- A teraz, gdzie tylko spojrzeć, wszędzie widać te zarozumiałe krasnoludy i trolle. I bezczelny plebs - podjęła lady Selachii. - W Ankh-Morpork mieszka obecnie więcej krasnoludów niż w ich własnych miastach, czy jak tam nazywają te jamy.

- Co pan o tym myśli, kapitanie? - zapytał diuk Eorle.

- Hm? - Kapitan Vimes sięgnął po winogrono i zaczął obracać je w palcach.

- Obecne problemy etniczne.

- A mamy takie?

- No, oczywiście... Proszę spojrzeć na Aleję Kamieniołomów. Co noc wybuchają tam bójki.

- W dodatku oni nie mają żadnej koncepcji religii!

Vimes z uwagą przyglądał się owocowi. Miał ochotę powiedzieć: Oczywiście, że się biją. Przecież są trollami. Oczywiście, że okładają się maczugami - język trollowy to przede wszystkim mowa ciała, a one lubią pokrzyknąć. Tak naprawdę kłopoty sprawia jedynie ten sukinsyn Chryzopraz, a to tylko dlatego, że małpuje ludzi i szybko się uczy. Co do religii, to trolle okładały się maczugami przez dziesiątki tysięcy lat, zanim jeszcze my przestaliśmy próbować jeść kamienie.

Ale wspomnienie zabitego krasnoluda trąciło w jego duszy jakąś perwersyjną strunę.

Odłożył winogrono na tacę.

- Oczywiście - rzekł. - Moim zdaniem te bezbożne dranie należy otoczyć i pod włóczyniami wyprowadzić z miasta.

Na moment zapadło milczenie.

- Na nic więcej nie zasługują - dodał Vimes.

- Otóż to! To przecież prawie zwierzęta - zgodziła się lady Omnibus.

Vimes podejrzewał, że ma na imię Sara.

- Zauważyli państwo, jakie mają masywne głowy? - zapytał. - To właściwie sam kamień. Praktycznie bez mózgu.

- A moralność, ma się rozumieć... - rzucił diuk Eorle. Zabrzmiął pomruk aprobaty. Vimes sięgnął po kieliszek.

- Willikins, nie sądzę, żeby kapitan miał ochotę na wino - rzekła lady Ramkin.

- Błąd - oświadczył z uśmiechem Vimes. - A skoro jesteśmy już przy tym temacie, co państwo sądzą o krasnoludach?

- Nie wiem, czy ktoś to zauważył - odparł diuk Eorle - ale ostatnio nie widuje się już tylu psów co kiedyś.

Vimes spojrzał na niego z uwagą. To prawda z tymi psami. Ostatnio jakoś mniej włóczyło się po ulicach, trudno zaprzeczyć. Ale odwiedził z Marchewą kilka krasnoludzkich barów i wiedział, że krasnoludy są skłonne zjeść psa wyłącznie wtedy, gdy nie mogą dostać szczura. A nawet dziesięć tysięcy krasnoludów, jedzących bez przerwy nożem, widelcem i łopatą, nie doprowadziłoby do istotnego zmniejszenia szczurzej populacji Ankh-Morpork. To był główny temat krasnoludzkich listów do domu: przyjeżdżajcie tu wszyscy i zabierzcie keczup.

- Zauważyli państwo, jakie małe są ich głowy? - powiedział tylko. - Bardzo ograniczona pojemność czaszki. Fakt wynikający z pomiarów.

- No i nigdy się nie widzi ich kobiet - przypomniała lady Sara Omnibus. - Znajduję to bardzo... podejrzanym. Wiecie, co mówią o krasnoludach - dodała mrocznym tonem.

Vimes westchnął. Wiedział przecież, że cały czas spotyka się kobiety krasnoludów, tyle że wyglądają całkiem jak mężczyźni. Na pewno każdy o tym wie, kto w ogóle orientuje się w temacie.

- I chytre z nich demony - oznajmiła lady Selachii. - Ostre jak igły.

- A wiedzą państwo... - Vimes pokręcił głową. - Wiedzą państwo, co jest potwornie irytujące? To, że potrafią być całkowicie niezdolne do jakiegokolwiek racjonalnej myśli, a jednocześnie tak wściekle sprytne.

Tylko on sam dostrzegł spojrzenie, jakie rzuciła mu lady Ramkin. Eorle zgasił cygaro.

- Po prostu wchodzą i zajmują teren. I pracują jak mrówki przez cały czas, kiedy porządni ludzie powinni się wysypiać. To nie jest naturalne.

Umysł Vimesa przeanalizował tę uwagę i porównał ją z poprzednią, na temat uczciwej pracy.

- Cóż, przynajmniej jeden z nich nie będzie już tak ciężko pracował - zauważyła lady Omnibus. - Pokojówka mówiła, że któregoś znaleziono dziś rano w rzece. Zapewne wojna plemienna albo coś w tym rodzaju.

- Ha... To już jakiś początek. - Eorle zaśmiał się głośno. - Co prawda nikt nie zauważył jednego mniej czy więcej.

Vimes uśmiechnął się promiennie.

Niedaleko jego ręki stała butelka wina - mimo wysiłków Willikinsa, by ją stamtąd usunąć. Szyjka wydawała się zachęcająco dopasowana do uchwytu dłoni...

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Spojrzał ponad stołem na twarz człowieka, który obserwował go z uwagą i którego ostatni wkład w konwersację brzmiał: „Czy byłby pan tak uprzejmy i podał mi przyprawy, kapitanie?”. W twarzy nie było nic niezwykłego - oprócz wzroku, absolutnie spokojnego i lekko rozbawionego. Należała do doktora Crucesa. Vimes odniósł silne wrażenie, że ktoś czyta jego myśli.

- Samuelu!

Dłoń Vimesa znieruchomiła w pół drogi do butelki. Willikins stał obok swojej pani.

- Właśnie się dowiedziałam, że przed drzwiami czeka jakiś młody człowiek i pyta o ciebie - poinformowała lady Ramkin. - Kapral Marchewą.

- Och, to podniecające - oświadczył Eorle. - Czyżby przyszedł nas aresztować, jak myślicie? Cha, cha, cha.

- Cha - odparł Vimes.

Diuk Eorle szturchnął swoją partnerkę.

- Przypuszczam, że gdzieś właśnie popełniane jest przestępstwo.

- Tak - zgodził się Vimes. - Całkiem blisko, jak sędzę. Marchewą wszedł, ściskając z szacunkiem hełm.

Spojrzał na zebrane towarzystwo, nerwowo oblizał wargi i zasalutował. Wszyscy na niego patrzyli - trudno byłoby nie zauważyć obecności Marchewy w pokoju. Owszem, w mieście zdarzali się ludzie więksi od niego. Nie wywyższał się. Zdawało się po prostu, że bez świadomego wysiłku zniekształca wszystko wokół siebie - wszystko stawało się tłem dla kaprala Marchewy.

- Spocznij, kapralu - rzucił Vimes. - Co tam słychać? To znaczy... - dodał pośpiesznie, znając nietypowe podejście Marchewy do ogólnie stosowanych powiedzonek - ...jaki jest powód waszej obecności tutaj o tej porze?

- Muszę coś panu pokazać, kapitanie. Ehm... Myślę, że to pochodzi z Gildii Skry...

- Porozmawiamy o tym na zewnątrz, dobrze? - zaproponował Vimes.

Doktorowi Crocesowi nie drgnął na twarzy żaden mięsień. Diuk Eorle usiadł wygodniej.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem - oświadczył. - Zawsze sądziłem, że Straż Miejska to dość nieskuteczna formacja. Teraz widzę, że nigdy nie zapominacie o obowiązkach. Zawsze czujnie poszukujecie przestępczych umysłów, co?

- A tak - zgodził się Vimes. - Przestępczy umysł. Tak jest. Chłodne powietrze w starym holu przyjął jak błogosławieństwo.

Oparł się o ścianę i spojrzał na kartonik.

- „Rusznic”?

- Mówił pan, że zauważył coś na dziedzińcu... - zaczął Marchewa.

- Co to jest rusznic?

- To mogło być cokolwiek w muzeum skrytobójców, ale delikatne, więc dali taki znak przy gablocie, żeby niczego nie ruszać. Tak czasem robią w muzeach.

- Nie, nie przypuszczam... A skąd wiesz, co robią w muzeach?

- Wie pan, kapitanie, czasami je odwiedzam, kiedy mam wolny dzień. Jest jedno na uniwersytecie, a lord Vetinari pozwolił mi pochodzić po starym pałacu. Są muzea gildii, gdzie zwykle mnie wpuszczają, jeśli ładnie poproszę. I jest muzeum krasnoludów niedaleko Szronowej...

- Naprawdę? - zainteresował się mimowolnie Vimes. Tysiące razy przechodził ulicą Szronową.

- Tak jest. Kawalek w bok, w Zaułku Bąkowym.

- Zabawne. A co w nim pokazują?

- Wiele interesujących przykładów chleba krasnoludów. Vimes zastanowił się przez chwilę.

- To teraz nieważne - uznał. - Zresztą „rusz nic” pisze się osobno. - Wcale nie, panie kapitanie.

- Chciałem powiedzieć, że zwykle pisze się osobno. Obracał w palcach kartonik.

- Trzeba być kompletnym błaznem, żeby włamywać się do Gildii Skrytobójców - mruknął.

- Tak jest.

Gniew wypalił resztki alkoholu. Raz jeszcze Vimes czuł... nie, nie dreszcz, to nie było właściwe słowo... raczej wrażenie czegoś. Wciąż nie był pewien, co to takiego, ale wiedział, że czeka...

- Samuelu, co się tu dzieje?

Lady Ramkin zamknęła za sobą drzwi jadalni.

- Obserwowałam cię - powiedziała. - Byłeś bardzo nieuprzejmy, Sam.

- Staralem się nie być.

- Diuk Eorle to bardzo stary przyjaciel.

- Naprawdę?

- No, szczerze mówiąc, nie cierpię go. Ale zachowywałeś się tak, żeby zrobić z niego głupca.

- Sam robił z siebie głupca. Ja tylko pomagałem.

- Przecież często słyszałam, jak bywasz... nieuprzejmy, mówiąc o krasnoludach i trollach.

- To co innego. Mam do tego prawo. Ten idiota nie poznałby trolla, choćby ten się po nim przespacerował.

- Ależ na pewno by poznał, gdyby troll się po nim przespacerował - wtrącił Marchewa. - Niektóre ważą do...

- Co właściwie stało się takiego ważnego? - przerwała mu lady

Ramkin.

- Szukamy... człowieka, który zabił Chubby'ego - wyjaśnił Vimes.

Wyraz twarzy lady Ramkin zmienił się natychmiast.

- To co innego, ma się rozumieć - oświadczyła. - Takich ludzi należałoby publicznie wychłostać.

Dlaczego to powiedziałem? - zastanawiał się Vimes. Może dlatego że to prawda. Ten... rusznic... zaginął, a zaraz potem krasnoludzki rzemieślnik został wrzucony do rzeki z paskudnym przeciągiem w miejscu, gdzie powinien mieć klatkę piersiową. Te fakty jakoś się łączą. Muszę tylko odszukać brakujące ogniwa...

- Marchewa, wrócisz ze mną do Młotokuja?

- Tak jest, kapitanie. Po co?

- Chcę zajrzeć do jego warsztatu. I tym razem będę miał ze sobą krasnoluda.

Więcej nawet, dodał w myślach. Będę miał kaprała Marchewę. A przecież wszyscy lubią kaprała Marchewę.

Vimes słuchał, jak rozwija się konwersacja po krasnoludzką. Marchewa chyba wygrywał, ale minimalnie. Klan ustępował nie z powodu argumentów rozsądku czy posłuszeństwa wobec prawa, ale dlatego... no cóż... dlatego że prosił Marchewę.

Wreszcie kaprał uniósł wzrok. Siedział na krasnoludzkim stołku, więc kolanami praktycznie obejmował własną głowę.

- Musi pan zrozumieć, kapitanie, że warsztat krasnoluda jest czymś bardzo ważnym.

- Jasne - przytaknął Vimes. - Rozumiem.

- I jeszcze... tego... jest pan większym.

- Słucham?

- Większym. Znaczy, większym niż krasnolud.

- Aha.

- Więc... Wnętrze warsztatu krasnoluda to jakby... no, jakby wnętrze jego ubrania, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi. Mówią, że może pan tam zajrzeć, jeśli ja będę z panem. Ale nie wolno panu niczego dotykać. Hm... nie są z tego zadowoleni, kapitanie.

Krasnolud - być może pani Młotokuj - wręczył mu pęk kluczy.

- Zawsze miałem dobre układy z krasnoludami - przypomniał Vimes.

- Nie są zadowoleni, kapitanie. Myślą, no... myślą, że do niczego nie dojdziemy.

- Dołożymy wszelkich starań!

- Nie... Źle to przetłumaczyłem. Hm... nie chcą nas urazić, kapitanie, ale uważają, że pewne grupy nie pozwolą nam do niczego dojść.

- Au!

- Przepraszam, kapitanie - powiedział Marchewa, który chodził niczym odwrócona litera L. - Za panem... Proszę uważać na głowę przy...

- Au!

- Może lepiej pan usiądzie, a ja się rozejrzę.

Warsztat był podłużny i oczywiście niski, z niewielkimi drzwiczkami na drugim końcu. Pod świetlikiem stał duży blat, a przy sąsiedniej ścianie było palenisko i stojak z narzędziami.

I dziura.

Kawał rynku odpadł od ściany.

Vimes potarł grzbiet nosa. Nie znalazł dziś wolnej chwili, żeby się przespać. I jeszcze coś: musi przywyknąć do sypiania, kiedy jest ciemno. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał w nocy.

Pociągnął nosem.

- Czuję fajerwerki - oznajmił.

- Może z paleniska - zastanowił się Marchewa. - Zresztą krasnoludy i trolle nad całym miastem puszczały niedawno sztuczne ognie.

Vimes skinął głową.

- No dobrze. Co więc widzimy?

- Ktoś bardzo mocno uderzył o ścianę, w tym miejscu.

- To się mogło przydarzyć kiedykolwiek.

- Nie, kapitanie. Pod dziurą są okruchy tynku, a krasnolud zawsze starannie sprząta swój warsztat.

- Naprawdę?

Na stojakach przy warsztacie stały rozmaite elementy broni, niektóre na wpół wykończone. Vimes sięgnął po większą część kuszy.

- Dobra robota - zauważył. - Młotokuj nieźle sobie radził z mechanizmami.

- Był z tego znany. - Marchewa grzebał wśród drobiazgów na blacie. -

Miał delikatną rękę. Jako hobby budował pozytywki. Nigdy nie umiał odrzucić mechanicznego wyzwania. Ehem... a czego właściwie szukamy, kapitanie?

- Nie jestem pewien. O, to dobrze wygląda...

Był to topór bojowy, tak ciężki, że Vimesowi ręka opadła. Skomplikowane linie pokrywały ostrze. Taka broń wymagała z pewnością całych tygodni pracy.

- Nie jest to zabawka na sobotnią noc, co?

- Ależ nie - zaprotestował Marchewa. - To broń pogrzebowa.

- Wyobrażam sobie.

- Chciałem powiedzieć, że zostanie pogrzebana z krasnoludem. Każdego krasnoluda chowa się z bronią. Wie pan? Żeby zabrał ją ze sobą do... do tego miejsca, gdzie idzie.

- Ale jakie świetne wykonanie! I ostra jak... au! - Vimes wsadził palec do ust. - Jak brzytwa.

Marchewa był oburzony.

- Oczywiście. Jak mógłby stawić im czoło z marną bronią?

- O jakich nich mówisz?

- O wszystkich, których może spotkać w swojej podróży po śmierci - wyjaśnił Marchewa, nieco zakłopotany.

- Aha. - Vimes zawahał się. W tej dziedzinie nie czuł się najpewniej.

- To starożytna tradycja.

- Myślałem, że krasnoludy nie wierzą w diabły, demony i takie rzeczy.

- To prawda, ale... nie jesteśmy pewni, czy one o tym wiedzą.

- Aha.

Vimes odłożył topór i sięgnął po coś innego z blatu. Był to rycerz w zbroi, wysokości około dziewięciu cali. W plecach miał kluczyk. Vimes przekręcił go i niemal upuścił rycerza, gdy ten zaczął poruszać nogami. Postawił go na ziemi, a rycerz ruszył sztywno przed siebie, machając mieczem.

- Porusza się trochę jak Colon, zauważyłeś? - rzucił Vimes. - Nakręcany.

- Są popularne - wyjaśnił Marchewa. - Pan Młotokuj robił jedne z najlepszych.

Vimes skinął głową.

- Szukamy czegoś, czego nie powinno tu być. Albo czegoś, co powinno być, ale nie ma. Brakuje czegoś?

- Trudno powiedzieć, kapitanie. Nie ma tu tego.

- Czego?

- Tego, czego brakuje - wyjaśnił z powagą Marchewa.

- Chodzi mi - tłumaczył cierpliwie Vimes - o cokolwiek, czego tu nie widzisz, a spodziewałbyś się zobaczyć.

- No więc... Ma... to znaczy miał wszystkie typowe narzędzia. I to bardzo porządne. Właściwie szkoda.

- Czego?

- Trzeba będzie je przetopić, naturalnie.

Vimes przyjrzał się równym rzędom młotków i pilników.

- Czemu? Czy jakiś inny krasnolud nie mógłby ich używać?

- Jak to? Używać narzędzi innego krasnoluda? - Marchewa skrzywił się z niesmakiem, jakby ktoś mu zaproponował, żeby nosił stare spodnie kaprała Nobbsa. - Nie, to nie jest... właściwe. Znaczy, te narzędzia są jego częścią. Znaczy, żeby ktoś ich używał po tym, jak on ich używał przez tyle lat, znaczy... urrgh.

- Naprawdę?

Nakręcany rycerz wszedł pod ławę.

- To takie... nieodpowiednie. E... paskudne.

- Rozumiem. Vimes wstał.

- Kapi...

- Au!

- ...proszę uważać na głowę. Przykro mi.

Rozcierając czoło jedną ręką, Vimes dotknął drugą dziury w tynku.

- Tam... tam coś jest - oznajmił. - Podaj mi jedno z tych dłutek. Odpowiedziało mu milczenie.

- Dłuto proszę. Jeśli masz od tego poczuć się lepiej, to właśnie próbujemy ustalić, kto zabił pana Młotokuja!

Marchewa z wyraźną niechęcią wybrał narzędzie.

- To dłuto pana Młotokuja, wie pan - przypomniał z wyrzutem.

- Kapralu Marchewa, czy możecie choć na dwie sekundy przestać być krasnoludem? Jesteście strażnikami. I dajcie tu to nieszczęsne dłuto. Mam za sobą ciężki dzień. Dziękuję!

Vimes wcisnął ostrze w otwór i po chwili na dłoń wypadł mu nierówny ołowiany krążek.

- Z procy? - zdziwił się Marchewa.

- Nie ma tutaj dość miejsca. Zresztą jak, u licha, pocisk wbił się tak głęboko w ścianę?

Wrzucił krążek do kieszeni.

- To chyba byłoby wszystko. - Wyprostował się. - Może lepiej... au!... wyciągnij tego nakręcanego rycerza. Zostawmy po sobie porządek.

Marchewa wsunął się w ciemność pod ławą. Coś zaszeleściło.

- Tu jest jakiś papier, kapitanie.

Wynurzył się, machając pożółkłym arkusikiem. Vimes przyjrzał się uważnie.

- Nic z tego nie rozumiem - oświadczył po chwili. - W każdym razie to nie po krasnoludzką, tyle wiem. Ale te symbole... już gdzieś takie widziałem. Albo bardzo podobne. - Oddał papier Marchewie. - Może ty dasz radę coś z tym zrobić.

Marchewa zmarszczył czoło.

- Mógłbym zrobić kapelusz - powiedział. - Albo stateczek. Albo taką jakby chryzantemę.

- Chodzi mi o symbole. Rozumiesz te symbole?

- Nie bardzo, kapitanie. Ale wyglądają znajomo. Jakby... jakby pismo alchemików.

- Och, nie! - Vimes zakrył oczy rękami. - Nie ci przekłęci alchemicy! Nie ta nieszczęsna banda obłąkanych sprzedawców fajerwerków! Mogę znieść skrytobójców, ale nie tych idiotów. Nie! Błagam! Która godzina?

Marchewa zerknął na klepsydrę u pasa.

- Około wpół do dwunastej, kapitanie.

- No to idę do łóżka. Ci klauni mogą poczekać do jutra. Mógłbyś uczynić mnie szczęśliwym człowiekiem, gdybyś powiedział, że ten papier należał do Młotokuja.

- Wątpię, kapitanie.

- Ja też. Chodźmy. Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Marchewa przecisnął się z trudem.

- Proszę uważać na głowę, kapitanie.

Vimes, niemal na kolanach, zatrzymał się i obejrzał framugę.

- No tak, kapralu - powiedział w końcu. - Wiemy, że nie troll to zrobił, prawda? Z dwóch powodów. Po pierwsze, troll nie przecisnąłby się przez te drzwi, mają krasnoludzi wymiar.

- A jaki jest drugi powód?

Vimes ostrożnie zdjął coś z drzazgi w górnej listwie framugi.

- Drugi powód, kapralu, jest taki, że trolle nie mają włosów.

O drewno zaczepiło się kilka długich rudych pasemek. Ktoś pozostawił je tu nieświadomie - ktoś wysoki. W każdym razie wyższy od krasnoluda.

Vimes przyjrzał się im uważnie. Wyglądały raczej jak nici niż włosy. Cienkie czerwone nici.

Co tam. Ślad to ślad.

Starannie owinął je w papier wypożyczony z notesu Marchewy i wręczył kapralowi.

- Masz. Schowaj w bezpiecznym miejscu.

Wypełzli w ciemność. Do muru umocowany był wąski podest z desek, a za nim płynęła rzeka.

Vimes wyprostował się ostrożnie.

- To mi się nie podoba, Marchewa - rzekł. - Kryje się pod tym coś paskudnego.

Marchewa spojrzał w dół.

- To znaczy, dzieją się rzeczy niewidoczne - wyjaśnił spokojnie Vimes.

- Tak jest, kapitanie.

- Wracajmy do Yardu.

Przeszli się przez Mosiężny Most, dość powoli, gdyż Marchewa uprzejmie witał każdego, kogo napotkali. Zatwardziali opryszkowie, których normalna odpowiedź na uwagę strażnika byłaby elegancko sparafrazowana przez ciąg symboli umieszczanych zwykle w górnym rzędzie klawiatury maszyny do pisania, teraz - słysząc serdeczne: „Dobry wieczór, Tłuczek! Uważaj na siebie” - uśmiechali się z zakłopotaniem i mamrotali coś nieszkodliwego.

Vimes przystanął na środku mostu, by zapalić cygaro. Potarł zapalną o jednego z ozdobnych hipopotamów. Potem spojrzał na mętne wody.

- Marchewa...

- Słucham, kapitanie.

- Sądzisz, że istnieje coś takiego jak przestępczy umysł? Marchewa niemal słyszalnie próbował się zastanowić.

- Czy... ma pan na myśli kogoś takiego... jak Gardło Sobie Podrzynam Dibblera?

- On nie jest przestępcą.

- A zjadł pan kiedyś jego pasztecik, kapitanie?

- No niby... niby tak, ale... on jest po prostu geograficznie rozbieżny na

półkuli finansowej.

- Słucham?

- Rozumiesz, on tylko nie zgadza się z innymi co do położenia rzeczy. Na przykład pieniędzy. Uważa, że wszystkie powinny być w jego kieszeni. Nie, chodzi mi...

Vimes przymknął oczy. Pomyślał o dymie cygar, o drinkach i lakonicznych głosach. Są ludzie, którzy odbierają innym pieniądze. W porządku, to zwykła kradzież. Ale są też ludzie, którzy jednym krótkim słowem potrafią odebrać komuś samo człowieczeństwo. To zupełnie inna sprawa.

Chodzi o to, że... Owszem, nie lubił krasnoludów i trolli. Ale właściwie nikogo specjalnie nie lubił. Jednak codziennie bywał w ich towarzystwie i miał prawo ich nie lubić. Natomiast żaden tłusty idiota nie miał prawa wygadywać takich rzeczy.

Spojrzał w wodę. Tuż pod nim wyrastała jedna z podpór mostu; Ankh chlupotała i bulgotała wokół niej. Odpadki - kawałki belek, gałęzie, śmieci - zbierały się, tworząc obrzydliwą pływającą wyspę. Rosły tam nawet jakieś grzyby.

W tej chwili potrzebował butelki bearhuggera. Świat jakoś się wyostrzał, kiedy Vimes przyglądał mu się przez dno butelki.

Wyostrzył się jakiś inny obraz.

Doktryna podpisu, myślał Vimes. Tak ją nazywają zielarze. To tak jakby bogowie umieszczali na roślinach etykiety z opisem zastosowań. Jeśli roślina wygląda jak część ciała, nadaje się na maści i wywary leczące tę właśnie część. Istnieje więc zębowe zioło na zęby, zanokcica na... pewnie na paznokcie, świetlik na oczy... Jest nawet muchomor zwany „Phallus impudicus” i nie mam pojęcia, na co pomaga, ale Nobby jest wybitnym fachowcem od omletów z grzybami. Otóż... albo ten grzyb na dole to idealne lekarstwo na rękę, albo...

Vimes westchnął.

- Marchewa, czy mógłbyś poszukać gdzieś bosaka? Marchewa podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Trochę na lewo od tej belki...

- O nie!

- Obawiam się, że tak. Wyciągnij go, ustal, kim był, przedstaw raport sierżantowi Colonowi.

Zwłoki okazały się klaunem. Kiedy Marchewa zszedł na dół i odsunął na bok stos śmieci, z wody wynurzyła się twarz z wymalowanym na niej szerokim, smutnym uśmiechem.

- On nie żyje.

- To zaraźliwe, prawda?

Vimes obejrzał uśmiechnięte zwłoki. Przerwać dochodzenie. Zostawić sprawę skrytobójcom i temu żalosnemu Quirke. To jest rozkaz.

- Kapral Marchewa!

- Tak jest?

„Wydałem panu rozkaz”...

Niech to demony porwą. Za kogo Vetinari go uważa? Za jakiegoś nakręcanego żołnierzyka?

- Musimy odkryć, co się tutaj dzieje.

- Tak jest!

- Cokolwiek się zdarzy, odkryjemy to.

Rzeka Ankh jest prawdopodobnie jedyną rzeką na świecie, na której śledczy mogą wyrysować kredą obrys zwłok.

„Drogi sierżancie Colon,

Mam nadzieję, że czuje się pan dobrze. Pogoda spzryja. To jest dato które, wyłowiliśmy z rzeki zeszłej nocy ale, nie wiemy kim ono jest oprócz tego że to, członek Gildii Błaznów imieniem Fasollo. Został poważnie uderzony w ty ł głowy i wepchnięty pod most na czas dłuższy więc nie jest Miłym Widokiem. Kapitan Vimes kazał Rozpoznać Sprawę. Uważa, że wiąże się z Morderstwem Pana Młotokuja. Mówił żeby, pogadać z Błaznami. Mówił, żeby pan to zrobił. Także załączam Kawałek Papieru. Kapitan Vimes mówił żeby sprawdzić, u Alchemików...”

Sierżant Colon przerwał lekturę, żeby przekląć alchemików.

„...bo to Zadziwiający Trop. W nadziei, że list ten zastanie pana, w dobrym Zdrowiu, Szczerze oddany Marchewa Żelaznywładsson (kpr.).”

Sierżant poskrobał się po głowie. Co to, u licha, mogło znaczyć?

Zaraz po śniadaniu kilku starszych trefnisiów z gildii zjawilo się, żeby zabrać trupa. Zwłoki w rzece... Właściwie nie było w tym nic niezwykłego. Tyle że błazni zwykle nie umierali w taki sposób. W końcu co mógł posiadać taki błazen, co warte było rabunku? Jakie mógł stanowić zagrożenie?

A co do alchemików, to prędzej wybuchnie, niż...

Naturalnie, przecież wcale nie musi. Zerknął na rekrutów. Powinni wreszcie się do czegoś przydać.

- Cuddy i Detrytus... nie salutować! Mam dla was drobną robótkę. Zaniesiecie ten papier do Gildii Alchemików, jasne? I zapytajcie któregoś z tych wariatów, czy coś z niego rozumie.

- Gdzie jest Gildia Alchemików, sierżancie? - zapytał Cuddy.

- Przy ulicy Alchemików, oczywiście - wyjaśnił Colon. - Na razie. Ale na waszym miejscu bym się pospieszył.

Budynek Gildii Alchemików stał naprzeciwko Gildii Graczy. Na ogół. Czasami znajdował się nad Gildią Graczy, pod nią albo też spadał w kawałkach wokół niej. Graczy czasami pytano, dlaczego wciąż pozostają w pobliżu gildii, która co kilka miesięcy wysadza w powietrze swój główny hol. Odpowiadają wtedy: „Czy przed wejściem tutaj przeczytałeś szyld?”. Troll i krasnolud maszerowali w tym kierunku, od czasu do czasu wpadając na siebie wskutek umyślnych przypadków.

- A zresztą jak ty, taki mądry, czemu dał ten papier mi?

- Ha! A potrafisz go przeczytać? No, potrafisz?

- Nie. Mówię ci, żebyś przeczytał. To się nazywa dele-gaj-cya.

- Właśnie! Nie umie czytać! Nie umie liczyć! Głupi troll!

- Nie głupi!

- Jak to nie? Wszyscy wiedzą, że trolle nie potrafią nawet doliczyć do czterech* [przyp.: Rzeczywiście, trolle tradycyjnie liczą tak: jeden, dwa, trzy... dużo. Ludzie uznają to za dowód, że nie potrafią sobie przyswoić większych liczb. Nie rozumieją, że „dużo” też może być liczbą. Jak w ciągu: jeden, dwa, trzy, dużo, dużo-jeden, dużo-dwa, dużo-trzy, dużo-dużo, dużo-

dużo-jeden, dużo-dużo-dwa, dużo-dużo-trzy, dużo-dużo-dużo, du-żo-dużo-dużo-jeden, dużo-dużo-dużo-dwa, dużo-dużo-dużo-trzy, MNÓSTWO.].

- Zjadacz szczurów!

- Ile palców widzisz? No, powiedz, panie Mądre Kamienie w Głowie?

- Dużo - zaryzykował Detrytus.

- Cha, cha! Nie, pięć. Będziesz miał poważne kłopoty w dzień wypłaty. Sierżant Colon powie: Głupi troll, nie pozna, ile mu dam dolarów. Jak w ogóle przeczytałeś to ogłoszenie o wstąpieniu do straży? Ktoś ci przeczytał?

- A jak ty przeczytałeś? Ktoś cię podniósł? Dotarli do bramy Gildii Alchemików.

- Ja pukam! Moja praca!

- Nie, ja pukam!

Kiedy Sendivoge, sekretarz gildii, otworzył drzwi, zobaczył krasnoluda uwieszonego u kołatki i trolla, który machał nim w górę i w dół. Sendivoge poprawił kask ochronny.

- Słucham - powiedział.

Cuddy puścił kołatkę. Detrytus zmarszczył masywne czoło.

- Eh... ty wredny czubku, co możesz z tym zrobić? - zapytał.

Sendivoge spoglądał to na Detrytusa, to na kartkę papieru.

Cuddy usiłował wyminąć trolla, który niemal całkowicie blokował wejście.

- Dlaczego niby go tak nazwałeś? - Sierżant Colon, on powiedział...

- Mogłbym z tego zrobić czapkę - stwierdził Sendivoge. - Albo taki łańcuszek figurek, gdybym tylko dostał nożyczki...

- Mojemu... koledze chodziło o to, szanowny panie, czy zechciałby pan pomóc nam w śledztwie dot. zapisu na wyżej wymienionym papierze - wtrącił Cuddy. - To bolało.

Sendivoge przyjrzał mu się uważnie.

- Czy jesteście strażnikami? - zapytał.

- Jestem młodszy funkcjonariusz Cuddy, a to... - Cuddy skinął ręką w górę - jest młodszy starający się funkcjonariusz Detrytus... nie salutuj!

Huknęło i Detrytus zwałił się na bok.

- Oddział samobójczy, co? - mruknął alchemik.

- Zaraz dojdzie do siebie - wyjaśnił Cuddy. - To przez salutowanie. Dla niego niestety za trudne. Zna pan trolle.

Sendivoge wzruszył ramionami i obejrzał papier.

- Wygląda... znajomo - stwierdził. - Gdzieś już widziałem coś takiego. Proszę... jesteś krasnoludem, prawda?

- To na pewno ten mój nos - burknął Cuddy. - On mnie zdradza.

- No cóż, zawsze staramy się wypełniać nasze obywatelskie obowiązki. Proszę wejść.

Okute żelazem buty Cuddy'ego kilkoma kopniakami przywróciły Detrytusowi częściową przytomność. Troll wstał i poczłapał za nimi.

- Po co, no... po co panu ten kask? - zapytał Cuddy, kiedy szli korytarzem.

Ze wszystkich stron dobiegały stukania młotków. Budynek Gildii Alchemików był właśnie remontowany.

Sendivoge przewrócił oczami.

- Kule - wyjaśnił. - Dokładniej: kule bilardowe.
- Znałem kogoś, kto grał w taki sposób.
- Ależ nie. Pan Silverfish jest dobrym graczem. I to właśnie stanowi problem.

Cuddy raz jeszcze spojrzał na kask.

- Widzisz, chodzi o kość słoniową.
- Aha - odpowiedział Cuddy, chociaż wcale nie widział. - Słonie?
- Kość słoniowa bez słoni. Transmutowana kość słoniowa. Pewne przedsięwzięcie komercyjne.
- Myślałem, że pracujecie nad złotem.
- No tak. Oczywiście ludzie wszystko wiedzą na temat złota.
- No tak - przyznał Cuddy, rozważając określenie „ludzie”.
- Złoto - tłumaczył zamyślony Sendivoge - okazało się nieco skomplikowane.
- Jak długo już próbujecie?
- Trzysta lat.
- Kawał czasu.
- Kością słoniową zajmujemy się dopiero od tygodnia i idzie nam doskonale - zapewnił szybko alchemik. - Są tylko pewne skutki uboczne, ale jestem pewien, że szybko sobie z nimi poradzimy.

Pchnął drzwi.

Znaleźli się w sporym pomieszczeniu, obficie zaopatrzonym w typowe źle wentylowane paleniska, szeregi bulgoczących kolb i jednego wypchanego

aligatora. Jakieś rzeczy pływały w słojach. W powietrzu unosił się zapach ograniczonej oczekiwanej długości życia.

Dużą część sprzętu odsunięto jednak pod ściany, by zrobić miejsce dla stołu bilardowego. Wokół niego stało kilku alchemików w pozach ludzi w każdej chwili gotowych do ucieczki.

- To już trzeci w tym tygodniu - oznajmił ponuro Sendivoge. Podeszedł do mężczyzny pochylonego nad kijem.

- Ehm... panie Silverfish...

- Nie przeszkadzać. Gra się toczy - rzucił główny alchemik, mierząc w białą kulę.

Sendivoge zerknął na tablicę wyników.

- Dwadzieścia jeden punktów - zdziwił się. - Coś podobnego! Może jednak dodajemy do nitrocelulozy odpowiednią ilość kamfory...

Stuknęło. Biała kula potoczyła się, odbiła od bandy...

...i przyspieszyła. Wypuściła biały dym i pomknęła w kierunku niewinnej grupki kul czerwonych. Silverfish pokręcił głową.

- Niestabilne - stwierdził. - Padnij!

Wszyscy w pomieszczeniu schylili się nisko, z wyjątkiem obu strażników. Jeden z nich był w pewnym sensie pochylony standardowo, drugi natomiast spóźnił się o kilka minut za wydarzeniami.

Czarna bila wystartowała w kolumnie ognia, ciągnąc za sobą smugę dymu, świsnęła obok głowy Detrytusa i rozbiła okno. Zielona tkwiła w jednym miejscu, ale wirowała szaleńczo. Pozostałe pędziły we wszystkie strony, od czasu do czasu wybuchając płomieniem albo odbijając się od ścian.

Czerwona trafiła Detrytusa między oczy, łukiem wróciła na stół, wpadła do środkowej luzy i tam wybuchła.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć głośnych ataków kaszlu. Silverfish wynurzył się z kłębow gęstego dymu i drżącą ręką zaznaczył kolejny punkt płonącym końcem kija.

- Jeden - rzekł. - No cóż... Wracamy do kolb. Niech ktoś zamówi następny stół bilardowy.

- Przepraszam bardzo... - Cuddy szturchnął go w kolano.

- Kto to powiedział?

- Na dole. Silverfish spuścił wzrok.

- Oj... jesteś krasnoludem?

Cuddy spojrzał na niego zimno.

- A ty jesteś olbrzymem?

- Ja? Oczywiście, że nie.

- Aha. No więc ja muszę być krasnoludem, rzeczywiście. A ten za mną to troll.

Detrytus stanął w pozycji nieco przypominającej „na baczność”.

- Przyszliśmy spytać, czy może nam pan powiedzieć, co jest na tym papierze - wyjaśnił Cuddy.

- No - potwierdził Detrytus.

Silverfish spojrzał.

- A tak - powiedział. - Jakieś stare zapiski Leonarda. I co?

- Leonarda? - powtórzył Cuddy. - Zapisz to - polecił Detrytusowi.

- Leonarda da Quirm - wyjaśnił alchemik.

Cuddy nadal nie rozumiał.

- Nie słyszeliście o nim? - zdziwił się Silverfish.

- Nie powiem, że tak, szanowny panie.

- Sądziłem, że wszyscy słyszeli o Leonardzie z Quirmu. Całkiem zwariowany. Ale geniusz.

- Był alchemikiem?

Zapisz to, zapisz to... Detrytus rozejrzał się mętным wzrokiem, szukając nadpalonego kawałka drewna i jakiejś wygodnej ściany.

- Leonard? Nie. Nie należał do gildii. Czy też raczej należał do wszystkich gildii, jak przypuszczam. Sporo podróżował. On... majstrował, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Nie, proszę pana.

- Trochę malował i grzebał się w mechanizmach. Co mu akurat w ręce wpadło.

Wystarczy nawet młotek i dłuto, myślał Detrytus.

- A tutaj - ciągnął Silverfish - mamy wzór na... Co tam, mogę wam przecież powiedzieć, to żadna wielka tajemnica... To wzór na coś, co nazywamy Proszkiem numer jeden: siarka, saletra i węgiel drzewny. Używa się tego w fajerwerkach. Każdy dureń może go wyprodukować. A tekst wygląda dziwnie, bo jest pisany od tyłu.

- To chyba ważne - syknął Cuddy w stronę trolla.

- Ależ skąd. On zawsze pisał od tyłu - powiedział Silverfish. - Taki dziwak. Ale wybitnie inteligentny. Widzieliście może jego portret Mony Ogg?

- Chyba nie.

Silverfish oddał papier Detrytusowi, który przyjrzał mu się zezem, jakby rozumiał, co znaczą litery. Może na tym dałoby się coś zapisać, pomyślał.

- Zęby ścigały patrzących po całym pokoju. Zadziwiające. Niektórzy mówili nawet, że ścigały ich przez drzwi aż na ulicę.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z panem da Quirm - stwierdził Cuddy.

- Oczywiście, moglibyście porozmawiać. Na pewno. Ale on raczej by nie słuchał. Zniknął parę lat temu.

A potem, jak już znajdę coś do pisania, muszę poszukać kogoś, kto mnie nauczy pisać, myślał Detrytus.

- Zniknął? - zdziwił się Cuddy. - W jaki sposób?

- Podejrzewamy... - Silverfish zniżył głos - że znalazł sposób, by uczynić się niewidzialnym.

- Naprawdę?

- Ponieważ... - tłumaczył Silverfish konspiracyjnym szeptem - nikt go więcej nie widział.

- Aha - mruknął Cuddy. - No tak. To dla mnie trochę za trudne, rozumie pan, ale nie sądzi pan, że mógł, no... mógł gdzieś wyjechać, gdzie nie mogliście go zobaczyć?

- Nie, to by nie pasowało do starego Leonarda. Na pewno by nie wyjechał. Ale mógł zniknąć.

- Och.

- Był trochę... zwariowany, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Głowa całkiem wypchana mózgiem. Pamiętam, wpadł kiedyś na pomysł uzyskiwania błyskawicy z cytryn! Hej, Sendivoge, pamiętasz Leonarda i jego błyskawiczne cytryny?

Sendivoge zatoczył palcem krąg w okolicy skroni.

- No jasne. „Wystarczy wetknąć miedziany i cynkowy pręt w cytrynę, i „presto”, dostajemy ujarzmioną błyskawicę”. Ależ to był idiota.

- Och nie, nie idiota - zaprotestował Silverfish. Chwycił kulę bilardową, która w cudowny sposób uniknęła detonacji. - Po prostu miał tak ostry umysł, że sam się kaleczył, jak mawiała moja babcia. Błyskawiczne cytryny... Gdzie tu sens? Były równie bzdurne jak jego machina do głosów z nieba. Mówię mu: Leonardzie... Tak mu powiedziałem. Leonardzie, po co są magowie? W takich sprawach jest przecież dostępna całkiem zwyczajna magia. Błyskawice z cytryn? Następni pewnie będą ludzie ze skrzydłami. A wiecie, co on na to? Wiecie? Powiada: Zabawne, że o tym wspominasz... Biedaczysko.

Nawet Cuddy przyłączył się do ogólnej wesołości.

- A spróbowaliście tego? - zapytał po chwili.

- Czego mieliśmy spróbować? - nie zrozumiał Silverfish.

- Wtykania metalowych prętów w cytrynę.

- Nie bądź durniem.

- Co znaczy ta litera? - zapytał Detrytus, wskazując papier. Spojrzeli.

- Nie, to nie jest symbol - wyjaśnił Silverfish. - To taki zwyczaj starego Leonarda. Stale bazgrał na marginesach. Bazgroł, bazgroł, bazgroł. Mówiłem mu, że powinien się nazywać pan Bazgroł.

- Myślałem, że to coś związanego z alchemią - powiedział Cuddy. - Wygląda trochę jak kusza, tylko że bez łuku. I to słowo: cinz-sur. Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Moim zdaniem brzmi barbarzyńsko. Zresztą... Jeśli to już wszystko, panie strażniku, to czekają nas tu poważne badania. - Silverfish zaczął podrzucać kulę z fałszywej kości słoniowej. - Nie jesteśmy takimi naiwnymi marzycielami jak stary Leonard.

- Cinzsur - mruczał Cuddy, obracając na wszystkie strony kartkę. - R-u-s-z-n-i-c...

Silverfish upuścił kulę. Cuddy ledwie zdążył schować się za Detrytusa.

- Już to kiedyś robiłem - powiedział sierżant Colon, kiedy wraz z Nobbym zbliżali się do Gildii Błaznów. - Kiedy zastukam kołatką, trzymaj się blisko ściany. Jasne? Kołatka miała kształt sztucznego biustu - należała do odmiany uważanej za bardzo zabawną przez graczy w rugby oraz wszystkich, którym chirurgicznie usunięto poczucie humoru. Colon zastukał szybko, po czym odskoczył w bezpieczne miejsce.

Coś zawyło, kilka razy zatrąbił róg, zabrzmiała melodyjka, którą ktoś pewnie uważał za wesołą. Potem nad kołatką otworzyła się mała klapka i powoli wynurzył się tort śmietankowy na końcu drewnianego ramienia. Po chwili ramię pękło i tort upadł na ziemię u stóp Golona.

- To smutne, prawda? - zauważył Nobby.

Drzwi uchyliły się, ale tylko na kilka cali. Przez szczelinę wyjrzał mały klaun.

- Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie - powiedział. - Dlaczego grubas zastukał do drzwi?

- Nie wiem - odparł odruchowo Colon. - A dlaczego zastukał?

Spoglądali na siebie nawzajem, zaplątani w puentę.

- Ja pierwszy zapytałem - przypomniał z wyrzutem klaun. Miał smętny, zgaszony głos.

Sierżant Colon spróbował wrócić do rzeczywistości.

- Sierżant Colon, nocna straż - przedstawił się. - A to kapral Nobbs. Przyszedliśmy z kimś porozmawiać o człowieku, który... którego znaleziono w rzece.

- A tak. Biedny brat Fasollo. W takim razie lepiej wejdźcie do środka.

Nobby chciał już pchnąć drzwi, kiedy Colon powstrzymał go i znacząco wskazał palcem w górę.

- Wydaje mi się, że nad drzwiami stoi wiadro białej farby - oświadczył.

- Rzeczywiście? - zdziwił się klaun. Był bardzo niski i nosił za duże buty, w których wyglądał jak wielkie L. Twarz miał pokrytą cielistą farbą, na której wymalowano szerokie, zmarszczone brwi. Jego włosy były zrobione z kilku starych, zafarbowanych na czerwono mopów. Nie był tęgi, ale obręcz w spodniach miała nadawać mu wygląd człowieka śmiesznie grubego. Para gumowych szelek, które sprawiały, że spodnie podskakiwały w górę i w dół, stanowiła kolejny element w ogólnym obrazie totalnego, absolutnego przygłupa.

- Tak - potwierdził Colon. - Stoi.

- Na pewno?

- Bez wątpienia.

- No to przepraszam - rzekł klaun. - Wiem, że to głupie, ale w pewnym sensie tradycyjne. Chwileczkę.

Usłyszeli odgłos przeciąganej drabiny, potem brzęki i przekleństwa.

- Już dobrze. Możecie wejść.

Klaun przeprowadził ich przez bramę. Jedyńm dźwiękiem było kłapanie jego butów po kamieniach. Nagle jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł.

- Wiem, że nie ma na to wielkich szans, ale czy któryś z panów zechciałby powąchać moją dziurkę od guzika?

- Nie.

- Nie.

- Tak przypuszczałem. - Klaun westchnął. - To niełatwe zajęcie, wiecie panowie. Błaznowanie, znaczy. Mam dyżur przy bramie, bo odbywam karę.

- Naprawdę?

- Stale zapominam: płacz na zewnątrz, śmiech w środku, czy odwrotnie? Ciągłe mi się miesza.

- Co do tego Fasollo... - zaczął Colon.

- Właśnie trwają uroczystości pogrzebowe. Dlatego mam spodnie opuszczone do połowy masztu.

Wreszcie znowu wyszli na światło dnia.

Wewnętrzny dziedziniec był wypełniony błaznami i klaunami. W podmuchach wiatru brzęczały dzwoneczki. Promienie słońca błyszczały na czerwonych nosach i kilku strumykach wody z fałszywych dziurek od guzików.

Klaun wprowadził strażników między szeregi błaznów.

- Doktor Białolicy na pewno porozmawia z panami, jak tylko skończymy - obiecał. - A przy okazji, mam na imię Boffo.

Z nadzieją wyciągnął rękę.

- Nie podawaj mu - ostrzegł Colon. Boffo był załamany.

Zagrała orkiestra i z kaplicy wyszła procesja członków gildii. Trochę z przodu maszerował klaun niosący niedużą urnę.

- To bardzo wzruszające - szepnął Boffo.

Na podwyższeniu po przeciwnej stronie prostokątnego dziedzińca

czekał gruby klaun w workowatych spodniach z szerokimi szelkami. Miał muszkę, wirującą powoli na wietrze, a na głowie cylinder. W ręku trzymał pęcherz na kiju.

Klaun z urną dotarł do podwyższenia, wszedł po stopniach i zatrzymał się.

Orkiestra umilkła.

Klaun w cylindrze uderzył niosącego urnę pęcherzem w głowę - raz, dwa, trzy razy...

Ten z urną zrobił krok naprzód, potrząsnął peruką, jedną ręką złapał urnę, drugą pasek tego w cylindrze, po czym z wielką powagą wysypał popioły zmarłego brata Fasollo do spodni drugiego klauna.

Obecni westchnęli chórem. Orkiestra zagrała hymn błaznów „Marsz idiotów”; pod koniec wyleciał fragment puzonu i trafił jednego z klaunów w potylicę. Ten odwrócił się i uderzył klauna za sobą, który jednak uchylił się, wskutek czego trzeci klaun został powalony na mosiężny bęben.

Colon i Nobby spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

Boffo wyjął dużą białą-czerwoną chustkę i wydmuchał nos, zabawnie przy tym trąbiąc.

- Klasyka - powiedział. - Tego właśnie by sobie życzył.

- Czy domyślasz się, co zaszło? - spytał Colon.

- Oczywiście. Brat Grimeldi wykonał starą sztuczkę pięta-palce i przechylił urnę...

- Czy wiesz, dlaczego zginął Fasollo?

- Hm... naszym zdaniem to był wypadek.

- Wypadek - powtórzył chłodno Colon.

- Właśnie. Tak uważa doktor Białolicy.

Boffo na chwilę uniósł głowę. Podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem. Tuż obok Gildii Błaznów widoczne były dachy budynków Gildii Skrytobójców. Nie warto denerwować takich sąsiadów, zwłaszcza kiedy jest się uzbrojonym tylko w śmietankowy tort, w najlepszym razie na kruchym cieście.

- Tak uważa doktor Białolicy - powtórzył jeszcze raz Boffo, wlepiając spojrzenie w swoje ogromne buty.

Sierżant Colon lubił spokojne życie. A miasto spokojnie mogłoby się obejść bez jednego czy dwóch błaznów. Jego zdaniem, gdyby zniknęli wszyscy, świat stałby się odrobinę szczęśliwszym miejscem. A jednak... jednak... Szczerze mówiąc, sam nie wiedział, co ostatnio wstąpiło w straż. Marchewa - wszystko przez Marchewę. Nawet Vimes ostatnio się tym zaraził. Nie zostawiamy już spraw w spokoju...

- Może na przykład czyścił maczugę i ona przypadkiem uderzyła - burknął Nobby. On też to złapał.

- Nikt nie chciałby zabijać młodego Fasollo - stwierdził klaun. - Był przyjazną duszą. Wszędzie miał przyjaciół.

- Prawie wszędzie - poprawił go Colon.

Pogrzeb dobiegł końca. Trefnisie, błazny i klauni wracali do swoich zajęć, po drodze utykając w drzwiach. Było sporo przeciskania się, popychania, trąbienia nosów i opadania spodni. Ta scena nawet najszcześliwszego człowieka skłoniłaby, żeby podciął sobie żyły w piękny wiosenny poranek.

- Wiem tylko - oświadczył Boffo - że kiedy widziałem go wczoraj, wyglądał bardzo... dziwnie. Zawołałem go, gdy przechodził przez bramę, a on...

- Co to znaczy: dziwnie? - zainteresował się Colon. Detektywuję, pomyślał z dumą. Ludzie pomagają mi w Śledztwie.

- Nie wiem. Dziwnie. Jakby nie był sobą.

- To było wczoraj?

- Tak. Rano. Wiem, bo dyżury przy bramie...

- Wczoraj rano?

- Tak przecież powiedziałem. Co prawda wszyscy byliśmy zdenerwowani po tym wybu...

- Bracie Boffo!

- Och, nie - szepnął klaun.

Jakaś postać kroczyła w ich stronę. Przerażająca postać.

Żaden klaun nie jest zabawny. Na tym właśnie polega jego funkcja. Ludzie śmieją się z klaunów, ale wynika to ze zdenerwowania. Sens działania klauna tkwi w tym, że po obejrzeniu jego występu wszystko, cokolwiek się zdarzy, wydaje się przyjemne. Zawsze miło jest wiedzieć, że ktoś ma gorzej od nas. Ktoś przecież musi być tyłkiem tego świata.

Ale nawet klauni czegoś się boją - i tym czymś jest klaun o białej twarzy. Ten, który nigdy nie znajdzie się na trajektorii tortu. Ten w lśniącem białym ubraniu i ze śmiertelnie białym makijażem. W małym spiczastym kapeluszu, z wąskimi ustami i delikatnymi czarnymi brwiami.

Doktor Białolicy.

- Kim są ci panowie? - zapytał.

- Tego... - zaczął Boffo.

- Nocna straż, proszę pana - wyjaśnił Colon, salutując.

- I co tutaj robicie?

- Przeprowadzamy dochodzenie w sprawie śledztwa dotyczącego

tragicznego zejścia klauna Fasollo.

- Wydaje mi się, że to raczej sprawa gildii, sierżancie. Nie sądzi pan?

- No cóż, został znaleziony w...

- Jestem przekonany, że straż nie powinna się kłopotać tym wydarzeniem - oświadczył Białolicy.

Colon zawahał się. Wolałby rozmawiać z doktorem Crucesem niż z tą zjawą. Skrytobójcy przynajmniej powinni być niemili. Klaunów w dodatku tylko krok dzielił od mimów.

- Rzeczywiście, ma pan rację - przyznał. - To był oczywiście wypadek, prawda?

- Naturalnie. Brat Boffo odprowadzi panów do wyjścia - powiedział naczelný klaun. - A potem zgłosi się w moim gabinecie. Zrozumiał?

- Tak, panie doktorze - wymamrotał Boffo.

- Co ci zrobi? - zapytał Nobby, kiedy szli już w stronę bramy.

- Pewnie kapelusz pełen białej farby - wyjaśnił Boffo. - Tort w gębę, jeśli będę miał szczęście.

Otworzył furtkę.

- Wielu z nas wcale się to nie podoba - szepnął. - Nie wiem, czemu tym draniom ma to ująć na sucho. Powinniśmy wybrać się do skrytobójców i załatwić sprawę.

- Dlaczego do skrytobójców? - zdziwił się Colon. - Po co mieliby zabijać klauna?

- Ja nic nie mówiłem! - wystraszył się Boffo. Colon spojrzał na niego groźnie.

- Panie Boffo, tutaj wyraźnie dzieje się coś bardzo dziwnego. Boffo

rozejrzał się nerwowo, jakby w każdej chwili oczekiwał karzącego tortu.

- Poszukajcie jego nosa - szepnął. - Wystarczy, że znajdziecie jego nos. Jego nieszczęsny nos.

Zatrzasnął furtkę.

Sierżant Colon zwrócił się do kolegi.

- Nobby, czy dowód rzeczowy A miał nos?

- Tak, Fred.

- No to o co mu chodziło?

- Nie mam pojęcia. - Nobby podrapał obiecującego węża. - Może miał na myśli fałszywy nos? No wiesz, taki czerwony na gumce. - Skrzywił się. - Jeden z tych, które uważają za śmieszne. Nie miał takiego.

Colon zastukał do furtki, pilnie uważając, by stać z boku, poza zasięgiem wszelkich bardzo zabawnych pułapek. Uchyliła się klapka.

- Słuchani - syknął Boffo.

- Chodziło ci o jego fałszywy nos? - spytał Colon.

- O prawdziwy! A teraz znikajcie! Klapka zatrzasnęła się.

- Psychiczny - uznał Nobby.

- Fasolło miał przecież prawdziwy nos. Czy wydał ci się podejrzany?

- Nie. Miał dwie dziurki.

- Nie znam się na nosach - oświadczył Colon. - Ale albo brat Boffo myli się całkowicie, albo coś w tej sprawie śmierdzi.

- Na przykład co?

- Posłuchaj, Nobby. Masz za sobą karierę zawodowego żołnierza, prawda?

- Zgadza się, Fred.

- Ile razy spotkało cię niehonorowe wydalenie?

- Mnóstwo - oznajmił z dumą Nobby. - Ale robiłem sobie gorące okłady.

- Bywałeś na polach bitew, tak?

- Dziesiątkach.

Sierżant Colon pokiwał głową.

- Widziałeś zatem wiele ciał, kiedy pełniłeś posługę wobec padłych w boju...

Kapral Nobbs pokiwał głową. Obaj wiedzieli, że „posługa” polegała na zebraniu wszelkich osobistych i cennych drobiazgów oraz kradzieży butów. Na niejednym dalekim polu bitwy ostatnią rzeczą, jaką widział śmiertelnie ranny nieprzyjaciół, był kapral Nobby zbliżający się z workiem, nożem i wyrachowanym spojrzeniem.

- Szkoda, żeby porządne rzeczy się zmarnowały - wyjaśnił.

- Widziałeś zatem, jak martwe ciała stają się... martwiejsze... - Martwiejsze od martwych?

- No wiesz. Bardziej zwłokowate - wyjaśnił sierżant Colon, ekspert kryminalistyki.

- Takie sztywne, sine i tak dalej?

- Właśnie.

- A potem tak jakby cuchnące i ciekące?

- Tak. No więc...
- Zauważ, że łatwiej wtedy ściągnąć pierścienie...
- Chodzi mi o to, Nobby, że potrafisz ocenić, od jak dawna ciało jest martwe. Ten klaun, na przykład. Widziałeś go, tak samo jak ja. Ile miał, twoim zdaniem?
- Jakieś pięć stóp dziewięć cali. Ale buty nie pasowały. Za wielkie.
- Chodzi mi o to, jak długo już był martwy.
- Parę dni. Można poznać, bo są...
- No to jak Boffo mógł go widzieć wczoraj rano? Szli przed siebie.
- Nieźle udawał - stwierdził w końcu Nobby.
- Masz rację. Wydaje mi się, że kapitana bardzo to zaciekawia.
- A może był zombi?
- Nie sądzę.
- Nie znoszę zombi - mruczał Nobby.
- Naprawdę?
- Zawsze strasznie trudno było zwinąć im buty. Colon skinął głową przechodzącemu żebrakowi.
- Wciąż ćwiczysz tańce ludowe w wolne noce, Nobby?
- Owszem, Fred. W tym tygodniu przygotowujemy „Zbieranie słodkich lilii”. To bardzo skomplikowany krok podwójnie krzyżowy.
- Jesteś niewątpliwie człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym.
- Tylko kiedy nie mogę normalnie zdjąć pierścieni, Fred.

- Chciałem przez to powiedzieć, że prezentujesz sobą interesującą dychotomię.

Nobby spróbował kopnąć małego, brudnego kundla.

- Znowu czytałeś książki, Fred?

- Trzeba rozwijać swój umysł, Nobby. To ci nowi rekruci... Marchewa bez przerwy tkwi z nosem w książce, Angua zna słowa, które muszę potem sprawdzać... Nawet ten kurdupel jest mądrzejszy ode mnie. Ciągłe się ze mnie nabijają. Stanowczo jestem odrobinę za słabo wyposażony w rejonie głowy.

- Jesteś mądrzejszy od Detrytusa - pocieszył kolegę Nobby.

- Też sobie to powtarzam. Mówię: „Fred, cokolwiek się stanie, jesteś mądrzejszy od Detrytusa”. Potem mówię: „Fred... ale drożdże też są”.

Odwrócił się od okna.

A więc tak. Przeklęta straż.

I ten przeklęty Vimes. Dokładnie niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu. Czy ludzie niczego nie uczą się z historii? Zdradę ma przecież w genach! Jak miasto może funkcjonować, kiedy ktoś taki pcha wszędzie swój nos? Nie do tego przecież służy straż.

Strażnicy powinni robić to, co się im każe, oraz pilnować, żeby inni zachowywali się tak samo.

Ktoś taki jak Vimes zakłóca właściwy bieg rzeczy. Nie dlatego że jest sprytny. Sprytny strażnik to sprzeczność sama w sobie. Ale nawet czysta losowość może spowodować kłopoty.

Rusznic leżał na stole.

- Co mam zrobić z tym Vimesem?

Zabić go.

Angua się przebudziła. Było już prawie południe, leżała we własnym łóżku w pokoju u pani Cake i ktoś pukał do drzwi.

- Mmm? - zapytała.

- Nie wiem. Mam mu powiedzieć, żeby sobie poszedł? - odezwał się głos z okolicy dziurki od klucza.

Angua zastanowiła się szybko. Inni lokatorzy ostrzegali ją przed tym. Czekala na wskazówkę.

- Oj, dziękuję ci, kochana. Stale zapominam - powiedział głos. Trzeba dobrze pilnować czasu przy rozmowach z panią Cake.

Nie było łatwo mieszkać w domu należącym do kogoś, kogo umysł był tylko nominalnie związany z chwilą bieżącą. Pani Cake była wróżką.

- Znowu ma pani włączone jasnowidzenie, pani Cake - powiedziała Angua, spuszczając nogi z łóżka i przerzucając pospiesznie stos odzieży na krzesło.

- Do czego doszłyśmy? - spytała pani Cake, wciąż po drugiej stronie drzwi.

- Powiedziała pani: „Nie wiem. Mam mu powiedzieć, żeby sobie poszedł?”.

Ubranie! Zawsze są z tym kłopoty. Męskie wilkołaki muszą się martwić tylko o parę szortów i udawać, że właśnie wrócili z porannej przebieżki.

- A rzeczywiście. - Pani Cake odchrząknęła. -Jakiś młody człowiek pyta o ciebie.

- Kto to? - zapytała Angua. Przez chwilę trwała cisza.

- No tak, to chyba mamy wszystko załatwione - uznała pani Cake. - Przepraszam cię, kochana. Strasznie boli mnie głowa, jeśli ludzie nie powiedzą swoich części. Jesteś ludzka, kochana* [przyp.: Gospodyni w takich sytuacjach pyta zwykle: „Czy jesteś ubrana?”, ale pani Cake znała swoich lokatorów.]?

- Może pani wejść, pani Cake.

Pokój nie był wystawnie urządzone. Prezentował się na brązowo. Brązowa wykładzina na podłodze, brązowe ściany, nad brązowym łóżkiem obrazek przedstawiający brązowego jelenia atakowanego przez brązowe psy na brązowych mokradłach, na tle nieba, które - wbrew ustalonym danym astronomicznym - było brązowe. W kącie stała brązowa szafa. Gdyby ktoś przecisnął się przez wiszące w niej tajemnicze stare płaszcze* [przyp.: Brązowe.], dostałby się do magicznej krainy pełnej mówiących zwierząt i goblinów, ale prawdopodobnie nie było to warte wysiłku.

Weszła pani Cake. Była niską, tęgą kobietą, ale braki wzrostu nadrabiała wielkim czarnym kapeluszem - nie spiczastym, w stylu czarownic, ale pokrytym wypchanymi ptakami, woskowymi owocami i innymi elementami dekoracyjnymi, bez wyjątku pomalowanymi na czarno. Angua nawet ją lubiła. Pokoje w jej domu były czyste* [przyp.: I brązowe.], czynsz niewysoki, a sama pani Cake okazywała wiele zrozumienia wobec ludzi, którzy prowadzili odrobinę niezwykły tryb życia i zdradzali, na przykład, silną awersję do czosnku. Jej córka była wilkołakiem, więc pani Cake zdawała sobie sprawę, jak ważne są okna na parterze i drzwi z długimi klamkami, które można otwierać łapą.

- Ma na sobie kolczugę - poinformowała pani Cake. Trzymała w obu rękach po wiadrze żwiru. - I jeszcze mydło w uszach.

- Aha. No tak. Dobrze.

- Jeśli chcesz, powiem mu, żeby się wynosił. Zawsze tak robię, kiedy zjawiają się tu nieodpowiednie osoby. Zwłaszcza jeśli mają kolek. Nie mogę pozwolić na takie rzeczy, całe to bieganie po korytarzach, wymachiwanie pochodniami i w ogóle.

- Chyba go znam - wyjaśniła Angua. - Zajmę się tym. Zapięła koszulę.

- Zatrzaśnij drzwi, gdybyś wychodziła - zawołała za nią pani Cake, gdy Angua była już na korytarzu. - Wychodzę zmienić ziemię w trumnie pana Winkinsa, bo ostatnio narzekał na bóle w krzyżach.

- To mi raczej wygląda na żwir, pani Cake.

- Ortopedyczny.

Marchewa stał grzecznie w progu; minę miał zakłopotaną, a hełm pod pachą.

- O co chodzi? - spytała Angua, nie bez życzliwości.

- Ehem... Dzień dobry. Pomyślałem sobie, no wiesz, że właściwie prawie nie znasz miasta. Mógłbym, jeśli zechcesz, jeśli nie masz nic przeciw temu, bo mam sporo czasu do służby... pokazać ci to i owo?

Przez chwilę Angua miała wrażenie, że zaraziła się jasnowidzeniem od pani Cake. Różne przyszłości przemknęły jej przed oczami.

- Nie jadłam jeszcze śniadania - powiedziała.

- Bardzo dobre śniadania serwują w krasnoludzkich delikatesach u Świdra, przy Kablowej.

- Jest pora obiadowa.

- Dla Nocnej Straży to czas śniadania.

- Jestem praktycznie wegetarianką.

- Przyrządzają szczura z soi. Poddała się.

- Wrócę tylko po płaszcz.

- Cha, cha... - odezwał się jakiś głos ociekający jadowitym cynizmem.

Zerknęła w dół. Gaspode siedział za Marchewa i usiłował rzucać jej znaczące spojrzenia, a jednocześnie drapać się wściekle.

- Zeszłej nocy pogoniliśmy kota na drzewo - powiedział. - Ty i ja, rozumiesz? Może coś fy z tego fyło. Los zetknął nas razem, tak jakfy.

- Idź sobie!

- Słucham? - zdziwił się Marchewa.

- Nie ty. Ten pies. Marchewa obejrzał się.

- On? Przeszkadza ci? Taki miły mały piesek... - Hau, hau, herfatnik.

Marchewa odruchowo poklepał się po kieszeniach.

- Widzisz? - powiedział Gaspode. - Ten chłopak to żywy pan Prostaczek. Nie mam racji?

- Czy do krasnoludzkich lokali wpuszczają psy? - spytała Angua.

- Nie - zapewnił Marchewa.

- Złapał haczyk - stwierdził Gaspode.

- To brzmi obiecująco - uznała Angua. - Chodźmy.

- Wegetarianką - mruczał Gaspode, wlokąc się za nimi. - Coś podobnego.

- Zamknij się.

- Słucham? - nie zrozumiał Marchewa.

- Nic. Tylko głośno myślałam.

Poduszka Vimesa była twarda i zimna. Pomacał ją delikatnie. Była twarda i zimna, ponieważ nie była poduszką, ale blatem biurka. Miał wrażenie, że policzek przykleił mu się do drewna, ale nie miał ochoty zgadywać czym.

Nie zdołał nawet zdjąć z siebie pancerza.

Udało mu się za to odkleić jedno oko.

Pisał w swoim notesie. Próbował nadać wydarzeniom jakiś sens. A potem zasnął.

Która to była godzina? Lepiej nie pamiętać.

Odczytał z trudem:

„Skradziono z Gildii Skrytobójców: rusznic -> Młotokuj zabity.

Zapach fajerwerków. Bryłka ołowiu. Symbole alchymiczne. 2.

ciało w rzece. Klaun. Gdzie jego czerwony nos? Nie ma.”

Wpatrywał się w nabazgrane notatki.

Stałem na ścieżce, myślał. Nie muszę wiedzieć, dokąd prowadzi. Muszę tylko za nią podążać. Zawsze jest jakieś przestępstwo, jeśli dostatecznie dokładnie się go szuka. I są w nie zamieszani skrytobójcy.

Zbadaj każdy trop. Sprawdź każdy szczegół. Wyjaśnij sprawę.

Jestem głodny.

Wstał chwiejnie i spojrzał w popękane lustro nad miednicą.

Wydarzenia poprzedniego dnia sączyły się z wolna przez brudną gazę pamięci. Najważniejsza była twarz lorda Vetinari. Vimes rozzłościł się na samą myśl o nim. Jak spokojnie powiedział, że Vimesowi nie wolno się interesować kradzieżą z...

Vimes przyglądał się swemu odbiciu.

Coś ukłuło go w ucho i rozbiło szkło.

Vimes przyglądał się dziurze w tynku, otoczonej resztkami ramy. Dookoła spadały z brzękiem odłamki lustra.

Przez długą chwilę Vimes stał bez ruchu.

Wreszcie nogi, które doszły do wniosku, że mózg przebywa gdzie indziej, rzuciły resztę ciała na podłogę.

Znów coś brzęknęło i na biurku eksplodowała wypełniona do połowy butelka bearhuggera. Vimes nie pamiętał nawet, że ją kupował.

Popełzł na czworakach do ściany i stanął wyprostowany obok okna.

Obrazy przebiegały mu przez umysł. Martwy krasnolud. Dziura w ścianie...

Jakaś myśl zrodziła się gdzieś w zakamarkach mózgu i z wolna przeszła na czoło. Ściana była z desek i tynku, w dodatku stara. Przy odrobinie wysiłku można by ją przebić palcem. A bryła metalu...

Padł na podłogę jednocześnie ze stukiem, jakoś związanym z dziurą wybitą w ścianie z boku okna. W powietrze wzleciał pył rozbitego tynku.

Kusza stała oparta o mur. Vimes nie był ekspertem strzeleckim, ale po co miał być? Się celuje, się strzela. Przyciągnął kuszę do siebie, przewrócił się na plecy, wsunął nogę w strzemię i pociągnął cięciwę, aż wskoczyła na miejsce.

Potem przewrócił się znowu, przyklęknął na jedno kolano i wsunął bęł do rowka.

Katapulta - to na pewno katapulta. Nic innego. Być może zbudowana dla trolli. Ktoś na dachu opery albo gdzieś wysoko...

Odciągnąć ogień. Odciągnąć... Sięgnął po hełm i ustawił go na ostrzu drugiej strzały. Trzeba teraz przyklęknąć pod oknem i...

Zastanowił się. Potem przesunął się po podłodze do kąta, gdzie stał drąg z hakiem na końcu. Dawno temu używano go do otwierania górnych okien, teraz już zardzewiały na głucho.

Umieścił hełm na końcu, wcisnął się w kąt i z pewnym wysiłkiem przesunął drąg tak, żeby hełm wysunął się trochę nad para...

Stuk!

Drzazgi pofrunęły z tego miejsca podłogi, gdzie z pewnością sprawiłyby wiele przykrości komuś, kto leżałby pod oknem i ostrożnie podnosił na patyku hełm.

Vimes uśmiechnął się. Ktoś usiłował go zabić - no, tak pełen życia nie czuł się od dawna.

Ten ktoś był też odrobinę mniej inteligentny od swej ofiary. To cecha, o którą zawsze należy się modlić u potencjalnego zabójcy.

Vimes odrzucił drąg, chwycił kuszę, przeskoczył przed oknem, strzelił do niewyraźnego kształtu na dachu opery, jak gdyby bęł mógł pokonać taki dystans, przebiegł przez pokój i szarpnął drzwi. Coś uderzyło o framugę, kiedy zatrzaśkiwały się za nim.

Potem zbiegł tylnymi schodami, po dachu wychodka, w Pasaż Kostkowy, w górę tylnymi schodami Zorga, retrofrenologa* [przyp.: To działa tak: frenologia, jak wszyscy wiedzą, to metoda odczytywania charakteru, uzdolnień i umiejętności na podstawie badań guzów i zagłębień na głowie zainteresowanego. Zatem - według tej szczególnej logiki, jaka

charakteryzuje ankh-morporski umysł - możliwe powinno być kształtowanie czyjegoś charakteru przez wywoływanie starannie wymierzonych guzów w odpowiednich miejscach. Można zejść do pracowni i zamówić sobie temperament artystyczny z tendencją do introspekcji, plus dodatkową lekką histeryczność. To, co się naprawdę dostanie, to uderzenia w głowę zestawem młotków różnych rozmiarów, ale dzięki temu wzrasta zatrudnienie i pieniądze trafiają do obiegu, a to przecież najważniejsze.], do sali operacyjnej Zorga i do okna.

Zorgo i jego pacjent popatrzyli na Vimesa z zaciekawieniem.

Dach był pusty. Vimes odwrócił się i spojrzał w dwie pary zdziwionych oczu.

- Dzień dobry, kapitanie Vimes - odezwał się retrofrenolog, wznosząc w dużej dłoni młotek.

Vimes uśmiechnął się szaleńczo.

- Zdawało mi się... - zaczął, po czym odetchnął i dokończył: - że zauważyłem na dachu rzadki okaz motyla.

Troll i jego pacjent przyglądali się cierpliwie.

- Ale go nie było. Vimes podszedł do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzałem - dodał jeszcze i wyszedł. Pacjent Zorga spoglądał za nim.

- Czy on nie miał kuszy? - zdziwił się. - Trochę nietypowe biegać tak z kuszą za rzadkimi okazami motyli.

Zorgo poprawił siatkę na łysej głowie pacjenta.

- Nie wiem - powiedział. - Pewnie w ten sposób można je powstrzymać przed wywoływaniem tych wszystkich sztormów. - Znowu podniósł młotek. - Czym się dzisiaj zajmiemy? Stanowczość, tak?

- Tak. Chociaż raczej nie. Nie wiem.

- W porządku. - Zorgo wycelował. Po czym zapewnił absolutnie prawdziwie: - To nie będzie bolało trochę.

To było coś więcej niż tylko delikatesy - raczej coś w rodzaju krasnoludziego ośrodka kulturalnego i miejsca spotkań. Gwar głosów ucichł, kiedy weszła Angua, zgięta niemal wpół, ale rozbrzmiał znowu, trochę głośniejszy i z kilkoma śmiechami, kiedy zjawił się Marchewa. Pomachał wesoło do pozostałych klientów.

Potem starannie odstawił dwa krzesła. Kiedy człowiek usiadł na podłodze, mógł z trudem utrzymać pozycję wyprostowaną.

- Bardzo miły lokal - powiedziała Angua. - Etniczny.

- Często tu bywam - odparł Marchewa. - Jedzenie jest niezłe, no i oczywiście zawsze warto słuchać, co w trawie piszczy.

- Tutaj na pewno jest to o wiele łatwiejsze - roześmiała się Angua.

- Słucham?

- No... Chciałam powiedzieć, że ziemia jest tu... o wiele... bliżej. Czuła, jak z każdym słowem szerzej otwiera się otchłań. Poziom hałasu nagle znów opadł.

- Ehm... - Marchewa patrzył na nią nieruchomo. - Jak by to wyrazić? Ludzie tutaj mówią po krasnoludzku... ale słuchają po człowieczemu.

- Przepraszam.

Marchewa uśmiechnął się, po czym skinął na kucharza za ladą i głośno odkaszlnął.

- Gdzieś chyba mam cukierki na gardło... - zaczęła Angua.

- Zamawiałem śniadanie.
- Znasz menu na pamięć?
- Tak. Ale jest też wypisane na ścianie.

Angua obejrzała się i spojrzała na to, co uznała początkowo za przypadkowe kreski.

- To oggamiczny - wyjaśnił Marchewa. - Starożytne i poetyckie pismo runiczne, którego początki giną w mroku czasu. Uważa się jednak, że zostało wymyślone jeszcze przed bogami.

- O rany... I co tam jest napisane?

Marchewa znowu odkasznął, tym razem naprawdę.

- Kiełbaska z jajkiem, fasolką i szczurem 12 pensów, kiełbaska ze szczurem i bekonem 10 pensów, szczur w śmietanie* [przyp.: Szczur w śmietanie to tylko jedno ze słynnych dyskowych dań, serwowanych w kosmopolitycznym Ankh-Morpork. Jak sugeruje opublikowany przez Gildię Kupców przewodnik „Witajcie w Ankh-Morpork, Grodzie Tysiąca Niespodzianek”, „w dobrze zaopatrzonych lokalach miasta pytajcie też o opadek, dżemowe diabły, plamiak fikkuński, cierpiący pudding, skrzepły kluch* [przyp.: Nie należy go mylić z pewną szkocką potrawą o podobnej nazwie. Szkocki kluch to rodzaj łojowej zapiekanki nadzianej owocami. Wersja ankh-morporska spoczywa na języku jak najłżejsza beza, a w żołądku jak betonowa kula bilardowa.] i nieodzowny kostkowy sandwicz z najlepszych świńskich kostek. Nie na darmo powiada się, że kto chce poznać prawdziwy smak Ankh-Morpork, musi spróbować kostkowego sandwicza”.] 9 pensów, szczur z fasolką 8 pensów, szczur z keczupem 7 pensów, szczur 4 pensy.

- Dlaczego keczup kosztuje prawie tyle co szczur?

- A próbowałaś kiedyś szczura bez keczupu? Zresztą zamówiłem ci chleb krasnoludów. Jadłaś już kiedyś chleb krasnoludów?

- Nie.

- Każdy powinien raz spróbować - oświadczył Marchewa. -Większość tak robi - dodał.

Trzy i pół minuty od przebudzenia kapitan Samuel Vimes z Nocnej Straży chwiejnie pokonał ostatnie stopnie wiodące na dach budynku opery miejskiej, dysząc ciężko do wtóru „allegro ma non troppo”.

Potem oparł się o mur i słabo pomachał przed sobą kuszą. Na dachu nie było nikogo. Widział tylko ołowiane dachówki; rozciągały się przed nim i spijały ciepło poranka. Już teraz było prawie za gorąco, żeby się poruszać.

Kiedy poczuł się trochę lepiej, zajrzał za parę kominów i poszperał wokół świetlików. Ale z dachu w dół prowadziło kilkanaście dróg, a tysiące zakamarków pozwalały się ukryć.

Z dachu wyraźnie widział swój pokój. Właściwie mógł stąd zajrzeć do większości pokoi w mieście. Katapulta... nie...

Co tam. Przynajmniej byli świadkowie. Podeszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół.

- Hej tam! - zawołał. Mrugnął. Od ziemi dzieliło go sześć pięter, co nie jest widokiem, który można oglądać na pusty, niedawno opróżniony żołądek.

- Hm... Czy mógłbyś wejść tutaj, jeśli można prosić?

- Już ię roi.

Vimes cofnął się. Zgrzytnął kamień i gargulec z wysiłkiem podciągnął się na parapet; poruszał się jak tania animacja poklatkowa.

Vimes niewiele wiedział o gargulcach. Marchewa wspominał kiedyś o tym, jakie są wspaniałe. Mówił, że to miejska odmiana trolli, która

wyewoluowała w symbiotycznym związku z rynnami, i że podziwia sposób, w jaki przepuszczają ściekającą wodę przez uszy do gęstych sit w paszczach. Były prawdopodobnie najdziwniejszymi stworzeniami na Dysku* [przyp.: Błąd. Vimes rzadko podróżował inaczej niż pieszo, więc nic nie wiedział o samobójczym drożdżu z Lancre ani o śledzącym lemacie, który istnieje tylko w dwóch wymiarach i pożera matematyków, ani o kwantowym motylu meteorologicznym. Możliwe jednak, że najdziwniejszym, a także najsmutniejszym gatunkiem w świecie Dysku jest słoń pustelnik. Zwierzę to, pozbawione grubej skóry, jaka chroni jego bliskich krewniaków, żyje w chatach. Gdy rośnie, przeprowadza się i stawia przybudówki. Znane są przypadki wędrowców na równinach Howondalandu, którzy budzili się rankiem pośrodku wioski, choć wieczorem jeszcze jej nie było.]. Na budynkach skolonizowanych przez gargulce ptaki rzadko zakładały gniazda, a nietoperze zwykle omijały takie domy w locie.

- Jak ci na imię, przyjacielu?

- Gyms-ad-Oad-Ayem.

Vimes poruszył ustami, próbując w pamięci dołączyć dźwięki niedostępne istocie o trwale otwartej paszczy. Gzysms nad Broad Wayem. Osobista tożsamość gargulca wiązała się bezpośrednio z jego zwykłym miejscem pobytu, jak u skałoczepa.

- Posłuchaj mnie, Gzysmsie - powiedział. - Wiesz, kim jestem?

- E - odparł posępnie gargulec.

Vimes skinął głową. Taki ktoś siedzi na dachu niezależnie od pogody i przepuszcza komary przez uszy. Pewnie nie ma notesu wypełnionego adresami. Nawet szczeżuja ma więcej znajomych.

- Jestem kapitan Vimes ze Straży Miejskiej. Gargulec postawił uszy na sztorc.

- A. Uka an ana Archey?

Vimes rozpracował również tę wypowiedź i zamrugał.

- Znasz kaprala Marchewę?

- O ak. Yscy ają Archeę.

Vimes parsknął. Wychowałem się tutaj, pomyślał. A kiedy idę ulicą, wszyscy pytają tylko: Kim jest ten smętny frajer? Marchewa przybył do miasta parę miesięcy temu i wszyscy go znają. I on też zna wszystkich. Wszyscy go lubią. Pewnie by mnie to złościło, gdyby nie był taki sympatyczny.

- Cały czas tkwisz tu na górze - powiedział głośno, zaciekawiony mimo ważniejszych spraw, jakie go dręczyły. - Skąd znasz Archeę... Marchewę?

- Rzychozi u asay i rozaia z ai.

- Oażnie?

- Ak.

- Czy jeszcze ktoś był tutaj? Przed chwilą?

- Ak.

- Widziałeś, kto to był?

- E. Ostai i nogę a goie. I yścił ajererki. Idziaem go ote jak iekał uicą Olo-ernesa.

Ulicą Holofernesa, przetłumaczył Vimes. Ktokolwiek to był, odbiegł już daleko.

- Ał hij - dodał Gzyms bez dodatkowych pytań. - Ajererkoy hij.

- Co?

- Ajererk. E an. Ang! Iskry! Rakiey! Ang!

- Aha, fajerwerki.

- Ak. Ecież óile.
- Fajerwerkowy kij? Taki jak... do wystrzeliwania rakiet?
- E, y ijoto! Hij. Elujesz i roi ang.
- Celujesz i robi bang?
- Ak!

Vimes poskrobał się po głowie. Opis pasował do laski maga. Ale one nie robią bang.

- No cóż... Bardzo ci dziękuję. Byłeś... arzo oocny.

Zawrócił do schodów.

Ktoś próbował go zabić.

A patrycjusz zakazał prowadzenia śledztwa w sprawie kradzieży z Gildii Skrytobójców. Kradzieży, powiedział.

Do tamtej chwili Vimes nie był nawet pewien, że nastąpiła jakaś kradzież.

Działa oczywiście prawo przypadku. Odgrywa o wiele większą rolę w procedurach dochodzeniowych, niż narracyjna przyczynowość skłonna jest przyznać. Na każdą zagadkę morderstwa, rozwiązana dzięki starannemu odkryciu kluczowego śladu stopy czy niedopałka papierosa, setka pozostaje nierozwiązana, ponieważ wiatr przewiał trochę liści w niewłaściwe miejsce albo zeszłej nocy nie padało. Tak wiele spraw udaje się rozwiązać dzięki szczęśliwemu przypadkowi - nieplanowanemu zatrzymaniu samochodu, podsłuchanej uwadze, temu, że ktoś odpowiedniej narodowości przebywał akurat w promieniu pięciu mil od miejsca zbrodni i nie miał alibi...

Nawet Vimes zdawał sobie sprawę ze znaczenia przypadku.

Brzęknęło, kiedy zaczepił sandałem o coś metalowego.

- A tutaj - mówił Marchewa - jest słynny łuk tryumfalny upamiętniający bitwę pod Crumhorn. Chyba ją wygraliśmy. Wyrzeźbiono na nim ponad dziewięćdziesiąt posągów wielkich żołnierzy. To bardzo ciekawy zabytek.

- Powinni tu ustawić statusa dla księgowych - odezwał się psi głos za Anguą. - To była pierwsza fitwa we wszechświecie, gdzie nieprzyjaciół dał się przekonać, że sprzedaje swoją fron.

- No więc gdzie on jest? - spytała Angua, wytrwale ignorując Gaspode'a.

- No tak. To pewien problem - odparł Marchewa. - Przepraszam, panie Scant. To jest pan Scant, oficjalny Strażnik Pomników. Zgodnie z prastarą tradycją jego pensja wynosi jeden dolar rocznie plus nowa kamizelka w każdy Dzień Strzeżenia Wiedźm.

Na skrzyżowaniu dróg siedział na stołku starszy mężczyzna w kapeluszu zsuniętym na oczy. Uniósł go teraz.

- Witam, panie Marchewa. Chce pan pewnie obejrzeć łuk tryumfalny, co?

- Jeśli można. - Marchewa zwrócił się do Anguy. - Niestety, sam projekt i budowę powierzono Bezdennie Głupiemu Johnsonowi.

Staruszek wyjął z kieszeni tekturowe pudełko i z szacunkiem uniósł pokrywkę.

- Gdzie jest?

- O tutaj. - Marchewa pokazał palcem. - Za tym kawałkiem waty.

- Och.

- Obawiam się, że zdaniem pana Johnsona dokładne wymiarowanie to

coś, co zdarza się wyłącznie innym.

Pan Scant zamknął pokrywkę.

- Zbudował też Memoriał Quirmski, wiszące ogrody Ankh i Kolosa z Morpork.

- Kolosa z Morpork?

Pan Scant uniósł chudy palec.

- Chwileczkę - powiedział. - Nie odchodźcie. - Poklepywał kieszenie. - Gdzieś go tu miałem...

- Czy ten człowiek zaprojektował kiedyś coś sensownego?

- Cóż, zaprojektował ozdobny komplet do przypraw dla Snapcase'a Obłąkanego - wyjaśnił Marchewa, kiedy oddalali się już od stanowiska pana Scanta.

- I udało mu się jak należy?

- Niezupełnie. Wiąże się z tym pewna ciekawostka: cztery rodziny mieszkają w solniczce, a pieprzniczki używamy do magazynowania ziarna.

Angua uśmiechnęła się. Ciekawostka... Marchewa znał mnóstwo ciekawostek na temat Ankh-Morpork. Miała wrażenie, że unosi się na ich wzburzonym morzu. Spacer po ulicach z Marchewa był niczym trzy wycieczki z przewodnikiem naraz.

- A tutaj - podjął Marchewa - stoi Gildia Żebraków. To najstarsza z gildii. Mało kto wie o tym.

- Naprawdę?

- Ludzie uważają, że najstarsi są skrytobójcy albo błazny. Zapytaj kogokolwiek. Powie ci: „najstarszą gildią w Ankh-Morpork jest z całą pewnością Gildia Błaznów albo Gildia Skrytobójców”. Ale to nieprawda. Obie powstały stosunkowo niedawno. Za to Gildia Żebraków działa od

wieków.

- Naprawdę? - spytała słabym głosem Angua.

W ciągu minionej godziny dowiedziała się o Ankh-Morpork więcej, niż rozsądny człowiek chciałby wiedzieć. Niejasno podejrzewała, że Marchewa próbuje się do niej zalecać. Ale zdawało się, że zamiast zwykłych kwiatów czy czekoladek usiłuje wręczyć jej elegancko opakowane całe miasto.

I wbrew wszelkim instynktom czuła, że jest zazdrosna.

O miasto! Bogowie, przecież znam go dopiero od paru dni!

Chodziło chyba o to, jak traktował to miejsce. Człowiek oczekiwał niemal, że lada chwila zaintonuje piosenkę z podejrzanymi rymami i sformułowaniami typu „miasto, moje miasto” czy „tylko tutaj jest mój dom”. Taką piosenkę, przy której ludzie tańczą na ulicach, dają śpiewakowi jabłka i przyłączają się do chóru, przy której kilkanaście skromnych dziewczynek z zapalkami wykazuje się nagle zadziwiającym talentem choreograficznym, a wszyscy zachowują się jak mili, weseli obywatele, a nie jak mordercze, złośliwe i egoistyczne indywidua, jakimi są we własnej opinii. Jednak najciekawsze jest to, że gdyby Marchewa zaczął śpiewać coś takiego, ludzie rzeczywiście by się przyłączyli. Marchewa potrafiłby nawet kamienny krąg skłonić do ustawienia się za nim w szeregu i odtączenia rumby.

- Na głównym dziedzińcu stoją bardzo interesujące posągi, w tym Jimiego, boga żebraków. Pokażę ci. Nie będzie im to przeszkadzać.

Zastukał do drzwi.

- Wcale nie musisz... - zaprotestowała Angua.

- To żaden kłopot.

Drzwi się otworzyły.

Nozdrza Anguy rozszerzyły się nagle. Ten zapach...

Jakiś żebrak zmierzył Marchewę wzrokiem i otworzył usta.

- Drętwy Michael, tak? - zapytał uprzejmie Marchewa. Drzwi się zatrzasnęły.

- To nie było uprzejme - zauważył.

- Cuchnie, co? - odezwał się złośliwy głos za plecami Angui. Nie miała ochoty przyznawać, że zauważa obecność Gaspode'a, jednak uświadomiła sobie, że kiwa głową. Co prawda żebracy produkowali cały bukiet odorów, jednak drugim co do wyrazistości zapachem był strach. A najsilniejszym - zapach krwi. Miała ochotę krzyczeć, gdy go wyczuła.

Zza drzwi usłyszeli gwar wielu głosów i w końcu znów im otworzono.

Tym razem wewnątrz ukazał się spory tłumek żebraków. Wszyscy patrzyli na Marchewę.

- No dobrze, wasza wysokość - odezwał się ten, którego Marchewa nazwał Drętwym Michaeliem. - Poddajemy się. Skąd wiedzieliście?

- Skąd wiedzieliśmy c... - zaczął Marchewa, ale Angua szturchnęła go mocno.

- Ktoś tu został zabity - oświadczyła.

- Kim ona jest? - spytał Drętwy Michael.

- Młodsza funkcjonariusz Angua to człowiek straży - wyjaśnił Marchewa.

- Cha, cha - odezwał się Gaspode.

- Muszę przyznać, że jesteście coraz lepsi - stwierdził Drętwy Michael.
- Znaleźliśmy biedactwo ledwie parę minut temu.

Angua czuła, że Marchewa otwiera już usta, by spytać: „Kogo?”. Znów go szturchnęła.

- Lepiej zaprowadźcie nas do niego. „On” okazał się...

Przed wszystkim okazał się nią. W zasłanym łachmanami pokoju na najwyższym piętrze.

Angua przyklęknęła obok ciała. Wyraźnie było już tylko ciałem. Z pewnością nie osobą. Osoba ma zwykle więcej głowy na ramionach.

- Dlaczego? - spytała bezradnie. - Kto mógłby zrobić coś takiego?

Marchewa zwrócił się do stłoczonych przy drzwiach żebraków.

- Kim ona była?

- Letycja Knibbs - odparł Drętwy Michael. - Była pokojówką królowej Molly.

Angua spojrzała na Marchewę.

- Królowej?

- Czasami nazywają głównego żebraka królem albo królową - wyjaśnił. Oddychał ciężko.

Angua okryła ciało pokojówki jej aksamitnym płaszczem.

- Zwykła pokojówka - mruknęła.

Na środku pokoju stało wielkie zwierciadło, a przynajmniej jego rama. Odłamki lustra leżały dookoła niczym cekiny. A także szkło z okiennej szyby.

Marchewa odsunął je nogą. Pod nimi w podłodze wryty był rowek, a na jego końcu wbiło się w deski coś metalowego.

- Drętwy Michaelu, potrzebny mi gwóźdź i kawałek sznurka - powiedział wolno i wyraźnie. Ani na moment nie odrywał wzroku od kawałka metalu, jakby się spodziewał, że nagle się poruszy.

- Chyba nie... - zaczął żebrak.

Marchewa wyciągnął rękę i nie patrząc, na pozór bez wysiłku, podniósł go za brudny kołnierz.

- Kawałek sznurka - powtórzył. - I gwóźdź.

- Tak jest, panie kapralu.

- A cała reszta niech się wyniesie - poleciła Angua. Wytrzeszczyli oczy.

- No już! - krzyknęła, zaciskając pięści. - I przestańcie się na nią gapić.

Żebracy zniknęli.

- Trochę potrwa, zanim znajdą sznurek - rzucił Marchewa. -Rozumiesz, muszą go od kogoś wyżebrać.

Wyjął nóż i zaczął ostrożnie dłubać w podłodze. W końcu wydobył bryłkę metalu, spłaszczoną trochę przelotem przez okno, lustro, deskę i pewne części zmarłej tragicznie Letycji Knibbs, które nie zostały stworzone, by oglądać światło dnia.

Przez chwilę obracał ją w palcach.

- Angua...

- Słucham.

- Skąd wiedziałaś, że ktoś tu zginął?

- Ja... miałam przeczucie.

Żebracy wrócili - tak zdenerwowani, że kilku próbowało razem nieść kawałek sznurka.

Marchewa wbił gwóźdź w ramę okienną pod wybitą szybą i przywiązał do niego jeden koniec. Wbił nóż w rowek na podłodze i umocował do niego drugi. Potem położył się i spojrzał wzdłuż sznurka.

- Bogowie...
- Co się stało?
- To musiało wpaść z dachu opery.
- Tak? I co?
- To ponad sto sążni stąd.
- Tak?
- I to coś wbiło się na cal w dębową deskę podłogi.
- Czy znałeś wcześniej tę... dziewczynę? - spytała Angua i natychmiast poczuła zakłopotanie.
- Właściwie nie.
- Myślałam, że znasz wszystkich.
- Była po prostu kimś, kogo czasem widywałem. W mieście jest mnóstwo ludzi, których czasem widzisz.
- A po co żebrakom służba?
- Chyba nie sądzisz, moja droga, że włosy robią mi się takie sanie z siebie?

W drzwiach stanęła zjawa. Jej twarz była masą wrzodów. Miała kurzajki, i one też miały kurzajki, a na tych rosły włoski. Zjawa była prawdopodobnie kobietą, choć trudno było to stwierdzić pod warstwami łąchmanów. Wspomniane wcześniej włosy sprawiały wrażenie, że trwały ondulację zrobił im huragan. Z palcami lepкими od melasy.

Zjawa wyprostowała się nagle.

- Och... To kapral Marchewa. Nie wiedziałam, że to pan.

Głos brzmiał teraz normalnie, bez śladu lęklivosti czy błagalnego tonu. Postać odwróciła się i mocno uderzyła swoim kijem w coś stojącego na korytarzu.

- Niegrzeczny Śliniący Sidney! Mogłeś mnie uprzedzić, że to kapral Marchewa!

- Auu!

Postać wkroczyła do pokoju.

- A kim jest pańska przyjaciółka, panie Marchewa?

- To młodsza funkcjonariusz Angua. Anguo, to Molly, królowa żebraków.

Chociaż raz, jak zauważyła Angua, ktoś nie zdziwił się, widząc kobietę w straży. Królowa Molly skinęła jej głową jak jedna pracująca kobieta drugiej. Gildia Żebraków dbała o równouprawnienie przy niezatrudnianiu.

- Dzień dobry. Czy poratuje pani nędzarkę dziesięcioma tysiącami dolarów na niewielką rezydencję?

- Nie.

- Tylko pytałam.

Królowa Molly szturchnęła kijem płaszcz.

- Co to było, kapralu?

- Myślę, że jakaś nowa broń.

- Usłyszeliśmy brzęk szkła, a potem ona już tak leżała - wyjaśniła Molly. - Po co ktoś chciałby ją zabijać?

Marchewa przyjrzał się aksamitnemu płaszczowi.

- Czyj to pokój? - zapytał.

- Mój. To moja garderoba.

- Więc ten, kto to zrobił, nie chciał jej zabić. Celował w panią, Molly. Jedni w łańchmanach, drudzy w kajdanach, a jeden w aksamicie”. Tak stanowi wasz statut, prawda? Oficjalny kostium przywódcy żebraków. Prawdopodobnie nie mogła się powstrzymać, żeby nie przymierzyć. Właściwa szata, właściwy pokój. Niewłaściwa osoba.

Molly zasłoniła usta dłonią, ryzykując natychmiastowe ciężkie zatrucie.

- Skrytobójstwo? Marchewa pokręcił głową.

- To do nich nie pasuje. Wolą takie rzeczy robić z bliska. To profesja dbająca o tradycje.

- Co mam teraz robić?

- Na początek całkiem rozsądne będzie pochowanie tej biedaczki.

Marchewa przewrócił w palcach metalową bryłkę. Potem ją powąchał.

- Fajerwerki - oznajmił.

- Tak - zgodziła się Angua.

- I co macie zamiar z tym zrobić? - zapytała Molly. - Jesteście strażnikami, prawda? Co się tu dzieje? Jak chcecie rozwiązać tę sprawę?

Cuddy i Detrytus przechadzali się wzdłuż Drogi Fedry. Wznosiły się przy niej garbarnie, ceglarnie i tartaki; powszechnie nie uznawano jej za jedną z piękniejszych ulic i pewnie dlatego - jak podejrzewał Cuddy - wysłano ich tu na patrol. „Żeby poznali miasto”. Dzięki temu nie wchodzili nikomu w drogę. Sierżant Colon uważał, że przez nich komisariat wygląda nieporządnie.

Nie słychać było żadnego dźwięku prócz stukania ich butów i obijania kostek palców Detrytusa o bruk. Wreszcie odezwał się Cuddy:

- Chcę, żebyś wiedział. Nie podoba mi się, że mnie z tobą posłali, tak samo jak tobie się nie podoba, że cię posłali ze mną.

- Właśnie!

- Więc skoro musimy sobie jakoś radzić, trzeba dokonać pewnych zmian. Jasne?

- Jakich?

- Takich, że to przecież śmieszne, żebyś nawet nie umiał liczyć. Przecież wiem, że trolle umieją liczyć. Dlaczego ty nie potrafisz?

- Umiem liczyć!

- No to ile palców pokazuję? Detrytus wytrzeszczył oczy.

- Dwa?

- Dobrze. A teraz ile?

- Dwa... i jeszcze jeden...

- A dwa i jeszcze jeden to razem...

Detrytusa zaczęła ogarniać panika. Wchodzili w obszar rachunków...

- Dwa i jeszcze jeden to trzy - tłumaczył Cuddy.

- Dwa i jeszcze jeden to trzy.

- A teraz ile?

- Dwa i dwa.

- To cztery.

- Czter-ry.

- A teraz? - Cuddy spróbował z ośmioma palcami.

- Dwacztery.

Cuddy zdziwił się nieco. Oczekiwał raczej „dużo”, a być może „mnóstwo”.

- Co to znaczy dwacztery?

- Dwa i dwa, i dwa, i dwa. Cuddy przekrzywił głowę.

- Hmm - mruknął. - Zgadza się. Ale my dwacztery nazywamy osiem.

- Osiem.

- Wiesz... - Cuddy obrzucił trolla krytycznym spojrzeniem. - Może i nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. To nie takie trudne. Zastanówmy się... To znaczy ja się zastanowię, a ty możesz dołączyć, kiedy poznasz odpowiednie słowa.

Vimes zatrzasnął za sobą drzwi komisariatu. Sierżant Colon uniósł głowę znad biurka - miał bardzo zadowoloną minę.

- Co się tu działo, Fred? Colon nabrał tchu.

- Ciekawe rzeczy, kapitanie. Ja i Nobby podetektowaliśmy trochę w Gildii Błaznów. Zapisalem wszystko, cośmy znaleźli. Wszystko tu jest. Raport jak się patrzy.

- Świetnie.

- Wszystko tu zapisane, proszę spojrzeć. Bardzo porządnie, z terpunkcją i w ogóle.

- Dobra robota.

- Ma przecinki i wszystko. Proszę.

- Jestem pewien, że będę zachwycony, Fred.

- A ci... A Cuddy i Detrytus też trochę znaleźli. I Cuddy napisał raport. Ale nie ma w nim tylu terpunkcji co u mnie.

- Jak długo spałem?

- Sześć godzin.

Vimes bezskutecznie usiłował znaleźć w umyśle miejsce na to wszystko.

- Muszę wlać coś w siebie - oświadczył. - Kawę albo co. Wtedy może świat stanie się lepszy.

Każdy, kto zabłądziłby na Drogę Fedry, musiałby zauważyć trolla i krasnoluda, którzy krzyczeli na siebie gorączkowo. - Dwa-trzydzieści dwa i osiem, i jeden!

- Widzisz? A ile jest cegieł w tym stosie? Chwila milczenia.

- Szesnaście, osiem, cztery, jeden.

- Pamiętasz, co mówiłem o dzieleniu przez osiem-i-dwa? Dłuższa chwila milczenia.

- Dwa-dzieścia dziewięć...?

- Świetnie.

- Świetnie!

- Radzisz sobie!
- Radzę sobie!
- Masz naturalny talent w liczeniu do dwóch.
- Mam naturalny talent w liczeniu do dwóch!
- Jeśli umiesz policzyć do dwóch, możesz policzyć wszystko.
- Jeśli umiem policzyć do dwóch, mogę policzyć wszystko!
- A wtedy świat jest dla ciebie mięczakiem.
- Moim mięczakiem? Co to mięczak?

Angua musiała podbiegać, żeby dotrzymać kroku Marchewie.

- Nie zamierzasz obejrzeć budynku Opery? - zapytała.
- Później. Ten, kto był na dachu, z pewnością dawno już zniknie, zanim tam dotrzemy. Trzeba powiedzieć kapitanowi.
- Myślisz, że zabiło ją to samo co Młotokuja?
- Tak.

- Jest... dziewięć ptaków. - Zgadza się. - Jest... jeden most.
- Zgadza się.
- Jest... cztery-dziesięć łodzi.

- Brawo.

- Jest... jeden tysiąc. Trzy-sto. Sześć-dziesiąt. Cztery cegły.

- Tak.

- Jest...

- Na twoim miejscu zrobiłbym sobie przerwę. Nie chcesz chyba zużyć wszystkiego takim liczeniem...

- Jest... jeden uciekający człowiek.

- Co? Gdzie?

Kawa Shama Hargi przypominała roztopiony ołów, ale jedno przemawiało na jej korzyść: kiedy człowiek ją wypił, ogarniało go uczucie niezwykłej ulgi, że dotarł do dna kubka.

- To był zdecydowanie okropny kubek kawy, Sham - stwierdził Vimes.

- Fakt - zgodził się Harga.

- Wiesz, wypilem w życiu sporo paskudnej kawy, ale teraz miałem wrażenie, że ktoś przeciągnął mi piłą po języku. Długo się gotowała?

- A którego dziś mamy? - spytał Harga, czyszcząc szklankę. Harga na ogół czyścił szklanki. Nikt nigdy nie odkrył, co się dzieje z czystymi.

- Piętnasty sierpnia.

- Którego roku?

Sham Harga uśmiechnął się, a przynajmniej poruszył rozmaitymi mięśniami wokół ust. Od wielu lat jego jadłodajnia cieszyła się

popularnością, ponieważ zawsze się uśmiechał, nigdy nie udzielał kredytu i był świadom, że większość klientów życzy sobie w posiłku odpowiedniego zrównoważenia czterech głównych składników odżywczych: cukru, skrobi, tłuszczu i spalonych, chrupiących kawałeczków.

- Zjadłbym ze dwa jajka - powiedział Vimes. - Z żółtkami całkiem na twardo, ale białkiem tak rzadkim, że ścieka jak syrop. I z bekonem, ale tym specjalnym bekonem pokrytym odłamkami kości i z wiszącymi kawałkami tłuszczu. I kromkę smażonego chleba, wiesz, takiego, że na sam widok arterie się czopują.

- Ciężkie zamówienie - ocenił Harga.

- Wczoraj dałeś radę. I nalej mi jeszcze kawy. Czarnej jak bezksiężycowa noc.

Harga zdziwił się. Takie porównanie jakoś do Vimesa nie pasowało.

- To znaczy jak czarnej? - zapytał.

- No, chyba bardzo czarnej.

- Niekoniecznie.

- Co?

- W bezksiężycową noc jest więcej gwiazd. To rozsądne. Lepiej je widać. Taka bezksiężycowa noc może być całkiem jasna.

Vimes westchnął ciężko.

- Pochmurna bezksiężycowa noc? - zaproponował. Harga z uwagą zajrzał do imbryka.

- Cumulusy czy cirrostratusy?

- Słucham? Co powiedziałaś?

- Cumulusy wiszą dość nisko, więc odbijają się w nich światła miasta.

Z drugiej strony nawet na dużych wysokościach zdarzają się warstwy kryształków lodu...

- Bezksiężycowa noc - powtórzył głuchym głosem Vimes. -Która jest tak czarna jak ta kawa.

- Już się robi.

- I pączka. - Vimes chwycił Hargę za poplamioną kamizelkę i przyciągnął do siebie, aż stanęli nos w nos. - Pączka tak pączkowatego jak pączek zrobiony z mąki, wody, jednego dużego jaja, cukru, szczypty drożdży, cynamonu do smaku i nadzienia z dżemu, galaretki albo szczura, zależnie od lokalnych lub gatunkowych upodobań. Jasne? Nie tak pączkowały jak coś dowolnie metaforycznego. Zwykły pączek. Jeden.

- Pączek?

- Tak.

- Wystarczyło poprosić.

Harga otrzepał kamizelkę, rzucił Vimesowi urażone spojrzenie i wyszedł na zaplecze.

- Stój! W imieniu prawa! - A jak prawo ma na imię?

- Właściwie dlaczego go gonimy? - Bo ucieka!

Cuddy był strażnikiem dopiero od kilku dni, jednak przyswoił już sobie pewien ważny i podstawowy fakt: jest praktycznie niemożliwe, by ktokolwiek przebywał na ulicy, nie łamiąc prawa. Policjant, który chciałby spędzić jakiś czas na rozmowie z obywatelem, ma do dyspozycji cały zestaw wykroczeń. Obejmują zakres od Włóczęgostwa z Zamiarem, poprzez Utrudnianie, aż po Ociąganie się, Będąc Niewłaściwego Koloru/Kształtu/Gatunku/Płci. Przyszło mu do głowy, że ktoś, kto nie rzuca

się do ucieczki, widząc Detrytusa, który pędzi, podpierając się dłońmi, jest prawdopodobnie winny naruszenia Ustawy o Byciu Nieszczęsnym Durniem z 1581 roku. Było już jednak za późno, żeby brać to pod uwagę. Ktoś uciekał, a oni go ścigali. Ścigali go, ponieważ uciekał, a uciekał, ponieważ go ścigali.

Vimes siedział nad swoją kawą i oglądał dziwny przedmiot, który znalazł na dachu. Wyglądał jak wąska fletnia Pana, pod warunkiem że Pan ograniczyłby się tylko do sześciu nut, wszystkich jednakowych. Rurki były wykonane ze stali i zlutowane razem. Z boku umieszczono grzebieniowaty pasek metalu, jakby rozwinięte kółko zębate, a całość cuchnęła fajerwerkami. Kapitan Vimes ostrożnie ułożył to coś obok talerza. Przeczytał raport sierżanta Golona. Fred Colon siedział nad nim długo i prawdopodobnie ze słownikiem. Raport brzmiał:

„Raport sierż.. F. Golona. Ok. godz. 10.00 dzisiaj, 15 sierpnia, udałem się z towarzystwem kaprała C. W. St. J. Nobbsa do Gildii Błaznów i Trefnisiów przy ul. Boskiej. Tam nawiązaliśmy rozmowę z klaunem Boffo, który zeznał, że klaun Fasollo, corpus derelicti, był stanowczo zauważony przez niego, kiedy opuszczał Gildię poprzedniego ranka, zaraz po eksplozji. (To zwykła bzdura, moim zdaniem, a to dlatego, że „szytywniak nie żył już od dwóch dni, kpr. C. W. St. J. Nobbs zgadza się, więc ktoś tu opowiada głodne kawałki, nie można wierzyć facetowi, który dla chleba ląduje na tyłku”). Następnie spotkał się z nami dr Białolicy i o mało co nie dał nam derriere velocite z Gildii. Wydawało się nam, mnie i kpr. C. W. St. J. Nobbsowi, że błazny się martwią, że to byli skrytobójcy, ale nie wiemy czemu. Dodatkowo klaun Boffo tłumaczył, że mamy szukać nosa Fasollo, ale on miał nos, kiedyśmy go tu widzieli, więc spytaliśmy Boffa, czy chodzi o sztuczny nos, na co on zeznał, że o prawdziwy, a teraz znikajcie. Po czym wróciliśmy tutaj.”

Vimes domyślił się, co znaczy „derriere velocite”. Cała ta sprawa z nosem wydawała się zagadką opakowaną w tajemnicę, a przynajmniej w ręczne pismo sierżanta Golona, co praktycznie wychodziło na jedno. Czemu kazał im szukać nosa, który nie zginął?

Zajrzał do raportu Cuddy’ego, spisanego równym, kanciastym charakterem kogoś bardziej przyzwyczajonego do run. I do sag.

„Kapitanie Vimes, oto czytasz kronikę czynów moich, młodszego funkcjonariusza Cuddy ‘ego. Jasny był ranek i serca nasze radośnie były, kiedy się do Gildii Alchemików udaliśmy, a co się tam stało, pieśń ma opowie. Między innymi o wybuchających kulach. A co do misji, z jaką posłać nas zechciałeś, rzekli nam, że na dołączonym kawałku papieru (dołączam) pismo jest Leonarda z Quirmu, który zaginął w tajemniczych okolicznościach. Mówi tam, jak zrobić proszek zwań Proszkiem Nr 1, używany w fajerwerkach. Pan Silverfish alchemik twierdzi, że wszyscy alchemicy go znają. Takż na marginesie napis głosi: Rusznic, ponieważ spytałem kuzyna mego Grabpota o Leonarda, a on kiedyś sprzedawał mv farby, więc rozpoznał pismo. Rzekł mi on, iż Leonard zawsze pisał od tyłu, jako że był geniuszem. Co skopiowałem w załączeniu.”

Vimes odłożył oba dokumenty i przycisnął je znalezionym kawałkiem metalu. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął kilka ołowianych bryłek.

Kij, powiedział gargulec.

Przyjrzał się rysunkowi. Wyglądał jak kolba kuszy z umocowaną u góry rurą. Obok było kilka szkiców dziwacznych mechanicznych aparatów i parę małych sześciorurkowych przedmiotów. Cały rysunek przypominał raczej bazgroły. Ktoś, możliwe, że Leonard, czytał książkę o fajerwerkach i bazgrał na marginesach.

Fajerwerki.

Tak... fajerwerki. Ale fajerwerki nie są przecież bronią. Petardy robiły bum. Rakiety leciały w górę, mniej więcej, ale jedyne, w co na pewno trafiały, to niebo.

Młotokuj był znany ze swych mechanicznych talentów, które nie należały do typowych krasnoludzkich umiejętności. Ludziom wydaje się, że tak, ale to nieprawda. Owszem, krasnoludy mają talent do obróbki metalu, robią dobre miecze i biżuterię, ale nie bardzo znają się na technice, gdy trzeba stosować takie na przykład kółka zębate i sprężyny. Młotokuj był wyjątkowy.

A więc...

Przypuśćmy, że istnieje pewna broń. Przypuśćmy, że jest w niej coś niezwykłego, dziwnego, przerażającego...

Nie, to niemożliwe. Albo spotykałoby się ją wszędzie, albo zostałaby zniszczona. Nie trafiłaby do muzeum skrytobójców. Co się umieszcza w muzeum? Rzeczy, które nie zadziałały albo które się zgubiły, albo które należy pamiętać... Więc jaki jest sens wystawiania naszego fajerwerku na pokaz?

Na tych swoich drzwiach zamontowali sporo zamków. Czyli nie było to muzeum, gdzie można zajrzeć w wolnej chwili. Może trzeba być wysoko postawionym skrytobójcą, może pewnego dnia przywódcy gildii zabierają tam człowieka w martwej, ha, martwej ciszy nocy, i mówią... mówią...

Z jakiegoś powodu przed oczami Vimesa pojawiła się twarz patrycjusza. I znowu poczuł, że stanął o krok od czegoś ważnego, czegoś zasadniczego...

- Gdzie pobiegł? Gdzie on pobiegł?

Wokół rozpościerał się labirynt uliczek. Cuddy oparł się o mur i z

trudem łapał oddech.

- Tam uciekł! - krzyknął Detrytus. - Fiszbinową!

I począł w pościg.

Vimes odstawił kubek.

Ktokolwiek wystrzelił do niego te ołowiane kulki, trafiał bardzo dokładnie na odległość kilkuset sążni... I wyrzucił ich sześć - szybciej, niż można by naciągnąć łuk...

Sięgnął po rurki. Sześć małych rurek, sześć strzałów. A tych rurek można nosić ze sobą całą kieszeń. I strzelać dalej, szybciej, celniej niż ktokolwiek inny z dowolnej broni...

No tak. To nowy typ broni. Szybszej, o wiele szybszej od łuku. Skrytobójcom by się nie spodobała. Wcale by się nie spodobała. Przecież nawet łuków za bardzo nie lubią. Skrytobójcy wolą zabijać z bliska.

Dlatego odłożyli... rusznic w bezpieczne miejsce i zamknęli solidnie. Jedni bogowie wiedzą, jak w ogóle coś takiego wpadło im w ręce. Oczywiście, wiedziało o tym tylko kilku najważniejszych skrytobójców. Przekazywali sobie tajemnicę: Strzeżcie się czegoś takiego...

- Tędy! Wbiegł w Omacek!

- Zwolnij! Zwolnij!

- Dlaczego? - zdziwił się Detrytus. - Bo to ślepa uliczka.

Obaj się zatrzymali.

Cuddy wiedział, że w tej chwili jest mózgiem grupy. Nawet jeśli Detrytus, promieniejąc z dumy, liczył właśnie cegły w murze obok.

Dlaczego ścigali kogoś przez pół miasta? Ponieważ uciekał - a nikt nie ucieka przed Strażą Miejską. Złodzieje tylko machali im swoimi licencjami. Nielicencjonowani złodzieje nie bali się straży, bo cały strach poświęcali dla Gildii Złodziei. Skrytobójcy zawsze przestrzegali litery prawa. A uczciwi ludzie nie uciekają przed strażą* [przyp.: Aksjomat „Ludzie uczciwi nie muszą się obawiać policji” jest w tej chwili badany przez Aksjomatyczny Komitet Apelacyjny.]. Ucieczka przed strażą jest czymś bardzo podejrzanym.

Źródła nazwy zaułka Omacek zaginęły szczęśliwie w celebrowanej pomroce dziejów, jednak obecnie była ona całkiem zasłużona. Zaułek zmienił się bowiem w rodzaj tunelu - górne piętra domów budowano coraz bardziej wysunięte nad drogą, aż wreszcie pozostało zaledwie kilka cali otwartego nieba.

Cuddy wychylił się zza rogu i spojrzał w mrok.

Klik! Klik!

Dźwięk dochodził z regionu głębszej ciemności.

- Detrytus...

- Co?

- Czy on miał jakąś broń?

- Tylko kij. Jeden kij.

- Tylko że... czuję fajerwerki.

Cuddy bardzo ostrożnie cofnął głowę.

Zapach fajerwerków unosił się w warsztacie Młotokuja, a pan Młotokuj skończył z wielką dziurą w piersi. Cuddy'ego ogarnęło uczucie konkretnej

grozy, o wiele bardziej skoncentrowane i przerażające od uczucia nieokreślonej grozy. Jest ono zbliżone do tego, co się czuje przy grze o wysokie stawki, kiedy przeciwnik uśmiecha się nagle, a człowiek - w tym wypadku krasnolud - uświadamia sobie, że nie zna wszystkich reguł, ale wie, że będzie miał szczęście, jeśli wyjdzie z tego - w najlepszym razie - z koszulą.

Z drugiej strony... Wyobraził sobie twarz sierżanta Golona. Ścigaliśmy tego człowieka aż do ślepego zaułka, a potem odeszliśmy...

Dobył miecza.

- Młodszy funkcjonariusz Detrytus!

- Tak, młodszy funkcjonariuszu Cuddy?

- Za mną!

Dlaczego? Przecież to draństwo zrobione jest z metalu, prawda? Dziesięć minut w gorącym palenisku załatwiłoby sprawę. Coś takiego, tak niebezpiecznego... Dlaczego się tego nie pozbyć? Po co trzymać?

Ale to nie leży w ludzkiej naturze. Niektóre rzeczy są zbyt fascynujące, by je niszczyć.

Raz jeszcze przyjrzał się dziwnym metalowym rurkom. Sześć krótkich rurek zamocowanych razem, zasklepionych mocno z jednego końca. Od góry na każdej z nich był mały otworek...

Vimes powoli sięgnął po bryłkę ołowiu...

Zaulek skręcił raz czy drugi, ale nie miał żadnych odgałęzień, nie prowadziły do niego żadne drzwi... Tylko jedno, na samym końcu: większe od normalnych i wyraźnie mocniejsze.

- Gdzie jesteśmy? - szepnął Cuddy.

- Nie wiem - odparł Detrytus. - Gdzieś niedaleko doków. Cuddy ostrożnie otworzył drzwi mieczem.

- Cuddy...

- Co?

- Przeszliśmy siedem-dziesiąt dziewięć kroków!

- To miło.

Owionęło ich zimne powietrze.

- Skład mięsa - szepnął Cuddy. - Ktoś się włamał.

Wśliznął się do środka - do wysokiej, mrocznej hali, wielkiej jak świątynia, którą pod kilkoma względami przypominała. Słaby blask sączył się przez wysokie, pokryte lodem okna. Z prętów, sięgających kolejnymi rzędami po sufit, zwisały mięsne tusze. Wydawały się półprzezroczyste i tak zimne, że oddech Cuddy'ego w powietrzu zmieniał się w kryształki lodu.

- Ojej - zdumiał się Detrytus. - To chyba skład przyszłej wieprzowiny przy Drodze Morporskiej.

- Co?

- Kiedyś tu pracowałem - wyjaśnił troll. - Wszędzie kiedyś pracowałem. Idź sobie, głupi trollu, ty za tępy - dodał smętnie.

- Czy jest stąd jakieś wyjście?

- Główna brama wychodzi na Morporską. Ale całe miesiące nikt tu nie zagląda. Dopóki wieprzowina nie istnieje* [przyp.: Prawdopodobnie żaden

inny świat w multiwersum nie posiada składów na obiekty istniejące tylko in potentia. Jednak skład terminowej wołowiny w Ankh-Morpork to efekt patrycjuszowskiego prawa o bezpodstawnych metaforach oraz dosłowności myślenia obywateli, którzy uważają, że wszystko musi gdzieś istnieć. Jak również ogólnego przetarcia osnowy rzeczywistości wokół Ankh, tak cienkiej, że jest cienka jak... jak coś bardzo cienkiego. Wskutek tego wszystkiego handel przyszłą wieprzowiną - ustalanie cen na towar, którego jeszcze nie ma - doprowadził do zbudowania magazynu, by mięso przechowywać, dopóki nie zaistnieje realnie. Wyjątkowo niskie temperatury wynikają z nierównowagi przepływu energii temporalnej. Tak przynajmniej twierdzą magowie z wydziału Magii Wysokich Energii. A że mają spiczaste jak należy kapelusze i literki przed nazwiskiem, to chyba wiedzą, o czym mówią.].

Cuddy zadrżał.

- Hej, ty! - krzyknął. - Tu Straż Miejska! Wychodź!

Ciemna postać pojawiła się między preświniami.

- Co teraz? - zapytał Detrytus.

Daleka sylwetka uniosła coś, co wyglądało jak kij, i przycisnęła do ramienia jak kuszę.

I wystrzeliła. Pierwszy pocisk brzęknął o hełm Cuddy'ego.

Detrytus kamienną dłonią pochwycił głowę krasnoluda, pchnął go za siebie, ale wtedy postać biegła już, pędziła ku nim i wciąż strzelała.

Jeszcze pięć pocisków, jeden po drugim, przebiło napierśnik Detrytusa.

A potem uciekający wybiegł przez otwarte drzwi i zatrzasnął je za sobą.

- Kapitan Vimes?

Podniósł głowę. Przed nim stał kapitan Quirke z dziennej zmiany, z kilkoma swoimi ludźmi.

- Tak?

- Proszę z nami. I niech pan odda swój miecz.

- Co?

- Chyba słyszał pan, kapitanie.

- Słuchaj no, Quirke, to przecież ja. Sam Vimes. Nie bądź durniem.

- Nie jestem durniem. Mam ze sobą ludzi z kuszami. Ludzi! To ty będziesz durniem, jeśli zaczniesz stawiać opór.

- Aha! Czyli jestem aresztowany?

- Tylko jeśli nie zechcesz sam z nami pójść.

Patrycjusz wyglądał przez okno w Podłużnym Gabinetcie. Wielodzwonna kakofonia godziny piątej właśnie z wolna przycichała.

Vimes zasalutował. Od tyłu patrycjusz przypominał drapieżnego flaminga.

- Ach, Vimes - powiedział, nie odwracając głowy. - Proszę tu podejść, dobrze? I powiedzieć, co pan widzi.

Vimes nie cierpiał takich zgadywanek, ale zbliżył się do okna.

Widok z Podłużnego Gabinetu obejmował połowę miasta, choć w większości same dachy i wieże. Wyobraźnia Vimesa ustawiła na wieżach

ludzi trzymających w rękach rusznice. Patrycjusz byłby łatwym celem.

- Co pan widzi, kapitanie?

- Miasto Ankh-Morpork - odparł Vimes, starannie zachowując obojętny wyraz twarzy.

- A z czymś się to panu kojarzy?

Vimes poskrobał się po głowie. Jeśli ma ochotę na takie zabawy, to dostanie takie zabawy...

- No cóż, sir, kiedy byłem małym chłopcem, mieliśmy krowę. Ta krowa zachorowała kiedyś, a do mnie należało sprzątanie obory i...

- Mnie przypomina to zegar - przerwał mu patrycjusz. - Wielkie koła, małe kółeczka. Wszystko tyka i jest w ruchu. Małe kółka wirują, duże się obracają, każde z inną prędkością, ale widzi pan, maszyna działa. I to jest najważniejsze. Zęby maszyna wciąż działała. Bo jeśli się zepsuje...

Odwrócił się nagle i swym zwykłym drapieżnym krokiem podszedł do biurka. Usiadł.

- Czasem tryby potrafi pokrzywić kawałek żwiru, który się między nie dostanie. Jedna drobinka żwiru. - Vetinari podniósł głowę i rzucił Vimesowi pozbawiony radości uśmiech. - Nie pozwolę na to.

Vimes wpatrywał się w ścianę.

- O ile pamiętam, kapitanie, kazałem panu zapomnieć o pewnych wydarzeniach.

- Tak jest.

- A mimo to mam wrażenie, że straż nadal wciska się w tryby.

- Tak jest.

- I co ja mam z panem zrobić?

- Trudno powiedzieć, sir.

Vimes szczegółowo badał wzrokiem ścianę. Żałował, że nie ma tu Marchewy. To może i prosty chłopak, ale czasami dostrzegał rzeczy, które umykały ludziom subtelny. I stale mówił o prostych sprawach, które pozostawały człowiekowi w myślach. Na przykład policjant. Kiedyś, gdy przechadzali się ulicą Pomniejszych Bóstw, powiedział: Czy wie pan, kapitanie, skąd pochodzi słowo „policjant”? Vimes nie wiedział. Polis oznaczało kiedyś „miasto”, wyjaśnił Marchewa. I stąd się wziął policjant: „człowiek miasta”. Niewielu ludzi o tym wie. Słowo „polityczne” też pochodzi od polis. Kiedyś oznaczało to zachowanie odpowiednie dla kogoś, kto żyje w mieście.

Człowiek miasta... Marchewa ciągle rzucał takie uwagi. Choćby „głina”. Vimes zawsze sądził, że tak się mówi na policjantów, bo włóczą się po różnych miejscach i często wracają brudni, powaleni gliną. Ale nie, jak stwierdził Marchewa - glina bierze się stąd, że policjant na tropie lepił się do przestępców jak glina do butów. Ciekawe.

Marchewa w wolnym czasie czytał książki. Nie za dobrze - miałby poważne kłopoty, gdyby mu odciąć palec wskazujący. Ale ciągle. A kiedy miał wolny dzień, chodził na spacer po Ankh-Morpork!

- Kapitanie... Vimes zamrugął.

- Tak jest.

- Nie ma pan pojęcia, jak delikatna jest równowaga w mieście. Powiem więc panu jeszcze raz: ta sprawa ze skrytobójcami, krasnoludem i klaunem... ma przestać pana interesować.

- Nie, sir. To niemożliwe.

- Proszę mi oddać odznakę. Vimes spojrzał na swoją odznakę.

Właściwie nigdy o niej nie myślał. Była czymś, co zawsze miał przy sobie. Nie liczyła się specjalnie, tak czy owak... Po prostu zawsze ją miał.

- Moją odznakę?

- I pański miecz.

Powoli, jakby palce zmieniły mu się nagle w banany, i to banany nie do niego należące, Vimes odpiął pas z mieczem.

- I odznakę.

- Um... Odznakę nie.

- Dlaczego?

- Um... Bo to moja odznaka.

- Przecież i tak pan odchodzi zaraz po ślubie.

- Zgadza się. Spojrzeli sobie w oczy.

- Jak wiele ona dla pana znaczy?

Vimes patrzył bezradnie. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Po prostu zawsze był człowiekiem z odznaką. Nie miał pewności, czy może istnieć jako jedno bez drugiego.

Wreszcie odezwał się Vetinari:

- Dobrze. O ile pamiętam, żeni się pan jutro w południe. - Długimi palcami podniósł z biurka złożone zaproszenie. - Tak. Może pan zachować odznakę. Przejdzie pan na emeryturę z wszelkimi honorami. Ale miecz zatrzymam. A wkrótce wyślę do Yardu dzienną rotę. Rozbroi pańskich ludzi. Zawieszam funkcjonowanie nocnej straży, kapitanie Vimes. W późniejszym terminie może wskażę nowego dowódcę... jeśli uznam to za konieczne. Do tego czasu pan i pańscy ludzie mogą uważać się za urlopowanych.

- Dzienna rota? Ta banda...

- Słucham?

- Tak jest.

- Ale wystarczy jedno wykroczenie i odznaka trafia do mnie.

Cuddy otworzył oczy.

- Żyjesz? - zapytał Detrytus.

Krasnoluda bolała głowa. Delikatnie zdjął hełm. Na brzegu było wgniecenie.

- Wygląda to na lekkie otarcie skóry - stwierdził Detrytus.

- Co? Auuu... - Cuddy skrzywił się. - A co z tobą?

Troll był jakiś dziwny. Cuddy nie potrafił jeszcze określić, co to takiego, ale było w nim coś obcego, niezwykłego - i nie chodziło o dziury.

- Przypuszczam, że zbroja nieco pomogła - uznał Detrytus. Rozpiął paski mocujące pancerz. Pięć metalowych dysków wypadło z okolic pasa. - Gdyby ich nie spowolniła, doznałbym poważnych obrażeń.

- Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak dziwnie mówisz?

- To znaczy jak, jeśli wolno spytać?

- Gdzie się podziały te hasła „ja, wielki troll”? Bez urazy.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem. Cuddy zatrzęsł się i tupnął parę razy, by rozgrzać stopy.

- Wyjdźmy stąd.

Razem podeszli do drzwi. Były zamknięte na głucho.

- Możesz je wyłamać?

- Nie. Gdyby ten magazyn nie był trolloodporny, to byłby pusty. Przykro mi.

- Detrytus...

- Słucham?

- Dobrze się czujesz? Głowa ci paruje.

- Czuję się... no...

Troll zamrugął. Brzęknął spadający lód. Dziwne rzeczy działy się pod czaszką Detrytusa. Myśli, które zwykle pełzały wolno wokół mózgu, nagle zaiskrzyły, zawibrowały życiem. A zdawało się, że jest ich wciąż więcej i więcej.

- Wielcy bogowie! - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Był to komentarz dostatecznie nietrollowy, by nawet Cuddy, którego palce z wolna traciły czucie, bardzo się zdumiał.

- Odnoszę wrażenie - rzekł Detrytus - że prawdziwie rozumiem. Jakież to interesujące!

- O czym ty mówisz?

Odłamki lodu opadły lawiną, gdy Detrytus podrapał się w głowę.

- Oczywiście! - zawołał, podnosząc palec. - Nadprzewodnictwo!

- Co?

- Nie rozumiesz? Mózg z zanieczyszczonego krzemu. Problem z rozpraszaniem ciepła. Dzienna temperatura zbyt wysoka, obróbka informacji zwalnia, kiedy robi się cieplej, mózg zatrzymuje się całkiem, trolle zmieniają się w kamień aż do nocy, tj. niższatemperatura, jednak

obniżenia temperatury do syć, mózg działa szybciej i...

- Chyba niedługo zamarznię na śmierć - oznajmił Cuddy. Detrytus rozejrzał się po magazynie.

- Tam w górze widzę niewielkie oszklone otwory - powiedział.

- Za 'soko żeby sięgną', nawet jak ci stanę na 'amiona - wymamrotał Cuddy, kuląc się z zimna.

- Owszem, ale mój plan przewiduje rzucenie czymś przez nie w celu ściągnięcia pomocy.

- 'Aki pla?

- Przeanalizowałem ich dwadzieścia trzy, ale ten ma dziewięćdziesiąt siedem procent szans na sukces.

- Nie ma' 'ym 'ucić.

- Ja mam - stwierdził Detrytus i podniósł krasnoluda. - Nie martw się, potrafię wyliczyć twoją trajektorię z oszałamiającą precyzją. Potem będziesz musiał jedynie sprowadzić kapitana Vimesa, Marchewę albo jeszcze kogoś.

Słabe protesty Cuddy'ego wykreśliły w powietrzu stromy łuk i zniknęły wraz z okienną szybą.

Detrytus usiadł. Życie było takie proste, jeśli się nad tym zastanowić. A on naprawdę się teraz zastanawiał.

Był w siedemdziesięciu sześciu procentach pewien, że jego ciało ochłodzi się jeszcze o siedem stopni.

Pan Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, dostawca, przedsiębiorca handlowy i wszechstronny kupiec, długo się zastanawiał nad włączeniem do

swojej oferty dań kuchni etnicznej. Ale to przecież naturalny rozwój kariery. Sprzedaż kielbasek w bułce ostatnio spadała, a jednocześnie wszędzie pełno było krasnoludów i trolli z pieniędzmi w kieszeniach czy gdzie tam trolle je trzymały. A pieniądze w posiadaniu innych zawsze wydawały się Gardłu wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy.

Dla krasnoludów łatwo było coś przygotować. Szczur na patyku to proste danie, choć oznaczało ogólną poprawę normalnego standardu kulinarnego Dibblera.

Za to trolle były w zasadzie, kiedy się człowiek zastanowił, bez urazy, ale takie są fakty... były właściwie chodzącymi kamieniami.

Zwrócił się o radę do Chryzopraza, który też należał do trolli, chociaż ostatnio trudno było to zauważyć. Żył obok ludzi tak długo, że nosił nawet garnitur i - jak sam twierdził - nauczył się mnóstwa cywilizowanych rzeczy, na przykład wymuszania, pożyczania pieniędzy na „czysta procent misiuncznie” i temu podobnych. Chryzopraz urodził się pewnie w grocie powyżej linii wiecznego śniegu na jakiejś górze, ale wystarczyło mu pięć minut w Ankh-Morpork, a czuł się jak u siebie. Dibbler lubił myśleć o Chryzoprazie jak o swoim przyjacielu; nie znosiłby myślenia o nim jak o wrogu.

Wybrał dzisiejszy dzień, żeby wypróbować nowe podejście do interesów. Pchał więc swój wózek z jedzeniem przez alejki, zaułki, podcienie, krzycząc:

- Kielbaski! Gorące kielbaski! W bułce! Paszteciki! Kupujcie, póki gorące!

Te okrzyki stanowiły tylko rozgrzewkę. Szansę spotkania człowieka, który zjadłby coś z wózka Dibblera - chyba że rozdeptano by to na płasko i wsunięto mu pod drzwi po dwóch tygodniach głodówki - były właściwie znikome. Gardło doszedł już do doków, a tu zawsze pracowało sporo trolli. Odsłonił nową tacę.

Zaraz, jak to było? Aha...

- Konglomeraty dolomitu! Kupujcie doskonale konglomeraty! Buły manganowe! Buły manganowe! Bierzcie, póki... tego... bułowate! - Zawahał się, ale zaraz podjął: - Pumeks! Pumeks! Tuf po dolarze! Palony wapień!

Kilka trolli podeszło bliżej.

- Pan, drogi panie... wygląda pan... na głodnego. - Dibbler uśmiechnął się szeroko do najmniejszego trolla. - Może skosztuje pan naszego łupku w bułce? Mniemam, mniemam... Smak tych aluwialnych złóż, rozumie pan, co mam na myśli...

G.S.P. Dibbler miał kilka wad, ale uprzedzenia gatunkowe do nich nie należały. Lubił każdego, kto miał pieniądze, niezależnie od barwy i kształtu ręki, która je wręczała. Dibbler wierzył bowiem w świat, gdzie wszystkie myślące istoty mogą chodzić dumnie wyprostowane, oddychać swobodnie, poszukiwać szczęścia, wolności i miejsca w życiu, dążyć ku nowym, jasnym dniom. Jeśli dadzą się przekonać, żeby po drodze przekazać coś z oferty Dibblera, tym lepiej dla wszystkich.

Troll podejrzliwie obejrzał zawartość tacy i zerknął pod połówkę bułki.

- Błę, fuj - powiedział. - Pełno w nim amonitów! Faj!

- Słucham? - Dibbler nie zrozumiał.

- Ten łupek - oświadczył troll - jest czerstwy.

- Smaczny i świeżutki! Taki łupała pańska matka!

- Jasne. A w granicie są żyły tego przekłętego kwarcu - wtrącił inny troll, pochylając się nad Dibblerem. - Zatyka arterie taki kwarc.

Z hukiem odłożył kamień na tacę. Trolle odeszły. Od czasu do czasu któryś z nich oglądał się na Dibblera podejrzliwie.

- Czerstwy? Czerstwy? Jak może być czerstwy? Przecież to skała! - krzyczał za nimi Dibbler.

Wzruszył ramionami. Co tam... Najważniejsze u człowieka interesu to

wiedzieć, kiedy się wycofać i ograniczyć straty. Zakrył tacę i odsłonił inną.

- Przekąski! Gorące dania! Szczury! Szczury! Szczur na patyku! Szczur w bułce! Bierzcie, póki martwe! Kupujcie...

Gdzieś nad nim brzęknęło tłuczone szkło, a zaraz potem na tacy wylądował głową naprzód młodszy funkcjonariusz Cuddy.

- Nie ma pośpiechu, wystarczy dla wszystkich - zapewnił go Dibbler.

- Wyciągnij mnie - powiedział zduszonym głosem Cuddy. - Albo podaj keczup.

Dibbler szarpnął krasnoluda za buty. Były oblodzone.

- Pewnie prosto z gór? - domyślił się.

- Gdzie jest człowiek, który ma klucz do tego magazynu?

- Jeśli smakował panu nasz szczur, może spróbuje pan znakomitego zestawu...

W ręku Cuddy'ego niemal magicznie pojawił się topór.

- Odrąbię ci kolana!

- SzukapanGerhardtaSockazGildiiRzeźników...

- Dziękuję.

- Aterazproszęzabraćtentopór...

Cuddy ruszył tak szybko, że buty ślizgały mu się po bruku. Dibbler spojrzał na połamane resztki swojego wózka. Liczył coś, poruszając bezgłośnie wargami.

- Hej, ty! - wrzasnął. - Jesteś mi winien za trzy szczury!

Vetinari z pewnym zawstydzeniem patrzył, jak Vimes wychodzi. Sam nie wiedział dlaczego. Oczywiście, był dla niego surowy, ale to jedyny sposób... Z szafki przy biurku wyjął klucz i podszedł do ściany. Dotknął plamy na tynku, z pozoru nieróżniącej się od dziesiątków innych plam. Ta jednak sprawiła, że fragment ściany odsunął się na dobrze naoliwionych zawiasach.

Nikt nie znał wszystkich przejść i tuneli ukrytych w ścianach pałacu; podobno niektóre prowadziły nawet daleko poza mury. Pod miastem były też stare piwnice. Człowiek z kilofem i dobrym wyczuciem kierunku mógł dojść, gdzie tylko zechciał, zwyczajnie rozbijając zapomniane ściany.

Patrycjusz zszedł po kilkudziesięciu stopniach, dotarł korytarzem do drzwi i otworzył je kluczem. Odchyliły się na dobrze naoliwionych zawiasach.

Trudno by nazwać je lochem - pomieszczenie za drzwiami było przestronne i dobrze oświetlone przez kilka dużych, choć wysoko umieszczonych okien. Pachniało wiórkami drewna i klejem.

- Uwaga!

Patrycjusz uchylił się, a wtedy coś podobnego do nietoperza przefrunęło mu nad głową, brzęcząc i stukając. Zatoczyło nierówny krąg i rozpadło się na kilkanaście podskakujących fragmentów.

- No cóż... - odezwał się łagodny głos. - Wracamy do tablicy. Dzień dobry, wasza wysokość.

- Dzień dobry, Leonardzie - odparł patrycjusz. - Co to było? - Nazwałem to latającym-aparatem-machającym-skrzydłami - odparł Leonard da Quirm, schodząc z drabiny startowej. - Pracuje dzięki bardzo mocno skręconym paskom gutaperki. Ale nie za dobrze pracuje, obawiam się.

Leonard z Quirmu nie był w rzeczywistości aż tak stary. Należał do osób, które nabierają szacownego wyglądu około trzydziestki i pewnie

zachowają go do dziewięćdziesiątki. Nie był też właściwie łysy. Głowa po prostu wyrosła mu ponad włosy jak ogromna skalna kopuła wynurzająca się z lasu.

Inspiracje bez przerwy śmigają przez kosmos. Ich celem - gdyby się tym przejmowały - jest odpowiedni umysł w odpowiedniej chwili. Trafiają we właściwy neuron, następuje reakcja łańcuchowa i już wkrótce ktoś mruga nerwowo w świetle telewizyjnych reflektorów i zastanawia się, jak, u licha, w ogóle wpadł na pomysł krojonego chleba.

Leonard z Quirmu wiedział o inspiracjach. Jednym z jego najwcześniejszych wynalazków była uziemiona metalowa szlafmyca, noszona w nadziei, że te małe paskudztwa przestaną zostawiać w jego udręczonej wyobraźni swe rozżarzone do białości ślady. Szlafmyca rzadko działała. Leonard dobrze znał to uczucie zakłopotania, kiedy budząc się, znajdował pościel pokrytą nocnymi szkicami nieznanych machin obłączniczych i nowatorskimi projektami aparatów do obierania jabłek.

Rodzina da Quirmów była dość bogata i młody Leonard uczęszczał do wielu szkół. Przyswoił tam imponującą mieszaninę informacji, mimo swego zwyczaju gapienia się w okno i szkicowania torów ptasich lotów. Był jednym z tych nieszczęsnych osobników, którym los zesłał fascynację światem, jego smakiem, kształtem, ruchem...

On sam zaś zafascynował Vetinariego - dlatego wciąż jeszcze żył. Pewne rzeczy są tak doskonałe w swej kategorii, że trudno zdobyć się na to, by je zniszczyć. Coś jedyne w swym rodzaju zawsze ma wyjątkową wartość.

Był wzorowym więźniem. Wystarczyło dać mu drewno, drut i farbę, a przede wszystkim papier i ołówki, a nawet nie myślał o ucieczce.

Patrycjusz odsunął stos rysunków i usiadł.

- Całkiem niezłe - pochwalił. - Co to jest?

- Moje szkice - wyjaśnił Leonard.

- Podoba mi się ten z chłopcem i latawcem, który zaczepił się na drzewie.

- Dziękuję. Może herbaty? Ostatnio prawie nikogo nie widuję... oprócz człowieka, który oliwi zawiasy.

- Przyszedłem, żeby... - Patrycjusz urwał nagle i szturchnął palcem jeden z rysunków. - Do kartki przyklejony jest kawałek żółtego papieru - oznajmił podejrzliwie.

Pociągnął. Żółta karteczka odkleiła się z cichym cmoknięciem, po czym przylgnęła mu do palców. Na niej, wypisane koślawymi literami, widniały słowa: „łaizd abyhc oT: aktatoN”.

- Och, z tego jestem dość zadowolony - powiedział Leonard. - Nazywam to poręczną-karteczką-żeby-coś-na-niej-zapisać-i-przykle-ić-a-potem-oderwać-kiedy-się-zechce.

Patrycjusz bawił się nią przez chwilę.

- Z czego jest ten klej?

- Z gotowanych ślimaków.

Patrycjusz oderwał karteczkę od palców. Przykleiła się do drugiej ręki.

- Czy w tej sprawie chciałeś się ze mną widzieć, panie? - spytał Leonard.

- Nie - odparł Vetinari. - Przyszedłem, żeby pomówić o rusznicu.

- Ojej... Tak mi przykro.

- Obawiam się, że... zniknął.

- Wielkie nieba! Mówiłeś chyba, że się go pozbyłeś.

- Dałem go skrytobójcom do zniszczenia. W końcu są tacy dumni z artystycznego podejścia do swej pracy. Powinna ich przerażać sama myśl o

tym, że ktoś mógłby mieć aż taką władzę. Ale ci durnie go nie zniszczyli, woleli schować i zamknąć. A teraz go stracili.

- Nie zniszczyli?

- Okazuje się, że nie. Przekłęci głupcy.

- Ty też nie, panie. Zastanawiam się dlaczego.

- Ja... a wiesz, nie mam pojęcia...

- Nie powinienem w ogóle go budować. Był w końcu prostym zastosowaniem zasad. Balistyka, rozumiesz. Podstawowa aerodynamika. Energia chemiczna. Metalurgia na niezłym poziomie, muszę się pochwalić. Przyznaję, że jestem dumny z pomysłu gwintowania. Musiałem w tym celu wykonać dość skomplikowane narzędzie. Mleko? Cukier?

- Nie, dziękuję.

- Ludzie go szukają, mam nadzieję?

- Tak, skrytobójcy. Ale go nie znajdą. Nie myślą w odpowiedni sposób.
- Patrycjusz sięgnął po plik szkiców ludzkiego szkieletu. Były doskonałe.

- Ojej...

- Polegam więc na straży.

- Chodzi pewnie o tego kapitana Vimesa, o którym wspominałeś, panie?

Vetinari lubił rozmowy z Leonardem. Ten człowiek mówił o mieście, jakby to był inny świat.

- Tak.

- Liczę, że wyjaśniłeś mu, jak ważne jest to zadanie.

- W pewnym sensie. Absolutnie zakazałem mu się nim zajmować.

Dwukrotnie.

Leonard pokiwał głową.

- Aha. Chyba rozumiem. Mam nadzieję, że to poskutkuje. - Westchnął ciężko. - Przypuszczam, że powinienem go wtedy rozłożyć, ale... był tak wyraźnie... stworzony... Miałem dziwne uczucie, że montuję jedynie coś, co już istniało. Czasami sam się zastanawiam, jak wpadłem na ten pomysł. Zdawało się, że... trudno określić... że to świętokradztwo rozłożyć coś takiego. To jak rozłożyć na części osobę. Herbatnika?

- Rozłożenie osoby jest czasem konieczne - stwierdził patrycjusz.

- Owszem, słyszałem o takim punkcie widzenia - przyznał grzecznie Leonard.

- Wspomniałeś o świętokradztwie - przypomniał Vetinari. - Zwykle łączy się to jakoś z bogami, prawda?

- Użyłem takiego słowa? Nie wyobrażam sobie, żeby istniał bóg ruszniców.

- To trudne do wyobrażenia, w samej rzeczy.

Patrycjusz poruszył się niespokojnie, sięgnął za plecy i wyjął jakiś dziwny obiekt.

- Co to jest? - zapytał.

- Och, właśnie się zastanawiałem, gdzie zniknął. To model mojej maszyny-wkręcającej-się-do-góry-w-powietrze* [przyp.: Jak prawdopodobnie czytelnik już zauważył, Leonard da Quirm, choć był absolutnie najwybitniejszym geniuszem technicznym wszystkich czasów, jeśli chodzi o wymyślanie nazw, na ogół przypominał trochę Detrytusa.].

Vetinari pchnął palcem niewielki wirnik.

- Będzie działać?

- Oczywiście. - Leonard westchnął. - Jeśli znajdziemy człowieka o sile dziesięciu ludzi, który będzie kręcił korbą w tempie około tysiąca obrotów na minutę.

Patrycjusz odprężył się w sposób, który dopiero wtedy pozwalał dostrzec minioną, przelotną chwilę napięcia.

- Mamy więc miasto - rzekł. - A w nim człowieka z rusznicem. Użył go skutecznie już raz, a drugi raz prawie mu się udało. Czy ktoś jeszcze mógłby wynaleźć rusznic?

- Nie - zapewnił Leonard. - Jestem geniuszem. Powiedział to z prostotą. Nie chwalił się - stwierdzał fakt.

- To zrozumiałe. Ale skoro rusznic został już wynaleziony, Leonardzie, ile geniuszu potrzeba, by zbudować drugi?

- Technika gwintowania wymaga znacznej precyzji, a mechanizm kurka, który przesuwając zestaw kuł, jest dokładnie wyważony. I oczywiście koniec lufy musi... - Leonard dostrzegł minę patrycjusza i przerwał. - Musi być bystrym człowiekiem - dokończył.

- To miasto pełne jest bystrych ludzi. I krasnoludów. Bystrzy ludzie i krasnoludy, które majstrują.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nigdy nie myślą.

- Rzeczywiście.

Vetinari odchylił się na krześle i spojrzał w okno.

- Robią takie rzeczy... Na przykład otwierają Potrójnie Szczęśliwy Traf - Bar Rybny, Dania na Wynos na miejscu dawnej świątyni przy ulicy Dagona, w noc zimowego przesilenia, kiedy jeszcze akurat wypada pełnia.

- Tacy są właśnie ludzie...

- Nigdy nie odkryłem, co się stało z panem Hingiem.

- Biedaczysko.

- A do tego jeszcze magowie. Tylko majstrują, majstrują i majstrują. Żaden nie zastanowi się dwa razy, zanim złapie za nić osnowy rzeczywistości i szarpnie.

- Szokujące.

- Alchemicy? Ich pojęcie obowiązku obywatelskiego to mieszać ze sobą różne rzeczy i patrzeć, co się stanie.

- Nawet tutaj słyszę wybuchy.

- Po czym, oczywiście, zjawia się ktoś taki jak ty...

- Naprawdę bardzo przepraszam.

Vetinari obracał w palcach model maszyny latającej. - Marzysz o lataniu - stwierdził.

- O tak. Wtedy ludzie byliby naprawdę wolni. W powietrzu nie istnieją granice. Nie byłoby już wojen, ponieważ niebo nie ma końca. Jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy umieli latać.

Vetinari przyjrzał się maszynie.

- Tak - przyznał. - Sądzę, że tak.

- Próbowałem zastosować mechanizm nakręcany.

- Przepraszam... myślałem o czymś innym.

- Nakręcany... żeby napędzać moją maszynę. Ale nic z tego.

- Doprawdy?

- Jest pewna granica mocy sprężyny, choćby nie wiem jak mocno ją

nakręcić.

- A tak, tak. Człowiek ma nadzieję, że jeśli nakręci sprężynę w jedną stronę, cała jej energia uwolni się w drugą. A czasem trzeba naciągnąć tak mocno, że dalej się nie da. I modlić się, żeby nie pękła.

Vetinari spowaźniał nagle.

- Ojej - powiedział.

- Słucham? - Leonard nie zrozumiał.

- Nie walnął pięścią w ścianę. Chyba posunąłem się za daleko.

Detrytus siedział i parował. Odczuwał głód - nie głód jedzenia, ale głód nowych rzeczy, o których mógłby myśleć. Temperatura spadała, a wydajność jego mózgu ciągle rosła. Potrzebował jakiegoś zajęcia.

Porachował liczbę cegieł w murze, najpierw w dwójkach, potem w dziesiątkach i wreszcie w szesnastkach. Liczby formowały się i maszerowały przez jego mózg lękliwie i karnie. Odkryte zostało dzielenie i mnożenie. Została wynaleziona algebra i na minutę czy dwie dostarczyła interesującej rozrywki. A potem poczuł, jak mgiełka liczb odpływa z wolna; spojrzał więc i zobaczył dalekie, roziskrzane szczyty rachunku różniczkowego.

Trolle ewoluowały w wysokich, skalistych, a przede wszystkim zimnych terenach. Ich krzemowe mózgi były przyzwyczajone do działania w niskich temperaturach. Ale niżej, na dusznych nizinach, nagromadzenie ciepła spowalniało je i otepiało. Nie na tym polegał problem, że jedynie głupie trolle schodziły do miast. Trolle, które wyruszały do miast, bywały często całkiem inteligentne - ale stawały się głupie.

Detrytus uważany był za tumana nawet według standardów miejskich trolli, ale jego mózg był zoptymalizowany do pracy w temperaturach rzadko osiągniętych w Ankh-Morpork, nawet podczas najbardziej surowych zim.

Teraz jego mózg zbliżał się do optymalnej temperatury działania. Niestety, była ona bardzo bliska optymalnemu punktowi śmierci trolla.

Część jego mózgu poświęciła tej kwestii nieco czasu. Prawdopodobieństwo uratowania było wysokie. A to znaczy, że trzeba będzie stąd wyjść. Co z kolei oznacza, że znowu stanie się głupi, to pewne jak $10^{-3}(M_e/M_p)^6 \alpha^6 G^{-1/2} N \approx 10N$.

Lepiej więc nie tracić czasu.

Powrócił do świata liczb tak złożonych, że nie miały żadnej interpretacji, jedynie chwilowy punkt widzenia. Jednocześnie kontynuował zamarzanie na śmierć.

Dibbler dotarł do Gildii Rzeźników krótko po Cuddym. Wielkie czerwone drzwi zostały otworzone kopniakiem, a mały rzeźnik siedział za nimi i rozcierał nos.

- Którędy poszedł?

- Damdendy.

W głównej sali gildii mistrz rzeźnicki Gerhardt Sock zataczał się chwiejnie, gdyż buty Cuddy'ego napierały mocno na jego pierś. Krasnolud wisiał mu na kamizelce, jak żeglarz halsujący przy wichurze, i kręcił toporem przed twarzą Socka.

- Dawaj natychmiast, bo każę ci zeżreć własny nos!

Grupa rzeźnickich uczniów starała się nie wchodzić im w drogę.

- Ale...

- Nie próbuj się kłócić! Jestem funkcjonariuszem straży!
 - Ale nie...
 - Masz ostatnią szansę! Dawaj mi go, ale już! Sock zamknął oczy.
 - Ale czego chcesz?! Gapie czekali.
 - Ach - powiedział Cuddy. - Aha. Nie mówiłem?
 - Nie!
 - Wie pan, głowę bym dał, że powiedziałem.
 - Nie powiedziałeś!
 - Aha. No tak. Jeśli już musi pan wiedzieć, chodzi o klucz do składu przyszłej wieprzowiny.
- Cuddy zeskoczył na podłogę.
- Dlaczego? - spytał rzeźnik.
- Topór znowu znalazł się przed jego nosem.
- Tak tylko zapytałem - zapewnił Sock z desperacją.
 - Człowiek ze straży zamarza tam na śmierć - wyjaśnił Cuddy.

Kiedy wreszcie otworzyli główną bramę, wokół zebrał się już spory tłumek. Grudy lodu stuknęły o bruk, dmuchnęło mroźne powietrze. Szron pokrywał posadzkę i rzędy wiszących tuszy w ich wstecznej wędrówce przez czas. Pokrywał też detrytusokształtną bryłę na środku hali.

Wynieśli ją na słońce.

- Czy oczy powinny mu się tak zapalać i gasnąć? - zdziwił się Dibbler.

- Słyszysz mnie?! - krzyknął Cuddy. - Detrytus!

Detrytus zamrugał. Kawałki lodu zsuwały się z niego w ciepłe dnia. Czuł, jak rozpada się cudowny wszechświat liczb. Rosnąca temperatura uderzyła w jego myśli niczym miotacz ognia pieszczący płatek śniegu.

- Powiedz coś! - błagał Cuddy.

Wieżyce intelektu padały - w mózgu Detrytusa szalał ogień.

- Hej, popatrzcie na to! - odezwał się któryś z uczniów. Wewnętrzne ściany magazynu zapisane były liczbami. W szronie wydrapano równania złożone jak sieci neuronowe. W pewnym punkcie obliczeń matematyk przeszedł z liczb na litery, a potem nawet litery przestały wystarczać; nawiasy jak klatki zamykały wyrażenia, które były wobec normalnej matematyki tym, czym miasto wobec mapy.

Upraszczały się w miarę zbliżania do celu - prostsze, ale w płynnych liniach swej prostoty kryjące spartańską, cudowną złożoność.

Cuddy patrzył. Wiedział, że nie zdoła tego zrozumieć nawet za sto lat.

Szron pękał w ciepłym powietrzu.

Równania zwężały się, przenoszone ze ścian na podłogę, do miejsca gdzie wcześniej siedział troll. Tam stawały się zaledwie kilkoma wyrażeniami, które zdawały się skrzyć własnym życiem. To była matematyka bez liczb, czysta jak błyskawica.

Zwężały się do punktu, a punktem tym był bardzo prosty symbol: „=„.

- Równa się czemu? - szepnął Cuddy. - Równa się czemu?

Warstwa szronu odpadła.

Wyszedł na zewnątrz. Detrytus siedział teraz w kałuży wody, otoczony pierścieniem ludzkich gapiów.

- Moglibyście dać mu koc - powiedział Cuddy.

- Co? - odezwał się bardzo gruby mężczyzna. - Kto by potem używał takiego koca, który wcześniej leżał na trollu?

- Ha, rzeczywiście, słuszna uwaga. - Cuddy spojrzał na pięć dziur w pancerzu Detrytusa. Były mniej więcej na wysokości głowy... głowy krasnoluda. - Mógłbym pana poprosić tutaj na moment?

Mężczyzna uśmiechnął się do kolegów i podszedł wolno.

- Widzi pan, jak przypuszczam, te dziury w jego zbroi? - zapytał.

G.S.P. Dibbler od urodzenia zawsze potrafił przetrwać. Tak jak gryzonie i owady potrafią wyczuć trzęsienie ziemi jeszcze przed pierwszymi wstrząsami, on również wiedział, że wkrótce na ulicy coś wybuchnie. Cuddy był zbyt uprzejmy. Jeśli krasnolud tak się zachowuje, to znaczy, że zamierza być bardzo nieuprzejmy za chwilę.

- Ja, tego... zajmę się interesami - wymamrotał i zaczął się wycofywać.

- Nic nie mam przeciwko krasnoludom, uważasz - oświadczył gruby mężczyzna. - Krasnoludy to według mnie praktycznie ludzie. Tyle że niżsi i tyle. Ale trolle... to co innego.

- Przepraszam bardzo, przepraszam! - powtarzał Dibbler. - Przejście, zróbcie przejście.

Uzyskał ze swym wózkiem wolną drogę w sposób, jaki zwykle kojarzy się z pojazdami, którym za przednią szybą wiszą pluszowe kostki do gry.

- Ładny ma pan płaszcz, trzeba przyznać - zauważył Cuddy.

Wózek Dibblera na jednym kole wziął zakręt.

- Świetny płaszcz - mówił dalej Cuddy. - Wie pan, co mógłby pan zrobić z takim płaszczem?

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Zdjąć go w tej chwili - powiedział Cuddy - i oddać trollowi.

- Chwileczkę, ty mały...

Gruby mężczyzna złapał Cuddy'ego za koszulę i szarpnął. Ręka krasnoluda poruszyła się bardzo szybko. Zgrzytnął metal.

Przez kilka sekund człowiek i krasnolud tworzyli interesującą, absolutnie nieruchomą scenę.

Cuddy, podniesiony prawie do poziomu twarzy, przyglądał się z zainteresowaniem, jak mężczyźni zaczynają łzawić oczy.

- Postaw mnie - zaproponował. - Delikatnie. Kiedy coś mnie wystraszy, zdarzają mi się mimowolne drgania mięśni.

Mężczyzna wykonał polecenie.

- A teraz zdejmij płaszcz... doskonale... Podaj, jeśli łaska. Bardzo dziękuję.

- Twój topór - wybełkotał mężczyzna.

- Topór? Jaki topór? Mój topór? - Cuddy spuścił wzrok. - Coś podobnego! W ogóle nie zauważyłem, że go trzymam. Mój topór. Nie do wiary...

Mężczyzna starał się ustać na palcach. Łzy spływały mu z oczu.

- To nie jest zwykły topór - tłumaczył Cuddy. - Ciekawe jest w nim to, że to topór do rzutów. Trzy lata z rzędu zdobywałem mistrzostwo na Miedziance. W ciągu sekundy potrafiłem go wyciągnąć i rozszczepić gałązkę. Na piętnaście sążni. Bez patrzenia. I nie czułem się wtedy najlepiej. Atak mdłości.

Cofnął się. Mężczyzna z wdzięcznością opadł na pięty. Cuddy narzucił płaszcz na ramiona trolla.

- No już, spróbuj wstać - powiedział. - Idziemy do domu. Troll

podniósł się na nogi.

- Ile palców trzymam? Detrytus wytrzeszczył oczy.
- Dwa i jeden - spróbował.
- Wystarczy - stwierdził Cuddy. - Na początek.

Pan Cheese spojrział nad barem na kapitana Vimesa, który od godziny nawet nie drgnął. Pod Kubłem często zjawiali się poważni pijacy, którzy pili bez przyjemności, ale z wyraźnym postanowieniem, by nigdy już nie mieć kontaktu z trzeźwością. Ale to było coś nowego. Coś, co go niepokoiło. Nie chciałby mieć zgonu na głowie.

W barze nie było nikogo. Cheese powiesił fartuch na gwoździu i wyszedł. Po chwili dotarł do komendy straży; w drzwiach niemal się zderzył z Marchewą i Anguą.

- Oj, cieszę się, że pana spotkałem, kapralu - powiedział. - Lepiej niech pan do mnie zajrzy. Chodzi o kapitana Vimesa.

- Co się z nim stało?
- Nie wiem. Strasznie dużo wypił.
- Myślałem, że z tym skończył.

- Sądzę - odparł ostrożnie pan Cheese - że ta informacja nie jest już prawdziwa.

Scena w okolicy alei Kamieniołomów:

- Gdzie idziemy?
- Muszę znaleźć kogoś, kto cię zbada!
- Nie doktor krasnolud!
- Musi przecież być ktoś, kto wie, gdzie ci nałożyć szybko-schnący cement czy co tam robicie w takich sytuacjach. Czy powinienes tak cieknać?
- Nie wiem. Nigdy nie ciekłem. Gdzie my?
- Nie wiem. Nigdy tu nie byłem.

Znajdowali się po zawietrznej stronie dzielnicy obór i rzeźni. To oznaczało, że nie była popularna jako miejsce zamieszkania wśród wszystkich z wyjątkiem trolli, dla których fetor organiczny był równie zauważalny i przykry, jak dla ludzi zapach granitu. Stary dowcip brzmiał: Trolle mieszkają przy oborach? Co ze smrodem? Krowom to nie przeszkadza...

To głupi żart. Trolle nie pachną, chyba że dla innych trolli.

Budynki wyglądały na zrujnowane. Zbudowane dla ludzi, zostały zaadaptowane przez trolle, co zwykle polegało na wybiciu kopniakami większych drzwi i zasłonięciu okien. Wciąż trwał dzień. W polu widzenia nie było ani jednego trolla.

- Uch... - odezwał się Detrytus.
- No dalej, olbrzymie - odpowiedział Cuddy, ciągnąc go za sobą jak holownik ciągnie tankowiec.
- Funkcjonariusz Cuddy...
- Słucham?
- Ty krasnolud. To aleja Kamieniołomów. Ciebie znajdą, ty w wielkich kłopotach.

- Jesteśmy strażnikami miejskimi.
- Chryzopraza koprolit to obchodzi. Cuddy rozejrzał się.
- A właściwie kto u was robi za doktorów?

Gęba trolla pojawiła się w drzwiach. I następna. I jeszcze jedna. To, co Cuddy uważał za stos gruzów, okazało się trollem.

Nagle wszędzie było pełno trolli.

Jestem strażnikiem, myślał Cuddy. Tak mówił sierżant Colon: Przestań być krasnoludem, a zacznij strażnikiem. Tym właśnie jestem. Nie krasnoludem. Strażnikiem. Dali mi odznakę w kształcie tarczy. Straż Miejska - to ja. Noszę odznakę.

Szkoda, że nie jest o wiele większa.

Vimes siedział spokojnie w kącie Pod Kubłem. Przed nim leżało kilka kawałków papieru i garść metalowych przedmiotów, wpatrywał się jednak w swoją pięść. Także leżała na stole - zaciśnięta tak mocno, że aż pobierały kostki.

- Kapitanie Vimes? - odezwał się Marchewa i pomachał mu ręką przed oczami.

Żadnej reakcji.

- Ile wypił?
- Dwa łyki whisky najwyżej.
- To nie powinno tak na niego podzielać, nawet na pusty żołądek.

Angua wskazała szyjkę butelki sterczącą z kieszeni kapitana.

- Nie wydaje mi się, żeby pił na pusty żołądek - stwierdziła. - Najpierw wlał do środka trochę alkoholu.

- Kapitanie Vimes! - zawołał jeszcze raz Marchewa.

- Co on trzyma w ręku? - zainteresowała się Angua.

- Nie wiem. Jest niedobrze. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Idziemy. Ty bierzesz te rzeczy, ja biorę kapitana.

- Nie zapłacił za swoją whisky - wtrącił pan Cheese.

Angua i Marchewa spojrzeli na niego bez słowa.

- Na koszt firmy? - zaproponował pan Cheese.

Wokół Cuddy'ego wyrósł mur trolli - to określenie nie gorsze od innych. W tej chwili ich zachowanie wyrażało raczej zaskoczenie niż groźbę - tak mogłyby zareagować psy, gdyby nagle do psiarni wszedł spokojnie kot. Ale kiedy w końcu przyzwyczajają się do myśli, że Cuddy naprawdę istnieje, będzie jedynie kwestią czasu, by ten opis przestał pasować do stanu rzeczy. W końcu odezwał się jeden z nich.

- Co tu mamy?

- To człowiek ze Straży Miejskiej, tak jak i ja - odparł Detrytus.

- On krasnolud.

- On strażnik.

- On wściekle bezczelny. Tyle wiem. - Gruby paluch trolla szturchnął Cuddy'ego w plecy.

Trolle zwały szereg.

- Liczę do dziesięć - ostrzegł Detrytus. - I wtedy każdy troll, co się nie zajmuje trollowe sprawy, będzie smutny troll.

- Ty, Detrytus - odparł wyjątkowo szeroki troll. - Wszyscy wiedzą, że ty głupi troll, ty poszedł do straży, bo głupi troll, nie umiesz liczyć do...

Bum!

- Jeden - powiedział Detrytus. - Dwa. Trzy. Czter-ry. Pięć. Sześć...

Leżący troll ze zdumieniem spoglądał w górę.

- Ten Detrytus, on liczy.

Coś zaświszczało i topór odbił się od muru koło głowy Detrytusa. Ulicą nadchodziły krasnoludy z groźnymi, stanowczymi minami. Trolle się rozbiegły.

Cuddy popędził naprzód.

- Co wy tu wyprawiacie? - zapytał. - Poszaleliście czy co? Krasnolud drżącym palcem wskazał Detrytusa.

- Co to jest?

- To strażnik.

- Dla mnie wygląda na trolla. Brać go! Cuddy cofnął się o krok i wydobył topór.

- Znam cię, Wręcemocny! - zawołał. - O co tu chodzi?

- Wiesz co, strażniku? - odparł Wręcemocny. - Straż uważa, że troll zabił Bjorna Młotokuja. Złapali trolla!

- Nie, to...

Cuddy usłyszał za plecami jakiś hałas. Obejrzał się. Trolle powróciły, uzbrojone przeciwko krasnoludom. Detrytus pogroził im palcem.

- Jakiś troll się ruszy - uprzedził - i zaczynam liczyć.
- Młotokuja zabił człowiek - oznajmił Cuddy. - Kapitan Vimes uważa...
- Straż przymknęła trolla - przerwał mu krasnolud. - Przeklęte kamulce!
- Żwirojady!
- Monolity!
- Szczurożercy!

- Ha, dopiero co zostałem człowiekiem w straży, a już mam was dosyć, głupie trolle. Myślicie, co ludzie powiedzą, co? Ci etniczni nie umieją się zachować w mieście, tylko machają maczugami, wystarczy pokiwać im tym, czym się zawsze kiwa.

- Jesteśmy strażnikami - oświadczył Cuddy. - Naszym obowiązkiem jest pilnowanie spokoju.

- Dobrze - zgodził się Wręcemocny. - Idźcie i przypilnujcie go gdzieś, póki nie będzie potrzebny.

- To nie dolina Koom - dodał Detrytus.

- Zgadza się! - wrzasnął jakiś krasnolud z tyłu. - Tutaj was widzimy!

Coraz więcej trolli i krasnoludów wbiegało na oba końce ulicy.

- Co by w takiej sytuacji zrobił kapral Marchewa? - szepnął Cuddy.

- On powie: Wy niegrzeczni, złoście mnie, przestańcie, ale już.

- A oni by się rozeszli, tak?

- Tak.

- A co się stanie, jeśli my spróbujemy czegoś takiego?

- Poszukamy w rynsztok nasze głowy.

- Chyba masz rację.

- Widzisz ta uliczka? To miła uliczka. Mówi: Hej, oni mają liczebna przewaga... $256+64+8+2+1$ do 1. Wpadnijcie do mnie.

Maczuga odbiła się od hełmu Detrytusa.

- Biegiem!

Obaj strażnicy co sił pognali w stronę uliczki. Wrogie armie obserwowały ich przez chwilę, po czym - na moment zapominając o niechęci - ruszyły w pościg.

- Dokąd ona prowadzi?

- Dalej od ludzie, którzy nas gonią!

- Lubię tę uliczkę.

Za nimi ścigający, którzy usiłowali biec przez szczelinę o szerokości ledwie wystarczającej dla jednego trolla, uświadomili sobie, że tłoczą się i przepychają ze swoimi śmiertelnymi wrogami. Zaczęli więc walczyć ze sobą nawzajem w najszybszej, najbrutalniejszej, a przede wszystkim najwęższej bitwie, jaką kiedykolwiek stoczono w mieście.

Cuddy machnął Detrytusowi, żeby się zatrzymał, i wyjrzał zza rogu.

- Chyba jesteśmy bezpieczni - stwierdził. - Musimy teraz wyjść z drugiego końca i wrócić na komendę. Jasne?

Odwrócił się, nie zobaczył trolla, zrobił krok naprzód i na pewien czas zniknął ze świata ludzi.

- No nie! - jęknął sierżant Colon. - Obiecał, że już więcej tego nie tknie! Patrzcie, musiał wypić całą butelkę!

- Co to? Bearhugger? - spytał Nobby.

- Raczej nie, ciągle jeszcze oddycha. Chodźcie, pomóżcie mi go wnieść.

Nocna straż zebrała się dookoła. Marchewa umieścił kapitana Vimesa na krześle pośrodku pokoju.

Angua sięgnęła po butelkę i sprawdziła etykietę.

- Prawdziwa, Autentyczna Podmokłogórska Rosa G.S.P. Dibblera - odczytała. - On tego nie przeżyje! Tu jest napisane: sto pięćdziesiąt procent!

- Eee, to tylko reklama Dibblera - uspokoił ją Nobby. - Nie ma w niej żadnych pro, najwyżej amatorzy.

- Dlaczego nie ma miecza? - zdziwiła się Angua.

Vimes otworzył oczy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była zatroskana twarz Nobby'ego.

- Aargh! - powiedział. - Miesz? Oddałem. Hura.

- Co? - Colon nie zrozumiał.

- Konies ze stražo... Szyszcy presz!

- Myślę, że jest trochę pijany - zauważył Marchewa.

- Pjany? Wcale nie jestem pjany! Nie śmiał... byś mnie nazywał pijanym, jakbym był... szezwy...

- Dajcie mu kawy - zaproponowała Angua.

- Nasza kawa chyba tu nie pomoże - westchnął Colon. - Nobby, podskocz no do Grubej Sally na Ściskobrzuszną i przynieś dzbanek jej

specjalnej klatchiańskiej. Ale pamiętaj, nie metalowy dzbanek.

Vimes zamrugał, kiedy przytrzymywali go na krześle.

- Szysko presz! - powiedział. - Pif-paf!

- Lady Sybil się wścieknie - stwierdził Nobby. - Wiecie przecież, że obiecał rzucić to paskudztwo.

- Kapitanie Vimes - powiedział Marchewa.

- Mm?

- Ile mam tu palców?

- Mm?

- No to ile rąk?

- Sztry?

- Niech to licho, od lat go takim nie widziałem - mruknął Colon. - Zaraz, spróbuję czegoś. Może jeszcze drinka, kapitanie?!

- Na pewno nie powinien więcej...

- Cicho, wiem, co robię. Jeszcze drinka, kapitanie Vimes?

- Mm?

- Nie pamiętam, żeby nie był w stanie głośno i wyraźnie odpowiedzieć „tak”. - Colon cofnął się. - Lepiej zanieśmy go do jego pokoju.

- Ja go wezmę, biedaczysko - zaofiarował się Marchewa. Bez wysiłku podniósł Vimesa i przerzucił sobie przez ramię.

- To straszne widzieć go w takim stanie - powiedziała Angua, idąc za nim przez korytarz i schodami w górę.

- Pije tylko w depresji - wyjaśnił Marchewa.

- A dlaczego wpada w depresję?

- Czasami dlatego że nie może się napić.

Budynek Pseudopolis Yard był kiedyś rezydencją Ramkinów. Teraz pierwsze piętro - w miarę potrzeb - zajmowali strażnicy. Marchewa miał tu swój pokój. Nobby miał pokoje -jak dotąd cztery. Opuszczał je kolejno, kiedy trudno mu było znaleźć podłogę. I Vimes miał swój pokój.

Mniej więcej. Trudno było to poznać. Nawet więzień w celi potrafi jakoś zademonstrować swoją osobowość, a takiego niezamieszkanego pokoju Angua jeszcze nie widziała.

- On tu mieszka? - zdziwiła się. - Nie do wiary.

- A czego się spodziewałaś?

- Sama nie wiem. Czegokolwiek. Czegoś. Ale nie niczego. Stało tu smętne żelazne łóżko. Sprężyny i materac opadły tak, że tworzyły coś w rodzaju formy; każdego, kto się położył, zmuszały, żeby natychmiast zwinął się do pozycji snu. Stała szafka z miską do mycia pod rozbitym lustrem. Na szafce leżała brzytwa, starannie ułożona w kierunku Osi, gdyż Vimes wyznawał ludowy przesąd, że dzięki temu zachowuje ostryść. Było brązowe drewniane krzesło z naddartym trzciniowym siedzeniem. I nieduży kuferek w nogach łóżka.

I to wszystko.

- Wiesz, przynajmniej jakiś dywanik - powiedziała Angua. - Obrazek na ścianie. Coś.

Marchewa ułożył Vimesa na łóżku, gdzie kapitan odruchowo spłynął do właściwego kształtu.

- Czy ty masz coś w swoim pokoju? - spytała Angua.

- Tak. Mam rysunek przekroju szybu numer pięć, z domu. Są tam

bardzo ciekawe warstwy. Pomagałem go kopać. I jeszcze parę książek i drobiazgów. Kapitan Vimes rzadko bywa w domu.

- Przecież nie ma tu nawet świecy!

- Mówi, że drogę do łóżka zna na pamięć.

- Ani ozdoby, ani niczego!

- Jest arkusz tektury pod łóżkiem - rzekł Marchewa. - Pamiętam, byłem z kapitanem na Filigranowej, kiedy go znalazł. Powiedział: Na moje oko są w tym podeszwy na cały miesiąc. Był bardzo zadowolony.

- Nie stać go nawet na buty?

- Nie przypuszczam. Wiem, że lady Sybil chciała mu kupić tyle nowych butów, ile tylko zapragnie, ale on trochę się o to obraził. Chce chyba, żeby długo wytrzymały.

- Ale ciebie jakoś stać na buty, a zarabiasz mniej od niego. I jeszcze posyłasz pieniądze do domu. Musi wszystko przepijać, idiota jeden.

- Chyba nie. Wydaje mi się, że nie tykał alkoholu od miesiący. Lady Sybil namówiła go, żeby przeszedł na cygara.

Vimes zachrapał głośno.

- Jak możesz go szanować? - zdziwiła się Angua.

- To wspaniały człowiek.

Czubkiem sandała uniosła wieko kuferka.

- Zaraz! Nie powinnaś tego robić! - zaprotestował Marchewa.

- Tylko zaglądam - odparła Angua. - Prawo tego nie zabrania.

- Właściwie, zgodnie z Ustawą o prywatności z 1467 jest to...

- Tu są tylko stare buty i różne takie. I trochę papieru. - Schyliła się po prymitywny notesik. Właściwie był to pęk świstków papieru o nieregularnych kształtach, ściśniętych razem w kartonowych okładkach.

- To należy do kapitana...

Przeczytała kilka linijek i otworzyła usta ze zdumienia.

- Popatrz no! Nic dziwnego, że nigdy nie ma pieniędzy!

- O co ci chodzi?

- Wydaje na kobiety! Nie wpadłbyś na to, prawda? Zobacz ten wpis. Cztery w ciągu tygodnia.

Marchewa zajrzał jej przez ramię. Vimes prychnął na łóżku. Na papierze, zakręconymi literami Vimesa, było napisane:

pani Gaskin, ul. Mielona: \$5

pani Scurrick, ul. Melasy: \$4

pani Maroon, ul. Wixona: \$4

Annabel Curry, Lobrały: \$2

- Annabel Curry nie była chyba za dobra za marne dwa dolary - stwierdziła Angua. Zdała sobie sprawę z nagłego spadku temperatury.

- Nie przypuszczam - odparł powoli Marchewa. - Ma dopiero dziewięć lat.

Zacisnął dłoń na jej przegubie, a drugą wyjął z ręki notes.

- Hej! Puszczaj! - Angua próbowała się wyrwać, ale nie miała szans.

- Sierzancie! - krzyknął Marchewa przez ramię. - Może pan tu przyjść na chwileczkę?

Schody zatrzeszczały pod ciężarem Golona. Otworzyły się drzwi. Sierżant trzymał w żelaznych szczypcach bardzo małą filiżankę.

- Nobby przyniósł ka... - zaczął i urwał.

- Sierzancie - powiedział Marchewa, patrząc w twarz Angui: - Młodsza funkcjonariusz Angua chce się dowiedzieć czegoś o pani Gaskin.

- Wdowy po starym Leggym Gaskinie? Mieszka przy Mielonej.

- A pani Scurrick?

- Przy Melasy? Utrzymuje się z prania. - Sierżant Colon patrzył to na jedno, to na drugie, i usiłował zrozumieć, co się dzieje.

- Pani Maroon?

- To wdowa po sierzancie Maroonie, handluje węglem na...

- A co z Annabel Curry?

- Wciąż jeszcze chodzi do charytatywnej szkoły Sarkastycznych Sióstr Siedmiorękiego Sęka, o ile pamiętam. - Sierżant uśmiechnął się niepewnie do Angui. Wciąż nie rozumiał, o co chodzi. - Jest córką kaprała Curry'ego, ale on służył, zanim do nas przyszedł...

Angua spojrzała na Marchewę. Wyraz jego twarzy był absolutnie nieodgadniony.

- To wdowy po gliniarzach? Przytaknął.

- I jedna sierota.

- Ciężkie życie - dodał Colon. - Nie ma emerytury dla wdów, rozumiesz... A co, coś się stało?

Marchewa puścił rękę Angui, wsunął notes do kuferka i zatrzasnął wieko.

- Nie - odparł.

- Słuchaj, naprawdę mi przy... - zaczęła Angua. Marchewa nie zwracał na nią uwagi. Skinął na sierżanta.

- Trzeba mu dać kawy.

- Ale... piętnaście dolarów... prawie połowa jego pensji! Marchewa ujął dłoń Vimesa i spróbował wyprostować mu palce, jednak kapitan - choć nieprzytomny - mocno zaciskał pięść.

- Przecież to połowa wypłaty!

- Nie wiem, co on tam trzyma - rzekł Marchewa, ignorując ją całkowicie. - Może to jakiś ślad.

Wziął filiżankę kawy i podciągnął Vimesa za kołnierz.

- Proszę to wypić, kapitanie. Wszystko będzie wyglądało... wyraźniej.

Klatchiańska kawa ma lepsze działanie trzeźwiące niż nieoczekiwana brązowa koperta od inspektora podatkowego. Entuzjaści tego napoju pamiętają, żeby przed skosztowaniem najpierw solidnie się upić, ponieważ klatchiańska kawa przenosi człowieka do trzeźwości, a jeśli nie był ostrożny, to na drugą stronę, gdzie umysł ludzki błądzić nie powinien. W Straży Miejskiej uważano powszechnie, że Samuel Vimes jest przynajmniej dwa drinki poniżej poziomu i potrzebuje solidnej whisky, żeby być zwyczajnie trzeźwym.

- Ostrożnie... ostrożnie... - Marchewa wlał kilka kropel między zaciśnięte zęby Vimesa.

- Posłuchaj mnie. Kiedy powiedziałam... - wciąż próbowała tłumaczyć się Angua.

- Nie ma o czym mówić. - Marchewa nawet nie odwrócił głowy. - Ja

tylko...

- Powiedziałem już, nie ma o czym mówić. Vimes otworzył oczy, spojrzał na świat i wrzasnął.

- Nobby! - zawołał Colon.

- Słucham, sierżancie.

- Kupiłeś Czerwoną Pustynię Special czy Krzywą Górę Ekstra?

- Czerwoną Pustynię, sierżancie, bo...

- Mogłeś uprzedzić. Przynieś zaraz... - Colon przyjrzał się wykrzywionej ze zgrozy twarzy Vimesa. - Przynieś mu pół szklanki bearhuggera. Posłaliśmy go za daleko na tamtą stronę.

Szklanka została dostarczona i zaaplikowana. Alkohol zaczął działać i Vimes rozluźnił mięśnie. Rozprostował palce.

- O bogowie! - szepnęła Angua. - Mamy tu gdzieś bandaże?

Niebo było tylko jasnym krążkiem wysoko w górze.

- U demona, gdzie jesteśmy, partnerze? - spytał Cuddy.

- Jaskinia.

- Pod Ankh-Morpork nie ma jaskiń. Stoi na łąkach.

Cuddy spadł z trzydziestu stóp, ale wylądował stosunkowo miękko na głowie Detrytusa. Troll siedział otoczony przegniłymi belkami w... no... w jaskini. Albo, pomyślał Cuddy, gdy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, w wyłożonym kamieniami tunelu.

- Nic nie zrobiłem - zapewnił Detrytus. - Stałem tylko, a potem wszystko poleciało do góry.

Cuddy sięgnął w błoto pod nogami i wyjął kawałek deski. Była bardzo gruba. Była również bardzo spróchniała.

- Spadliśmy przez coś do czegoś - stwierdził. Przesunął dłonią po wklęsłej ścianie tunelu. - A to solidny mur. Bardzo solidny.

- Jak się wydostać?

Nie było sposobu, żeby wrócić tą samą drogą - tunel był o wiele wyższy niż Detrytus.

- Wyjdziemy stąd chyba.

Cuddy wciągnął powietrze. Wilgotne. Krasnoludy mają pod ziemią doskonałe wyczucie kierunku.

- Tędy - zdecydował i ruszył.

- Cuddy...

- Tak?

- Nikt nigdy nie mówił tunele pod miastem. Nikt o nich nie wie.

- I co?

- Czyli nie ma wyjście. Bo wyjście jest też wejście, a jak nikt nie wie o tunele, to nie ma wejście.

- Ale gdzieś muszą prowadzić. - Może.

Czarne błoto, mniej lub bardziej wyschnięte, tworzyło wąską ścieżkę na dnie tunelu. Ściany pokrywał szlam wskazujący, że w pewnym punkcie niedawnej przeszłości tunel był wypełniony wodą. Tu i tam kępy świecących grzybów rzucały słabe światło na starożytne kamienne płyty* [przyp.: Nie musiały tego robić. Cuddy należał do rasy preferującej pracę pod ziemią, a

Detrytus do rasy notorycznie nocnej, więc obaj doskonale widzieli w ciemności. Ale tajemnicze groty i tunele zawsze mają świecące grzyby, dziwnie jaśniejące kryształy, a przynajmniej niesamowite lśnienie w powietrzu - na wypadek gdyby zjawił się ludzki bohater i musiał coś zobaczyć. Niewiarygodne, ale prawdziwe.].

Idąc przez mrok, Cuddy czuł, jak poprawia mu się humor. Krasnoludy zawsze są szczęśliwsze pod ziemią.

- Musimy znaleźć jakieś wyjście - oświadczył.

- Jasne.

- A przy okazji... jak to się stało, że wstąpiłeś do straży?

- Ha! Moja dziewczyna Ruby, ona mówi, chcesz się żenić, znajdź porządna pracę, nie wyjdę za troll, co mówią o nim, to zły troll, tępy jak krótka drewniana deska. - Głos Detrytusa odbijał się echem w tunelu. - A ty?

- Nudziło mi się. Pracowałem dla szwagra, Durance'a. Prowadził niezły interes, hodował szczury szczęścia dla restauracji. Ale uznałem, że to nie jest odpowiednia praca dla krasnoluda.

- Wydaje się całkiem łatwa.

- Wiesz, jak się trzeba namęczyć, żeby je zmusić do połykania wróżb?

Cuddy znieruchomiał. Zmiana w powietrzu sugerowała, że przed nimi jest większy tunel.

I rzeczywiście, korytarz kończył się w ścianie innego, o wiele szerszego. Na ziemi leżała tu gruba warstwa błota, a środkiem płynęła strużka wody. Cuddy'emu zdawało się, że słyszy, jak szczury - przynajmniej miał nadzieję, że to szczury - uciekają w ciemnej pustce. Słyszał też chyba niewyraźne odgłosy miasta przesączaające się przez warstwy ziemi.

- To jak świątynia - powiedział, a jego głos zahuczał echem.

- Napis tu na ścianie - zauważył Detrytus.

Cuddy przyjrzał się literom wyrytym głęboko w kamieniu.

- VIA CLOACA - odczytał. - Hm... zaraz, chwileczkę... „Via” to dawne słowo, oznaczające drogę lub ulicę. „Cloaca” znaczy...

Wytrzeszczył oczy w ciemności.

- To kanał ściekowy - oświadczył.

- Co to jest?

- Tak jakby... czekaj, gdzie trolle wyrzucają swoje... nieczystości?

- Na ulica - wyjaśnił Detrytus. - Higienicznie.

- To jest... podziemna ulica dla... no, dla odchodów. Nie wiedziałem, że jest taka w Ankh-Morpork.

- Może Ankh-Morpork nie wie, że jest taka w Ankh-Morpork.

- Słusznie. Masz rację. Ten kanał jest stary. Dotarliśmy do samych trzewi ziemi.

- W Ankh-Morpork nawet gówno ma swoją ulica - stwierdził Detrytus z podziwem i zachwytem w głosie. - To rzeczywiście kraina wielkie możliwości.

- Tu jest jakiś inny napis. - Cuddy zdrapał szlam ze ściany. - „Cirone IV me fabricat” - przeczytał głośno. - To chyba jeden z pierwszych królów. Zaraz... wiesz, co to znaczy?

- Nikt tutaj nie był od wczoraj - oświadczył Detrytus.

- Nie. Ten tunel ma ponad dwa tysiące lat. Jesteśmy chyba pierwsi, którzy tu zeszli od...

- ...wczoraj.

- Wczoraj? Wczoraj? Co wczoraj ma z tym wspólnego?

- Ślady ciągle świeże.

Detrytus wskazał je ręką - w błocie widoczne były odciski stóp.

- Jak długo już tu mieszkasz? - zapytał Cuddy, czując się nagle bardzo widoczny pośrodku tunelu.

- Dziewińć lat. To liczba lat, jakie tutaj żyję. Dzie-więć - rzekł z dumą Detrytus. - To tylko jedna z dużej... liczby liczb, do jakich umiem liczyć.

- I czy kiedykolwiek słyszałeś o tunelach pod miastem?

- Nie.

- A jednak ktoś o nich wie.

- Tak.

- Co zrobimy?

Odpowiedź była nieunikniona. Ścigali człowieka do składu przyszłej wieprzowiny i o mało co nie zginęli. Potem trafili w środek niewielkiej lokalnej wojny i o mało co nie zginęli. Teraz znaleźli się w tajemniczym tunelu i odkryli tu świeże ślady. Gdyby kapral Marchewa albo sierżant Colon zapytali: „I co wtedy zrobiliście?”, żaden z nich nie potrafił sobie wyobrazić, że odpowiadają: „Zawróciliśmy”.

- Ślady kierują się w tę stronę - stwierdził Cuddy. - A potem wracają. Ale te, które wracają, nie są tak głębokie jak te, które idą. Widać, że są późniejsze, bo są odcisnięte na tych pierwszych. Czyli idąc tam, był cięższy, niż kiedy wracał.

- Zgadza się - przyznał Detrytus.

- To oznacza...

- ...że stracił na waga?

- Niósł coś i zostawił to... gdzieś przed nami. Wpatrzyli się w

ciemność.

- Czyli idziemy sprawdzić, co to? - upewnił się Detrytus.

- Chyba tak. Jak się czujesz?

- Dobrze.

Choć należeli do różnych gatunków, oba ich umysły zogniskowały się na tym samym obrazie, na którym był błysk u wylotu lufy i ołowiany pocisk gwiżdżący w podziemnej nocy.

- Wrócił - przypomniał Cuddy.

- Tak - zgodził się Detrytus. Znowu spojrzeli w ciemność.

- To nie był przyjemny dzień - orzekł Cuddy.

- Szczera prawda.

- Chciałbym cię o coś spytać na wypadek... znaczy... słuchaj, co się właściwie stało w składzie przyszłej wołowiny? Wypisałeś całą tę matematykę. Różne obliczenia.

- Ja... nie wiem. Zobaczyłem to wszystko. - Wszystko co?

- Po prostu wszystko. Zupełnie. Wszystkie liczby na świecie. I potrafiłem je wszystkie policzyć.

- Czemu się równały?

- Co to znaczy „się równały”?

Brnęli dalej, by się przekonać, co skrywa przyszłość.

Wreszcie dotarli do węższego tunelu, tak ciasnego, że troll ledwie mógł się wyprostować. Ze stropu wypadł kamień, a przez otwór przesypało się tyle ziemi i gruzu, że zablokowały przejście. Co zresztą nie miało znaczenia, bo trafili na to, czego szukali, chociaż wcale nie tego spodziewali się znaleźć.

- Oj - powiedział Detrytus.

- Stanowczo - zgodził się z nim Cuddy. Rozejrzał się niepewnie. - Wiesz co? Moim zdaniem te tunele są zwykle pełne wody. Leżą poniżej normalnego poziomu rzeki.

Raz jeszcze spojrzeli na swe nieszczęsne odkrycie.

- Będzie z tym mnóstwo kłopotów.

- To jego odznaka - oznajmił Marchewa. - Wielcy bogowie! Trzymał ją tak mocno, że rozcięła mu rękę.

Technicznie rzecz biorąc, Ankh-Morpork jest zbudowane na łąkach, ale tak naprawdę jest zbudowane głównie na Ankh-Morpork. Było wzniesione, spalone, zamulone i odbudowane tyle razy, że jego fundamentami są dawne piwnice, zasypane drogi, skamieniałe kości i wysypiska wcześniejszych miast.

Poniżej tego wszystkiego, w ciemności, siedzieli troll i krasnolud.

- Co teraz?

- Powinniśmy to zostawić i sprowadzić kaprała Marchewę. On będzie wiedział, co robić.

Detrytus zerknął przez ramię na leżący za nimi obiekt.

- Nie podoba mi się to - stwierdził. - To niewłaściwe tak to zostawiać.

- Jasne. Owszem, masz rację. Ale ty jesteś trollem, a ja krasnoludem.

Jak myślisz, co się stanie, kiedy ludzie zobaczą, że niesiemy to po ulicy?

- Wielkie kłopoty.

- Otóż to. Trafiłeś. Chodź, pójdziemy teraz za wracającymi śladami.

- A jeśli to zniknie, kiedy nas nie będzie? - zaniepokoił się Detrytus, wstając.

- Jak? Idziemy z powrotem za odciskami stóp. Jeżeli ten, kto to tutaj położył, zechce wrócić, najpierw zderzy się z nami.

- Świetnie. Dobrze, że to powiedziałeś.

Vimes siedział na krawędzi łóżka, a Angua bandażowała mu rękę.

- Kapitan Quirke? - nie dowierzał Marchewa. - To przecież... nie jest dobry wybór.

- Majonez Quirke, tak go zawsze nazywaliśmy - mruknął Colon. - Straszny tuman.

- Nie mówcie! - zawołała Angua. - Jest tłusty, śliski i oleisty?

- I trochę pachnie jajkami - dokończył Marchewa.

- Pióropusz na hełmie - dodał Colon. - I pancerz, w którym można się przejrzyć.

- Niby Marchewa też taki nosi... - przypomniał Nobby.

- Tak, ale jest różnica. Marchewa poleruje swój pancerz, bo... bo lubi mieć porządnie wyczyszczoną zbroję - oświadczył lojalnie Colon. - A Quirke poleruje swoją, bo jest tumanem.

- W każdym razie zamknął sprawę - poinformował Nobby. - Słyszałem, jak byłem po kawę. Zamknął Węglarza, tego trolla. Zna go pan, kapitanie? Czyści wychodki. Ktoś go widział niedaleko Szronowej tuż przed tym, jak zginął krasnolud.

- Przecież on jest masywny - zdumiał się Marchewa. - Nie mógłby się przecisnąć przez drzwi.

- Miał motyw - oświadczył Nobby.

- Tak?

- Tak. Młotokuj był krasnoludem.

- To nie jest żaden motyw.

- Dla trolla jest. Zresztą nawet jeśli tego nie zrobił, prawdopodobnie coś jednak przeskrobał. Mają przeciw niemu masę dowodów.

- Jakich na przykład? - zainteresowała się Angua.

- Jest trollem.

- To nie jest żaden dowód.

- Jest, dla kapitana Quirke'a - wyjaśnił sierżant.

- Na pewno coś przeskrobał - powtórzył Nobby.

Przytaczał w ten sposób pogląd patrycjusza na zbrodnię i karę. Jeśli zdarzyła się zbrodnia, musi być wymierzona kara. Jeśli ów konkretny zbrodniarz winowajca zostanie uwzględniony w procesie karania, jest to szczęśliwy przypadek, ale jeśli nie, to wystarczy dowolny zbrodniarz, a że każdy był niewątpliwie winien jakiegoś przestępstwa, to w sensie ogólnym sprawiedliwość tryumfowała.

- Paskudny typ, ten Węglarz - stwierdził Colon. - Prawa ręka Chryzopraza.

- To fakt. Ale nie mógł zabić Bjorna - upierał się Marchewa. - I co z tą żebraczką?

Vimes siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową.

- Co pan o tym myśli, kapitanie? - zapytał Marchewa. Vimes wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi?

- Na przykład pana obchodzi. Zawsze pana obchodziło. Nie można pozwolić, żeby nawet ktoś taki...

- Posłuchaj mnie - przerwał mu słabym głosem Vimes. - Przypuśćmy, że znajdziemy tego, kto zabił krasnoluda i klauna. Albo tę dziewczynę. Nic z tego nie wyniknie. I tak wszystko tu gnije.

- Co gnije, kapitanie? - zdziwił się Colon.

- Wszystko. Równie dobrze można by próbować wyczerpać studnię sitem. Niech skrytobójcy to załatwią między sobą. Albo złodzieje. Następnym razem może spróbować ze szczurami. Czemu nie? My się do tego nie nadajemy. Trzeba było dalej machać dzwonkami i krzyczeć „Wszystko jest w porządku!”.

- Ale nie wszystko jest w porządku, kapitanie - zauważył Marchewa.

- Co z tego? Czy kiedyś miało to znaczenie?

- Oj - mruknęła pod nosem Angua. - Chyba daliście mu za dużo tej kawy...

- Jutro odchodzę ze straży - mówił dalej Vimes. - Dwadzieścia pięć lat na ulicach...

Nobby zaczął uśmiechać się nerwowo i przestał nagle, kiedy sierżant, pozornie nie zmieniając pozycji, chwycił jego rękę i wykręcił mu za plecami - delikatnie, ale znacząco.

- ...i co mi z tego przyszło? Co dobrego zrobiłem? Zdarłem tylko mnóstwo butów. W Ankh-Morpork nie ma miejsca dla policjantów! Kogo obchodzi, co jest dobre, a co złe? Skrytobójcy, złodzieje, trolle, krasnoludy! Brakuje jeszcze tylko króla i możemy kończyć z tym wszystkim.

Pozostali funkcjonariusze nocnej straży stali wpatrzeni we własne stopy, milczący i zakłopotani. Wreszcie odezwał się Marchewa:

- Lepiej zapalić świecę niż narzekać na ciemność. Tak mówią.

- Co? - nagły wybuch gniewu Vimesa był jak piorun. - Kto tak mówi? Czy to w ogóle była kiedyś prawda? Nigdy! Takie rzeczy powtarzają ludzie bezsilni, żeby świat nie wydawał się paskudny. Ale to tylko słowa, nic z tego nie wynika...

Ktoś zastukał do drzwi.

- To pewno Quirke - stwierdził Vimes. - Macie mu oddać broń. Nocna straż zostaje zawieszona na czas dnia. Nie można pozwolić, żeby gliny chodziły na swobodzie i zakłócały porządek, prawda? Otwórz, Marchewa.

- Ale... - zaczął Marchewa.

- To był rozkaz. Może i nie nadaję się do niczego, ale potrafię jeszcze, do demonów, rozkazać ci, żebyś otworzył drzwi, więc otwórz te drzwi!

Quirke'owi towarzyszyło sześciu ludzi z dziennej zmiany. Mieli kusze. Przez szacunek dla faktu, że uczestniczą w niezbyt miłej akcji rozbijania kolegów, trzymali je skierowane lekko w dół. Przez szacunek dla faktu, że nie byli durniami, mieli odsunięte bezpieczniki.

Quirke nie był tak naprawdę złym człowiekiem. Na to brakowało mu wyobraźni. Charakteryzowała go raczej dość ogólna, prymitywna złośliwość, jaka odrobinę bruka dusze wszystkich, którzy się z nią zetkną* [przyp.: Trochę podobnie do kolei państwowych.]. Wielu ludzi pełni funkcje, które nieco przekraczają ich możliwości, jednak istnieją sposoby zachowania się w takich sytuacjach. Niektórzy są podenerwowani i uprzejmi; inni są jak Quirke. Quirke wyznawał jedną zasadę: nieważne, czy masz rację, czy nie,

bylebyś był stanowczy. Na przykład w Ankh-Morpork właściwie nie istniał problem przesądów rasowych. Kiedy ma się w mieście krasnoludy i trolle, zwykły kolor skóry innych ludzi nie wydaje się szczególnie istotny. Ale Quirke był człowiekiem, który w naturalny sposób używa słowa „czarnuch”. Miał na głowie kapelusz z piórami.

- Wejdźcie, wejdźcie - zaprosił ich Vimes. - W końcu nie robiliśmy tu nic ważnego.

- Kapitanie Vimes...

- W porządku. Wiemy. Oddajcie im broń. To rozkaz, Marchewa. Jeden miecz służbowy, jedna pika albo halabarda, jedna pałka, jedna kusza. Zgadza się, sierżancie Colon?

- Tak jest.

Marchewa wahał się tylko przez sekundę.

- No trudno - mruknął. - Mój służbowy miecz jest na stojaku.

- A ten, co go masz u pasa?

Marchewa nie odpowiedział. Zmienił tylko trochę pozycję. Bicepsy napięły skórzane rękawy.

- Służbowy miecz. Oczywiście. - Quirke odwrócił się. Należał do ludzi, którzy cofają się przed siłą, ale bezlitośnie atakują słabych. - Gdzie jest żwirojad? I kamulec?

- Nie mam pojęcia - odparł uprzejmie Vimes. Angui wydało się, że znów jest pijany, jak gdyby można się upić rozpaczą.

- Nie wiemy, sir - powiedział Colon. - Nie widzieliśmy ich cały dzień.

- Pewnie się biją w alei Kamieniołomów, razem z całą resztą - stwierdził Quirke. - Nie można ufać takim typom. Powinniście o tym wiedzieć.

Angua miała też wrażenie, że choć takie słowa jak „żwirojad” czy „kamulec” są obraźliwe, wyrażają raczej uczucie powszechnego braterstwa wobec określenia „takie typy” w ustach Quirke’a. Ku swemu zdumieniu odkryła, że wpatruje się w jego tętnicę szyjną.

- Biją się? - zdziwił się Marchewa. - Dlaczego? Quirke wzruszył ramionami.

- Kto to wie?

- Niech się zastanowię - wtrącił Vimes. - Może to mieć jakiś związek z niesłusznym aresztowaniem. Może mieć związek z pewnymi niespokojnymi krasnoludami szukającymi pretekstu, żeby dołożyć trollom. Co o tym myślisz, Quirke?

- Ja nie myślę, Vimes.

- Zuch. Właśnie tacy są w mieście potrzebni. Vimes wstał.

- Chyba już pójde - rzekł. - Zobaczymy się jutro. Jeżeli nastąpi jutro.

Trzasnęły za nim drzwi.

Ta hala była ogromna jak miejski plac. Co kilka sążni stały filary podtrzymujące strop. Tunele rozbiegały się z niej we wszystkich kierunkach i na różnych wysokościach. Z wielu sączyła się woda z małych źródełek i podziemnych strumieni.

Na tym polegał kłopot. Warstewka bieżącej wody na kamiennym podłożu hali starła wszelkie ślady stóp.

Bardzo szeroki tunel, na wpół zablokowany gruzem i mułem, prowadził - Cuddy był prawie pewien - w kierunku ujścia.

Było tu niemal przyjemnie. Nie czuli żadnych zapachów prócz

wilgotnej, podziemnej stęchlizny. I było chłodno.

- Widziałem wielkie sale krasnoludów w górach - powiedział Cuddy. - Ale muszę przyznać, że to co innego.

Jego głos odbijał się echami w podziemnej komorze.

- Oczywiście - zgodził się Detrytus. - To musi być coś innego, ponieważ to nie jest sala krasnoludów w górach.

- Widzisz jakieś wyjście?

- Nie.

- Mogliśmy tu minąć z dziesięć dróg na powierzchnię i nawet o tym nie wiedzieć.

- Tak - przyznał troll. - To skomplikowany problem.

- Detrytus...

- Słucham.

- Wiesz, tutaj w chłodzie znowu się robisz mądrzejszy.

- Naprawdę?

- Może byś wykorzystał tę mądrość i wymyślił jakieś wyjście.

- Kopanie? - zaproponował Detrytus.

Tu i tam w tunelach spotykali leżące na ziemi kamienie, które wypadły ze ścian. Niewiele - tunele zbudowano solidnie.

- Nie. Nie mamy łopat - przypomniał mu Cuddy. Detrytus kiwnął głową.

- Daj swój napierśnik - powiedział.

Przycisnął go do ściany i kilka razy uderzył pięścią, po czym oddał krasnoludowi. Pancierz miał teraz mniej więcej kształt łopaty.

- Do powierzchni daleko... - zauważył Cuddy z powątpiewaniem.

- Mamy do wyboru albo to, albo zostać tu i do końca życia żreć szczury.

Krasnolud zawahał się. Ta perspektywa miała swoje kuszące aspekty.

- Bez keczupu - dodał troll.

- Kawalek stąd chyba widziałem leżący kamień - powiedział Cuddy.

Kapitan Quirke rozejrzał się po pokoju strażników z miną człowieka, który wyświadcza scenerii zaszczyt, patrząc na nią. - Całkiem miłe miejsce - stwierdził. - Chyba się tu przeniesiemy. Lepsze od naszej kwatery koło pałacu.

- Przecież my tu jesteśmy - zdziwił się Colon.

- To będziecie musieli się ścieśnić.

Quirke zerknął na Anguę. Jej spojrzenie zaczynało mu działać na nerwy.

- Nastąpią też pewne zmiany - rzekł.

Drzwi za nim się otworzyły. Do środka wszedł mały cuchnący kundel.

- Przecież lord Vetinari nie mówił, kto obejmie dowództwo w nocnej straży - zauważył Marchewa.

- Ach tak? Ale zdaje mi się, tak mi się coś zdaje... że niewielka jest szansa, by to był ktoś z was tutaj, co? Coś mi się zdaje, że obie zmiany będą

połączone. Coś mi się zdaje, że za dużo tu niechlujstwa. Coś mi się zdaje, że trochę tu za dużo przybłędów.

Znowu spojrzał na Anguę. To, jak na niego patrzyła, zbijało go z tropu.

- Coś mi się zdaje... - zaczął znowu i wtedy zauważył psa. - Popatrzcie tylko! - zawołał. - Psy na komisariacie!

Kopnął mocno Gaspode'a i uśmiechnął się złośliwie, gdy pies skomląc wbiegł pod stół.

- A co z Letycją Knibbs, tą żebraczką? - spytała Angua. - Jej nie zabił troll. Klauna też nie.

- Trzeba na to spojrzeć z szerszej perspektywy - odparł Quirke.

- Szanowny panie kapitanie - odezwał się spod stołu cichy głos, słyszalny na poziomie świadomości jedynie dla Angui. - Swędzi pana tyłek.

- Co to za szersza perspektywa? - zainteresował się Marchewa.

- Musimy myśleć w kategoriach całego miasta - wyjaśnił Quirke. Poruszył się niespokojnie.

- Naprawdę swędzi - rzekł substołowy głos.

- Dobrze się pan czuje, kapitanie? - spytała Angua. Quirke zaczął się wiercić.

- Swędzi, swędzi, swędzi - powiedział głos.

- Znaczy, pewne sprawy są ważne, a inne nie - oświadczył Quirke. - Argh!

- Słucham?

- Swędzi.

- Nie mogę tu siedzieć przez cały dzień i z wami rozmawiać - rzekł

Quirke. - Ty. Zameldujesz się. U mnie. Jutro po południu...

- Swędzi, swędzi, swędzi...

- W tyyył zwrot!

Dzienna rota wymaszerowała z pokoju. Wijący się Quirke zamykał - tak się złożyło - tyły.

- Słowo daję, chyba strasznie mu się spieszyło - rzucił Marchewa.

- Rzeczywiście - przyznała Angua. - Ciekawe czemu. Spojrzeli po sobie.

- To już koniec? - spytał Marchewa. - Koniec z nocną strażą?

W bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu zwykle panuje . spokój. Owszem, słychać szuranie stóp maga wędrującego między półkami, czasem krótki kaszel zakłócający akademicką ciszę, niekiedy też śmiertelny krzyk nieświadomego studenta, który nie potraktował starożytnej magicznej księgi z należną jej ostrożnością.

Rozważmy orangutany.

We wszystkich światach obdarzonych łaską ich obecności podejrzewa się, że umieją mówić. Wolą jednak tego nie robić z obawy, że ludzie zaprzęgą je do pracy, być może w przemyśle telewizyjnym. Rzeczywiście umieją. Tyle że mówią w orangutańskim. Ludzie zaś są w stanie słuchać tylko w oszołomieniu.

Bibliotekarz Niewidocznego Uniwersytetu jednostronnie zdecydował zwiększyć poziom zrozumienia, tworząc „Słownik orangutańsko-ludzki”. Pracował nad nim od trzech miesięcy.

Nie było to łatwe. Na razie doszedł do „uuk* [przyp.: Które mogło

oznaczać... Nie. Wśród znaczeń którego byty m.in.: „Bardzo przepraszam, ale wisi pan na moim gumowym kole, uprzejmie dziękuje”, „Dla pana jest to być może istotny element biomasy dostarczającej planecie tlenu, ale dla mnie to dom” oraz Jestem pewien, że jeszcze przed chwilą był tu las tropikalny”.]

Siedział w Dziale Zbiorów Zamkniętych, bo tutaj było chłodniej.

I nagle usłyszał czyjś śpiew.

Upuścił pióro spomiędzy palców stopy i zaczął nasłuchiwać.

Człowiek pewnie nie uwierzyłby własnym uszom. Orangutany są rozsądniejsze. Jeśli nie wierzy się własnym, to czym uszom można uwierzyć?

Ktoś śpiewał pod ziemią. A przynajmniej próbował śpiewać. Chtoniczne głosy brzmiały mniej więcej tak:

- Tołzo, zołto. Tołzo, żółto...

- Słuchaj no, ty... trollu! Przecież to najłatwiejsza piosenka na świecie. To idzie tak: „Złoto, złoto, złoto, złoto”.

- Złoto, złoto, złoto, złoto...

- Nie! To druga zwrotka!

Dobiegał też rytmiczny szelest odgarnianej ziemi i odsuwane go gruzu.

Bibliotekarz się zamyślił. A więc... krasnolud i troll. Oba te gatunki przedkładał nad ludzi. Przede wszystkim ani jedni, ani drudzy nie należeli do grupy zapalonych czytelników. Bibliotekarz był oczywiście wielkim entuzjastą czytelnictwa jako takiego, ale sami czytelnicy działali mu na nerwy. Było coś... coś bluźnierczego w tym, jak stale zdejmowali książki z półek i odczytywaniem zużywali słowa. Lubił tych, którzy książki kochają i szanują, a najlepszą metodą wyrażania tych uczuć - zdaniem bibliotekarza - było pozostawianie ich na półkach, w miejscu przeznaczonym im przez Naturę. Stłumione głosy chyba się zbliżały.

- Złoto, złoto, złoto...

- Nie! Teraz śpiewasz refren!

Z drugiej strony istniały właściwe sposoby wchodzenia do biblioteki.

Rozkołysanym krokiem podszedł do regału i wybrał wspaniałe dzieło Humtulipa „Jak zabijać insekty”. Całe dwa tysiące stron tego dzieła.

Vimes z lekkim sercem szedł aleją Scoone’a. Był świadom, że jakiś wewnętrzny Vimes wrzeszczy rozpaczliwie w jego głowie. Nie zwracał na niego uwagi.

W Ankh-Morpork nie można być prawdziwym gliną i nie zwariować. Trzeba przecież choć trochę się przejmować. A przejmować się w Ankh-Morpork to jak otworzyć puszkę z mięsem pośrodku ławicy piranii.

Każdy radził sobie z tym problemem na swój sposób. Colon w ogóle o nim nie myślał, Nobby się nim nie martwił, nowi nie służyli jeszcze tak długo, by poczuć, jak ich dręczy, natomiast Marchewa... Marchewa po prostu był sobą.

Codziennie ginęły w mieście setki ludzi, często wskutek samobójstwa. Jakże znaczenie ma kilku więcej?

Wewnętrzny Vimes tłukł pięściami w ściany umysłu.

Przed rezydencją Ramkinów stało kilka powozów, a w domu roiły się rozmaite krewne i Wymienne Emmy. Piekły różne rzeczy i polerowały inne rzeczy. Vimes przeszedł na tyły, właściwie niedostrzeżony.

Znalazł Sybil przy zagrodach smoków - w jej gumowych butach i ochronnej zbroi. Wygarniała gnój, błogo nieświadoma panujące go w domu celowego chaosu.

Uniosła głowę, gdy Vimes zamknął za sobą drzwi.

- Och, jesteś już. Wcześniej wróciłeś - powiedziała. - Nie mogłam wytrzymać w tym zamieszaniu, więc wyniosłam się tutaj. Ale już niedługo będę musiała wrócić i się przebrać...

Urwała, widząc wyraz jego twarzy.

- Coś się stało, prawda?

- Nie wracam już - odparł Vimes.

- Naprawdę? W zeszłym tygodniu mówiłeś, że odpracujesz pełną zmianę. Mówiłeś, że nie możesz się już doczekać.

Niewiele umyka uwagi Sybil, pomyślał Vimes. Poklepała go po rękę.

- Cieszę się, że to rzuciłeś.

Kapral Nobbs wpadł na komendę i zatrzasnął za sobą drzwi.

- I co? - zapytał Marchewa.

- Nie jest dobrze - odparł Nobby. - Podobno trolle chcą ruszyć na pałac i uwolnić Węglarza. Całe bandy trolli i krasnoludów włóczą się po mieście i szukają zwady. Żebracy też. Letycja była bardzo popularna. Sporo widzi się też ludzi z gildii. Miasto - podsumował z dumą - jest wyraźnie podobne do beczułki Proszku numer jeden.

- Co byś powiedział na biwak na otwartej równinie? - wtrącił Colon.

- A co to ma do rzeczy?

- Jeśli ktokolwiek rzuci dzisiaj gdzieś zapalniczkę, to żegnaj, Ankh - wyjaśnił ponuro sierżant. - Zwykle zamykamy rzekę, ale ostatnio w korycie

jest najwyżej parę stóp wody.

- Zalewacie miasto tylko po to, żeby zgasić pożar? - zdziwiła się Angua.

- Tak.

- Jeszcze coś - dodał Nobby. - Ludzie rzucali we mnie różnymi rzeczami.

Marchewa wpatrywał się w ścianę. Po chwili wyjął z kieszeni niewielką, pogniecioną czarną książkę i zaczął przerzucać strony.

- Powiedz - odezwał się głosem jakby nieco odległym - czy nastąpiło poważne naruszenie prawa i porządku?

- Tak - potwierdził Colon. - I trwa już od pięciuset lat. Poważne naruszanie prawa i porządku to podstawa istnienia Ankh-Morpork.

- Nie, chodzi mi o większe niż zwykle. To ważne. - Marchewa odwrócił stronę. Czytając, bezgłośnie poruszał wargami.

- Rzucanie we mnie wygląda na naruszenie prawa i porządku - zauważył Nobby.

Poczuł na sobie ich spojrzenia.

- To chyba nie przejdzie - stwierdził Colon.

- Jak to nie przejdzie, kiedy przeszło? - zaprotestował Nobby. - Trochę nawet pociekło mi za koszulę.

- Dlaczego w ciebie rzucali? - zdziwiła się Angua.

- Dlatego że jestem strażnikiem. Krasnoludy nie lubią straży z powodu pana Młotokuja, trolle nie lubią straży, bo aresztowali Węglarza, a ludzie nie lubią straży z powodu wszystkich tych wściekłych krasnoludów i trolli na ulicach.

Ktoś zastukał do drzwi.

- To pewnie już rozwścieczony tłum - domyślił się Nobby. Marchewa otworzył.

- To nie jest rozwścieczony tłum - oznajmił.

- Uuk.

- To orangutan niosący nieprzytomnego krasnoluda, a za nim troll. Ale chyba jest wściekły, jeśli to w czymś pomoże.

Willikins, kamerdyner lady Ramkin, przygotował mu kąpiel. Ha! Jutro to będzie jego kamerdyner i jego łazienka. I nie była to kąpiel w balii, którą należy przeciągnąć bliżej pieca. O nie. W rezydencji Ramkinów woda zbierała się w wielkiej cysternie na dachu; po odcedzeniu gołębi ogrzewał ją stary gejzer* [przyp.: Który palił w bojlerze.], po czym spływała dudniącymi, jęczącymi ołowianymi rurami do emaliowanej wanny. Na szorstkim ręczniku czekały już wielkie szczotki do szorowania, trzy typy mydła i gąbka.

Willikins stał cierpliwie obok wanny, niczym odrobinę zagrzany wieszak na ręczniki.

- O co chodzi? - zapytał Vimes.

- Jego lordowska mość... to znaczy ojciec lady Sybil... wymagał, żeby szorować mu plecy - wyjaśnił kamerdyner.

- Lepiej pomóż staremu gejzerowi przy palenisku - odparł stanowczo Vimes.

Kiedy został sam, ściągnął hełm i cisnął w kąt. Za hełmem poleciał napierśnik i kolczuga, sakiewka oraz rozmaite skórzane i płócienne drobiazgi oddzielające zwykle strażnika od zewnętrznego świata.

Potem Vimes zanurzył się - z początku ostrożnie - w pianę.

- Spróbować mydło. Mydło pomaga - zaproponował Detrytus.

- Nie ruszaj się, dobrze? - poprosił Marchewa.

- Odkręcasz mi głowę!

- Namydlić mu głowa!

- Sam sobie namydl!

Zabrzmiął głośny brzęk i głowa Cuddy'ego została uwolniona z hełmu.

Mrugając mocno, Cuddy wynurzył się na światło dnia. Popatrzył na bibliotekarza i warknął.

- On mnie walnął po głowie!

- Uuk.

- Mówi, że wyszliście z podłogi - przetłumaczył Marchewa.

- To nie powód, żeby mnie walić po głowie.

- Niektóre stwory wychodzące z podłogi na Niewidocznym Uniwersytecie w ogóle nie mają głów.

- Uuk!

- Albo mają ich setki. Dlaczego się podkopaliście?

- Wcale się nie podkopaliśmy. Chcieliśmy się wykopać... Marchewa uważnie wysłuchał opowieści. Przerwał tylko dwa razy.

- Strzelał do was?

- Pięć raz - odparł z satysfakcją Detrytus. - Muszę zameldować uszkodzenie napierśnik, ale nie naplecznik, bo szczęśliwie moje ciało go zasłoniło, ratując cenną własność miasto wartą trzy dolary.

Marchewa słuchał jeszcze chwilę.

- Kanały? - zapytał.

- To całe podziemne miasto. Widzieliśmy korony i różne takie wyrzeźbione na ścianach.

Marchewie błysnęły oczy.

- To znaczy, że pochodzą z czasów, kiedy mieliśmy królów! A potem tyle razy odbudowywaliśmy miasto, aż zapomnieliśmy, że są pod nami...

- Ehm... - chrząknął Cuddy. - To nie wszystko, co tam jest pod nami. Znaleźliśmy... coś.

- Tak?

- Coś niedobrego.

- Nie spodoba ci się - uzupełnił Detrytus. - Niedobre, niedobre, niedobre. Albo jeszcze gorsze.

- Uzналиśmy, że lepiej to zostawić na miejscu. Z takiej przyczyny, że to jest Dowód. Ale powinniście to zobaczyć.

- To wszystko zmieni - dodał troll, nabierając zapału.

- Co to było?

- Jak powiemy, wy mówić: Głupi etniczni ludzie, naciągacie mnie. - Naprawdę lepiej, żebyście sami zobaczyli.

Sierżant Colon zmierzył wzrokiem swych strażników.

- My wszyscy? - upewnił się nerwowo. - Tego... może kilku starszych funkcjonariuszy powinno zostać tutaj? Na wypadek gdyby coś się stało.

- Znaczący, na wypadek gdyby coś się stało tu na górze? - spytała kwaśnym tonem Angua. - Czy na wypadek gdyby coś się stało tam na dole?

- Pójdę ja, z młodszym funkcjonariuszem Cuddym i młodszym funkcjonariuszem Detrytusem - zdecydował Marchewa. - Reszta nie będzie potrzebna.

- Ale to może być niebezpieczne - zaprotestowała Angua.

- Jeśli znajdę tego, kto strzelał do strażników, na pewno bezpiecznie nie będzie.

Samuel Vimes wysunął z wody wielki palec u nogi i przekręcił kurek z gorącą wodą.

Ktoś z szacunkiem zastukał do drzwi i krokiem starego sługi wszedł Willikins.

- Czy jaśnie pan czegoś sobie życzy? Vimes zastanowił się chwilę.

- Lady Sybil uprzedziła, że nie będzie pan sobie życzył alkoholu - zaznaczył Willikins, jakby czytał mu w myślach.

- Naprawdę?

- Empatycznie. Mam jednak doskonałe cygara.

Skrzywił się lekko, gdy Vimes odgryzł koniec i splunął obok wanny, jednak wyjął zapalnik i podał mu ognia.

- Dziękuję ci, Willikins. Jak ci na imię?

- Na imię, sir?
- No, jak się do ciebie zwracają ci, którzy już cię lepiej poznali?
- Willikins, sir.
- Aha. No tak. Oczywiście. Możesz odejść, Willikins.
- Tak, sir.

Vimes zanurzył się w ciepłej wodzie. Starał się nie zwracać uwagi na wewnętrzny głos, który wciąż gdzieś tam się odzywał. Mniej więcej teraz, mówił ów głos, przechadzałbyś się ulicą Pomniejszych Bóstw, akurat obok tego kawałka miejskich murów, gdzie można przystanąć i mimo wiatru zapalić skręta...

Żeby go zagłuszyć, Vimes zaczął śpiewać. Bardzo głośno.

Rozległe kanały pod miastem rozbrzmiewały echem ludzkich i prawie ludzkich głosów - po raz pierwszy od tysięcy lat.

- Hej-ho...
- ...hej-ho...
- Uk, uuk, uk, uk, uk...
- Wy wszyscy głupi!
- Nie mogę się powstrzymać! Mam to w prawie krasnoludziej krwi. Po prostu lubimy śpiewać pod ziemią. To dla nas całkiem naturalne.
- Dobrze, ale dlaczego on śpiewa? To małpolud!
- Jest towarzyski.

Wzięli ze sobą pochodnie. Cienie tańczyły między filarami w wielkiej grocie i przemykały przez tunele. Niezależnie od możliwych zagrożeń Marchewa był wręcz pijany radością odkrycia.

- Niewiarygodne! Via Cloaca wspomniana jest w jakiejś starej książce, którą czytałem, ale wszyscy myśleli, że to zaginiona ulica! Znakomita robota! Mieliście szczęście, że rzeka prawie wyschła. Wygląda na to, że normalnie te tunele są pełne wody.

- Tak właśnie mówiłem - zgodził się Cuddy. - Pełne wody. Tak powiedziałem.

Zerknął czujnie na tańczące cienie tworzące niesamowite, niepokojące kształty na ścianie - dziwaczne dwunogie istoty, groźne podziemne stwory...

Marchewa westchnął.

- Detrytus, przestań urządzać teatr cieni.

- Uuk.

- Co on mówił?

- Powiedział: Zrób Kalekiego Królika, to mój ulubiony - przetłumaczył Marchewa.

Szczury chrogotały w ciemności. Cuddy rozglądał się niespokojnie. Wciąż wyobrażał sobie postacie zaczajone w mroku, spoglądające nad jakimiś dziwnymi rurami...

Nastąpił nerwowy moment, kiedy stracił trop na mokrych kamieniach, ale odnalazł go znowu pod zarośniętą mchem ścianą. Zaraz potem trafili na właściwy kanał - oznaczył go zadrapaniem na kamieniu.

- To niedaleko stąd - powiedział, wręczając pochodnię Marchewie.

Marchewa zniknął. Słyszeli jego kroki w błocie, potem gwizd zdumienia i ciszę.

Marchewa pojawił się znowu.

- Coś podobnego - rzekł. - Wiecie, kto to jest?

- Wygląda na... - zaczął Cuddy.

- Wygląda na kłopoty - stwierdził Marchewa.

- Teraz rozumiesz, czemu go nie wynieśliśmy? Pomyślałem sobie, że noszenie ludzkiego trupa po ulicy w takim czasie to nie jest dobry plan. Zwłaszcza tego.

- Ja też trochę z tego pomyślałem - pochwalił się Detrytus.

- Słusznie - przyznał Marchewa. - Dobra robota. Sądzę, że lepiej będzie... jeśli zostawimy go na razie, a później wrócimy tu z workiem. Aha... i nikomu nie mówcie.

- Z wyjątkiem sierżanta i reszty - domyślił się Cuddy.

- Nie... im też nie. Tylko... tylko by się zdenerwowali.

- Według rozkazu, kapralu Marchewa.

- Mamy tu do czynienia z chorym umysłem. Podziemne światło zajaśniało w głowie Cuddy'ego.

- Rozumiem - rzekł. - Podejrzewa pan kaprala Nobbsa, kapralu?

- Coś gorszego. Lepiej wracajmy. - Spojrzał w kierunku wielkiej hali z filarami. - Domyślasz się, gdzie jesteśmy, Cuddy?

- Możliwe, że pod pałacem, kapralu.

- Też mi się tak wydaje. Oczywiście, tunele będą we wszystkie strony...

Ciąg zatroskanych myśli Marchewy przyhamował nieco.

W kanałach była woda, mimo suszy w mieście. Pewnie były tu podziemne źródła albo spływała gdzieś z góry. Ze wszystkich stron słyszał chlupot i kapanie. I czuł chłód.

Byłoby tu całkiem przyjemnie, gdyby nie smutne, skulone ciało kogoś, kto wyglądał zupełnie jak klaun Fasollo.

Vimes wytarł się ręcznikiem. Willikins przygotował mu również szlafrok zdobiony brokatem na mankietach. Vimes włożył go i przeszedł do garderoby. To kolejna ciekawostka. Bogaci mają pokoje służące do tego, żeby się w nich ubierać, i specjalne ubrania, żeby przejść do takiego pokoju i się ubrać.

Świeże ubranie już na niego czekało. Dzisiaj było to coś fantastycznego w czerwieni i żółci...

...mniej więcej teraz patrolowałyby ulicę Kopalni Melasy...

...i kapelusz. Kapelusz z piórem.

Vimes włożył wszystko na siebie - nawet kapelusz. Wydawał się całkiem spokojny i opanowany, dopóki się nie zauważyło, że unika swojego wzroku w lustrze.

Strażnicy siedzieli przy stole, w głębokim mroku. Byli po służbie. Właściwie nigdy dotąd nie byli naprawdę po służbie.

- Może byśmy zagrali w karty? - zaproponował wesoło Nobby. Z tajemniczych zakamarków munduru wyjął brudną talię.

- Już wczoraj wygrałeś od wszystkich pensje - przypomniał mu Colon.

- Będą mieli szansę się odegrać.
- Tak, ale miałeś w ręku pięć króli, Nobby. Nobby przetasował karty.
- Zabawne, wiecie - powiedział. - Jak się przyjrzeć, to wszędzie jest pełno króli.
- Na pewno, jeśli się zajrzy do twojego rękawa.

- Nie, chodzi mi o to, że jest Królewska Droga w Ankh, kilka króli w kartach, po wstąpieniu dostajemy Królewskiego Szylinga... Wszędzie są królowie, tylko nie na złotym tronie w pałacu. Coś wam powiem, nie byłoby takich problemów, gdybyśmy mieli króla.

Wpatrzony w sufit Marchewa w skupieniu marszczył brwi. Detrytus liczył coś na palcach.

- No jasne - odezwał się Colon. - Piwo byłoby po pensie za kufel, a drzewa znów by zakwitły. Pewno. Jak tylko ktoś w tym mieście walnie się w palec, zaraz się okazuje, że nie doszłoby do tego, gdybyśmy mieli króla. Vimesa szlag by trafił, gdyby usłyszał takie gadanie.

- Ale króla ludzie by słuchali.
- Vimes twierdzi, że w tym cały kłopot. Zawsze to powtarza, tak jak to o używaniu magii. Strasznie się wtedy złości.
- A jak w ogóle szukać król? - zainteresował się Detrytus.
- Ktoś musi przeciąć kamień - wyjaśnił Colon.
- Aha! Antykrzemizm!
- Nie! Ktoś musi wyciągnąć miecz z kamienia - poprawił kolegę Nobby.
- Ale skąd ma wiedzieć, że ten miecz tam jest? - zapytał gniewnie Colon.

- Bo on... będzie sterczał, prawda?

- Tam gdzie każdy może go złapać? W tym mieście?

- Tylko prawowity król może to zrobić, rozumiesz - tłumaczył Nobby.

- Pewnie. Jasne, rozumiem. O tak. Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś wcześniej zdecydował, kto jest prawowitym królem, zanim jeszcze ten król wyciągnął miecz z kamienia? Dla mnie to oszustwo. Pewnie ktoś przygotował taki fałszywy, pusty kamień i wsadził do środka krasnoluda, żeby trzymał ostrze obcęgami, dopóki nie przyjdzie odpowiedni gość i...

Mucha przez chwilę odbijała się od okiennej szyby, potem przeleciała zygzakiem przez pokój i siadła na belce. Rzucony od niechcenia topór Cuddy'ego przeciął ją na pół.

- Brakuje ci ducha, Fred - stwierdził Nobby. - Mnie by tam nie przeszkadzało, gdybym został rycerzem w lśniącej zbroi. Król może załatwić takie rzeczy, jeśli mu się przydasz. Pasuje cię na rycerza, znaczy.

- Twoje métier to nocny strażnik w pordzewiałej zbroi - oświadczył Colon. Rozejrzał się z dumą, czy ktoś zauważył tę ukośną kreskę nad e. - Nie, nie mam zamiaru słuchać jakiegoś typa tylko dlatego, że wyciągnął miecz z kamienia. Nie od tego zostaje się królem. Chociaż - dodał - ktoś, kto potrafi wbić miecz w kamień... Taki ktoś to byłby faktycznie król.

- Ktoś taki byłby nawet asem - uznał Nobby. Angua ziewnęła.

Ding-ding a-ding-ding...

- Co to jest, u demona? - zdziwił się Colon.

Krzesło Marchewy stuknęło. Pogrzebał w kieszeni i wyjął aksamitną sakiewkę, którą nad stołem odwrócił dnem do góry. Na blat wysunął się złoty krążek średnicy mniej więcej trzech cali. Kiedy Marchewa przycisnął zatrzask na boku, krążek otworzył się jak muszla.

Strażnicy pochylili się nad nim.

- Zegar? - spytała Angua.

- Zegarek.

- Bardzo duży.

- To z powodu mechanizmu. Musi być miejsce dla mnóstwa małych kółeczek. Małe zegarki mają w środku małe demony czasu i nie wytrzymują długo, zresztą nigdy nie są dokładne...

Ding-ding a-ding-ding, ding dingle ding ding...

- Gra melodyjkę! - zawołała Angua.

- Co godzinę - potwierdził Marchewa. - Taki mechanizm. Ding. Ding. Ding.

- A potem wybija godzinę - dodał Marchewa.

- W takim razie jest chyba powolny - uznał Colon. - Wszystkie pozostałe po prostu biją, nie można nie zauważyć.

- Mój kuzyn Jorgen robi podobne - odezwał się Cuddy. - Są dokładniejsze od tych z demonami, od zegarów wodnych i świec. Albo tych wielkich machin z wahadłami.

- Tam są kółeczka i sprężyna - powiedział Marchewa.

Cuddy gdzieś z gęstwiny brody wyjął lupę i starannie obejrzał zegarek.

- Najważniejszy kawałek - tłumaczył - to takie małe coś, co się kiwa i nie pozwala, żeby kółka kręciły się za szybko.

- Skąd to coś wie, że się kręcą za szybko? - zdziwiła się Angua.

- Ma to tak jakby wrodzone. Sam za bardzo nie rozumiem. Zaraz, tu jest dedykacja...

Przeczytał ją na głos:

„Na pamiątkę, wszystkich szczęśliwych godzin, od przryjaciół ze straży”.

- To taki żarcik - wyjaśnił Marchewa. - Bo zegarek odmierza godziny.

Zapadła długa, niezręczna chwila ciszy.

- Ehm... policzyłem po parę dolarów od wszystkich nowych rekrutów - dodał zaczerwieniony. - Znaczy... możecie mi oddać, kiedy chcecie. Jeśli chcecie. Znaczy... na pewno byście się zaprzyjaźnili. Gdybyście tylko go lepiej poznali.

Reszta strażników wymieniła zakłopotane spojrzenia.

Mógłby prowadzić armie, myślała Angua. Naprawdę by mógł. Niektórzy potrafili całe kraje porwać do wielkich czynów dzięki mocy swej wizji. On też jest do tego zdolny. Nie dlatego że marzy o maszerujących hordach, o władzy nad światem czy o tysiącletnim imperium. On po prostu wierzy, że ludzie są tak naprawdę przyzwoici, że doskonale by się ze sobą zgadzali, gdyby tylko chciało im się postarać. Ta jego wiara jest tak silna, że jaśniej jak płomień większy niż on sam. Marchewa ma swoje marzenie, a my wszyscy jesteśmy jego elementami, więc to ono kształtuje świat dookoła. A najdziwniejsze, że nikt nie chce go zawieść. To jakby kopnąć największego szczeniaka we wszechświecie. Działa jak magia...

- Złoto trochę się ściera - zauważył Cuddy. - Ale to dobry zegarek - dodał szybko.

- Miałem nadzieję, że damy mu go dziś wieczorem - powiedział Marchewa. - A potem wszyscy pójdziemy... się napić.

- To nie jest dobry pomysł - uznała Angua.

- Zostawmy sprawę do jutra - zaproponował Colon. - Będziemy gwardią honorową na jego ślubie. Taka tradycja. Wszyscy podnoszą miecze i

tworzą taki niby tunel.

- Został nam jeden miecz na wszystkich - przypomniał posępnie Marchewa.

Spuścili głowy.

- To niesprawiedliwe - odezwała się Angua. - Nie obchodzi mnie, kto ukradł to, co tam ukradli skrytobójcom, ale uważam, że słusznie chciał odkryć, kto zabił pana Młotokuja. I nikogo nie obchodzi Letycja Knibbs.

- Ja chciałbym wiedzieć, kto strzelał do mnie - powiedział Detrytus.

- Nie mogę zrozumieć, jak ktoś może być takim głupkiem, żeby cokolwiek kraść skrytobójcom - rzekł Marchewa. - To samo mówił kapitan Vimes. Trzeba być kompletnym błaznem, powiedział, żeby pomyśleć o włamaniu do ich gildii.

Znowu spuścili głowy.

- Takim klaunem albo trefnisiem? - spytał Detrytus.

- Detrytus, nie chodziło mu o takiego błazna w czapce z dzwoneczkami - wyjaśnił łagodnie Marchewa. - Chodziło o to, że trzeba być idio...

Urwał. Wlepił wzrok w sufit.

- Do licha - szepnął. - Czy to aż takie proste?

- Co jest takie proste? - zapytała Angua.

Ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Nie było to uprzejme stukanie, raczej walenie pięściami. Ktoś wyraźnie postanowił, że albo otworzą mu drzwi, albo wejdzie do środka razem z nimi.

Do pokoju wpadł strażnik. Miał na sobie tylko połowę pancerza i jedno oko podbite, ale można było w nim rozpoznać Skully'ego Muldoona z dziennej zmiany.

Colon pomógł mu wstać.

- Biłeś się z kimś, Skully?

Skully zauważył Detrytusa i jęknął.

- Ci dranie zaatakowali komendę!

- Kto?

- Oni!

Marchewa poklepał go po ramieniu.

- To nie jest troll - zapewnił. - To młodszy funkcjonariusz Detrytus... nie salutować! Trolle zaatakowały komendę dziennej rotacji?

- Rzucają brukowcami!

- Nie można im ufać - burknął Detrytus.

- Komu? - nie zrozumiał Skully.

- Trollom. To wredne łobuzy, moim zdaniem - wyjaśnił Detrytus z absolutną pewnością trolle noszącego odznakę. - Trzeba ich stale mieć na oku.

- Co się stało z Quirkim? - spytał Marchewa.

- Nie wiem! Musicie coś zrobić!

- Odsunęli nas - przypomniał mu Colon. - Oficjalnie.

- Nie opowiadaj bzdur!

- Aha! - ucieszył się nagle Marchewa. Wyjął z kieszeni ogryzek ołówka i odhaczył coś w czarnej książeczce. - Wciąż ma pan ten domek przy ulicy Łatwej, sierżancie Muldoon?

- Co? Co? Tak! A co z nim?

- Czy czynsz wynosi ponad ćwierć pensa miesięcznie? Muldoon wlepił w niego jedno działające sprawnie oko.

- Pokręciło cię czy co?

Marchewa uśmiechnął się promiennie.

- Wręcz przeciwnie, sierżancie. Tyle wynosi? Pańskim zdaniem domek wart jest więcej niż ćwierć pensa?

- Krasnoludy biegają po ulicach i szukają bójki, a ty pytasz o ceny nieruchomości?

- Ćwierć pensa?

- Nie bądź durniem! Wart jest co najmniej pięć dolarów miesięcznie!

- Aha. - Marchewa znowu zaznaczył coś w książce. - To inflacja, naturalnie. Spodziewam się, że ma pan garnek... Czy posiada pan co najmniej dwa i jedną trzecią akra ziemi i więcej niż połówkę krowy?

- Dobrze już, dobrze - mruknął Muldoon. - To jakiś żart, prawda?

- Wydaje mi się, że możemy zrezygnować z kwalifikacji majątkowej - stwierdził Marchewa. - Mam tu napisane, że można ją uchylić dla obywatela o odpowiedniej pozycji. I na koniec, czy pańskim zdaniem nastąpiło poważne naruszenie prawa i porządku w mieście?

- Przewrócili wózek Gardła Dibblera i zmusili go do zjedzenia dwóch kiełbasek w bułce!

- Coś podobnego - zdumiał się Colon.

- Bez musztardy!

- Myślę, że można to uznać za „tak”. - Marchewa raz jeszcze coś zaznaczył, po czym stanowczo zamknął książkę. - Lepiej chodźmy -

powiedział.

- Kazali nam... - zaczął Colon.

- Zgodnie z Prawami i Przepisami Porządkowymi Miast Ankh i Morpork - wyrecytował Marchewa - dowolni mieszkańcy miasta w okresie poważnego naruszenia prawa i porządku mogą, na żądanie oficjalnego przedstawiciela władz, będącego obywatelem o odpowiedniej pozycji... potem dużo na temat majątku i różnych takich... o, mam: uformować milicję w obronie miasta.

- Co to znaczy? - zapytała Angua.

- Milicja... - zastanowił się sierżant Colon.

- Chwileczkę! Nie możecie tego zrobić! - zaprotestował Muldoon. - To nonsens!

- Takie jest prawo. Nie zostało cofnięte.

- Nigdy nie mieliśmy milicji! Nigdy nie była potrzebna!

- Aż do dzisiaj, jak sądzę.

- Posłuchajcie. - Muldoon uspokoił się trochę. - Chodźcie ze mną do pałacu. Jesteście strażnikami...

- I będziemy bronić miasta - zapewnił go Marchewa.

Rzeka ludzi sunęła przed komendą nocnej straży. Marchewa zatrzymał jakąś parę - prostym manewrem wyciągnięcia ręki.

- Pan Poppley, prawda? - powiedział. - Jak tam interesy w handlu spożywczym? Witam, pani Poppley.

- Nie słyszałeś? - spytał zdenerwowany Poppley. - Trolle podpaliły pałac.

Podążył wzrokiem za spojrzeniem Marchewy, wzdłuż Broad-Wayu aż do miejsca, gdzie wyrastała przysadzista bryła pałacu. Rozszalałe płomienie jakoś nie jarzyły się w oknach.

- Coś podobnego - powiedział Marchewa.

- A bandy krasnoludów rozbijają okna i wszystko - dodał sklepikarz. - Nawet pies nie jest bezpieczny!

- Nie wolno ich spuszczać z oka - mruknął Cuddy. Sklepikarz przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Jesteś krasnoludem? - spytał.

- Niesamowite! Jak ludzie to robią? - zdumiał się Cuddy.

- W każdym razie ja się stąd wynoszę. Nie chcę patrzeć, jak te małe demony używają przemocy wobec pani Poppley. Wiecie przecież, co mówią o krasnoludach!

Strażnicy przyglądali się niepewnie, jak oboje znikają w tłumie uciekinierów.

- Ja na przykład nie wiem - stwierdził Cuddy, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Co takiego mówią o krasnoludach?

Marchewa zatrzymał człowieka pchającego wózek.

- Czy szanowny pan zechciałby mi wyjaśnić, co się dzieje? - zapytał.

- To nie jest szanowny pan, to Gardło! - zawołał Colon. - I patrzcie tylko, jaki ma kolor!

- Czy powinien się tak błyszczyć? - zdziwił się Detrytus.

- Świetnie się czuję! Doskonale! - zapewnił Dibbler. - Ha! Tyle zostało

ze skarg zawistników na jakość mojego towaru!

- Co się dzieje, Gardło? - zapytał Colon.

- Mówią... - zaczął zielony na twarzy Dibbler.

- Kto mówi? - przerwał mu Marchewa.

- Oni mówią - odparł Dibbler. - No wiecie. Oni. Wszyscy. Mówią, że trolle zabiły kogoś przy Siostrach Doiły, a krasnoludy rozbiły całonocną garncarnię trolla Kreduły i zwały Mosiężny Most, i...

Marchewa spojrzał w dół ulicy.

- Przecież właśnie pan przeszedł przez Mosiężny Most - zauważył.

- Tak, ale... tak mówią.

- Rozumiem.

- A czy nie wspomnieli przypadkiem... może mimochodem... czegoś jeszcze na temat krasnoludów? - zainteresował się Cuddy.

- Myślę, że trzeba będzie zamienić kilka słów z dzienną rotą na temat aresztowania Węglarza - oznajmił Marchewa.

- Nie mamy broni - przypomniał Colon.

- Jestem pewien, że Węglarz nie ma nic wspólnego z zabójstwem Młotokuja. Jesteśmy uzbrojeni w prawdę. Co może nas powstrzymać, jeśli prawda jest naszą bronią?

- Na przykład bełt z kuszy by mógł... Na przykład gdyby wbił ci się w oko i wyszedł z tyłu głowy...

- Zgoda, sierżancie - ustąpił Marchewa. - Gdzie zatem możemy znaleźć dodatkową broń?

Budynek Arsenалу wyrastał na tle zachodzącego słońca. Trochę dziwne było istnienie arsenalu w mieście, które do pokonania wroga wykorzystywało podstęp, przekupstwo i asymilację. Jak jednak wyjaśnił sierżant Colon, kiedy już wygrało się broń od najeźdźców, gdzieś trzeba ją trzymać.

Marchewa zastukał do drzwi. Po chwili usłyszeli kroki i uchyliło się małe okienko.

- Tak? - zabrzmiał podejrzliwy głos.

- Kapral Marchewa, milicja miejska.

- Nigdy nie słyszałem. Wynocha.

Klapka się zatrzasnęła. Marchewa usłyszał parsknięcie Nobby'ego.

Uderzył pięścią w drzwi.

- Słucham?

- Jestem kapral Marchewa... - Klapka poruszyła się, ale trafiła na wciśniętą w otwór pałkę Marchewy. - I przyszedłem pobrać uzbrojenie dla moich ludzi.

- Tak? Z czyjego upoważnienia?

- Co? Przecież...

Pałka została wypchnięta i klapka wskoczyła na miejsce.

- Przepraszam. - Kapral Nobbs przecisnął się do przodu. - Byłem już kiedyś tutaj... mniej więcej.

Kopnął drzwi okutym butem, znanym i budzącym lęk wszędzie tam, gdzie ludzie leżeli na podłodze i nie mogli się bronić. Trzask!

- Mówilem już, żebyście...

- Kontrola - powiedział Nobby. Na chwilę zapadła cisza.

- Co?

- W celu przeprowadzenia remanentu.

- Gdzie masz upo...

- Co? Co? Pyta o upoważnienie. - Nobby uśmiechnął się do kolegów. - Trzyma mnie tu pod drzwiami, a tymczasem jego wspólnicy mogą wyskoczyć tylnym wyjściem i przynieść wszystko z lombardu, tak?

- Ja nig...

- Jasne, a potem spróbuje tej starej sztuczki z tysiącem mieczy, zgadłem? Pięćdziesiąt skrzyń jedna na drugiej, ale okazuje się, że dolne czterdzieści jest pełne kamieni?

- Ja...

- Jak się pan nazywa?

- Ja...

- Proszę natychmiast otworzyć drzwi!

Klapka się zamknęła. Potem zabrzmiał stuk rygli odsuwanych przez kogoś, kto wcale nie jest pewien, czy to dobry pomysł, i ma zamiar za moment zadać kilka pytań.

- Masz przy sobie kawałek papieru, Fred? Szybko!

- Tak, ale...

- Jakikolwiek papier. Już!

Colon pogrzebał nerwowo w kieszeni, po czym wręczył Nobby'emu rachunek ze sklepu. Drzwi właśnie się otworzyły. Nobby wkroczył dumnie, zmuszając człowieka wewnątrz, by wycofywał się tyłem.

- Nie uciekać! - huknął. - Nie znalazłem żadnych nieprawidłowości...

- Nie ucie...

- ...na razie!!!

Marchewa miał dość czasu, by pochwycić wizję wielkiej hali pełnej skomplikowanych cieni. Poza człowiekiem, który im otworzył, chyba grubszym od Golona, była tu jeszcze dwójka trolli, która obracała koło szlifierskie. Wydarzenia w mieście nie zdołały przeniknąć grubych murów.

- No dobrze. Bez paniki, przerwijcie wszystkie zajęcia, jeśli można. Jestem kapral Nobbs, Miejska Inspekcja Porządkowa, Audyt Miejski... - Kawałek papieru z oszałamiającą prędkością przemknął przed oczami mężczyzny. Nobby zająknął się lekko, przypominając sobie koniec zdania. - Specjalne... Biuro... Audytu... i Inspekcji. Ilu ludzi tu pracuje?

- Tylko ja.

Nobby wskazał trolle.

- A oni?

Mężczyzna splunął na podłogę.

- Zdawało mi się, że pytał pan o ludzi...

Marchewa odruchowo wystawił rękę, która brzęknęła o pancerz Detrytusa.

- No dobrze - rzekł Nobby. - Zobaczmy, co my tu mamy... - Przeszedł wzdłuż stojaków w takim tempie, że pozostali musieli biec, by za nim nadążyć. - Co to jest?

- Ee...

- Nie wiemy, tak?

- Oczywiście... to jest... to...

- Montowana na wozie kusza obłęźnicza z potrójną cięciwą i dwutrybowym kołowrotem napinającym?

- Tak jest.

- A czy to nie wzmocniona kusza klatchiańska z dźwigniowym mechanizmem napinającym i poddrzewcowym bagnetem?

- Ee... tak.

Nobby obejrzał ją pobieżnie i odrzucił na bok. Pozostali strażnicy przyglądali mu się oszołomieni. Nikt nie słyszał, żeby Nobby nosił kiedyś jakąś broń poza nożem.

- Macie może hershebiańskie dwunastostrzałowe łuki z ładowaniem grawitacyjnym? - warknął.

- Co? Mamy to, co pan widzi.

Nobby zdjął ze stojaka kuszę myśliwską. Jego chude ramiona naprężyły się, kiedy szarpnął za dźwignię naciągu.

- Sprzedaliście bełty do tej zabawki?

- Są tutaj!

Nobby wziął jeden z półki i włożył w szczelinę. Potem spojrzał wzdłuż drzewca. Odwrócił się.

- Podoba mi się ten sprzęt - stwierdził. - Weźmiemy wszystko. Mężczyzna spojrzał poprzez celownik w oko Nobby'ego i - ku podziwowi załękniętej Angui - nie zemdłał.

- Ten mały łuk mnie nie przestraszy - rzekł dumnie.

- Ten łuk miałby cię przestraszyć? - zdziwił się Nobby. - Nie. Oczywiście. Jest mały. Taki mały łuk nie wystraszyłby kogoś takiego jak ty, z powodu swojej małości. Żeby przestraszyć kogoś takiego jak ty, potrzebne jest coś większego.

Angua oddała by miesięczną pensję, żeby zobaczyć twarz zbrojmistrza od przodu. Patrzyła, jak Detrytus chwytając balistę, z ledwie słyszalnym sieknięciem napina ją jedną ręką i robi krok naprzód. Mogła sobie wyobrazić ruch gałek ocznych, gdy chłodny metal dotknął grubej czerwonej szyi.

- Natomiast ten za tobą jest rzeczywiście wielki - stwierdził Nobby.

Sześciostopowa żelazna strzała nie była szczególnie ostra. W założeniach miała rozbijać bramy, a nie dokonywać zabiegów chirurgicznych.

- Czy mogę już pociągnąć za spust? - zahuczał Detrytus prosto do ucha mężczyzny.

- Nie ośmielicie się wystrzelić tutaj z tej maszyny! To broń oblężnicza! Przebije mur!

- Tak, w końcu... - zgodził się Nobby.

- Do czego służy ten kawałek? - zapytał Detrytus.

- Posłuchajcie...

- Mam nadzieję, że dbałeś o tę zabawkę. Strasznie szybko pojawia się w nich efekt zmęczenia metalu. Szczególnie w mechanizmie bezpiecznika.

- Co to bezpiecznik? - zainteresował się Detrytus.

Zaległa cisza. Po chwili Marchewa odzyskał głos. Musiał go szukać bardzo daleko.

- Kapralu Nobbs!

- Tak jest!

- Jeśli to wam nie przeszkadza, od tej chwili ja przejmę dowodzenie.

Delikatnie odsunął wielką kuszę, ale Detrytus, który nie zapomniał uwagi o ludziach i trollach, uparcie przesuwał ją z powrotem.

- Spokojnie - rzekł Marchewa. - Nie podoba mi się element przymusu. Nie przyszliśmy tu, żeby dręczyć tego biedaka. Pracuje w służbie miasta jak my. Niesłusznie postąpiłeś, próbując go zastraszyć. Dlaczego zwyczajnie nie poprosić?

- Przepraszam, sir.

Marchewa poklepał zbrojmistrza po ramieniu. - Czy możemy wziąć stąd trochę broni? - zapytał.

- Co?

- Trochę broni? W celach urzędowych? Zbrojmistrz wyraźnie miał kłopot ze zrozumieniem.

- To znaczy, że mam jakiś wybór?

- Ależ oczywiście. W Ankh-Morpork staramy się uzyskać poparcie obywateli. Jeśli uważa pan, że nie może spełnić naszej prośby, wystarczy powiedzieć.

Stuknęło cicho, gdy ostrze żelaznej strzały po raz kolejny uderzyło o czaszkę zbrojmistrza. Na próżno szukał odpowiedniego słowa, gdyż jedyne, jakie przychodziło mu do głowy, brzmiało „Ognia!”.

- Uh... - powiedział. - Ehem. Tak. Oczywiście. Pewnie. Bierzcie, co chcecie.

- Świetnie, świetnie. Sierżant Colon wyda panu pokwitowanie z zaznaczeniem, że udostępnił pan nam broń z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Mojej nieprzymuszonej woli?

- Ma pan w tej kwestii absolutnie wolny wybór. Zbrojmistrz skrzywił się z wysiłku desperackiego myślenia.

- Uważam...

- Tak?

- Uważam, że możecie sobie to zabrać. Bierzcie.

- Praworządny obywatel. Ma pan tu jakiś wózek?

- A nie wie pan przypadkiem, co takiego mówią o krasnoludach? - wtrącił Cuddy.

Angui raz jeszcze przyszło do głowy, że Marchewa nie ma w duszy ani śladu ironii. Każde słowo traktował poważnie. Gdyby ten człowiek wytrzymał, Marchewa prawdopodobnie by zrezygnował z uzbrojenia. Oczywiście, istniała drobna różnica pomiędzy „prawdopodobnie” a „z pewnością”.

Nobby dotarł już do końca rzędu. Od czasu do czasu piszczał z zachwyty, znajdując jakiś ciekawy młot bojowy czy wyjątkowo groźnie wyglądającą klingę. Usiłował utrzymać wszystko naraz.

Nagle upuścił cały zbiór i pobiegł przed siebie.

- O rany... Klatchiańska machina ogniowa! To już bardziej mój meteor!

Słyszeli, jak przesuwają coś w mroku. Pojawił się w końcu, pchając przed sobą niewielki pojemnik na małych piszczących kółkach. Miał różne dźwignie i skórzane miechy, a z przodu dyszę. Przypominał bardzo duży garnek.

- Nawet skórę oliwili tu jak należy!

- Co to? - zdziwił się Marchewa.

- I jest olej w zbiorniku! - wołał Nobby, poruszając energicznie dźwignią w górę i w dół. - Kiedy ostatnio o niej słyszałem, machina była zakazana w ośmiu krajach, a trzy religie zagroziły ekskomuniką żołnierzom, którzy by jej używali* [przyp.: Pięć innych powitało ją z radością jako świętą broń i nakazało wykorzystywać przeciwko niewiernym, heretykom, gnostykom i ludziom, którzy się wiercą podczas modłów.]. Ktoś ma ogień?

- Trzymaj - powiedział Marchewa. - Ale co...

- Patrzcie!

Nobby zapalił zapalnik, przyłożył do rurki z przodu urządzenia i nacisnął dźwignię.

Po dłuższej chwili udało im się zgasić płomienie.

- Wymaga regulacji - stwierdził Nobby spod maski sadzy.

- Nie - rzekł Marchewa. Do końca życia miał zapamiętać strugę ognia przypalającą mu twarz w drodze do przeciwległej ściany.

- Ale to...

- Nie. Jest zbyt niebezpieczna.

- Przecież ma być...

- Chodzi mi o to, że może poranić ludzi.

- Aha - powiedział Nobby. - No tak. Trzeba było uprzedzić. Szukamy broni, która nie rani ludzi, tak?

- Kapralu Nobbs - odezwał się surowo sierżant Colon, który stał jeszcze bliżej ognia niż Marchewa.

- Słucham, sierżancie.

- Słyszeliście, co powiedział kapral Marchewa. Żadnej pogańskiej broni. A przy okazji, jak to się stało, że tyle wiecie o uzbrojeniu?

- Służba w wojsku.

- Naprawdę, Nobby? - zdziwił się Marchewa.

- Miałem specjalną funkcję, sir. Bardzo odpowiedzialną.

- Co to było?

- Kwatermistrz, sir. - Nobby zasalutował sprężyscie.
- Byłeś kwatermistrzem? W czyjej armii?
- Diuka Pseudopolis, sir.
- Ale Pseudopolis zawsze przegrywało wojny!
- No... właściwie...
- Komu sprzedajesz ich broń?
- To oszczerstwo i tyle! Zwykle dużo czasu zajmowało jej czyszczenie i ostrzenie.
- Nobby, to ja, Marchewa. Opanuj się. Jak dużo czasu, w przybliżeniu?
- W przybliżeniu? Około stu procent, jeśli mówimy o przybliżonych rachunkach, sir.
- Nobby...
- Tak, sir?
- Nie musisz do mnie mówić „sir”.
- Tak jest.

W końcu Cuddy pozostał wierny swojemu toporowi, choć po namyśle dodał jeszcze kilka zapasowych. Sierżant Colon wybrał pikę, bo pika ma tę właściwość - bardzo ważną właściwość - że wszystko dzieje się na jej drugim końcu, to znaczy bardzo daleko. Młodsza funkcjonariusz Angua bez wielkiego entuzjazmu wybrała krótki miecz, a kapral Nobbs...

Kapral Nobbs wyglądał jak mechaniczny jeżozwierz, ze sterczącymi ostrzami, łukami, klingami i kulistymi obiektami na łańcuchach.

- Jesteś pewien, Nobby? - spytał Marchewa. - Nie chciałbyś czegoś zostawić?

- Tak trudno coś wybrać... Detrytus zachował swoją wielką kuszę.
- Nic więcej nie weźmiesz, Detrytus?
- Wezmę Flinta i Morenę, sir.

Oba trolle, które wcześniej pracowały w arsenale, stanęły za Detrytusem.

- Zakląłem ich - zapewnił Detrytus. - Użyłem trollowej klątwy.

Flint zasalutował po amatorsku.

- Powiedział, że wkopie nam nasze „goohuloog” głowy do środka, jeśli nie wstąpimy do straży i nie będziemy robić, co nam każą, sir.

- Bardzo stara trollowa klątwa - wyjaśnił Detrytus. - Bardzo sławna, bardzo tradycyjna.

- Jeden z nich mógłby nieść klatchiańską maszynę ogniową - zaproponował Nobby.

- Nie, Nobby. A zatem... witajcie w straży.

- Kapralu Marchewa!

- Słucham, Cuddy.

- To niesprawiedliwe. Są trollami.

- Przyda się każdy człowiek, Cuddy. Marchewa odstąpił o krok.

- Słuchajcie. Nie chcemy, by ludzie pomyśleli, że szukamy kłopotów - powiedział.

- Nie. Tak wyposażeni nie będziemy musieli ich szukać - stwierdził przygnębiony Colon.

- Pytanie, sir! - odezwała się Angua.

- Słucham, młodsza funkcjonariusz Angua.

- Kto jest nieprzyjacielem?

- Z takim wyglądem bez żadnego problemu znajdziemy nieprzyjaciół - mruknął sierżant Colon.

- Nie szukamy nieprzyjaciół, szukamy informacji - oznajmił Marchewa. - Najlepszą bronią, jaką możemy w tej chwili wykorzystać, jest prawda. Zaczniemy od wizyty w Gildii Błaznów, żeby się dowiedzieć, dlaczego brat Fasollo ukradł rusznic.

- A ukradł rusznic?

- Myślę, że mógł to zrobić. Tak.

- Przecież zginął, zanim rusznic został skradziony! - zaprotestował Colon.

- Tak - przyznał Marchewa. - Wiem o tym.

- To jest coś, co nazywam alibi - stwierdził Colon.

Oddział stanął w szyku i - po krótkiej dyskusji wśród trolli na temat tego, która noga jest prawa, a która lewa - odmaszerował. Nobby oglądał się tęsknie za machiną ogniową.

Czasami lepiej użyć miotacza ognia niż narzekać na ciemność.

Dziesięć minut później udało im się przedrzeć przez tłum i dotarli przed gildie.

- Widzicie? - spytał Marchewa.

- Stoją obok siebie - stwierdził Nobby. - Co z tego? I tak jest między

nimi mur.

- Nie byłbym taki pewien. Może lepiej zobaczymy.

- Mamy czas? - wtrąciła Angua. - Myślałam, że idziemy na komendę dziennej rotty.

- Najpierw muszę coś sprawdzić - odparł Marchewa. - Błazni nie powiedzieli mi prawdy.

- Zaczekaj chwilę. Jedną chwileczkę - wtrącił sierżant Colon. - Mam wrażenie, że to wszystko posuwa się o połowę za daleko. Posłuchajcie, nie chcę, żebyśmy kogoś zabili, zrozumiano? Tak się składa, że to ja jestem tu sierżantem, gdyby to kogoś interesowało. Zrozumiałeś, Marchewa? Nobby? Żadnego strzelania ani szermierki. Wystarczy, że pchamy się na teren gildii, ale jeśli kogoś zastrzelimy, będziemy mieli bardzo poważne kłopoty. Lord Vetinari nie ograniczy się do sarkazmu. Może użyć... - Colon nerwowo przełknął ślinę - ...ironii. Więc to jest rozkaz. A w ogóle to co chcesz zrobić?

- Chcę tylko, żeby coś mi powiedzieli - wyjaśnił Marchewa.

- Ale gdyby nie chcieli, masz im nie robić krzywdy, rozumiesz? Jeśli doktor Białolicy będzie niezadowolony, wychodzimy. Czy to jasne? Przy klaunach dostaję dreszczy, a on jest najgorszy ze wszystkich. Jeśli nie odpowie, wynosimy się spokojnie i... sam nie wiem, szukamy innego sposobu. To rozkaz, jak już mówiłem. Czy wszyscy zrozumieli? Rozkaz!

- Jeśli nie zechce odpowiadać na moje pytania - powtórzył Marchewa - mam wyjść spokojnie. Oczywiście.

- Cieszę się, że rozumiesz.

Marchewa zastukał do wrót, uniósł rękę, chwycił tort, który wysuwał się ze szczeliny, i mocno pchnął go z powrotem. Potem kopnął furtkę tak, że odchyliła się na kilka cali do środka.

- Aj! - krzyknął ktoś wewnątrz.

Furtka otworzyła się do końca, odsłaniając małego klauna zalanego

białą farbą i kremem.

- Nie musieliście tego robić - powiedział.

- Chciałem tylko wczuć się w nastrój - wyjaśnił Marchewa. - Jestem kapral Marchewa, a to jest miejska milicja obywatelska. Wszyscy lubimy się pośmiać.

- Przepraszam...

- No, może oprócz młodszego funkcjonariusza Cuddy'ego. A młodszy funkcjonariusz Detrytus też lubi się pośmiać, choć na ogół parę minut po wszystkich. Chcemy porozmawiać z doktorem Białolicym.

Klaunowi zjeżyły się włosy. Strumyk wody trysnął z dziurki od guzika.

- Macie... macie zarezerwowany termin?

- Nie wiem. Mamy zarezerwowany termin?

- Mam żelazną kulę z kolcami - odezwał się Nobby.

- To morgenstern, Nobby.

- Tak?

- Tak. To nie to samo co termin. Zarezerwowany termin znaczy, że jesteśmy umówieni na spotkanie, natomiast morgenstern to duży kawał metalu używany do okrutnego miażdżenia czaszek. Ważne, żeby jednego z drugim nie pomylić, prawda, panie... - Pytając uniósł brwi.

- Boffo, szanowny panie. Ale...

- Gdyby więc zechciał pan pójść do doktora Białolicego i zawiadomić go, że czekamy tu z żelazną kulą z koi... Goja mówię? Bez zarezerwowanego terminu wprowadźcie, ale chcielibyśmy z nim porozmawiać. Jeśli można... Bardzo dziękuję.

Klaun odszedł.

- Załatwione - odetchnął Marchewa. - Czy było jak należy, sierżancie?

- Pewnie będzie wręcz satyryczny - odpowiedział ponuro Colon.

Czekali. Po chwili młodszy funkcjonariusz Cuddy wyjął z kieszeni śrubokręt i zbadał przykręcony do furtki aparat rzucający tortami. Pozostali przestępowali z nogi na nogę - z wyjątkiem Nobby'ego, który na swoje nogi cały czas coś upuszczał.

Boffo pojawił się znowu w towarzystwie dwóch muskularnych trefnisiów, którzy wyglądali, jakby nie mieli nawet śladu poczucia humoru.

- Doktor Białolicy mówi, że nie ma czegoś takiego jak milicja - oznajmił. - Ale... hm. Doktor Białolicy powiedział również, że jeśli to naprawdę ważne, przyjmie niektórych z was. Tylko nie trolla i nie krasnoluda. Słyszeliśmy, że bandy trolli i krasnoludów terroryzują miasto.

- Tak właśnie mówią. - Detrytus pokiwał głową.

- A przy okazji, nie wiesz czasem, co takiego mówią... - zaczął Cuddy, lecz Nobby uciszył go szturchańcem.

- Pan i ja, sierżancie? - zaproponował Marchewa. - I młodsza funkcjonariusz Angua.

- Oj... - jęknął Colon.

Ruszyli jednak oboje za Marchewa do ponurych budynków; szli mrocznymi korytarzami aż do gabinetu doktora Białolicego. Przewodniczący wszystkich klaunów i błaznów stał pośrodku pokoju, a jeden z trefnisiów próbował przyszyć mu do płaszcza dodatkowe cekiny.

- Słucham?

- Dobry wieczór, doktorze - przywitał się Marchewa.

- Chcę od razu uprzedzić, że lord Vetinari dowie się o wszystkim.

- Oczywiście. Na pewno mu powiem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego zajmujecie mi czas, kiedy w mieście trwają rozruchy.

- No cóż... tym zajmiemy się później. Ale kapitan Vimes zawsze mi powtarzał, że są poważne przestępstwa i drobne przestępstwa. Czasem te drobne wyglądają na poważne, a tych poważnych prawie nie da się zauważyć, ale najważniejsze to zdecydować, które są które.

Spojrzeli sobie w oczy.

- A więc? - zapytał klaun.

- Chciałbym, żeby mi pan opowiedział o wydarzeniach, jakie tu zaszły dwie noce temu.

Doktor Białolicy zastanawiał się przez chwilę.

- A jeśli nie?

- Wtedy - rzekł Marchewa - obawiam się, że choć bardzo niechętnie, będę jednak zmuszony do wykonania rozkazu, jaki otrzymałem przed wejściem tutaj. - Zerknął na Golona. - Czy nie tak, sierżancie?

- Co? Aha. No... tak.

- Wolałbym wprawdzie tego uniknąć, ale nie będę miał wyboru. Doktor Białolicy spoglądał na nich gniewnie.

- Weszliście na teren gildii. Nie macie prawa...

- Nic o tym nie wiem. Jestem tylko kapralem. Ale nigdy jeszcze nie odmówiłem wykonania bezpośredniego rozkazu, więc z przykrością muszę pana uprzedzić, że i ten wykonam w pełni, co do litery.

- Ale przecież... Marchewa podszedł bliżej.

- Jeśli to pana pocieszy, zapewne będzie mi potem trochę wstyd.

Klaun spojrzał w jego szczerze oczy i - jak wszyscy - zobaczył w nich

jedynie prawdę.

- Wystarczy mi krzyknąć - ostrzegł, czerwieniejąc pod charakteryzacją
- a zjawi się tu dziesięciu ludzi.

- Niech mi pan wierzy, że to tylko ułatwi sprawę.

Doktor Białolicy szczyił się swą umiejętnością oceny ludzkich charakterów. Z twarzy Marchewa nie wyczytał niczego prócz absolutnej, skrupulatnej szczerości. Przez chwilę bawił się gęsim piórem, po czym gwałtownie rzucił je na biurko.

- Do licha z puentą! - krzyknął. - Jak się dowiedzieliście, co? Kto zdradził?

- Właściwie trudno określić - odparł Marchewa. - Ale to ma sens. Wprawdzie gildie mają po jednym wejściu, lecz budynki stoją ściana w ścianę. Ktoś po prostu musiał się przebić.

- Zapewniam, że nic o tym nie wiedzieliśmy.

Sierżant Colon nie mógł wyjść z podziwu. Widywał już ludzi, którzy blefują z marną kartą, ale jeszcze nigdy kogoś, kto blefuje bez żadnych kart.

- Myśleliśmy, że to jakiś dowcip - tłumaczył klaun. - Myśleliśmy, że młody Fasollo zrobił to z intencją humorystyczną, a tu nagle znaleźli jego zwłoki i nie...

- Lepiej niech mi pan pokaże tę dziurę - przerwał mu Marchewa.

Reszta strażników stała na dziedzińcu w różnych pozach będących wariacjami na temat „Spocznij”. - Kapralu Nobbs...

- O co chodzi, młodszy funkcjonariuszu Cuddy?

- Co takiego wszyscy mówią o krasnoludach?

- Daj spokój, żarty sobie stroisz, prawda? Każdy to wie, kto w ogóle wie cokolwiek o krasnoludach.

Cuddy zakaszłał.

- Krasnoludy nie - oświadczył.

- Co to znaczy: krasnoludy nie?

- Nikt nam nie powiedział, co każdy wie o krasnoludach.

- Hm... pewnie myśleli, że wiecie - mruknął niepewnie Nobby.

- Ja nie wiem.

- No dobrze. - Nobby zerknął na trolle, pochylił się nad Cuddym i wyszeptał coś mniej więcej w okolicy jego ucha.

Cuddy pokiwał głową.

- I to wszystko?

- Tak. Tego... to prawda?

- Co? Tak, oczywiście. U krasnoludów to naturalne. Oczywiście, niektórzy są wyposażeni lepiej niż inni.

- Tak jest u wszystkich - zgodził się Nobby.

- Ja na przykład odłożyłem ponad siedemdziesiąt osiem dolarów.

- Nie! To znaczy, nie chodziło mi o to, że są dobrze wyposażeni w pieniądze. Raczej... - Nobby znów zaczął szeptać.

Wyraz twarzy Cuddy'ego się nie zmienił.

- To prawda, co? - Nobby znacząco poruszył brwiami.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie mam pojęcia, ile pieniędzy mają zwykłe ludzie.

Nobby zrezygnował.

- Przynajmniej jedno jest prawdą - stwierdził. - Wy, krasnoludy, rzeczywiście kochacie złoto.

- A skąd. Nie żartuj.

- Ale...

- Mówimy tak tylko, żeby je zaciągnąć do łóżka.

To była sypialnia klauna. Colon zastanawiał się czasem, jak mieszkają klauni, i teraz mógł to zobaczyć: wielka szafka na buty, bardzo szeroka deska do prasowania spodni, lustro ze świeczkami dookoła, profesjonalnych rozmiarów szminki do charakteryzacji... i łóżko, które wyglądało jak całkiem zwyczajny koc na podłodze, gdyż tym właśnie było. Klauni i błażni nie powinni się przyzwyczajać do wygod - humor to poważna sprawa.

Była też dziura w ścianie, dostatecznie duża, by przeszedł przez nią człowiek. Obok leżał niewielki stosik pokruszonych cegieł. Po drugiej stronie panował mrok.

Marchewa wsunął w otwór głowę i ramiona, ale Colon próbował wciągnąć go z powrotem.

- Zaczekaj, chłopcze. Nie wiesz przecież, jaka groza kryje się za tym murem...

- Właśnie chcę się rozejrzeć i sprawdzić.

- Może to być izba tortur, loch, przepaść... cokolwiek. - To sypialnia studenta, sierżancie.

- Sam widzisz.

Marchewa przeszedł na drugą stronę. Słyszeli, jak chodzi w mroku. Był to mrok skrytobójców, jakby bogatszy i nie tak ciemny jak mrok klauna.

Po chwili Marchewa znowu wsunął głowę przez otwór.

- Od dłuższego czasu nikogo tam nie było - oznajmił. - Kurz leży na podłodze, ale widzę na nim ślady stóp. A drzwi są zamknięte i zaryglowane. Z tej strony.

Reszta jego ciała podążyła w ślad za głową.

- Chcę się upewnić, że dobrze wszystko rozumiem - powiedział do doktora Białolicego. - Fasollo wybił dziurę do Gildii Skrytobójców, tak? A potem przeszedł tam i doprowadził tego smoka do wybuchu? I wrócił przez tę dziurę? Więc jak został zabity?

- Na pewno przez skrytobójców - odparł doktor. - Mieli do tego prawo. Wtargnięcie na teren gildii to przecież bardzo poważne wykroczenie.

- Czy ktokolwiek widział Fasolla po wybuchu?

- Ależ tak. Boffo miał dyżur przy bramie i dobrze pamięta, jak wychodził.

- Wie, że to był on?

Doktor Białolicy spojrzał zdziwiony.

- Oczywiście.

- Skąd?

- Skąd? Bo go poznał, naturalnie. W ten sposób wiemy, kim są ludzie. Patrzy się na kogoś i mówi: to on. Nazywamy to roz-po-zna-wa-niem. - Klaun ironicznie zaakcentował ostatnie słowo. - To był Fasollo. Boffo mówił, że wyglądał na zmartwionego.

- Aha. Rozumiem. To już właściwie wszystko, doktorze. Czy Fasollo miał jakichś przyjaciół wśród skrytobójców?

- Cóż... możliwe, możliwe. Nie zniechęcamy gości. Marchewa wpatrywał się z uwagą w twarz klauna. I nagle się uśmiechnął.

- Oczywiście. To zamyka sprawę, jak sądzę.

- Gdyby tylko trzymał się czegoś, no wiecie, oryginalnego... - Doktor westchnął.

- Takiego jak wiadro białej farby albo tort? - domyślił się Colon.

- Otóż to!

- Chyba już pójdziemy - stwierdził Marchewa. - Przypuszczam, że nie zamierza pan składać skargi na skrytobójców?

Białolicy starał się wyglądać na przerażonego, ale nie udało mu się to najlepiej pod wymalowanym szerokim uśmiechem.

- Co? Nie! To znaczy... gdyby skrytobójca włamał się do naszej gildii, wiecie, nie w sprawach zawodowych, i coś ukradł, wtedy uznalibyśmy, że mamy pełne prawo, by... cóż...

- Nalać mu galaretki za koszulę? - odpowiedziała Angua.

- Uderzyć go w głowę pęcherzem na kiju? - zaproponował Colon.

- Możliwe.

- Każda gildia ma własne zwyczaje - rzekł Marchewa. - Myślę, że już pójdziemy, sierżancie. Nie mamy tu nic do roboty. Przepraszam, że zajęliśmy panu cenny czas, doktorze. Rozumiem, że ta sytuacja była dla pana bardzo męcząca.

Klaun niemal zasłabł z ulgi.

- Ależ drobiazg. Naprawdę nie ma o czym mówić. Cieszę się, że

mogłem pomóc.

Sprowadził ich schodami w dół i na dziedziniec, paplając jakieś zdania bez znaczenia. Czekaający strażnicy stanęli na baczność.

- Właściwie... - odezwał się Marchewa, kiedy mijali już bramę - mam jeszcze osobistą prośbę.

- Oczywiście, oczywiście.

- Ehm... wiem, że to trochę bezczelność z mojej strony, ale zawsze mnie interesowały obyczaje różnych gildii... więc... czy byłoby możliwe, żeby ktoś pokazał mi wasze muzeum?

- Słucham? Jakie muzeum?

- Muzeum klaunów.

- Ach, chodzi o Halę Twarzy. To nie jest muzeum. Ale oczywiście, przecież to żaden sekret. Boffo, zanotuj. Z przyjemnością pana oprowadzimy, kapralu. Kiedy tylko pan zechce.

- Bardzo panu dziękuję, doktorze.

- Kiedy tylko pan zechce.

- Właśnie kończę służbę. Może teraz? Byłoby najwygodniej, skoro już tu jestem.

- Nie możesz skończyć służby - zaprotestował Colon - kiedy... aj!

- Słucham, sierżancie?

- Kopnąłeś mnie!

- Przypadkiem nadepnąłem na pański sandał, sierżancie. Bardzo przepraszam.

Colon usiłował zrozumieć wiadomość przekazywaną przez minę

Marchewy. Przyzwyczaił się do prostego Marchewy. Marchewa wyrafinowany wytrącał z równowagi, jakby człowieka zaatakowała drapieżna kaczka.

- A więc, tego, więc już pójdziemy, prawda? - zapytał.

- Nie ma powodów, żeby zostawać, skoro wszystko już wyjaśnione - odpowiedział Marchewa, wykrzywiając się wściekle. - Właściwie mogę sobie wziąć jedną noc wolnego. - Spojrzał ponad dachami.

- No cóż, skoro wszystko już wyjaśnione, to wynosimy się stąd - stwierdził Colon. - Mam rację, Nobby?

- Tak jest, wynosimy się, bo wszystko już wyjaśnione - zgodził się Nobby. - Słyszałeś, Cuddy?

- Co, wszystko już wyjaśnione? - upewnił się Cuddy. - No to możemy się wynosić. W porządku, Detrytus?

Detrytus wpatrywał się smętnie w pustkę, opierając kostki palców o bruk. Była to typowa pozycja trolla czekającego na przybycie kolejnej myśli. Sylaby jego imienia wzbudziły chwilową aktywność jakiegoś neuronu.

- Co?

- Wszystko już wyjaśnione.

- Co?

- No wiesz... śmierć pana Młotokuja i cała reszta.

- Jest?

- Tak!

- Aha.

Detrytus zastanawiał się chwilę, kiwnął głową i powrócił do stanu umysłu, w jakim się zwykle znajdował. Zaskwierczał kolejny neuron.

- Dobrze - powiedział Detrytus. Cuddy przyglądał mu się uważnie.

- To by było wszystko - powiedział ze smutkiem. - Więcej nie usłyszymy.

- Zaraz wracamy - zapewnił kolegów Marchewa. - Możemy już iść... Joey, prawda? Doktorze Białolicy?

- Nic chyba nie stoi na przeszkodzie. Oczywiście. Boffo, pokaż kapralowi Marchewie wszystko, co zechce obejrzeć.

- Tak jest - odpowiedział mały klaun.

- To musi być wesoły zawód być klaunem - zagaił uprzejmie

Marchewa.

- Musi?

- Mnóstwo dowcipów i żartów, chciałem powiedzieć. Boffo spojrzał na Marchewę z ukosa.

- No... bywają mile chwile...

- Na pewno, na pewno.

- Często masz dyżur przy bramie, Boffo? - zapytał Marchewa, kiedy szli przez dziedziniec Gildii Błaznów. - Ha! Mniej więcej cały czas.

- A zatem wiesz, kiedy ten jego przyjaciel, no wiesz, ten skrytobójca go odwiedził?

- Aha, więc wiecie o nim? - zdziwił się Boffo.

- Tak.

- Jakieś dziesięć dni temu. Teraz tędy, obok strzelnicy tortowej.

- Zapomniał, jak Fasollo ma na imię, ale wiedział, w którym mieszka pokoju. Nie znał numeru, ale trafił bezbłędnie - mówił dalej Marchewa.

- Zgadza się - przyznał Boffo. - Pewnie doktor Białolicy wam powiedział.

- Rozmawiałem z doktorem - przyznał Marchewa.

Angua miała wrażenie, że zaczyna rozumieć, w jaki sposób Marchewa zadaje pytania. Zadawał je, wcale nie pytając. Po prostu mówił, czego się domyślał lub co podejrzewał, a ludzie sami z siebie uzupełniali szczegóły, próbując dotrzymać mu kroku w rozmowie. I nigdy właściwie nie kłamał.

Boffo otworzył drzwi i zakrzętnął się przy świecy.

- Jesteśmy - rzekł. - Ja tego pilnuję, kiedy akurat nie stoję przy tej nieszczęsnej bramie.

- Na bogów! - szepnęła Angua. - To okropne. - Bardzo interesujące - stwierdził Marchewa.

- Historyczne - dodał klaun Boffo.

- Tyle małych główek...

Ich szeregi ciągnęły się w blasku świecy, półka za półką - maleńkie twarze klaunów, jak gdyby szczep łowców głów nagle osiągnął wyrafinowane poczucie humoru i zapragnął uczynić świat weselszym.

- Jajka - wyjaśnił Marchewa. - Zwyczajne kurze jaja. Bierze się jajo, robi małe dziurki z obu końców i wydmuchuje środek. Potem klaun maluje na tym jajku swoją charakterystykę i ona oficjalnie należy do niego. Żaden inny nie może takiej używać. To bardzo ważne. Niektóre twarze należą do tych samych rodów od pokoleń. Bardzo cenna jest taka twarz klauna. Mam rację, Boffo?

Klaun przyglądał mu się ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz?

- Przeczytałem w książce.

Angua sięgnęła po starożytne jajo. Miało przyczepioną etykietę, a na niej kilkanaście imion - wszystkie przekreślone, z wyjątkiem ostatniego. Atrament, którym wypisano najwcześniejsze, wyblakł już niemal zupełnie.

Odłożyła jajo i mimowolnie wytarła dłoń o tunikę.

- Co się dzieje, jeśli klaun chce użyć twarzy innego klauna? - spytała.

- Porównujemy wszystkie nowe jajka z tymi na półkach - zapewnił Boffo. - Nie pozwala się na takie rzeczy.

Szli między rzędami twarzy. Angua wyobrażała sobie, że słyszy mlaskanie milionów spodni pełnych farby, echa tysięcy trąbiących nosów, widzi miliony uśmiechów na twarzach, które wcale się nie uśmiechają. Mniej więcej w połowie drogi natrafili na wnękę, gdzie stał stolik i krzesło, półka ze starymi księgami i blat pełen słoiczków z zaschniętymi farbami, strzępków barwionego końskiego włosia, cekinów i innych drobiazgów używanych w wyspecjalizowanej sztuce malowania jajek. Marchewa wziął kosmyk końskich włosów i w zadumie przesuwiał go między palcami.

- Przypuśćmy jednak - podjęła Angua - że klaun... mający własną twarz... przypuśćmy, że użyje twarzy innego klauna?

- Słucham? - Boffo nie zrozumiał.

- Przypuśćmy, że ktoś użyje charakterystyki innego klauna - spróbowała wytłumaczyć Angua.

- Och, to się zdarza bez przerwy. Ludzie stale pożyczają sobie pomady...

- Pomady?

- Szminki do charakterystyki - przetłumaczył Marchewa. - Nie; myślę, Boffo, że młodszej funkcjonariusz chodzi o coś innego. Czy klaun mógłby

tak się ucharakteryzować, żeby wyglądać jak inny klaun?

Boffo zmarszczył czoło, jakby z wysiłkiem starał się zrozumieć pytanie, które wyraźnie nie ma sensu.

- Przepraszam...

- Gdzie jest jajo Fasolla, Boffo?

- Tutaj, na stole. Możecie obejrzeć, jeśli chcecie.

Podał im jajo. Miało okrągły czerwony nos i czerwoną perukę. Angua zauważyła, że Marchewa podnosi je do światła i wyjmując z kieszeni kilka czerwonych pasemek.

Raz jeszcze spróbowała wytłumaczyć Boffowi, czego chce się dowiedzieć.

- Czy nie mógłbyś pewnego ranka nałożyć na siebie takiej charakterystyki, żeby wyglądać jak inny klaun?

Spojrzał na nią. Trudno było poznać jego minę pod permanentnie wykrzywionymi ustami. O ile jednak zdołała się zorientować, równie dobrze mogłaby mu sugerować wykonanie jakiegoś szczególnego aktu seksualnego z kurczakiem.

- Jak mógłbym to zrobić? - zapytał. - To nie byłbym ja.

- Może ktoś inny by mógł?

Dziurka od guzika Boffa trysnęła wodą.

- Nie lubię słuchać takich nieprzyzwoitych sugestii, panienko.

- Chcesz więc powiedzieć - podsumował Marchewa - że żaden klaun nigdy by nie spróbował pomalować sobie twarzy według hm... projektu innego klauna?

- Znowu zaczynacie!

- Ale może przypadkiem młody klaun mógłby...

- Posłuchajcie no! Jesteśmy tu porządnymi ludźmi, jasne?

- Przepraszam. Chyba już rozumiem. Kiedy znaleźliśmy biednego Fasolla, nie miał swojej peruki, ale łatwo mogła mu się zsunąć w rzece. Za to nos... Mówiłeś sierżantowi Colonowi, że ktoś zabrał mu nos. Prawdziwy nos. Czy mógłbyś... - Marchewa mówił uprzejmym tonem człowieka, który zwraca się do półgłówka. - Czy mógłbyś wskazać swój prawdziwy nos, Boffo?

Boffo stuknął w wielki czerwony nochal na twarzy. - Ale to przecież...
- zaczęła Angua.

- ...twój prawdziwy nos - przerwał jej Marchewa. - Bardzo ci dziękuję.

Klaun trochę się uspokoił.

- Chyba powinniście już iść - powiedział. - Nie lubię takich dyskusji. Denerwują mnie.

- Wybacz. Po prostu... wpadłem chyba na pewną myśl. Zastanawiałem się nad tym wcześniej, a teraz jestem prawie pewien. Chyba wiem coś o człowieku, który to zrobił. Musiałem zobaczyć jajka, żeby się upewnić.

- Chcesz powiedzieć, że jakiś inny klaun go zabił? - spytał zaczepnie Boffo. - Bo jeśli tak, idę prosto do...

- Niezupełnie. Ale mogę ci pokazać twarz zabójcy.

Odwrócił się i podniósł coś spomiędzy szpargałów na blacie. Podeszedł do Boffa i otworzył dłoń. Stał tyłem do Angui, więc nie widziała, co trzyma. Boffo wydał z siebie zduszony krzyk i odbiegł alejką między twarzami; jego wielkie buty tupwały rytmicznie o kamienną posadzkę.

- Dziękuję! - zawołał Marchewa w stronę jego pleców. - Bardzo nam pomogłeś.

Znowu zamknął dłoń.

- Chodź - rzucił w stronę Angui. - Lepiej się wynośmy. Obawiam się, że za chwilę nie będziemy tu popularni.

- Co mu pokazałeś? - spytała, kiedy przechadzali się z godnością, ale w dobrym tempie w kierunku bramy. - Coś, co miałeś nadzieję tu znaleźć, prawda? Całe to gadanie, że chciałbyś zobaczyć muzeum...

- Naprawdę chciałem je zobaczyć. Dobry gliniarz zawsze jest otwarty na nowe doświadczenia.

Dotarli do bramy. Żadne mściwe torty nie wyfrunęły za nimi z ciemności.

Na ulicy Angua oparła się o mur. Powietrze pachniało tu bardziej słodko, co jest stwierdzeniem doprawdy niezwykłym, jeśli ma dotyczyć atmosfery w Ankh-Morpork. Ale przynajmniej ludzie tutaj mogli się śmiać i nie żądać za to zapłaty.

- Nie powiedziałeś, co go tak przeraziło - przypomniała.

- Pokazałem mu mordercę - odparł Marchewa. - Przykro mi. Nie sądziłem, że tak zareaguje. Przypuszczam, że wszyscy błażni żyją ostatnio w napięciu. Widzisz, to tak jak z krasnoludem i jego narzędziami. Każdy myśli na swój sposób.

- Znalazłeś tam twarz mordercy?

- Tak.

Marchewa wyciągnął rękę. Na dłoni leżało gładkie jajko.

- Wygląda tak.

- Nie ma twarzy?

- Nie... Myślisz jak klaun. Jestem prostym chłopakiem, ale sądzę, że było tak: ktoś w Gildii Skrytobójców szukał sposobu, żeby wchodzić tam i wychodzić, nie będąc widzianym. Zdał sobie sprawę, że obie gildie rozdziela tylko cienki mur. Miał pokój. Musiał tylko sprawdzić, kto mieszka po drugiej

stronie. Potem zabił Fasolla i zabrał mu perukę i nos. Prawdziwy nos... w taki sposób myślą klauni. Charakteryzacja nie była trudna. Wszedł do gildii, umalowany jak Fasollo. Wybił dziurę w murze. Potem zszedł na plac przed muzeum, tylko że tym razem ubrany jak skrytobójca. Zabrał... rusznic i wrócił tutaj przez ścianę. Znowu przebrał się za Fasolla i wyszedł spokojnie. A później ktoś zabił jego.

- Boffo mówił, że Fasollo wyglądał na zmartwionego.

- A ja pomyślałem: to dziwne, bo trzeba by spojrzeć na klauna całkiem z bliska, żeby zobaczyć, jaki naprawdę ma wyraz twarzy. Ale łatwo można zauważyć, że charakteryzacja nie jest nałożona dokładnie. Tak jakby, na przykład, nakładał ją ktoś, kto nie jest do tego przyzwyczajony. A najważniejsze, że kiedy jakiś klaun widzi twarz wychodzącego Fasolla, to widzi osobę. Nie wyobrazi sobie nawet, że to może być ktoś inny, kto nosi tę samą twarz. Klauni nie myślą w taki sposób. Klaun i jego charakteryzacja są jednym. Bez charakteryzacji klaun nie istnieje. Klaun nie nosiłby twarzy innego klauna, tak jak krasnolud nie użyłby narzędzi innego krasnoluda.

- To jednak ryzykowne - zauważyła Angua.

- Tak, bardzo ryzykowne.

- Marchewa, co teraz zamierzasz?

- Myślę, że warto sprawdzić, czyj pokój był po drugiej stronie. Podejrzewam, że należał do tego koleżki Fasolla.

- W Gildii Skrytobójców? Tylko my?

- Hm... tak, masz rację.

Marchewa wyglądał na tak załamane, że Angua ustąpiła.

- Która godzina? - spytała.

Marchewa bardzo ostrożnie wyjął z aksamitnej sakiewki pamiątkowy zegarek kapitana Vimesa.

- Jest...

...abing abing abong bong... bing... bing... Czekali cierpliwie, aż skończy się melodyjka.

- Za piętnaście siódma - powiedział Marchewa. - Idealnie dokładnie. Nastawiałem go według tego wielkiego zegara słonecznego przy uniwersytecie.

Angua spojrzała w niebo.

- Dobrze - rzekła. - Chyba mogę sprawdzić. Zostaw to mnie.

- Jak?

- Tego... ja... no, mogę się pozbyć munduru, prawda, i no... jakoś ich zagadać, żeby mnie wpuścili. Udam siostrę pokojówki albo co...

Marchewa przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

- Myślisz, że ci się uda?

- A masz lepszy pomysł?

- Nie w tej chwili.

- No właśnie. Ja... słuchaj, wracaj do reszty, a ja znajdę jakieś spokojne miejsce i przebiorę się w coś odpowiedniego.

Nie musiała się oglądać, żeby zgadnąć, skąd dobiegło drwiące prychnięcie. Gaspode potrafił zjawiać się bezgłośnie, niczym niewielki obłoczek metanu w zatłoczonym pokoju; posiadał też taką samą irytującą zdolność wypełniania całej dostępnej przestrzeni.

- Gdzie w tej okolicy znajdziesz cywilne ubranie? - zdziwił się Marchewa.

- Dobry strażnik zawsze jest gotów improwizować.

- Ten piesek strasznie rzeź - zauważył Marchewa. - Czemu ciągle za nami chodzi?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- Patrz, ma dla ciebie prezent.

Angua zaryzykowała szybki rzut oka. Gaspode trzymał w pysku - ale ledwo-ledwo - wielką kość, szerszą, niż sam był długi. Kość mogła należeć do czegoś, co zginęło w dole ze smołą; była zielonkawa, a miejscami kudłata od pleśni.

- Jak miło - stwierdziła lodowatym tonem Angua. - Ale lepiej już idź. Zobaczę, co da się zrobić.

- Jeśli jesteś pewna... - zaczął z ociąganiem Marchewa.

- Tak.

Kiedy odszedł, Angua ruszyła ku najbliższemu zaułkowi. Do wschodu księżycy pozostało tylko kilka minut.

Sierżant Colon zasalutował, gdy zauważył wracającego Marchewę. Zmarszczył czoło.

- Możemy już iść do domu, sir? - zaproponował.

- Co? Dlaczego?

- No bo wszystko już wyjaśnione.

- Mówiłem tak tylko, żeby odwrócić podejrzenia.

- Aha. Bardzo sprytnie - pochwalił szybko sierżant. - Tak właśnie pomyślałem: mówi tak, żeby odwrócić podejrzenia.

- Po mieście nadal krąży morderca. Albo jeszcze gorzej. - Marchewa zmierzył wzrokiem swój niezbyt dobrze dobrany oddział. - Ale myślę, że teraz zajmiemy się tą sprawą z dzienną rotą.

- Tego... Ludzie mówią, że tam szaleje prawie rewolucja - powiedział Colon.

- Dlatego musimy się tym zająć.

Colon przygryzł wargę. Nie był tchórzem w ścisłym sensie tego słowa. W zeszłym roku miasto zaatakował smok, a on stał na dachu i strzelał do bestii z łuku, choć leciała prosto na niego z otwartą paszczą. Fakt, musiał potem zmieniać bieliznę... Ale to było proste. Wielki, groźny, ziejący ogniem smok to prosta sprawa. Owszem, zamierzał upiec Golona żywcem, lecz nie było większych powodów do zmartwienia. No, może nie tak zupełnie. Powód był, całkiem spory, a jednak... prosty. Nie tkwiła w nim żadna zagadka.

- Załatwimy tę sprawę?

- Tak.

- Aha. To świetnie. Lubię załatwiać sprawy.

Paskudny Stary Roń miał ugruntowaną pozycję w Gildii Żebraków. Był Mamrotaczem, i to dobrym. Chodził za ludźmi i mamrotał coś we własnym, prywatnym języku, dopóki nie dali mu pieniędzy, żeby przestał. Ludzie uważali, że jest obłąkany, ale formalnie rzecz biorąc, nie mieli racji. Po prostu kontaktował się z rzeczywistością na poziomie kosmicznym, dlatego miewał kłopoty z percepcją rzeczy mniejszego kalibru, takich jak ludzie, mury czy mydło (choć przy obiektach całkiem małych, takich jak monety, jego wzrok nie miał sobie równych).

Nie był więc zaskoczony, kiedy przystojna młoda kobieta przebiegła obok niego i zaczęła zdejmować ubranie. Takie rzeczy zdarzały się często,

choć jak dotąd jedynie w wewnętrznej przestrzeni jego umysłu.

Potem zobaczył, co się z nią stało.

Patrzył, jak przemyka obok smukły, złocisty kształt.

- Mówiłem im! Mówiłem! Tyle razy! - powiedział. - Podam im trawę szmaciarza drugą stroną! Tak właśnie zrobię! Niech to demoniszcza! Tysiącletnia wskazówka i krewetki! Przecież mówiłem!

Kiedy Angua wróciła, Gaspode zamerdał do niej tym, co teoretycznie było jego ogonem.

- Przepiorę się w coś odpowiedniego - powiedział głosem trochę stłumionym przez kość. - Niezły numer. Przyniosłem ci ten oto drofny symfol...

Upuścił kość na ziemię. Dla wilczych oczu Angui wcale nie wyglądała lepiej niż poprzednio.

- Po co?

- Pełna pożywnego szpiku jest taka kość - odparł z wyrzutem.

- Daj sobie spokój. Powiedz lepiej, jak się dostajesz do Gildii Skrytobójców.

- A potem może pokręciliśmy się przy wysypiskach na Drodze Fedry? - Ogryzek ogona Gaspode'a uderzał rytmicznie o ziemię. - Fywają tam takie szczury, że włosy się jeżą na... Nie, w porządku, zapomnij, że o tym wspominałem - dokończył szybko, gdy w oczach Angui błysnął płomień. - Jest rura odpływowa obok kuchni - wyjaśnił z ciężkim westchnieniem.

- Człowiek się przecisnie?

- Nawet krasnolud nie da rady. Ale nie warto się męczyć. Dzisiaj podają spaghetti. Trudno liczyć na kości...

- Idziemy. Powlókł się za nią.

- To była dofra kość - mruczał. - Ledwie zaczęła zielenieć. Ha! Założę się, że nie powiedziałaś „nie”, gdyby twój pan Twardziel wręczył ci pudełko czekoladek.

Skulił się, gdy nagle się odwróciła.

- O czym ty gadasz?

- Nic, nic!

Szedł dalej, skomląc cicho.

Angua też nie była zachwycona. Rosnące o pełni księżyca sierść i kły zawsze sprawiały kłopoty. Kiedyś myślała już, że sprzyja jej szczęście, a potem odkryła, że niewielu mężczyzn jest zachwyconych związkiem z partnerką, która porasta futrem i wyje. Przysięgła sobie: nigdy więcej takich układów.

Co do Gaspode’a, pogodził się z życiem bez miłości, przynajmniej innej niż te krótkotrwałe afekty, jakich dotąd doświadczał, a na które składały się zauroczenie niczego niepodjeżdżającą chihuahua i przelotny kontakt z nogą listonosza.

Proszek numer jeden wsypał się przez zwinięty papierowy lejek do metalowej rurki. Niech demony porwą tego Vimesa! Kto by przypuszczał, że naprawdę zjawi się na dachu Opery? Przez niego przepadł komplet rurek. Ale zostały jeszcze trzy, ułożone równo w wydrążonej kolbie. Torba Proszku numer jeden i rudymmentarna wiedza o odlewaniu ołowiu całkowicie wystarczała do zawładnięcia miastem...

Rusznic leżał na stole. Metal połyskiwał błękitem... Zresztą nie tyle połyskiwał, ile jarzył się raczej. Naturalnie, to tylko oliwa. Koniecznie trzeba wierzyć, że to oliwa. Rusznic wyraźnie jest przedmiotem z metalu. Absolutnie nie może być żywy.

A jednak...

A jednak...

- To była podobno jakaś zwykła żebraczka z gildii.

„I co? Co z tego? Była okazyjnym celem. To nie moja wina. To twoja wina. Ja jestem tylko rusznicem. Rusznice nie zabijają ludzi. Ludzie zabijają ludzi.”

- Ty zabiłeś Młotokuja! Chłopak mówił, że wypaliłeś sam z siebie! A on próbował cię naprawić!

„Spodziewasz się wdzięczności? Zrobiłby drugi rusznic.”

- Czy to powód, żeby go zabijać?

„Oczywiście. Ty tego nie rozumiesz.”

Czy ten głos odzywał się w jego głowie, czy dochodził z rusznica? Trudno powiedzieć. Edward mówił, że odzywa się taki głos... Powtarza, że może ci ofiarować wszystko, czego zapragniesz...

Przedostanie się do głównego budynku gildii okazało się łatwe, nawet przez tłum gapiów. Niektórzy skrytobójcy, ci z arystokratycznych domów, gdzie trzymano duże, leniwe psy, tak jak pospólstwo trzyma dywaniki, często zabierali zwierzęta do szkoły. Poza tym Angua wyglądała na zwierzę ze świetnym rodowodem. Kiedy biegła przez dziedziniec, ścigały ją pełne zachwyty spojrzenia.

Odszukanie właściwego korytarza też nie było trudne. Zapamiętała widok z sąsiedniej gildii i policzyła piętra. Zresztą nie musiała się męczyć - w powietrzu wciąż wisiał ostry zapach fajerwerków.

W korytarzu zebrała się spora grupa skrytobójców. Drzwi do pokoju zostały wyważone. Kiedy Angua wyjrzała zza rogu, zobaczyła, jak wychodzi przez nie doktor Cruces. Twarz miał stężoną z wściekłości.

- Panie Downey!

Siwowłosa skrytobójca stanął na baczność.

- Tak?

- Chcę, żeby go znaleziono!

- Tak, doktorze...

- Więcej! Chcę, by go inhumowano! Z najwyższą nieuprzejmością! Honorarium ustalę na dziesięć tysięcy dolarów. Zapłacę osobiście, rozumie pan? I to bez podatku gildii.

Kilku skrytobójców nonszalancko oddaliło się od grupy. Dziesięć tysięcy dolarów bez podatku to spora suma.

Downey był wyraźnie zakłopotany.

- Myślę, doktorze...

- Myśli pan? Nie płacę panu za myślenie! Bogowie jedyni wiedzą, do czego ten idiota się posunie. Rozkazałem przeszukać cały teren gildii. Dlaczego nikt nie wyważył tych drzwi?

- Proszę wybaczyć, doktorze. Edward opuścił nas już tak dawno, że nie myślałem...

- Nie myślał pan? A za co panu płacę?

- Nigdy nie widziałem go takiego wściekłego - szepnął Gaspode. Ktoś

chrząknął za plecami głównego skrytobójcy - z pokoju wyszedł doktor Białolicy.

- Ach, to pan, doktorze - powiedział Cruces. - Chyba lepiej będzie, jeśli przedyskutujemy tę sprawę w moim gabinecie, zgoda?

- Jest mi doprawdy niewymownie przykro, panie...

- Proszę nawet o tym nie wspominać. Ten mały... demon z obu nas zrobił błaznów. Oj... bez urazy. Panie Downey, błazny i skrytobójcy będą pilnować tej dziury, dopóki jutro nie sprowadzimy murarzy. Nikt nie może tędy przejść, rozumiano?

- Tak, doktorze.

- Doskonale.

- To pan Downey - wyjaśnił Gaspode, kiedy Cruces i główny błazen zniknęli w głębi korytarza. - Numer dwa wśród skrytobójców. - Podrapał się za uchem. - Załatwiłfy Crucesa za dwa pensy, gdyfy to nie fyło wfrew regułom.

Angua podbiegła kawalek. Downey, który właśnie ocierał czoło czarną chusteczką, spojrzał w dół.

- Witaj... jesteś tu nowa - powiedział. Zauważył Gaspode'a. -Widzę, że i kundelek wrócił.

- Hau, hau - odparł Gaspode, merdając szczątkami ogona. -Nawiasem mówiąc - dodał, zwracając się do Angui - czasem rzuci miętusa, jeśli spotkasz go w odpowiednim nastroju. W tym roku otruł już piętnaście osóf. W truciznach jest niemal tak dofry jak Cruces.

- Czy powinnam to wiedzieć? - upewniła się Angua. Downey poklepał ją po głowie.

- Ach, skrytofójcy nie zafijają, jeśli nie są opłaceni. Wiesz, to te drofne napiwki stanowią różnicę.

Angua tymczasem znalazła się w miejscu, skąd widziała drzwi. Kartonik z nazwiskiem był wsunięty w metalową ramkę. Edward d'Eath.

- Edward d'Eath - powiedziała.

- To imię nie jest mi ofce - stwierdził Gaspode. - Rodzina mieszkała przy Królewskiej. Fyli kiedyś fogaci jak Kreozot.

- Kto to był Kreozot?

- Jakiś zagraniczny pętał, który był fogaty.

- Aha.

- Ale pradziadek cierpiał na straszliwe pragnienie, a dziadek gonił wszystko w sukience... wszystko co było w swojej sukience, rozumiesz. Natomiast stary d'Eath, cóż, był trzeźwy i przyzwoity, ale stracił resztę rodzinnego majątku z powodu ataków ślepoty, kiedy przychodziło mu odróżniać jeden od jedenastu.

- Nie bardzo rozumiem, jak można przez to stracić pieniądze.

- Można, jeśli ci się wydaje, że możesz grać w Okalecz Pana Cefulę z dużymi chłopcami.

Wilkołak i pies szli obok siebie korytarzem.

- A wiesz coś o paniczu Edwardzie? - spytała Angua.

- Nie widziałem go ostatnio. Dom niedawno zlicytowali. Rodzinne długi.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji.

- Sporo się kręcę. Nikt nie zauważa psów. - Gaspode poruszył nosem, który przypominał pomarszczoną truflę. - Niech to lichy. Cuchnie rusznicem, prawda?

- Tak - przyznała Angua. - Ale jest w tym coś dziwnego.

- Co?

- Coś nie pasuje.

Były też inne zapachy: brudne skarpety, obce psy, szminka doktora Białolicego, wczorajsza kolacja... Zapachy wypełniały przestrzeń. Ale żrący jak kwas zapach fajerwerków, który Angua odruchowo kojarzyła z rusznicem, przenikał wszystko.

- Co nie pasuje?

- Nie wiem. Może woń samego rusznica?

- Nie. Przecież on stąd pochodzi. Trzymali tu rusznic przez lata.

- Fakt. No dobrze, mamy już nazwisko. Może Marchewie coś powie.

Angua zbiegła po schodach.

- Przepraszam...

- Tak?

- Jak zdołasz znowu zmienić się w kofietę?

- Wystarczy zejść ze światła księżyca i... się skoncentrować. Tak to działa.

- I to wszystko?

- Jeśli formalnie trwa pełnia, mogę dokonać przemiany nawet w dzień, jeśli zechcę. Ale w świetle księżyca muszę się przemienić.

- Żartujesz. A co z tojadem?

- Tojad? Taka roślina. Jaskrowata, o ile pamiętam. Co z nią?

- Nie zabija cię?

- Wiesz co? Nie musisz wierzyć we wszystko, co opowiadają o wilkołakach. Jesteśmy ludźmi, jak wszyscy. Na ogół - dodała.

Znaleźli się na zewnątrz gildii i ruszyli do znajomego zaułka. Na miejscu odkryli jednak, że pod ich nieobecność stracił pewne istotne właściwości, które posiadał, kiedy byli tu poprzednio. Najbardziej godną uwagi zmianą był brak munduru Angui, ale występowały też znaczne niedostatki w dziedzinie obecności Paskudnego Starego Rona.

- Niech to...

Stali nad pustym skrawkiem ziemi.

- Masz inne ufranie? - zapytał Gaspode.

- Tak, ale w domu, przy Wiązów. To był mój jedyny mundur.

- Musisz coś na siebie wkładać, kiedy jesteś człowiekiem?

- Tak.

- Dlaczego? Wydaje się, że naga kofieta fyłafy mile widziana w każdym towarzystwie. Fez urazy.

- Wolę ubrane. Gaspode obwąchał ziemię.

- No to chodźmy. - Westchnął. - Musimy złapać Paskudnego Starego Rona, zanim twoja kolczuga zmieni się w futelkę fearhuggera.

Angua rozejrzała się. Zapach Paskudnego Starego Rona był niemal dotykalny.

Tojad? Nie trzeba jakichś bezsensownych ziół, żeby utrudnić życie kobiecie. Wystarczy, że przez tydzień każdego miesiąca ma dwie dodatkowe nogi i cztery dodatkowe sutki.

Tłum zgromadził się wokół pałacu patrycjusza i przy Gildii Skrytobójców. Kręcili się tu liczni żebracy. Wyglądali brzydko. Brzydki wygląd i tak należy do stałego ekwipunku żebraka, ci jednak wyglądali jeszcze gorzej.

Milicja wyrzała zza rogu.

- Są tu setki ludzi - stwierdził Colon. - I masa trolli przed komendą dziennej zmiany.

- Gdzie jest największy tłok? - spytał Marchewa.

- Pewnie między trollami - odparł sierżant, ale zaraz się opanował. - Żartowałem tylko.

- Dobrze - rzeki Marchewa. - Wszyscy za mną.

Gwar ucichł, gdy milicja pomaszerowała, powlokła się, podbiegła truchtem i podeszła, ciągnąc ręce po ziemi, do komendy dziennej rotacji.

Wejście blokowało kilku bardzo dużych trolli. Tłum patrzył wyczekująco.

Lada chwila, myślał Colon, ktoś czymś rzuci. A potem wszyscy zginiemy.

Spojrzał w górę. Powoli, niepewnie, nad rynkami pojawiały się głowy gargulców. Nikt nie chciał przeoczyć dobrej bójki.

Marchewa skinął dwóm trollom.

Są całe porośnięte mchem, zauważył Colon.

- Bluejohn i Boksyt, prawda? - zapytał Marchewa. Bluejohn odruchowo skłonił głowę. Boksyt był twardszy i tylko spojrzał spode łba.

- Właśnie kogoś takiego jak wy szukałem.

Colon oburącz chwycił swój hełm i wyglądał teraz jak ślimak rozmiaru

dziesięć, próbujący się wcisnąć do muszli rozmiaru jeden. Boksyt przypominał lawinę na nogach.

- Przyjmuję was do straży - oznajmił Marchewa. Colon wyjrzał spod hełmu.

- Zgłosicie się do kaprała Nobbsa po odbiór broni. Młodszy funkcjonariusz Detrytus odbierze kłutwę. - Cofnął się o krok. - Witajcie w Straży Obywatelskiej. Pamiętajcie, każdy młodszy funkcjonariusz nosi w plecaku buławę marszałka polowego.

Trolle ani drgnęły.

- Nie chcę do straży - powiedział Boksyt.

- Świetnie. Materiał na oficera, nie ma co - stwierdził Marchewa.

- Zaraz! Nie możesz ich brać do straży! - krzyknął jakiś krasnolud w tłumie.

- O, witam, panie Wręcemocny. Miło zobaczyć tu przywódców społeczności. Dlaczego nie mieliby wstąpić do milicji?

Wszystkie trolle słuchały w skupieniu. Wręcemocny uświadomił sobie, że stał się ośrodkiem uwagi. Zawahał się.

- No... bo na przykład macie tylko jednego krasnoluda... - zaczął.

- Ja jestem krasnoludem - przypomniał mu Marchewa.

Wręcemocny wyglądał na trochę zakłopotanego. Cała ta sprawa z entuzjastyczną krasnoludowością Marchewy była trudna do zaakceptowania dla politycznie uświadomionych krasnoludów.

- Jesteś trochę za duży - powiedział niepewnie.

- Duży? A co wzrost ma do bycia krasnoludem? - zdziwił się Marchewa.

- Ehm... dużo - szepnął Cuddy.

- Słuszna uwaga - przyznał Marchewa. - Bardzo słuszna uwaga. - Przyjrzał się twarzom w tłumie. - Fakt. Potrzebny nam jakiś uczciwy, praworządny krasnolud. Ty tam...

- Ja? - zdziwił się zaskoczony krasnolud.

- Byłeś kiedyś skazany?

- Sam nie wiem... Babcia kazała mi pamiętać, że oszczędnością i pracą krasnoludy się bogacą.

- Dobrze. Wezmę też... was dwóch... i ciebie. Cztery krasnoludy, zgadza się? Nikt nie może się skarżyć.

- Nie chcę do straży - powtórzył Boksyt, lecz w jego głosie zabrzmiała niepewność.

- Wy, trolle, nie możecie teraz odejść - oświadczył Detrytus. - Inaczej za dużo krasnoludy. To liczby, ot co.

- Nie wstąpię do straży - oznajmił stanowczo krasnolud.

- Brakuje odwagi, tak? - rzucił Cuddy.

- Co? Nie jestem gorszy od żadnego trolla!

- No to załatwione. - Marchewa zatarł ręce. - Funkcjonariusz Cuddy!

- Tak jest!

- Zaraz! - zaprotestował Detrytus. - Niby czemu on teraz pełny funkcjonariusz?

- Ponieważ odpowiada za krasnoludzkich rekrutów - wyjaśnił Marchewa. - A wy odpowiadacie za trollowych rekrutów, funkcjonariuszu Detrytus.

- Pełny funkcjonariusz dowódca trollowe rekruty?

- Oczywiście. A teraz odsuńcie się, młodszy funkcjonariuszu Boksyt...

Za plecami Marchewy Detrytus nabrał tchu.

- Nie chcę...

- Młodszy funkcjonariusz Boksyt! Ty okropny duży troll! Wyprostować się! Salutować, ale już! Zejść z drogi kapral Marchewa! Wy dwa trolle, podejść tu! Rrraz... dwa... trzy... czter-ry... Jesteście w straż. Auu, nie wierzę w to, co moje oko widzi! Skąd pochodzisz, Boksyt?

- Kromkowa Góra, ale...

- Kromkowa Góra? Kromkowa Góra! Tylko... - Detrytus spojrział na swoje palce, po czym szybko schował dłoń za plecy. - Tylko dwa rzeczy przychodzą z Kromkowa Góra! Kamienie i... i... - Zająknął się. - I inne kamienie! Która ty jesteś, Boksyt?

- Co się tu dzieje, u demona?

Otworzyły się drzwi komendy. W progu stanął kapitan Quirke z mieczem w dłoni.

- Wy dwa okropne trolle! Podnieść prawa ręką i powtarzać trollowa klątwa...

- O, pan kapitan - ucieszył się Marchewa. - Możemy zamienić słówko?

- Wpadliście w poważne kłopoty, kapralu Marchewa - rzekł Quirke. - Za kogo niby się uważacie?

- Będę robić, co mi każą...

- Nie chcę do... Bum!

- Będę robić, co mi każą...

- Uważam się za człowieka, który znalazł się na miejscu, kapitanie - odparł uprzejmie Marchewa.

- A więc człowieku, który znalazł się na miejscu, jestem tu starszym oficerem i mogę...

- Interesująca uwaga, kapitanie. - Marchewa wyjął swoją czarną książkę. - Odbieram panu dowodzenie.

- ...bo jak nie, to wkopią mi do środka mój „goohuloog” łeb.

- Co? Co? Czyś ty zwariował?

- Nie, kapitanie, ale wydaje mi się, że pan owszem. Istnieją przepisy uwzględniające taką ewentualność.

- Kto cię upoważnił? - Quirke spojrzał na zebrany tłum. - Aha! Pewnie ci się wydaje, że ten uzbrojony motłoch cię upoważnia?

Marchewa zdumiał się wyraźnie.

- Ależ skąd. Prawa i Przepisy Porządkowe Ankh-Morpork, kapitanie. Wszystko tu zapisano. Może pan wyjaśnić, jakie ma pan dowody przeciwko aresztowanemu Węglarzowi?

- Temu piekielnemu trollowi? Jest trollem!

- Tak?

Quirke rozejrzał się wkoło.

- Przecież nie muszę ci tłumaczyć przy wszystkich...

- Prawdę mówiąc owszem, musi pan. Po to są dowody. Coś, co służy do wykazywania.

- Słuchaj no - syknął Quirke, przysuwając się do Marchewy. - To przecież troll. Jest winien jak demony. Czegoś na pewno jest winien. Oni wszyscy są.

Marchewa uśmiechnął się promiennie.

- Więc go pan zamknął?

- Właśnie.

- Aha. No tak. Teraz rozumiem. Marchewa odwrócił się.

- Nie wiem, co chcesz... - zaczął Quirke.

Nikt właściwie nie zauważył, kiedy Marchewa się poruszył. Była tylko rozmazana plama, dźwięk jak przy rzuceniu stęka na deskę i kapitan leżał płasko na bruku.

Kilku funkcjonariuszy dziennej rotacji stanęło ostrożnie w drzwiach.

Zebrani usłyszeli nagle cichy brzęk - to Nobby kręcił morgensternem na łańcuchu. Ponieważ kula z kolcami była bardzo ciężką kulą z kolcami, a różnica między Nobbym a krasnoludem tkwiła raczej w gatunku niż we wzroście, w rezultacie oba te obiekty właściwie orbitowały wokół wspólnego środka. Gdyby Nobbs puścił łańcuch, istniała równa szansa na to, że cel zostanie trafiony przez kolczastą kulę albo kaprała Nobbsa. Żadna z tych możliwości nie wydawała się atrakcyjna.

- Odłóż to, Nobby - syknął Colon. - Oni nie będą sprawiać kłopotów.

- Nie mogę puścić, Fred! Marchewa ssał kostki palców.

- Jak pan myśli, sierżancie, czy można to zakwalifikować jako „minimalną siłę niezbędną”? - zapytał. Wydawał się szczerze zaniepokojony.

- Fred! Fred! Co mam robić?

Nobby zmienił się w przerażoną, rozmytą plamę. Kiedy ktoś kręci kolczastą kulą na łańcuchu, jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest utrzymywanie się w ruchu. Stanie nieruchomo prowadzi do interesującej, lecz krótkiej demonstracji orbity spiralnej.

- Oddycha? - spytał Colon.

- O tak. Wyhamowałem cios.

- Moim zdaniem brzmi to całkiem minimalnie - przyznał lojalnie Colon.

- Freed!

Nie patrząc, Marchewa wyciągnął rękę i kiedy morgenstern przelatywał obok, chwycił za łańcuch. Potem skierował kulę w mur, gdzie wbiła się głęboko.

- Hej, wy, na komendzie! - zawołał. - Wychodźcie! Pojawiło się pięciu ludzi. Ostrożnie wyminęli leżącego kapitana.

- Dobrze - pochwalił ich Marchewa. - A teraz uwolnijcie Węglarza.

- Ee... Jest trochę zirytowany, kapralu.

- Z powodu tego, że został przykuty do podłogi - dodał inny strażnik.

- No tak - mruknął Marchewa. - Otóż ma zostać natychmiast rozkuty.

Dzienni strażnicy nerwowo przestępowali z nogi na nogę, zapewne pamiętając stare przysłowie, doskonale pasujące do tej okazji* [przyp.: Brzmi tak: „Ten, kto zakuł trolla, zwłaszcza jeśli wykorzystał okazję, żeby parę razy poczęstować go kopniakiem, niech lepiej nie będzie tym, który go rozkuwa”]. Marchewa pokiwał głową.

- Nie proszę, żebyście wy to zrobili. Sugeruję za to, żebyście może wzięli sobie trochę wolnego.

- Quirm jest piękny o tej porze roku - wtrącił sierżant Colon. - Mają tam zegar kwiatowy.

- Ehm... skoro już o tym mowa, chyba mam zaległe zwolnienie chorobowe - przypomniał sobie któryś ze strażników.

- Myślę, że bardzo się przyda, jeśli jednak pozostaniecie w okolicy.

Dzienni strażnicy oddalili się na tyle prędko, na ile pozwalało im poczucie godności. Tłum prawie nie zwracał na nich uwagi. Nadal bardziej opłacało się przyglądać Marchewie.

- Załatwione - stwierdził Marchewa. - Detrytus, weź dwóch ludzi i wyprowadźcie więźnia.

- Nie rozumiem czemu... - zaczął jakiś krasnolud.

- Zamknij się, okropny człeku! - przerwał mu upojony władzą

Detrytus.

Zapadła cisza. Można by usłyszeć, jak opada ostrze gilotyny. W tłumie pewna liczba sękatych dłoni różnych rozmiarów sięgnęła po ukrytą broń różnych typów.

Wszyscy patrzyli na Marchewę.

To było najdziwniejsze, wspominał potem Colon. Wszyscy patrzyli na Marchewę.

Gaspode obwąchał latarnię.

- Widzę, że Trójnogi Shep znowu chorował - stwierdził. - I stary Willy Szczeniak wrócił do miasta.

Dla psa dobrze ustawiony słup do wiązania koni albo latarnia to prawdziwy kalendarz towarzyski.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Angua.

Trudno było podążać za tropem Paskudnego Starego Rona. Mieszał się z mnóstwem innych zapachów.

- Gdzieś na Mrokach - wyjaśnił Gaspode. - Pachnie jak aleja Narzeczonej. - Powęszył z nosem przy ziemi. - Aha, tu jest nasz mały...

- Witaj, Gasfode...

Głos był głęboki, gardłowy - rodzaj szeptu, ale wysypany piaskiem. Dobiegał z głębi ulicy.

- To twoja fszyjaciółka, Gasfode? Zabrzmiało lekceważące prychnięcie.

- Ach - powiedział Gaspode. - Uch. Cześć, chłopaki.

Z zaułka wynurzyły się dwa psy. Były wielkie i nieokreślonej rasy: jeden czarny przypominał pitbulla skrzyżowanego z maszynką do mięsa, drugi... Drugi wyglądał jak pies, który prawie na pewno ma na imię Rzeźnik. Górne i dolne kły wyrosły mu tak wielkie, że zdawało się, że patrzy na świat przez kraty. Miał też krzywe nogi, jednak komentarz na ten temat byłby zapewne błędnym, a może również ostatnim posunięciem.

Ogon Gaspode'a drżał nerwowo.

- To moi kumple, Czarny Roger i...

- Rzeźnik? - domyśliła się Angua.

- Skąd wiedziałaś?

- Zgadłam.

Dwa psy przesunęły się i stanęły po obu stronach Gaspode i Angui.

- No, no... - odezwał się Czarny Roger. - Kogo my tu mamy?

- Angua - przedstawił ją Gaspode. - Jest...

- Wilczurem - dokończyła za niego. Dwa psy zachłannie krążyły wokół nich.

- Wielki Fido wie o niej? - spytał Czarny Roger.

- Właśnie ją...

- Wystarczy. Na pewno chcesz iść z nami. Dzisiaj noc gildii.

- Pewnie, pewnie - zgodził się Gaspode. - Żadnych sprzeciwów.

Na pewno poradziłabym sobie z jednym z nich, myślała Angua. Ale nie z dwoma naraz.

Być wilkołakiem oznaczało, że ma się zręczność i siłę szczęk wystarczające, by w jednej chwili rozerwać człowiekowi gardło. Takie sztuczki robił jej ojciec, co zawsze irytowało matkę, zwłaszcza kiedy próbował tego przed obiadem. Angua jednak nigdy nie zdołała się zmusić. Woląa wegetarianizm.

- Hej, mała - wysapał jej do ucha Rzeźnik.

- O nic się nie martw - zaskomlał Gaspode. - Ja i Wielki Fido... rozumiemy się.

- Co ty wygadujesz? I co, krzyżujesz pazury? Nie wiedziałam, że psy to potrafią.

- Fo nie potrafimy - przyznał żałośnie Gaspode.

Inne psy wynurzały się z cieni, a ich dwójkę na wpół prowadzono, na wpół zaganiano przez wąskie przesmyki, które nie były już nawet zaułkami, tylko szczelinami wśród murów. Dotarli w końcu na niewielki pusty plac, właściwie studnię dostarczającą światła otaczającym ją budynkom. W jednym rogu stała wielka beczka przykryta strzępem podartego koca. Przed nią siedziała gromada psów. Wyraźnie na coś czekały. Niektóre miały tylko jedno oko, inne jedno ucho; wszystkie za to miały blizny.

I wszystkie miały zęby.

- Wy - warknął Czarny Roger. - Czekać tutaj.

- Nie flubujcie uciekać - dodał Rzeźnik. - Bo to często boli, kiedy fszeżuwają wam tszewia.

Angua spuściła głowę do poziomemu Gaspode'a. Kundel trząsł się cały.

- W co mnie wpakowałeś? - zawarczała cicho. - To jest Psia Gildia, tak? Stado bezpańskich psów?

- Psst! Nie mów tak. To nie są fezpańskie psy. Do licha! - Gaspode rozejrzał się nerwowo. - Nie każdego psa przyjmują do gildii. O nie, moja droga. Te psy ryły... - zniżył głos. - Fyły złymi psami.

- Złymi psami?

- Złymi. Ty niegrzeczny psie. Przylej mu. Niedofry pies - mrucał Gaspode, jakby recytował jakąś straszliwą litanie. - Każdy pies, jakiego tu widzisz, każdy fez wyjątku... uciekł. Uciekł od swojego pana.

- I to wszystko?

- Wszystko? Wszystko? Oczywiście. Ty właściwie nie jesteś psem, więc nie zrozumiesz. Nie wiesz, co to znaczy. Ale Wielki Fido... on im wytłumaczył. Zrzućcie swoje kolczatki, mówił. Gryźcie rękę, która was karmi. Powstańcie i zawaycie. On dał im dumę. - Głos Gaspode^ wyrażał jednocześnie strach i fascynację. - On im powiedział. Każdy pies, o którym się dowie, że nie jest swofodnym duchem, jest martwym psem. W zeszłym tygodniu zafił dofermana tylko za to, że pomerdał ogonem, kiedy przechodził człowiek.

Angua przyjrzała się psom. Były zaniedbane. Były też w dziwny sposób niepodobne do psów. Siedział wśród nich nieduży, dość chudy biały pudełek, u którego dało się zauważyć pozostałości strzyżenia, i pokojowy piesek, któremu u szyi wisiały strzępy kraciatyego wdzianka. Ale te psy nie biegały wokół placu ani nie warczały na siebie. Wszystkie czekały w skupieniu, jakie już widywała, ale nigdy u psów.

Gaspode wyraźnie dygotał. Angua podeszła wolno do pudła. Wciąż miał błyszczącą obrożę widoczną pod sfilcowaną sierścią.

- Ten Wielki Fido - zagaiła. - To jakiś wilk czy co?

- Duchowo wszystkie psy są wilkami - odparł. - Jednak zostały cynicznie i okrutnie odsunięte od swego prawdziwego przeznaczenia wskutek manipulacji tak zwanej ludzkości.

Brzmiało to jak cytat.

- Wielki Fido tak mówi? - domyśliła się Angua.

Pudel odwrócił głowę, a wtedy po raz pierwszy zobaczyła jego oczy - czerwone i obłąkane jak piekło. Coś z takimi oczami mogło zabić każdego, ponieważ szaleństwo, prawdziwe szaleństwo zdolne jest przebić pięścią mur.

- Tak - potwierdził Wielki Fido.

Kiedyś był zwykłym psem. Służył, padał na grzbiet, chodził przy nodze i aportował. Co wieczór wyprowadzali go na spacer.

Kiedy To się zdarzyło, nie przypominało nagłego błysku światła. Pewnej nocy leżał sobie zwyczajnie w swoim koszyku i myślał o swoim imieniu - które brzmiało Fido, i imieniu wypisanym na koszu - które brzmiało Fido. Rozwahał też kocyk z wyhaftowanym „Fido”, miseczkę podpisaną „Fido”... Najdłużej zastanawiał się nad obrozą, która też miała tabliczkę z napisem „Fido”. Coś bardzo głęboko w jego mózgu pstryknęło nagle, a Fido zjadł swój koc, pogryzł właściciela i wyskoczył przez okno w kuchni. Na ulicy cztery razy większy labrador parsknął drwiąco na widok jego obroży, a pół minuty później uciekł, skomląc wniebogłosy.

To był dopiero początek.

Psia hierarchia jest właściwie prosta. Fido popytał w okolicy - a pytał zwykle zduszonym głosem, ponieważ akurat trzymał w zębach czyjaś nogę - i odszukał przywódcę największego stada dziczących psów w mieście. Ludzie - to znaczy psy - wciąż sobie opowiadali o walce między Fidem a

Szczekliwym Wściekłym Arturem, rottweilerem z jednym okiem i wybuchowym charakterem. Jednak większość zwierząt nie walczy do śmierci, tylko do porażki, a Fida nie można było pokonać; był bardzo małą i szybką morderczą smugą z obrozą. Wgryzał się w kawałki Szczekliwego Wściekłego Artura, aż Szczekliwy Wściekły Artur się poddał. I wtedy, ku jego zdumieniu, Fido go zabił.

Była w tym psie jakaś niepojęta determinacja. Choćby polerować go przez pięć minut strumieniem piasku, to, co by pozostało, nie ustąpi i tak. I nawet wtedy lepiej nie odwracać się do tego plecami.

Ponieważ Wielki Fido miał marzenie.

- Jakiś problem? - zapytał Marchewa.

- Tamten troll obraził tego krasnoluda - odparł Wręcemocny, krasnolud.

- Słyszałem tylko, jak funkcjonariusz Detrytus wydał rozkaz młodszemu funkcjonariuszowi... Hrolfowi Piżamie. Coś się nie zgadza?

- On jest trollem!

- I co?

- I obraził krasnoluda!

- Właściwie jest to określenie wojskowe... - wtrącił sierżant Colon.

- Ten przeklęty troll przypadkiem ocalił mi dzisiaj życie! - wrzasnął Cuddy.

- Po co?

- Po co? Po co?! Bo to było moje życie, po to! Tak się składa, że jestem

do niego przywiązany!

- Nie o to mi...

- Zamknij się lepiej, Abbo Wręcemocny! Na czym ty się w ogóle znasz, cywilu jeden? Czemu jesteś taki głupi? Niech to, jestem za krótki na takie numery!

W drzwiach pojawił się mroczny cień. Węglarz był niemal poziomym kształtem, ciemną masą linii pęknięć i ostrych powierzchni. Oczy świeciły mu czerwono i podejrzliwie.

- A teraz jeszcze chcecie go wypuścić - jęknął krasnolud.

- Bo nie mamy powodów, by trzymać go w zamknięciu - wyjaśnił Marchewa. - Ktokolwiek zabił pana Młotokuja, był dostatecznie mały, by przejść przez krasnoludzie drzwi. Taki wielki troll by tego nie potrafił.

- Ale wszyscy wiedzą, że to bardzo zły troll - upierał się Wręcemocny.

- Nic żem nie zrobił - powiedział Węglarz.

- Nie możemy go teraz wypuścić - syknął Colon. - Rzucają się na niego.

- Nic żem nie zrobił.

- Słuszna uwaga, sierżancie. Funkcjonariusz Detrytus!

- Tak jest.

- Weźcie go na ochotnika.

- Nic żem nie zrobił.

- Nie możecie! - wrzasnął krasnolud.

- I nie chcę być w straż - burknął Węglarz. Marchewa podszedł do niego.

- Tam stoi setka krasnoludów - szepnął. - Z wielkimi, ciężkimi toporami.

Węglarz zamrugał.

- Wstąpię.

- Zaprzysięgnijcie go, funkcjonariuszu.

- Proszę o zgodę na zaciąg jeszcze jednego krasnoluda. Dla zachowania równowagi.

- Działajcie, funkcjonariuszu Cuddy Marchewa zdjął hełm i wytarł czoło.

- To chyba już wszystko - stwierdził.

Tłum patrzył na niego. Marchewa się uśmiechnął.

- Nikt nie musi tu zostawać, chyba że bardzo chce - powiedział. - Nic żem nie zrobił.

- Tak... ale... zaraz... - jękał się Wręcemocny. - Jeśli nie on zabił starego Młotokuja, to kto?

- Nic żem nie zrobił.

- Prowadzimy śledztwo.

- Nie wiesz!

- Ale się dowiaduję.

- Ach tak? A kiedy, jeśli wolno spytać, będziesz wiedział?

- Jutro.

Krasnolud zawahał się trochę.

- No dobrze - ustąpił z wyraźną niechęcią. - Jutro. Ale lepiej, żeby to naprawdę było jutro.

- Zgoda.

Tłum się rozszedł, a przynajmniej trochę rozproszył. Nieważne, czy są trollami, krasnoludami czy ludźmi - obywatele Ankh-Morpork niechętnie odchodzą, jeśli jest jeszcze szansa na uliczny teatr.

Funkcjonariusz Detrytus tak dumnie i godnie wypinał pierś, że prawie nie dotykał palcami gruntu. Przyjrzał się swoim trollom.

- Słuchać teraz, okropne trolle!

Przerwał, czekając, aż kolejna myśl wejdzie na pozycję.

- Słuchajcie mnie teraz uważnie! Jesteście w straż, chłopcy! To praca z wielkie możliwości. Jestem tu od dziesięć minut, a już dostałem awans! Otrzymacie też edukacja i szkolenie, a potem dobra praca w cywilu!

Odetchnął.

- To wasza maczuga z gwoździem. Będziecie ją jeść! Będziecie na niej spać! Kiedy Detrytus powie: skakać, wy odpowiecie... jaki kolor! Zrobimy to po numerach! A znam mnóstwo numerów!

- Nic żem nie zrobił.

- Ty, Węglarz, lepiej zmądrzej. Masz marszałka buława w plecaku!

- Ani żem nic nie brał.

- A teraz padnij i zróbcie mi trzydzieści dwa! Albo nie! Lepiej sześćdziesiąt cztery!

Sierżant Colon roztarł grzbiet nosa. Żyjemy, pomyślał. Troll obraził krasnoluda przed tłumem innych krasnoludów... Węglarz... to sam Węglarz, przecież w porównaniu z nim Detrytus jest Panem Delikatnym... Węglarz jest na wolności i został strażnikiem. Marchewa załatwił Majoneza. Powiedział

też, że rozwiążemy tę sprawę do jutra, a przecież już ciemno. Ale żyjemy.

Kapral Marchewa jest szaleńcem.

Posłuchajcie tylko tych psów... W takim upale wszyscy są zdenerwowani.

Angua słuchała wycia psów i myślała o wilkach. Biegała parę razy ze stadem i знаła wilki. Te psy stanowczo nie były wilkami. Wilki to na ogół spokojne stworzenia - i dość proste. Kiedy się zastanowić, przywódca stada był trochę podobny do Marchewy. Marchewa pasował do miasta tak samo, jak on pasował do lasu.

Psy są sprytniejsze od wilków. Wilki nie potrzebują inteligencji. Mają inne możliwości. A psy otrzymały inteligencję od ludzi, czy tego chciały, czy nie. Z pewnością są okrutniejsze od wilków. To też przejęły od ludzi.

Wielki Fido chciał przemienić to stado bezpańskich psów w coś, co według ignorantów jest wilczym stadem. Coś w rodzaju kudłatej maszyny do zabijania. Rozejrzała się.

Duże psy, małe psy, tłuste psy, wychudłe psy. Wszystkie z błyszczącymi oczami słuchały, co mówi pudel.

O Przeznaczeniu.

O Dyscyplinie.

O Naturalnej Wyższości Psiej Rasy.

O Wilkach.

Tyle że te wilki z wizji Wielkiego Fido wcale nie były wilkami, jakie znała Angua. Były większe, dziksze, mądrzejsze... Były Królami Puszczy, Grozą wśród Nocy. Miały imiona, takie jak Szybki Kieł albo Srebrny

Grzbiet. Były tym, o czym każdy pies powinien marzyć.

Wielki Fido dobrze przyjął Anguę. Wyglądała prawie jak wilk, powiedział.

Wszystkie oczarowane słuchały małego pieska, który mówiąc, nerwowo puszczał gazy i tłumaczył im, że naturalny kształt psa jest o wiele większy. Angua wybuchnęłaby śmiechem, gdyby nie uznała, że nie wyszłaby stąd żywa.

A potem zobaczyła, co zrobiły z małym, podobnym do szczura kundlem, którego dwa terriery wciągnęły do kręgu. Był oskarżony o przyniesienie kija. Nawet wilki nie robią takich rzeczy innym wilkom. Nie istniał kodeks wilczego zachowania - nie był potrzebny. Wilki nie potrzebują przepisów mówiących, jak być wilkami.

Po egzekucji znalazła Gaspode'a. Siedział w kącie i starał się nie rzucać w oczy.

- Jeśli się teraz wymkniemy, będą nas ścigać? - zapytała.

- Raczej nie. Wiec już się skończył.

- No to chodźmy.

Spokojnie wyszli do zaułka, a kiedy byli już pewni, że nikt ich nie zauważył, puścili się biegiem.

- Na bogów - powiedziała Angua, kiedy od stada psów dzieliło ich już kilka ulic. - On jest obłąkany, prawda?

- Nie. Jak ktoś jest oflākany, to piana leci mu z pyska - odparł Gaspode.
- On jest szaleńcem. Wtedy pieni się mózg.

- Wszystko to, co mówił o wilkach...

- Myślę, że każdy pies ma prawo do marzeń.

- Ale wilki nie są takie! Nie mają nawet imion! - Każdy ma jakieś imię.

- Wilki nie. Po co? Wiedzą, kim są, i wiedzą, kim są inni w stadzie. Wszystko to jest... obrazem. Zapachem, dotykiem, kształtem. Wilki nie znają nawet słowa oznaczającego wilki! To przecież nie tak. Imiona to ludzki pomysł.

- Psy mają imiona. Ja też mam. Gaspode. To jest moje imię - oświadczył Gaspode odrobinę ponuro.

- No... nie potrafię tego wytłumaczyć - odparła Angua. - Ale wilki nie mają imion.

Księżyc stał już wysoko na niebie tak czarnym jak kubek kawy, która nie jest szczególnie czarna. Białe światło zmieniało miasto w siatkę cieni i srebrzystych linii.

Dawno, dawno temu Wieża Sztuk stała w samym środku Ankh-Morpork, ale wszystkie miasta mają tendencję do powolnej migracji, więc ów środek znajdował się teraz w odległości kilkuset sążni. Jednak wieża wciąż dominowała nad miastem; ciemna bryła wyrastała na tle nieba i wyglądała jakoś na czarniejszą, niż mogłyby sugerować cienie.

Mało kto zwracał uwagę na Wieżę Sztuk, ponieważ zawsze stała w tym miejscu. Ludzie nie przyglądają się temu, co znajome.

Zabrzmiał bardzo cichy brzęk metalu o kamień. Przez chwilę ktoś, kto stałby bardzo blisko wieży i patrzył dokładnie we właściwy punkt, mógłby odnieść wrażenie, że plama jeszcze ciemniejszej czerni powoli, ale nieustępliwie pełźnie w kierunku szczytu.

Przez moment promień księżyca odbijał się od wąskiej rury umocowanej na plecach czarnej sylwetki. Potem błysk światła zniknął, gdy człowiek wspiał się wyżej.

Okno było zamknięte.

- Przecież zawsze zostawia je otwarte! - jęknęła Angua.

- Musiała zamknąć dziś na noc - stwierdził Gaspode. - Kręci się tu sporo dziwnych osób.

- Ale ona zna te dziwaczne osoby! Większość wynajmuje u niej pokoje.

- Musisz zmienić się z powrotem w człowieka i wyfić okno.

- Nie mogę! Byłabym naga!

- Przecież teraz też jesteś naga. I co?

- Ale jestem wilkiem. To co innego.

- Ja tam przez całe życie nic nie nosiłem. Jakoś mi to nie przeszkadzało.

- Na komendę - zdecydowała Angua. - Na pewno coś się tam znajdzie. Przynajmniej zapasowa kolczuga, prześcieradło albo jeszcze coś. A drzwi się nie domykają. Idziemy.

Pobiegła truchtem. Gaspode ruszył za nią, skamłając cicho. Ktoś śpiewał.

- Niech mnie! - zawołał Gaspode. - Popatrz!

Czterech strażników przeszło obok ciężkim krokiem: dwa krasnoludy i dwa trolle. Angua poznała Detrytusa.

- Raz, raz, raz... Jesteście bez wątpienia najgorsi rekruci, jakich widziałem. Ruszać nogi!

- Nic z tym nie zrobił!

- A teraz żeście robicie coś po raz pierwszy w twój okropny żywot,

młodszy funkcjonariusz Węglarz! Straż to życie dla mężczyzna!

Oddział zniknął za rogiem.

- Co się dzieje? - zdziwiła się Angua.

- Nie mam pojęcia. Dowiedziałym się czegoś, gdyby któryś stanął, żefy się odlać.

Przed budynkiem komendy w Pseudopolis Yard zebrała się spora grupa ludzi. Zdawało się, że i oni są strażnikami. Sierżant Colon stał pod migotliwą latarnią, notował coś i rozmawiał z niskim, wąsatym mężczyzną.

- Pańskie nazwisko?

- Silas! Cumberbatch!

- Czy nie był pan przypadkiem miejskim heroldem?

- Zgadza! Się!

- W porządku. Dajcie mu szylinga. Funkcjonariusz Cuddy! Do waszego oddziału.

- Kto! To! Jest! Funkcjonariusz! Cuddy?!

- Tu, na dole. Mężczyzna spuścił głowę.

- Przecież! Jesteś! Krasnoludem! Nigdy...!

- Stańcie na baczność, kiedy zwracacie się do wyższego stopniem! - ryknął Cuddy.

- W straży nie ma ani krasnoludów, ani trolli, ani ludzi, rozumiecie - wyjaśnił Colon. - Są tylko strażnicy. Tak mówi kapral Marchewa. Oczywiście, jeśli wolicie się przenieść do oddziału funkcjonariusza Detrytusa...

- Lubię! Krasnoludy! - zapewnił pospiesznie Cumberbatch. - Zawsze!

Lubiłem! Chociaż! W straży! Wcale! Ich! Nie! Ma! - dodał niemal natychmiast.

- Szybko się uczycie. Zajdziecie wysoko - uznał Cuddy. - Lada dzień możecie mieć w portkach tyłek marszałka polowego. W tyyył zwrot! Raz, raz, raz...

- To już piąty ochotnik - poinformował Colon Nobby'ego, kiedy Cuddy z nowym rekrutem odbiegli w mrok. - Nawet dziekan z uniwersytetu próbował się zaciągnąć. Niewiarygodne.

Angua zerknęła na Gaspode'a, który w odpowiedzi wzruszył łopatkami.

- Detrytus nieźle ich ustawia - dodał Colon. - Po dziesięciu minutach są jak glina w jego rękach. Co prawda po dziesięciu minutach wszystko jest w tych rękach jak glina. Przypomina mi mojego sierżanta musztry, kiedy pierwszy raz trafiłem do wojska.

- Twardy był? - Nobby zapalił papierosa.

- Twardy? Twardy? Mało powiedziane. Trzynaście tygodni czystych męczarni, tak to było. Codziennie rano bieg na dziesięć mil, połowę z tego po szyję w błocie, a on wydzierał się na nas i przeklinał bez przerwy. Raz kazał mi przez całą noc czyścić latryny szczoteczka do zębów. Tłukł nas takim ostrym kijkiem, żebyśmy szybciej wstawali z łóżek. Czegośmy nie przeszli przez tego człowieka... Nienawidziliśmy go do szpiku kości i pewnie byśmy mu te kości połamali, gdyby starczyło nam odwagi, ale oczywiście nikomu nie starczyło. Przeżyliśmy trzy miesiące piekła. Ale wiesz... po końcowej paradzie... kiedyśmy zobaczyli siebie w nowych mundurach i w ogóle, wreszcie prawdziwi żołnierze... kiedy zrozumieliśmy, czym się staliśmy... Wiesz, zauważyliśmy go w barze i... tobie mogę powiedzieć. - Psy obserwowały, jak Colon ściera z powieki coś podejrzanego podobnego do łyzy. - Ja, Tonker Jackson i Hoggy Spuds zaczekaliśmy na niego na ulicy i spraliśmy, ile wlezie. Trzy dni bolała mnie ręka. - Colon wytarł nos. - Piękne czasy... Masz ochotę na karmelka, Nobby?

- Nie odmówię, Fred.

- Daj jednego pieskowi - powiedział Gaspode.

Colon rzucił mu, po czym zastanowił się, czemu to zrobił.

- Widzisz? - rzucił Gaspode, gryząc cukierka swoimi potwornymi zębami. - Jestem sprytny! Wyfitnie sprytny!

- Lepiej się módl, żeby Wielki Fido się nie dowiedział.

- Nie. On mnie nie ruszy. Trochę się mnie ofawia. Mam Moc. - Gaspode energicznie podrapał się za uchem. - Wiesz, wcale nie musisz tam wracać. Moglifyśmy uciec razem i...

- Nie.

- Oto historia mojego życia. - Pies westchnął. - Tam jest Gaspode. Kopnijmy go.

- Myślałam, że masz szczęśliwą rodzinę, do której możesz wracać. - Angua pchnęła łapą drzwi.

- Co? A tak. Oczywiście. Jasne. Ale lufie niezależność. Mogę wrócić do domu fez proflców, kiedy tylko zechcę.

Angua wbiegła po schodach i otworzyła najbliższe drzwi.

Znalazła się w sypialni Marchewy. Jego zapach złocistoróżowym kolorem wypełniał pokój od podłogi po sufit.

Na ścianie wisiał rysunek krasnoludziej kopalni. Na drugiej był przypięty duży arkusz taniego papieru z wyrysowaną starannie ołówkiem, pokreśloną i poplamioną mapą miasta.

Przy oknie stał niewielki stolik - w miejscu gdzie umieściłaby go osoba odpowiedzialna, która chce jak najlepiej wykorzystać dostępne oświetlenie i nie marnować świec kupowanych z budżetu miasta. Na blacie leżało kilka kartek i ołówki w kubku. Obok stało stare, kulawe krzesło; pod nogę ktoś wsunął poskładany kawałek papieru.

I to - pomijając kufer z odzieżą - było wszystko. Przypominało pokój Vimesa: miejsce gdzie ktoś przychodzi spać, a nie gdzie mieszka.

Angua zastanowiła się, czy istnieją takie chwile, kiedy człowiek ze straży jest naprawdę nie na służbie. Nie potrafiła sobie wyobrazić sierżanta Golona w cywilnym ubraniu. Kiedy się jest strażnikiem, to jest się nim przez cały czas - niezły interes dla miasta, które płaci za bycie strażnikiem tylko przez dziesięć godzin dziennie.

- W porządku - powiedziała. - Wezmę prześcieradło z łóżka. Zamknij oczy.

- Dlaczego? - zdziwił się Gaspode.

- Dla przyzwoitości! Gaspode wciąż nie pojmował.

- Aha, rozumiem - rzekł po chwili. - Tak, rozumiem twój punkt widzenia. To jasne. Ojej, przecież nie można pozwolić, żefym patrzył na nagą kofietę, o nie. Podglądał. Może coś sofie myślał. To niedopuszczalne.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- Nie powiem, że tak. Nie powiem. Ufrania nigdy nie ryły tym czymś w psim jak mu tam. - Poskrobał się za uchem. - Dwie metasyntaktyczne zmienne w jednym zdaniu. Przepraszam.

- Z tobą jest inaczej. Wiesz przecież, czym jestem. Zresztą psy są naturalnie nagie.

- Ludzie też.

Angua przemieniła się.

Gaspode położył uszy po sobie i zaskowyczał mimowolnie.

Angua przeciągnęła się.

- Wiesz, co jest najgorsze? - powiedziała. - Włosy. Ledwie można je potem rozczesać. I stopy mam całkiem upaprane błotem.

Zerwała z łóżka prześcieradło i owinęła się nim jak zaimprovizowaną togą.

- Może być - uznała. - Gorsze rzeczy widuje się codziennie na ulicy. Gaspode...

- Słucham.

- Możesz już otworzyć oczy.

Gaspode zamrugął. Angua w obu wersjach wyglądała dobrze, ale ta sekunda czy dwie pomiędzy nimi, kiedy sygnał morficzny mknął od jednej stacji do drugiej, to widok, którego nikt nie chciałby oglądać z pełnym żołądkiem.

- Myślałem, że tarzasz się po podłodze, stękasz, rośnie ci sierść - wymamrotał.

Korzystając z tego, że wciąż jeszcze widziała w ciemności, Angua przyjrzała się w lustrze swoim włosom.

- A po co?

- Czy to... no, to wszystko... jest folesne?

- To trochę przypomina kichnięcie całym ciałem. Można by sądzić, że będzie tu miał grzebień, prawda? Przecież każdy ma grzebień.

- Takie... porządne... kichnięcie?

- Nawet szczotka do ubrań by wystarczyła. Zamarli, gdy zaskrzypiały drzwi.

Wszedł Marchewa. Nie zauważył ich w mroku i podeszedł do stolika. Błysnęło i zapachniało siarką, gdy zapalił zapalnik, a od niej świecę.

Zdjął hełm i przygarbił się, jakby w końcu pozwolił sobie odczuć brzemię na swoich barkach. Usłyszeli jego głos.

- To się nie zgadza!

- Co się nie zgadza? - spytała Angua. Marchewa odwrócił się błyskawicznie.

- Co ty tu robisz?

- Ukradli ci mundur, kiedy szpiegowałeś w Gildii Skrytofójców - odpowiedział Gaspode.

- Ukradli mi mundur - wyjaśniła Angua - kiedy byłam w Gildii Skrytobójców. Szpiegowałam. - Marchewa wciąż się w nią wpatrywał. - Był tam jakiś staruch, który przez cały czas mamrotał - ciągnęła desperacko.

- Demoniszcza? Tysiącletnia wskazówka i krewetki?

- Tak, zgadza się...

- Paskudny Stary Roń. - Marchewa westchnął. - Pewnie wymienił go na alkohol. Ale wiem, gdzie mieszka. Przypomnij mi, żebym w wolnej chwili zamienił z nim parę słów.

- Nie chcesz jej pytać, co miała na sofie, kiedy fyła w gildii - powiedział Gaspode, który wczołgał się pod łóżko.

- Zamknij się - rzuciła Angua.

- Co? - Marchewa nie zrozumiał.

- Sprawdziłam ten pokój - powiedziała szybko. - Mieszkał tam ktoś, kto się nazywał...

- Edward d'Eath? - Marchewa usiadł na łóżku. Stare sprężyny zgrzytnęły głośno.

- Skąd wiedziałeś?

- Myślę, że Edward d'Eath ukradł rusznic. Myślę, że to on zabił Fasolla. Ale... skrytobójca zabija bez zapłaty? To gorsze niż krasnoludy i ich

narzędzia. Gorsze niż klauni i ich twarze. Podobno Cruces jest bardzo zły. Kazał skrytobójcom szukać chłopaka po całym mieście.

- Hm... cóż, nie chciałabym być na miejscu Edwarda, kiedy go w końcu znajdą.

- Ja nie chciałbym być na jego miejscu teraz. A wiem, gdzie jest to miejsce, rozumiesz. Jest pod jego biednym ciałem. Martwym.

- Czyli skrytobójcy go znaleźli?

- Nie. Ktoś inny. A potem Cuddy i Detrytus. Jeśli mogę to ocenić, leżał tam już od kilku dni. Rozumiesz? To się nie zgadza! Ale starłem szminkę Fasolla i zdjęłem ten czerwony nos. To na pewno był on. Peruka też miała odpowiednie czerwone włosy. Musiał iść prosto do Młotokuja.

- Ale... ktoś strzelał do Detrytusa. I zabił tę żebraczkę.

- Tak.

Angua usiadła obok niego.

- I nie mógł tego zrobić Edward...

- Właśnie.

Marchewa odpiął napierśnik i ściągnął kolczugę.

- Czyli szukamy kogoś innego. Trzeciego człowieka.

- Ale nie mamy żadnych wskazówek! Po prostu gdzieś chodzi człowiek z rusznicem! Gdzieś w mieście! A ja jestem zmęczony.

Sprężyny znowu brzęknęły, gdy Marchewa wstał i chwiejnym krokiem podszedł do stolika. Usiadł, przysunął sobie kartkę, sprawdził ołówek, naostrzył go swoim mieczem i po chwili namysłu zaczął pisać.

Angua obserwowała go w milczeniu. Pod kolczugą nosił skórzaną kamizelę z krótkim rękawem. Na lewym ramieniu miał znamię - w kształcie

korony.

- Zapisujesz wszystko, jak kapitan Vimes? - spytała po chwili.

- Nie.

- No to co robisz?

- Piszę do mamy i taty.

- Poważnie?

- Często piszę do mamy i taty. Obiecałem im. Poza tym to mi pomaga myśleć. Zawsze piszę listy do domu, kiedy się zastanawiam. A tato przysyła mi wiele dobrych rad.

Przed nim stało wypełnione listami drewniane pudełko. Ojciec Marchewy miał zwyczaj odpowiadać synowi na odwrocie jego listów, ponieważ papier był trudno dostępny na dnie krasnoludziej kopalni.

- Jakich dobrych rad?

- Zwykle na temat górnictwa. Przesuwania skał. No wiesz... podpory i stemple. W kopalni nie wolno się mylić. Trzeba wszystko robić prawidłowo.

Ołówek zgrzytał po papierze.

Drzwi wciąż były otwarte, ale ktoś dyskretnie zastukał. Stukanie mówiło - czymś w rodzaju metaforycznego alfabetu Morse'a - że stukający wyraźnie widzi, iż Marchewa przebywa w swoim pokoju ze skąpo ubraną kobietą, wobec tego stukający próbuje stukać tak, by nie być usłyszanym.

Sierżant Colon odchrząknął. W tym odchrząknięciu zabrzmiał drwiący uśmiezek.

- Słucham, sierżancie? - rzucił Marchewa, nie odwracając się nawet.

- Co mam teraz robić, sir?

- Proszę ich wysłać na patrole, sierżancie. Przynajmniej jeden człowiek, jeden krasnolud i jeden troll w każdej grupie.

- Rozumiem, sir. Czym mają się zająć?

- Mają być widoczni, sierżancie.

- Tak jest. I jeszcze coś, sir. Jeden z ochotników przed chwilą... to pan Bleakley. Z ulicy Wiązów, sir. Jest wampirem, to znaczy formalnie, ale pracuje w rzeźni, więc tak naprawdę nie...

- Niech pan mu podziękuje i odeśle do domu, sierżancie. Colon zerknął na Anguę.

- Tak jest, sir. Oczywiście. - Zawahał się. - Ale to żaden kłopot, on tylko potrzebuje dodatkowych homogoblinów w...

- Nie!

- Tak jest. Oczywiście. Ja, tego... powiem mu, żeby sobie poszedł. Colon zamknął za sobą drzwi. Nawet zawias wyszczerzył się drwiąco.

- Mówią do ciebie „sir” - odezwała się Angua. - Zauważyłeś?

- Wiem. Nie powinno tak być. Ludzie powinni myśleć samodzielnie. Tak mówi kapitan Vimes. Ale problem polega na tym, że myślą samodzielnie tylko wtedy, kiedy ktoś im każe. Jak piszesz „możliwość”?

- Wcale.

- Aha. - Marchewa wciąż się nie odwracał. - Chyba utrzymamy jakoś miasto do rana. Wszyscy nabrali rozsądku.

Nie, pomyślała Angua. Oni zobaczyli ciebie. To działa jak hipnoza.

Ludzie przeżywają twoją wizję. Marzysz, jak Wielki Fido, tylko on wymarzył sobie koszmar, a ty marzysz dla wszystkich. Naprawdę wierzysz, że ludzie są w zasadzie przyzwoici. Przez jedną chwilę, póki są blisko ciebie, oni także w to wierzą.

Zza okna dobiegł stuk palców obijających się o bruk - to oddział Detrytusa wykonywał kolejny obchód.

Co tam... wcześniej czy później i tak musi się dowiedzieć.

- Marchewa...

- Hm?

- Wiesz... kiedy Cuddy'ego, trolla i mnie przyjęli do straży, wiesz, czemu to była właśnie nasza trójka?

- Oczywiście. Reprezentacja grup mniejszościowych. Jeden troll, jeden krasnolud, jedna kobieta.

- Aha. - Angua zawahała się.

Na zewnątrz wciąż świecił księżyc. Mogłaby mu powiedzieć, zbiec po schodach, przemienić się i do świtu być już daleko za miastem. Na pewno by się udało. Była specjalistką w uciekaniu z miast.

- Nie całkiem o to chodziło - powiedziała. - Widzisz, w mieście jest sporo nieumarłych i patrycjusz nalegał, żeby...

- Pocałuj ją - odezwał się Gaspode spod łóżka.

Angua zamarła. Na twarzy Marchewy pojawił się ten nieco zdziwiony wyraz człowieka, którego uszy właśnie coś usłyszały, choć mózg został zaprogramowany, by wiedzieć, że to niemożliwe. Zaczerwienił się.

- Gaspode! - warknęła Angua, przechodząc na psi.

- Wiem, co robię. Mężczyzna i kofieta. To Przeznaczenie. Angua wstała. Marchewa także się poderwał - tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Nie... nie odchodź...

- Teraz wyciągnij rękę - zasugerował Gaspode.

Nic z tego nie wyjdzie, mówiła sobie Angua. Nigdy nie wychodzi. Wilkołaki muszą się trzymać z innymi wilkołakami, bo tylko one rozumieją...

Ale...

Z drugiej strony, skoro i tak będzie musiała uciec...

Uniosła rękę.

- Chwileczkę - powiedziała stanowczo i szybko sięgnęła pod łóżko. Chwyciła Gaspode'a za skórę na karku.

- Jestem ci podrzemy! - skomlał, gdy niosła go do drzwi. - Przecież on niczego nie wie! Jego wyofrazenie o dofrej zafawie to pokazywanie ci Kolosa z Morpork! Postaw mnie...

Drzwi trzasnęły. Angua oparła się o nie.

Skończy się tak samo jak w Pseudopolis, w Quirmie i...

- Anguo - odezwał się Marchewa. Odwróciła się.

- Nic nie mów - szepnęła. - Może będzie dobrze.

Po chwili zgrzytnęły sprężyny łóżka.

Wkrótce potem dla kaprała Marchewy Dysk skoczył.

Nie na pocztę.

Kapral Marchewa obudził się o czwartej rano, w tej tajemniczej godzinie, którą znają tylko ludzie nocy, tacy jak przestępcy, policjanci i inni nieudacznicy. Leżał na swojej połówce wąskiego łóżka i patrzył w ścianę.

Stanowczo była to interesująca noc.

Wprawdzie był prostym chłopakiem, ale nie był głupi. Zawsze zdawał sobie sprawę z tego, co można by określić jako mechanikę. Zdążył poznać kilka młodych dam, które zabierał na wiele ekscytujących spacerów, by pokazać fascynujące okazy artystycznego kowalstwa i ciekawe budynki publiczne, dopóki z niewyjaśnionych powodów panny nie traciły zainteresowania. Często patrolował Domy Ladacznic, choć pani Palm i Gildia Szwaczek próbowały namówić patrycjusza, by zmienił nazwę tego miejsca na ulicę Negocjowalnego Afektu. Nigdy jednak nie dostrzegał ich w relacji z własną osobą. Nie był pewien, jak się do tego wszystkiego - jeśli można tak to określić - wpasować.

Była to jedna z rzeczy, o jakich nie zamierzał pisać w listach do rodziców. I tak pewnie już wiedzieli.

Ostrożnie wstał z łóżka. W pokoju, przy zaciągniętych zasłonach, było duszno.

Za sobą usłyszał, jak Angua przewraca się i zsuwa w zagłębienie pozostawione przez jego ciało.

Energicznie szarpnął zasłony, wpuszczając do wnętrza światło pełni księżyca.

Angua westchnęła przez sen.

Na równinach szalała ulewa. Marchewa widział błyskawice przecinające niebo na horyzoncie, wyczuwał zapach deszczu. Jednak powietrze w mieście było nieruchome i gorące, tym bardziej duszne z powodu dalekiej perspektywy burzy.

Wprost przed nim wyrastała uniwersytecka Wieża Sztuk. Widywał ją codziennie. Dominowała nad miastem.

Za nim brzęknęły sprężyny.

- Chyba zanosi się na... - zaczął i odwrócił się.

Wskutek czego nie zauważył błysku księżyca na metalu na szczycie wieży.

Sierżant Colon siedział na ławeczce. Wolał nie wracać do dusznego budynku komendy.

Z wnętrza dobiegały głośnie stuki i brzęki. Cuddy wrócił dziesięć minut temu z workiem narzędzi, paroma hełmami i bardzo stanowczą miną. Colon nie miał pojęcia, nad czym ten mały drań pracuje.

Przeliczył jeszcze raz, bardzo powoli zaznaczając nazwiska na kartce.

Nie ma wątpliwości. Nocna straż miała w tej chwili prawie dwudziestu funkcjonariuszy. Może i więcej. Detrytus dostał szau i zaprzysiął jeszcze dwóch ludzi, kolejnego trolla i drewniany manekin sprzed sklepu „Szpanerskie ciuchy - Corksock i S-ka”* [przyp.: Stał się też - długo po zakończeniu opisanych tu wydarzeń - źródłem ludowej ankh-morporskiej piosenki, napisanej na piszczalkę i przewody nosowe: „Kiedy szedłem w dół przez Dolny Broad-Way, w głowie piwo mi tak szumiało, że hej,/Zobaczyłem, jak zza rogu wnet łapaczy rząd wylania się./Nim kto pojął, co to za raban nowy, chwyтали go za kostki i mówili, żeby wstąpił na ochotnika do straży, jeśli nie chcą mieć wkopanej do środka swojej goohuloog głowy./A że pusta była moja kiesa, poszedłem przez Zapiekanki Brzoskwiniowej i Holofernesa,/Śpiewając: Trali-lali-la” itd. Jakoś nie zyskała popularności.]. Jeśli tak dalej pójdzie, można będzie znów otworzyć komisariaty przy bramach miejskich, jak za dawnych czasów.

Nie pamiętał, kiedy straż liczyła sobie dwudziestu ludzi.

Pomysł wydawał się dobry. Z pewnością uspokoił sytuację. Ale rano patrycjusz dowie się o wszystkim i wezwie oficera dowodzącego.

Sierżant Colon nie był całkiem pewien, kto właściwie jest w tej chwili oficerem dowodzącym. Miał wrażenie, że powinien to być albo kapitan

Vimes, albo - choć nie potrafiłby określić dlaczego - kapral Marchewa. Ale kapitana tu nie ma, a kapral Marchewa jest tylko kapralem. Freda Golona dręczyło więc straszne przeczucie, że kiedy Vetinari wezwie kogoś, by być wobec niego ironicznym, by mówić na przykład: „A kto będzie im płacił, jeśli wolno spytać?”, tym kimś okaże się właśnie on, Fred Colon - rzucony na głęboką Ankh bez wiosła.

Poza tym zaczynało brakować stopni. Istniały tylko cztery do rangi sierżanta włącznie, a Nobby się irytował na samą sugestię, że kogoś jeszcze mianują kapralem. W efekcie na niższych poziomach robiło się ciasno. W dodatku niektórzy strażnicy wbili sobie do głów, że aby dostać awans, należy wciągnąć do straży pół tuzina nowych rekrutów. Przy obecnym tempie przed końcem miesiąca Detrytus będzie najwyższym głównodowodzącym generalissimusem majorem.

A co najdziwniejsze, Marchewa ciągle jest tylko...

Colon uniósł głowę, gdy usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Coś złocistego i rozmazanego wyskoczyło z okna na piętrze, wylądowało w mroku i uciekło, zanim zdążył rozpoznać, co to takiego.

Drzwi budynku otworzyły się gwałtownie i wypadł Marchewa z mieczem w ręku.

- Gdzie to pobiegło? Gdzie?

- Nie wiem. Co to było, u demona? Marchewa zatrzymał się.

- Ee... nie jestem pewien.

- Marchewa...

- Tak, sierżancie?

- Na twoim miejscu, chłopcze, włożyłbym coś na siebie. Marchewa wciąż wpatrywał się w mrok.

- Odwróciłem się i to tam było, a potem... - Spojrzał na miecz w dłoni, jakby dotąd nie zdawał sobie sprawy, że go trzyma. - Do licha!

Biegiem wrócił do siebie i chwycił spodnie. Wciągał je właśnie, gdy uświadomił sobie, że do mózgu wpada mu myśl, ostra jak lód.

Dureń jesteś i tyle, wiesz? Złapałeś za miecz odruchowo, tak? Wszystko zepsułeś. Teraz uciekła i już nigdy jej nie zobaczysz.

Obejrzał się. Mały szary kundel stał w drzwiach i patrzył na niego uważnie.

Po takim szoku może już nigdy się nie przemienić, mówiły myśli. Kogo obchodzi, czy jest wilkołakiem? Nie przeszkadzało ci to, dopóki się nie dowiedziałeś. A przy okazji rzuć herbatnika temu pieskowi w drzwiach. Chociaż, jeśli się zastanowić, szansę, że w tej chwili masz przy sobie herbatnika, są właściwie zerowe, więc możesz zapomnieć, że o tym pomyślałeś. Niech to lichy, naprawdę spaprąłeś sprawę, co? ...pomyślał Marchewa.

- Hau, hau - powiedział pies. Marchewa zmarszczył czoło.

- To ty, prawda? - zapytał, wskazując psa mieczem.

- Ja? Psy nie mówią - zapewnił szybko Gaspode. - Wiem o tym dofrze, fo sam jestem psem.

- Powiesz mi, gdzie uciekła. Ale już! Bo...

- Fo co? Słuchaj no - odparł ponuro Gaspode. - Pierwsze, co w życiu pamiętam, to że wrzucili mnie w worku do rzeki. Z cegłą. Mnie. Owszem, nogi mi się trzęsły i miałem zafawnie wywinięte ucho. Puszysty tyłem. Owszem, to przecież była Ankh, więc jasne, udało mi się dojść do frzegu. Ale to dopiero początek, potem wcale nie zrofiło się lepiej. Znaczy, doszedłem do frzegu ciągle w worku i przywlokłem za sofą tę cegłę. Trzy dni zajęło mi wygryzienie się na swofodę. No, dalej! Możesz mi grozić.

- Proszę - rzekł Marchewa. Gaspode podrapał się w ucho.

- Może dam radę ją wytropić. - Przy odpowiedniej, rozumie się, zachęcie. - Znacząco poruszył brwiami.

- Jeśli ją znajdziesz, dostaniesz, co tylko zechcesz - obiecał Marchewa.

- No tak. Jeśli. Zgadza się. Jasne. Doskonale jest takie „jeśli”. A może tak coś z góry? Popatrz tylko na te łapy: całkiem schodzone. A nos też nie wacha sam z siebie. Taki instrument wymaga precyzyjnego dostrojenia.

- Jeśli nie zaczniesz szukać w tej chwili, osobiście... - Marchewa zawahał się. Nigdy w życiu nie był okrutny dla zwierząt. - Przekażę sprawę kapralowi Nobbsowi - zagroził.

- To właśnie lufie - burknął Gaspode. - Zachęta. Przycisnął plamisty nos do ziemi - tylko na pokaz, bo zapach

Angui wisiał w powietrzu jak tęcza.

- Naprawdę umiesz mówić? - zapytał Marchewa. Gaspode przewrócił oczami.

- Ależ skąd - zapewnił.

Postać dotarła na szczyt wieży.

Wszędzie paliły się lampy i świece. Miasto rozciągało się poniżej. Dziesięć tysięcy przykutych do ziemi gwiazdek... a on mógł zgasić każdą, którą by zechciał. To było jak boskość.

Zadziwiające, jak wyraźnie dobiegały tu wszelkie dźwięki. To było jak boskość. Słyszał wycie psów, głosy ludzi... Od czasu do czasu któryś rozbrzmiewał wyraźniej od innych i wznosił się w nocne niebo.

To jest władza. Władza, którą miał w dole, władza, by mówić: zrób to, zrób tamto, była czymś ludzkim, ale to... to było jak boskość.

Ułożył rusznic na pozycji, wsunął magazynek i wymierzył w

przypadkowe światełko. A potem następne. I następne.

Naprawdę nie powinien mu pozwolić, żeby zabił tę żebraczkę. Nie taki był plan. Szefowie gildii - tak wymyślił biedny Edward. Pozostawić miasto bez przywództwa, pogrążone w chaosie, a potem stanąć przed tym jego żalosnym kandydatem i powiedzieć: Weź władzę i rządz, to twoje przeznaczenie.

Takie myślenie to bardzo dawna choroba. Można się nią zarazić od koron i głupich opowieści. Człowiek zaczynał wierzyć... ha... wierzyć, że jakaś sztuczka, jakieś wyciągnięcie miecza z kamienia stanowi kwalifikację do królewskiego urzędu. Miecz z kamienia? Rusznik jest bardziej magiczny.

Leżał więc, gładził rusznik i czekał.

Nastał dzień.

- Niczego żem nie ruszał - oświadczył Węglarz i przewrócił się na drugi bok na swojej płycie. Detrytus przyłożył mu w głowę maczugą. - Pobudka, żołnierze! Wstawać, kamienne buce, i wiązać onuce! Nadszedł wasz kolejny wspaniały dzień w straży! Młodszy funkcjonariusz Węglarz, wstawać natychmiast, ty okropny maluchu!

Dwadzieścia minut później sierżant Colon spoglądał zaczerwienionymi oczami na swoich ludzi. Kulili się na ławach - z wyjątkiem funkcjonariusza Detrytusa, który siedział sztywno wyprostowany, pełen urzędowej chęci pomocy.

- Strażnicy! - zaczął Colon. - Jak pewnie wiecie...

- Hej tam! Słuchać uważnie! - huknął Detrytus.

- Dziękuję, funkcjonariuszu Detrytus - rzucił ze znużeniem Colon. - Dzisiaj jest ślub kapitana Vimesa. My będziemy jego gwardią honorową. Zawsze to robiliśmy za dawnych czasów, kiedy żenił się strażnik. Dlatego

hełmy i pancerze mają być wypucowane i błyszczące. A kohorty lśniące. Ani drobinki kurzu... Gdzie kapral Nobbs?

Brzęknęło, kiedy dłoń funkcjonariusza Detrytusa uderzyła o jego nowy hełm.

- Nie widziano go od kilku godzin, sir! - zameldował.

Colon wzniósł oczy.

- Niektórzy z was... Gdzie jest młodsza funkcjonariusz Angua?

Brzdęk!

- Nikt jej nie widział od nocy, sir!

- Dobrze. Przetrwaliśmy jakoś noc, przetrwamy i dzień. Kapral Marchewa mówi, że macie wyglądać idealnie.

Brzdęk!

- Tak jest!

- Funkcjonariusz Detrytus.

- Tak, sir?

- Co macie na głowie? Brzdęk!

- Funkcjonariusz Cuddy go dla mnie zrobił, sir. Specjalny nakręcany hełm do myślenia.

Cuddy odchrząknął, a Detrytus tłumaczył dalej:

- Te duże kawałki to panele chłodzące, widzi pan, sierżancie? Pomalowane na czarno. Podprowadziłem mechanizm zegarowy od mojego kuzyna, więc ten wiatrak nawiewa powietrze na... - Przerwał, widząc minę Golona.

- Przy tym pracowałeś całą noc?

- Tak, bo sądzę, że mózgi trolli są... Sierżant machnął ręką.

- Czyli mamy nakręcanego żołnierza, tak? - powiedział. - Jesteśmy rzeczywiście modelową armią, nie ma co.

Gaspode był geograficznie zakłopotany. Wiedział, gdzie się znalazł - mniej więcej. Gdzieś za Mrokami, w płataninie basenów portowych i obór z bydłem. I chociaż uważał, że całe miasto do niego należy, to jednak trafił na obce terytorium. Żyły tu szczury niemal tak duże jak on, a on miał kształt mniej więcej terriera; na szczęście miejskie szczury były dostatecznie inteligentne, by to uznawać. Dwa razy kopnął go koń, a raz o mało co nie przejechał powóz. W dodatku Gaspode zgubił trop. Angua kręciła się tam i z powrotem, czasem wykorzystywała dachy, kilka razy przekroczyła rzekę. Wilkołaki miały instynktowną zdolność unikania pościgu; w końcu te, które przetrwały, były potomkami tych, które potrafiły przechytrzyć gniewny tłum. Te, które tłumowi przechytrzyć nie potrafiły, nie miały potomków ani nawet grobów.

Czasami trop urywał się przy murze albo niskiej szopie, a Gaspode krążył dookoła, aż znów na niego trafił.

Przypadkowe myśli falowały w jego schizofrenicznie psim mózgu.

- Genialny pies ratuje sytuację - mruczał. - Wszyscy mówią: dofry piesek. Nie, wcale nie mówią. Rofię to tylko dlatego, że mi groził. Cudowny Nos. Wcale nie mam na to ochoty. Dostaniesz pyszną kość. Jestem tylko śmieciem na powierzchni morza życia. Kto jest grzecznym pieskiem? Zamknij się.

Willikins rozsunął story. Do pokoju wlało się światło słońca. Vimes jęknął i usiadł na tym, co pozostało z jego łóżka. - Wielkie nieba, chłopie - wymamrotał. - Która to godzina, że tak się tu kręcisz?

- Już prawie dziewiąta rano, jaśnie panie.

- Dziewiąta? Rano? Czy to jest pora na wstawanie? Normalnie nigdy nie wstaję, dopóki połysk nie zetrze się już z popołudnia.

- Ale jaśnie pan nie jest już w pracy.

Vimes spojrzał na skłębioną pościel. Prześcieradło i koc miał zwinięte wokół kostek i splątane. A potem przypomniał sobie sen.

Chodził po mieście.

Właściwie to raczej wspomnienie niż sen. W końcu chodził po mieście każdej nocy. Jakaś jego część nie chciała zrezygnować. Niektóre fragmenty Vimesa uczyły się cywilnego życia, ale dawne elementy maszerowały... nie, przechadzały się w innym rytmie.

Wydawało mu się, że miasto jest opuszczone i chodzi się po nim trudniej niż zwykle.

- Czy jaśnie pan życzy sobie, żebym go ogolił, czy może jaśnie pan sam się tym zajmie?

- Denerwuję się, kiedy inni ludzie przykładają mi ostrza do twarzy - odparł Vimes. - Ale jeśli zapręgniesz do powozu, spróbuję jakoś dojechać na drugi koniec łazienki.

- Bardzo zabawne, jaśnie panie.

Vimes jeszcze raz wziął kąpiel, wciąż mającą dla niego urok nowości. Przez cały czas słyszał stłumiony szum - rezydencja przygotowywała się do godziny W. Lady Sybil poświęcała ceremonii ślubu i przyjęciu weselnemu całą uwagę, jaką zwykle kierowała - przykładowo - na usunięcie tendencji do obwisłych uszu u smoków bagiennych. Kilku kucharzy od trzech dni nie schodziło ze stanowisk. Piekli całego wołu i robili zadziwiające rzeczy z

owocami egzotycznymi. Do tej pory Sam Vimes wyobrażał sobie wykwintny posiłek jako wątróbkę bez żadnych rurek w środku. „Haute cuisine” okazało się kawałkami sera na patyczkach wbitych w połówkę grapefruita.

Niejasno sobie przypominał, że przyszły pan młody nie powinien rankiem w dzień ślubu oglądać planowanej oblubienicy. Pewnie na wypadek gdyby na jej widok próbował wziąć nogi za pas. To niedobrze. Chętnie by z kimś porozmawiał. Gdyby mógł pogadać, może wszystko jakoś nabrałoby sensu.

Sięgnął po brzytwę i spojrzał w lustro, na twarz kapitana Samuela Vimesa.

Colon zasalutował, po czym przyjrzał się Marchewie. - Dobrze się pan czuje, sir? Chyba przydałoby się panu parę godzin snu.

Dziesiąta - czy też różne próby jej określenia - zaczynały właśnie rozbrzmiewać w całym mieście. Marchewa odwrócił się od okna.

- Byłem na poszukiwaniach - wyjaśnił.

- Trzech nowych rekrutów zgłosiło się z samego rana - poinformował sierżant.

Powiedzieli, że chcą wstąpić do „armii pana Marchewy”. Trochę go to zaniepokoiło.

- Dobrze.

- Detrytus zajął się ich szkoleniem bardzo podstawowym. Skutecznie. Po godzinie słuchania jego krzyków robią wszystko, co im powiem.

- Wszystkich wolnych ludzi proszę rozstawić na dachach między pałacem a uniwersytetem - polecił Marchewa.

- Są tam już skrytobójcy - zauważył Colon. - A Gildia Złodziei też posłała swoich na dachy.

- To są złodzieje i skrytobójcy. Nas tam jeszcze nie ma. I proszę posłać kogoś na szczyt Wieży Sztuk.

- Sir...

- Tak, sierżancie?

- Gadaliśmy trochę... ja z chłopakami. No i, tego...

- Słucham.

- Zaoszczędzilibyśmy sobie kłopotów, gdybyśmy poszli do magów i poprosili...

- Kapitan Vimes nigdy nie ufał magii.

- Nie, ale...

- Żadnej magii, sierżancie.

- Tak jest.

- Gwardia honorowa przygotowana?

- Tak jest. Ich kohorty lśnią purpurą i złotem.

- Naprawdę?

- Bardzo ważne są takie solidne, czyste kohorty, sir. Przerazają wrogów na śmierć.

- Dobrze.

- Ale nie mogę znaleźć kaprała Nobbsa, sir.

- Czy to jakiś problem?

- No, to znaczy, że gwardia honorowa będzie bardziej elegancka, sir.

- Wysłałem go z misją specjalną.

- Ee... I nie ma młodszej funkcjonariusz Angui, sir.

- Sierzancie...

Colon przygotował się. Na zewnątrz kolejno milkły dzwony.

- Czy wiedzieliście, że ona jest wilkołakiem?

- Tego... kapitan Vimes tak jakby sugerował, sir...

- Jak sugerował? Colon cofnął się o krok.

- Tak jakby powiedział: „Fred, ona jest pieprzonym wilkołakiem. Nie podoba mi się to, tak samo jak tobie, ale Vetinari się uparł, że musimy przyjąć też kogoś od nich, a lepszy wilkołak niż wampir albo zombi, więc bez dyskusji”. Tak właśnie sugerował.

- Rozumiem.

- Ehm... Przykro mi z tego powodu, sir.

- Po prostu przeżyjmy jakoś ten dzień, Fred. To wszystko...

...ading, ading, a-ding-dong...

- W końcu nie wręczyliśmy kapitanowi zegarka. - Marchewa wyjął go z kieszeni. - Na pewno pomyślał, że nam nie zależy. Prawdopodobnie czekał na taki zegarek. Wiem, że to tradycja...

- Ostatnie dni były bardzo ciężkie, sir. Zresztą możemy mu go wręczyć po ślubie.

Marchewa wsunął zegarek do aksamitnej sakiewki.

- Chyba tak. No, bierzmy się do roboty, sierzancie.

Kapral Nobbs maszerował ciężko przez mrok pod miastem. Oczy już przyzwyczały mu się do ciemności. Marzył o papierosie, ale Marchewa ostrzegał go przed tym. Weź tylko worek, powiedział, idź za śladami, przynieś z powrotem zwłoki. I nie kradnij biżuterii.

Ludzie powoli wypełniali Główny Hol Niewidocznego Uniwersytetu.

Vimes był bardzo stanowczy w tej kwestii - jedynej, przy której się upierał. Nie był właściwie ateistą, ponieważ ateizm stanowił cechę zmniejszającą szansę przetrwania w świecie, gdzie jest kilka tysięcy bóstw. Po prostu żadnego z nich specjalnie nie lubił i nie rozumiał, co ich właściwie obchodzi jego ślub. Odrzucił wszystkie świątynie i kościoły, ale Główny Hol wyglądał dostatecznie kościelnie - powszechnie uważa się, że to niezbędne przy tego rodzaju ceremoniach. Nie zależało mu szczególnie na obecności dowolnych bogów, gdyby jednak któryś postanowił zajrzeć, powinien czuć się jak w domu.

Sam Vimes zjawił się na miejscu wcześniej, ponieważ nie ma nic bardziej nieużytecznego niż pan młody tuż przed ślubem. Wymienne Emmy opanowały cały dom.

Na miejscu było już kilku portierów, gotowych pytać gości, po czyjej są stronie. Kręciła się też grupka starszych magów. Byli obowiązkowymi gośćmi na ślubach w wyższych sferach, a także na późniejszym przyjęciu weselnym. Jeden pieczony wół prawdopodobnie nie wystarczy.

Mimo głębokiej nieufności wobec magii Vimes właściwie dosyć lubił samych magów. Nie sprawiali kłopotów. Przynajmniej jemu nie sprawiali. Owszem, czasami przebijali continuum czasoprzestrzenne albo doprowadzali łódkę rzeczywistości zbyt blisko spienionych wód chaosu, jednak nigdy nie

łamali prawa.

- Dzień dobry, nadrektorze - powiedział.

Nadrektor Mustrum Ridcully, najwyższy przewodniczący wszystkich magów w Ankh-Morpork - jeśli tylko chcieli się tym przejmować - skinął mu uprzejmie.

- Dzień dobry, kapitanie. Muszę przyznać, że trafił się panu piękny dzień.

- Cha, cha! Trafił dzień - zaśmiał się kwestor.

- Ojej - zmartwił się Ridcully. - Znowu go wzięło. Nie rozumiem. Czy ktoś ma pigułki z suszonej żaby?

Dla Mustruma Ridcully'ego, człowieka stworzonego przez naturę do życia na świeżym powietrzu i radosnego mordowania wszystkiego, co porusza się w gąszczu, było absolutnie niepojęte, dlaczego kwestor (człowiek stworzony przez naturę do siedzenia w ciasnym pokoiku i dodawania kolumn liczb) jest taki nerwowy. Próbował wszelkich sposobów, żeby jakoś wzmocnić jego ducha. Wśród nich były rozmaite kawały, niespodziewane poranne przebieżki czy wyskakiwanie zza drzwi w masce Williego Wampira, aby -jak tłumaczył - trochę wyprowadzić kwestora z siebie.

Samą ceremonię miał odprawić dziekan, który starannie ją wymyślił. W Ankh-Morpork nie istniała oficjalna formuła ślubu cywilnego, jeśli nie liczyć czegoś zbliżonego do „No dobrze, skoro naprawdę musicie”. Pomachał entuzjastycznie do Vimesa.

- Specjalnie na tę okazję wyczyściliśmy organy - pochwalił się.

- Cha, cha, cha, organy - wtrącił kwestor.

- Bardzo potężne jak na organy... - Ridcully przerwał i gestem przywołał kilku studentów. - Odprowadźcie kwestora i spróbujcie go na chwilę położyć, dobrze? - poprosił. - Podejrzewam, że znowu ktoś nakarmił go mięsem.

Po drugiej stronie holu rozległo się syczenie, a potem stłumiony jęk. Vimes spojrzał na monstrualny zestaw piszczałek.

- Ośmiu studentów pompuje miechy - poinformował Ridcully przy akompaniamencie zgrzytów i pisków. - Instrument ma trzy klawiatury i setkę dodatkowych pokręteł, w tym dwanaście oznaczonych „?”.

- Wydaje się niemożliwe, żeby człowiek zdołał na nich zagrać - zauważył uprzejmie Vimes.

- Och, sprzyjało nam szczęście...

Nagle rozległ się dźwięk tak głośny, że nerwy słuchowe same się rozłączyły. Kiedy zadziały znowu, gdzieś w okolicach progu bólu, słuchacze z pewnym wysiłkiem zdołali rozpoznać początkowe, bardzo silnie zniekształcone akordy „Marsza weselnego” Fondela. Entuzjastycznym wykonawcą był najwyraźniej ktoś, kto właśnie odkrył, że instrument ma nie tylko trzy klawiatury, ale cały zestaw specjalnych efektów akustycznych, od Wzdęcia do Zabawnego Pisku Kurczaka. Wśród dźwiękowej eksplozji dały się czasem słyszeć radosne „uuk”.

Leżąc pod stołem, Vimes wrzasnął do Ridcully’ego:

- Zadziwiające! Kto je zbudował?

- Nie wiem! Ale na klapie ma wypisane „B.S. Johnson”! Zabrzmiało cichnące wycie, ostatni efekt Katarynki, a potem cisza.

- Chłopcy dwadzieścia minut pompowali rezerwuary - stwierdził Ridcully, wstał i otrzepał się z kurzu. - Ostrożnie z przejściem Vox Dei, dobrze?

- Uuk!

Nadrektor zwrócił się znowu do Vimesa, który miał na twarzy standardowy przedmałżeński grymas. Hol wypełniał się już gośćmi.

- Nie jestem specjalistą od takich imprez, ale ma pan obrączkę? - zapytał.

- Tak.

- Kto prowadzi pannę młodą?

- Jej wuj, Lofthouse. Jest trochę zwariowany, ale uparła Się.

- A pierwszy drużba?

- Co?

- Pierwszy drużba. Nie wie pan? To on podaje panu obrączki i musi się ożenić z panną młodą, gdyby pan uciekł. Dziekan to wyczytał. Prawda, dziekanie?

- Tak jest - potwierdził dziekan, który cały wczorajszy dzień spędził nad „Księgą etykiety” lady Deirdre Waggon. - Kiedy już się pojawi, musi za kogoś wyjść. Nie można pozwolić, żeby niezamężne panny młode biegały po okolicy, stanowiąc zagrożenie dla społeczeństwa.

- Całkiem zapomniałem o drużbie - zmartwił się Vimes. Bibliotekarz, który porzucił organy, dopóki nie nabiorą trochę tchu, rozpromienił się wyraźnie.

- Uuk?

- Niech pan kogoś znajdzie - poradził Ridcully. - Zostało jeszcze prawie pół godziny.

- To nie takie łatwe. Drużbowie nie rosną przecież na drzewach.

- Uuk?

- Nie mam pojęcia, kogo by poprosić.

- Uuk!

Bibliotekarz lubił być pierwszym drużbą. Miał wtedy prawo całować druhny, a one nie mogły uciekać. Był szczerze rozczarowany, kiedy Vimes

zignorował jego propozycję.

Funkcjonariusz Cuddy wspinał się z wysiłkiem po stopniach Wieży Sztuk, mruczając niechętnie pod nosem. Wiedział, że nie powinien narzekać. Ciągnęli losy, ponieważ - tak mówił Marchewa - nie należy zlecać ludziom czegoś, czego człowiek sam by nie zrobił. I Cuddy wyciągnął najkrótszą słomkę, cha, cha, cha, co oznaczało najwyższy budynek. A z tego wynika, że jeśli wybuchnie jakaś awantura, on ją straci.

Nie zwracał uwagi na cienką linkę zwisającą z klapy w sklepieniu, wysoko w górze. Nawet gdyby ją zauważył... co z tego? Przecież to tylko linka.

Gaspode zajrzał w mrok.

W ciemności rozległo się warczenie. I to nie zwyczajne psie warczenie. Ludzie pierwotni słyszeli takie odgłosy w głębokich jaskiniach.

Gaspode usiadł. Niepewnie zamerdał ogonem.

- Wiedziałem, że cię znajdę, wcześniej czy później - oświadczył. - Ten stary nos, co? Najdoskonalsza aparatura znana psom.

Znowu warknięcie. Gaspode zaskomlał cicho.

- Chodzi o to... chodzi o to... rozumiesz, chodzi o coś takiego... To, po co mnie tu przysłano...

Tak, wymarły człowiek słyszał takie dźwięki. Tuż przed tym, nim stał się wymarły.

- Widzę, że... nie masz teraz ochoty na rozmowę - mówił Gaspode. - Ale chodzi o to... wiem, co sobie myślisz: Gaspode słucha rozkazów człowieka?

Obejrzał się konspiracyjnie, jakby za nim mogło się znaleźć coś gorszego niż przed nim.

- Na tym właśnie polega cały ten fałagan z ludźmi, rozumiesz. To, czego Wielki Fido nie potrafi ofejsć. Widziałaś psy w gildii, prawda? Słyszałaś ich wycie. O tak. Śmierć ludziom! Jasna sprawa. Ale pod tym wszystkim kryje się strach. Kryje się głos mówiący: „Niegrzeczny pies”. I nie dobiega znikąd, tylko ze środka, z samych kości, ponieważ ludzie stworzyli psy. Ja to wiem. Wolałbym nie wiedzieć, ale tak już jest. To jest Moc: wiedzieć. Czytałem książki, poważnie. No, może raczej gryzłem książki.

Ciemność milczała.

- A ty jesteś wilkiem i człowiekiem jednocześnie, prawda? Niezła sztuczka, jak rozumiem. Solidna dychotomia, mniej więcej. To czyni z ciebie coś w rodzaju psa. Fo psy tym właśnie są: na wpół wilkiem, na wpół człowiekiem. Mamy nawet imiona. Ha! W efekcie nasze ciała mówią nam jedno, a mózgi co innego. To pieskie życie ryć psem. I założę się, że nie zdołasz przed nim uciec. Naprawdę. On jest twoim panem.

Ciemność milczała jeszcze intensywniej. Gaspode'owi zdawało się, że słyszy jakieś poruszenia.

- On chce, żefyś wróciła. Kłopot w tym, że jeśli cię znajdzie, to koniec. Przemówi, a ty fędziesz posłuszna. Ale jeśli wrócisz z własnej woli, to fędzie twoja decyzja. Fędziesz szczęśliwsza jako człowiek. Znaczy, co ja mogę ci zaproponować oprócz szczurów i pcheł do wyforu? Widzisz, naprawdę nie rozumiem, na czym polega twój proflm. Musisz tylko nie wychodzić z domu przez sześć czy siedem nocy w miesiącu...

Angua zawyła.

Włosy, które pozostały jeszcze Gaspode'owi na grzbiecie, teraz się zjeżyły. Usiłował sobie przypomnieć, co to właściwie jest aorta.

- Nie chciałem wchodzić tam, żeby cię wyciągnąć. - Szczerość dźwięczała w każdym słowie. - Ale chodzi o to... chodzi o coś takiego... że fęde musiał. Paskudnie jest ryć psem - dodał, drżąc cały.

Pomyślał przez chwilę i westchnął.

- Przypomniałem sobie - oznajmił. - To taka żyła.

Vimes wyszedł na słońce, tyle że nie było go zbyt wiele. Chmury nadciągały znad Osi. I...

- Detrytus!

Brzdęk!

- Tak jest, kapitanie!

- Kim są ci wszyscy ludzie?

- To strażnicy, sir.

Vimes przyjrzał się zdumiony zróżnicowanej grupie strażników.

- Kim jesteś?

- Młodszy funkcjonariusz Hrolf Pizama, panie kapitanie.

- A ty... Węglarz?

- Nic żem nie zrobił.

- Nic żem nie zrobił, panie kapitanie! - wrzasnął na niego Detrytus.

- Węglarz? W straży? Brzdęk!

- Kapral Marchewa twierdzi, że w każdym gdzieś głęboko ukryte jest dobro - oświadczył Detrytus.

- A twoja funkcja, Detrytus?

Brzdęk!

- Inżynier kierujący głębokościowymi operacjami wydobywczymi, sir!

Vimes podrapał się po głowie.

- To był niemal żart, prawda? - upewnił się.

- To przez ten nowy hełm, który zrobił dla mnie mój kumpel Cuddy, sir. Ha! Ludzie nie powiedzą już: tam idzie głupi troll. Powiedzą: kim jest ten przystojny wojskowy troll, ho, ho, jest już pełnym funkcjonariuszem, ma za sobą wielką przeszłość, ma Przeznaczenie wypisane na sobie jak litery!

Vimes przetrwał to z wolna. Detrytus uśmiechał się promiennie.

- A gdzie jest sierżant Colon?

- Tutaj, kapitanie.

- Potrzebny mi pierwszy drużba, Fred.

- Tak jest, sir. Sprowadzę kaprała Marchewę. W tej chwili sprawdza ludzi na dachach...

- Fred, znamy się już ponad dwadzieścia lat! Na miłość bogów, musisz tylko stać obok! Fred, jesteś w tym świetny!

Truchtem nadbiegi Marchewa.

- Przepraszam za spóźnienie, kapitanie. Tego... chcieliśmy, żeby to była niespodzianka...

- Co? Jaka niespodzianka? Marchewa sięgnął do kieszeni.

- No więc, kapitanie... w imieniu straży... to znaczy większej części straży...

- Zaczekaj chwilę - przerwał mu Colon. - Nadjeżdża jego wysokość.

Stukanie kopyt i brzęk uprzęży sygnalizowały zbliżanie się bryczki patrycjusza.

Marchewa obejrzał się na pojazd. Potem spojrzał jeszcze raz. A potem popatrzył w górę.

Na szczycie Wieży Sztuk zauważył błysk metalu.

- Sierzancie, kto jest na wieży? - zapytał.

- Cuddy, sir.

- Aha. To dobrze. - Odchrząknął. - W każdym razie, kapitanie... złożyliśmy się wszyscy i... - Przerwał. - Funkcjonariusz Cuddy, tak?

- Tak. Pewny człowiek.

Bryczka patrycjusza była już w połowie drogi do placu Sator. Marchewa widział chudą, czarną postać na tylnym siedzeniu. Spojrzał na wielką szarą bryłę wieży. I rzucił się biegiem.

- Co jest? - zdziwił się Colon. Vimes też zaczął biec.

Kostki palców Detrytusa stuknęły o ziemię, kiedy ruszył za tamtymi dwoma.

I wtedy Colon zrozumiał - poczuł coś w rodzaju gorączkowego mrowienia, jak gdyby ktoś dmuchnął na jego odkryty mózg.

- A niech to! - mruknął pod nosem.

Pazury drapnęły o ziemię.

- Wyciągnął miecz!

- A czego się spodziewałaś? W jednej chwili jest panem stworzenia, zyskał w życiu całkiem nowe zainteresowania, prawdopodobnie nawet lepsze niż spacer, a potem odwraca się i widzi coś, co jest zasadniczo wilkiem. Mogłaś rzucić mu jakąś aluzję: to te trudne dni w miesiącu, czy coś w tym rodzaju. Nie możesz mieć pretensji, że był zaskoczony.

Gaspode wstał.

- No to jak? Wyjdiesz stamtąd, czy mam po ciebie wejść i zostać frutalnie okaleczony?

Vetinari wstał, kiedy zobaczył biegnących ku niemu strażników. Tylko dzięki temu pierwszy strzał przebił jego udo, a nie pierś.

Potem Marchewa przeskoczył drzwiczki powozu i rzucił się na patrycjusza, dzięki czemu następny strzał przebił Marchewę.

Angua wysunęła się powoli.

Gaspode odetchnął z ulgą.

- Nie mogę wrócić - powiedziała. - Ja...

Zamarła nagle. Zastrzygła uszami.

- Co? Co?

- Jest ranny!

Skoczyła naprzód.

- Zaraz! Zaczekaj na mnie! - szczechnął Gaspode. - Tamtędy dobiegniesz na Mroki!

Trzeci strzał wybił odłamek Detrytusa, który wpadł na bryczkę, przewrócił ją na bok i zerwał naszelniki. Woźnica zdążył już błyskawicznie porównać obecne warunki pracy z wysokością pensji i zniknął w tłumie.

Vimes dojechał na brzuchu za przewrócony powóz. Kolejny strzał uderzył w bruk koło jego ramienia.

- Detrytus!

- Tak jest.

- Co z tobą?

- Trochę cieknę, sir.

Strzał trafił w koło bryczki nad głową Vimesa. Zakręciło się.

- Marchewa?

- Przeszło przez ramię, kapitanie. Vimes przeciągnął się kawałek na łokciach.

- Dzień dobry, wasza wysokość - powiedział z maniacką uprzejmością. Uniósł się trochę i sięgnął po zgniecione cygaro. - Ktoś ma ogień?

Patrycjusz otworzył oczy.

- Ach, kapitan Vimes. Co teraz?

Vimes uśmiechnął się. Zabawne, pomyślał, że nigdy nie czuję się tak pełen życia jak wtedy, kiedy ktoś usiłuje mnie zabić. Dopiero wtedy człowiek zauważa, że niebo jest błękitne. Chociaż właściwie wcale nie jest teraz błękitne. Zasłaniają je chmury. Ale je zauważam.

- Czekamy na jeszcze jeden strzał - wyjaśnił. - A potem biegniemy pod lepszą osłonę.

- Mam wrażenie... że tracę sporo krwi - oznajmił Vetinari.

- Kto by pomyślał, że ma pan ją w sobie - odparł Vimes ze szczerością ludzi, którzy szykują się na śmierć. - Co u ciebie, Marchewa?

- Mogę ruszać ręką. Boli jak... jak nie wiem co, kapitanie.- Ale pan wygląda gorzej.

Vimes spojrzał na siebie. Cały żakiet miał we krwi.

- Musiał mnie trafić jakiś odprysk kamienia - stwierdził. - Nawet nie poczułem.

Spróbował nakreślić w myślach obraz rusznica.

Sześć rurek w rzędzie. Każda z ołowianym pociskiem i ładunkiem Proszku numer jeden, wsuwana do rusznica jak bełty do kuszy. Zastanawiał się, ile czasu trwa włożenie następnych sześciu...

Ale mamy go tam, gdzie chcieliśmy! Tylko jedna droga prowadzi z wieży w dół.

Owszem, siedzimy na otwartej przestrzeni, a on strzela do nas ołowianymi kulkami, ale mamy go tam, gdzie chcieliśmy.

Rzęząc ciężko, Gaspode biegł przez Mroki, aż zobaczył przed sobą stado psów. Serce w nim zamarło. Przeciskał się i prześlizgiwał przez gąszcz łap.

Angua stała otoczona kręgiem kłów.

Warczenie ucichło. Dwa duże psy odsunęły się i na czoło wyszedł ostrożnie Wielki Fido.

- No tak - powiedział. - Co my tu mamy? To wcale nie jest pies. Może szpieg? Wrogowie działają bezustannie. Są wszędzie. Wyglądają jak psy, ale wewnątrz nie są psami. Co tu robiłaś?

Angua zawarczała.

Bogowie, pomyślał Gaspode. Pewnie zdoła załatwić paru z nich, ale to przecież uliczne psy...

Przecisnął się między nimi i wkroczył do kręgu. Wielki Fido skierował na niego swe czerwone ślepia.

- Gaspode też tu jest - stwierdził. - Mogłem się domyślić.

- Zostawcie ją w spokoju - powiedział Gaspode.

- Bo co? Będziesz o nią walczył z nami wszystkimi?

- Mam Moc. Wiesz o tym. Zrofię to. Użyję jej.

- Nie ma na to czasu - warknęła Angua.

- Nie zrobisz - odparł Wielki Fido.

- Zrofię.

- Każda psia łapa zwróci się przeciw tobie...

- Mam Moc. Cofnijcie się wszyscy.

- Jaką foc? - zdziwił się Rzeźnik. Ślinił się.

- Wielki Fido wie - rzekł Gaspode. - Studiował. A teraz ja i ona wyjdziemy stąd spokojnie i powoli. Tak?

Psy spojrzały na Wielkiego Fido.

- Brać ich - rozkazał. Angua wyszczerzyła kły. Psy się zawahały.

- Wilk ma szczękę cztery razy silniejszą niż dowolny pies - poinformował je Gaspode. - I to całkiem zwyczajny wilk...

- Co się z wami dzieje? - warknął Wielki Fido. - Jesteście stadem! Watahą! Nie ma litości! Brać ich!

Ale stado nie działa w taki sposób, jak tłumaczyła Angua. Stado to związek wolnych jednostek. Stado nie atakuje dlatego, że ktoś mu rozkazał - atakuje, ponieważ każdy jego członek niezależnie, ale w tej samej chwili, postanowił zaatakować.

Kilka większych psów przygotowało się do skoku.

Angua obracała głowę tam i z powrotem, czekając na pierwszego napastnika...

Pies podrapał łapą ziemię...

Gaspode nabrał tchu i poruszył szczęką.

Psy skoczyły.

- SIAD! - zawołał Gaspode w całkiem znośnym ludzkim.

Komenda odbiła się echem od ścian i pięćdziesiąt procent zwierząt posłuchało. W większości przypadków było to zadnie pięćdziesiąt procent. Psy w locie odkryły, że zdradzieckie łapy podwijają się pod nimi...

- NIEGRZECZNY PIES!

...po czym ogarnęło je przytłaczające uczucie rasowego zawstydzenia, wskutek czego odruchowo się skuliły - zły pomysł, kiedy jest się w powietrzu.

Gaspode zerknął na Anguę, gdy oszołomione psy spadały wokół jak deszcz.

- Mówiłem, że mam Moc, prawda? A teraz fiegiem!

Psy nie są jak koty, które z rozbawieniem tolerują ludzi tylko do chwili, kiedy ktoś wymyśli otwieracz do puszek obsługiwany łapą. Psy stworzyli ludzie - wzięli wilki i dodali im ludzkie cechy: niepotrzebną inteligencję, imiona, pragnienie przynależności oraz wibrujący kompleks niższości. Wszystkie psy śnią sny wilków i wiedzą, że marzą o ugryzieniu swego stwórcy. Każdy pies wie w głębi serca, że jest niegrzecznym psem...

Wściekłe szczekanie Wielkiego Fido przełamało czar.

- Gonić ich!

Angua pędziła po bruku. Na końcu uliczki stał wózek. A za nim mur.

- Nie tędy! - zaskomlał Gaspode.

Psy biegły już za nimi. Angua wskoczyła na wózek.

- Nie dam rady! - jęczał Gaspode. - Nie z moją nogą.

Zeskoczyła, złapała go za skórę na karku i wskoczyła z powrotem. Za wózkiem był dach szopy, wyżej parapet i... kilka dachówek zsunęło się jej pod łapami i spadło na uliczkę... dom.

- Niedofrze mi.

- Hankij hę!

Angua przebiegła po dachu i przeskoczyła nad zaułkiem po drugiej stronie. Wylądowała ciężko na jakiejś starej strzesze.

- Aaargh!

- Hankij hę!

Psy nie rezygnowały z pościgu. Zresztą uliczki na Mrokach nie były zbyt szerokie.

Kolejny wąski zaułek przemknął w dole.

Gaspode obrócił się niebezpiecznie w szczękach wilkołaka.

- Są ciągle za nami!

Zamknął oczy, kiedy Angua naprężyła mięśnie.

- Nie! Nie przez Kopalni Melasy!

Poczuł gwałtowne przyspieszenie, a po nim moment spokoju. Otworzył oczy...

Angua wylądowała. Przez chwilę przebierała łapami na wilgotnej powierzchni, a dachówki jak wodospad zsuwały się w dół. Potem spokojnie dobiegła do kalenicy.

- Możesz mnie już postawić - powiedział Gaspode. - Postaw mnie natychmiast! Nadchodzą!

Prowadzące psy pojawiły się na sąsiednim dachu, zobaczyły szczelinę i usiłowały zawrócić. Pazury zgrzytnęły po dachówkach.

Angua odwróciła się, z trudem łapiąc oddech. Próbowwała tego unikać w czasie początkowego, szaleńczego biegu - musiałyby oddychać Gaspodem.

Usłyszeli gniewne ujadanie Wielkiego Fido.

- Tchórze! Nie ma nawet dwudziestu stóp! Dla wilka to głupstwo!

Psy z powątpiewaniem oceniały dystans. Czasami każdy pies musi się zastanowić i sam siebie zapytać: do jakiego gatunku należę?

- To łatwe! Pokażę wam! Patrzcie!

Wielki Fido odbiegł kawałek, zatrzymał się, zawrócił, rozpędził... i skoczył.

Właściwie nie zakreślił łuku. Wyleciał w przestrzeń, napędzany mniej siłą mięśni, a bardziej tym, co płonęło mu w duszy.

Przednie łapy sięgnęły dachu, przez moment drapały śliską powierzchnię i nie znalazły zaczepienia. W milczeniu zsuwał się z dachu w dół, przez krawędź...

...i zawisł.

Skierował wzrok ku górze, na psa, który go trzymał.

- Gaspode? To ty?

- Ak - potwierdził Gaspode z pełną paszczą.

Pudel prawie nic nie ważył, ale Gaspode również. Odchylił się i zaparł łapami, by wyhamować, lecz nie bardzo miał się o co zapierać. Zjeżdżał nieuchronnie w dół, aż przednie nogi znalazły się w rynnie, która zazgrzytała niebezpiecznie.

Gaspode mógł niezwykle wyraźnie obejrzeć sobie ulicę trzy piętra niżej.

- Niech to demony!

Mocne zęby złapały go za ogon.

- Puść go - powiedziała niewyraźnie Angua. Gaspode spróbował pokręcić głową.

- Szestań się szarfać! - powiedział kątem paszczy. - Zielny fies ocala życie! Ratunek na achu! Nie fuszcz!

Rynna znów zatrzeszczała.

Nie wytrzyma, pomyślał. Oto historia mojego życia...

Wielki Fido zdołał się obejrzeć.

- Za co ty mnie trzymasz?

- Za fojną ofrozę - odparł przez zęby Gaspode.

- Co? Niech ją demony porwą!

Pudel spróbował się odwrócić, wściekle machając łapami w powietrzu.

- Szestań, ty tęfy durniu! Szez ciebie szyscy fadniemy! - warczał Gaspode.

Na dachu po drugiej stronie ulicy wataha psów przyglądała się temu ze zgrozą. Szpony Angui kreśliły białe linie na dachówkach.

Wielki Fido wywijał się i szarpał, walcząc z uciskiem obroży...

...która w końcu pękła.

Pudel odwrócił się w powietrzu i zawisł na moment, zanim pochwyciła go grawitacja.

- Wolny! - krzyknął.

I runął.

Gaspode przeleciał do tyłu, gdy Angui pośliznęły się łapy; spadł wyżej, hamując rozpaczliwie.

Po chwili oboje dotarli do szczytu dachu i tam dyszeli przez chwilę.

Potem Angua odbiegła i przeskoczyła nad sąsiednią uliczką, zanim jeszcze Gaspode przestał widzieć czerwoną mgłę przed oczami. Wypluł obrozę Wielkiego Fido - zjechała po dachu i zniknęła za krawędzią.

- Dzięki ci! - krzyknął. - Fardzo dziękuję! Tak! Zostaw mnie tutaj, co

się fędziesz przejmować! Mnie, na tylko trzech zdrowych nogach! Nie martw się o mnie! Jeśli fęde miał szczęście, to spadnę, zanim umrę z głodu! Tak! Historia mojego życia! Ty i ja, mała! Razem! Mogło nam się udać!

Odwrócił się do psów stojących szeregiem na dachu sąsiedniego domu.

- Hej, wy! - szczeknął. - Do domu! NIEGRZECZNY PIES!

Poczołgał się w dół z drugiej strony dachu. W dole była uliczka, ale dzieliła go od niej przepaść. Przeszedł na dach następnego budynku, ale i tam nie znalazł zejścia. Zobaczył za to balkon piętro niżej.

- Myślenie lateralne - mruknął. - O to właśnie chodzi. Taki wilk, na przykład, typowy pospolity wilk skacze. A jeśli nie może przeskoczyć, to utyka. Podczas gdy ja, dzięki swojej wyższej inteligencji, potrafię ocenić całą jak jej tam i odkryć rozwiązanie dzięki zastosowaniu procesów myślowych.

Szturchnął gargulca siedzącego nad zakrętem rynny.

- Eo esz?

- Jeśli nie pomożesz mi zejść na ten falkon, nasikam ci do ucha.

WIELKI FIDO?

- Tak.

DO NOGI!

W późniejszych czasach powstały dwie teorie na temat śmierci Wielkiego Fido.

Pierwsza, prezentowana przez psa Gaspode'a i oparta na dowodach obserwacyjnych, głosiła, że szczątki przywódcy zostały zabrane przez Paskudnego Starego Rona i pięć minut później sprzedane kuśnierzowi.

Wielki Fido zobaczył więc znowu światło dnia - jako futrzane nauszniki i para ocieplanych rękawiczek.

Druga teoria, w którą wierzyły wszystkie inne psy, opierała się na czymś, co można by ogólnie określić jako wiedzę płynącą z serca. Głosiła, że Wielki Fido przeżył upadek, porzucił miasto i w końcu poprowadził wielkie stado górskich wilków, które co noc budziło grozę wśród mieszkańców odosobnionych farm. Ta teoria sprawiała, że grzebanie na śmietnikach i czekanie pod kuchennymi drzwiami na resztki wydawało się... wydawało się bardziej znośne. Psy robiły to przecież tylko do powrotu Wielkiego Fido.

Obrożę przechowywano w tajnej kryjówce. Psy zjawiały się tam regularnie, dopóki nie zapomniały.

Sierżant Colon ostrożnie pchnął drzwi ostrzem piki. Dawno temu Wieża Sztuk miała stropy. Teraz była pusta do samej góry; powietrze przecinały jasne promienie światła z dawnych wnęk okiennych.

Jeden z nich, wypełniony migotliwymi drobinkami kurzu, sięgał na sam dół - do tego, co jeszcze niedawno było funkcjonariuszem Cuddym.

Colon ostrożnie trącił ciało. Nie poruszyło się. Nic, co tak wygląda, nie powinno się ruszać. Obok leżał pogięty topór. - Och, nie - szepnął Colon.

Zauważył linkę - cienką, jakiej zwykle używali skrytobójcy. Zwisła gdzieś z wysoka. I kołysała się lekko.

Colon spojrział w mgiełkę pod sklepieniem i wydobył miecz.

Widział linkę aż do samej góry i nikogo na niej nie było. A to znaczy...

Nie obejrzał się nawet, co ocaliło mu życie. Jego rzut na ziemię i wystrzał z rusznicy nastąpiły jednocześnie. Potem przysięgał, że czuł podmuch pocisku, który przeleciał mu nad głową.

Jakaś postać wynurzyła się z obłoczku dymu i bardzo mocno uderzyła go w głowę, nim wybiegła przez otwarte drzwi na deszcz.

FUNKCJONARIUSZ CUDDY?

Cuddy otrzepał się z pyłu.

- Aha - powiedział. - Rozumiem. Nie sądziłem, że to przeżyję. Nie po pierwszych stu stopach.

MIAŁEŚ RACJĘ.

Nierzeczywisty świat żywych rozwiewał się już, ale Cuddy spojrzał jeszcze gniewnie na pogięte szczątki swego topora. Zdawało się, że irytują go o wiele bardziej niż połamane szczątki Cuddy'ego.

- Popatrzcie tylko - rzekł. - Tato zrobił dla mnie ten topór! Piękna broń, żeby ją zabrać na tamten świat, nie ma co!

CZY TO JAKIŚ OBRZĄDEK POGRZEBOWY?

- Nie wiesz? Przecież jesteś Śmiercią, nie?

TO NIE ZNACZY, ŻE MUSZĘ SIĘ ZNAĆ NA OBRZĄDKACH POGRZEBOWYCH. NA OGÓŁ SPOTYKAM LUDZI, ZANIM ZOSTANĄ POGRZEBANI. CI, KTÓRYCH SPOTYKAM POTEM, SĄ ZWYKLE PODENERWOWANI I NIE MAJĄ OCHOTY NA DYSKUSJE.

Cuddy skrzyżował ręce na piersi.

- Jeśli nie zostanę należycie pogrzebany - stwierdził - nigdzie nie pójde. Moja udręczona dusza będzie się w męce błąkać po świecie.

PRZECIEŻ NIE MUSI.

- Ale może, jeśli ma ochotę - oznajmił z dumą duch Cuddy'ego.

- Detrytus! Nie ma czasu na przeciekanie! Biegnij do wieży! Weź ze sobą paru ludzi!

Vimes dotarł do drzwi Głównego Holu, niosąc przerzuconego przez ramię patrycjusza. Marchewa szedł za nim chwiejnym krokiem. Magowie zebrali się przy wejściu. Wielkie, ciężkie krople deszczu zaczynały już spadać, sycząc na rozgrzanym bruku. Ridcully podwinął rękawy.

- Piekielne dzwony! Co tak mu załatwiło nogę?

- Tak działa rusznic! Zajmijcie się nim! I kapralem Marchewa!

- Nie ma potrzeby - odezwał się Vetinari. Spróbował się uśmiechnąć i stanąć o własnych siłach. - To tylko ciało...

Noga odmówiła mu posłuszeństwa.

Vimes zamrugał. Nie spodziewał się czegoś takiego. Patrycjusz był człowiekiem, który zawsze miał odpowiedź, nigdy nie dawał się zaskoczyć. Vimes miał uczucie, że historia zerwała się nagle z uwięzi i trzepocze na wietrze...

- Zajmiemy się tym, sir - powiedział Marchewa. - Mam ludzi na dachach i...

- Zamknij się. Masz tu zostać! To rozkaz. - Vimes pogrzebał w sakiewce, po czym zawiesił na podartym żakiecie odznakę. - Hej, ty! Piżama! Potrzebny mi miecz!

Piżama spojrzał ponuro.

- Słucham tylko rozkazów kaprała Marchewy...

- Dawaj miecz, ty okropny maluchu! Właśnie! Dziękuję. A teraz chodźmy do wie...

Jakiś cień pojawił się w drzwiach. Wszedł Detrytus.

Nióśł na rękach jakiś bezwładny kształt. Bez słowa ułożył go ostrożnie na ławie, po czym odszedł i usiadł w kącie. Wszyscy podbiegli, żeby obejrzeć doczesne szczątki funkcjonariusza Cuddy'ego, a troll zdjął swój hełm chłodzący domowej roboty i raz po raz obracał go w dłoniach.

- Leżał na ziemi - wyjaśnił sierżant Colon, opierając się o framugę. - Ktoś musiał go zepchnąć ze schodów, już na samej górze. I ten ktoś tam był. Pewnie ześliznął się po linie i solidnie przywalił mi w głowę.

- Nie warto za szylinga dać się zepchnąć z wieży - stwierdził niezbyt jasno Marchewa.

Lepiej było, kiedy przyleciał smok, myślał Vimes. Przynajmniej gdy kogoś zabił, nadal pozostawał smokiem. Mógł lecieć w inne miejsce, ale i tak człowiek wiedział: to jest smok i tyle. Nie potrafił przeskoczyć przez mur i stać się kimś innym. Zawsze było wiadomo, z czym się walczy. Nie trzeba...

- Co Cuddy trzyma w ręku? - zapytał. Uświadomił sobie, że już od pewnego czasu patrzy na to, nie widząc.

Pociągnął. Był to strzęp czarnego materiału.

- Skrytobójcy takie noszą - zauważył Colon.

- Podobnie jak wielu innych ludzi - przypomniał Ridcully. - Czarny to czarny.

- Słusznie - zgodził się Vimes. - Podejmowanie jakichkolwiek działań na tak kruchej podstawie byłoby przedwczesne. Pewnie straciłbym pracę.

Machnął czarną szmatką przed Vetinarim.

- Wszędzie skrytobójcy - powiedział. - Na straży. Ale wygląda na to, że niczego nie zauważyli. Dał im pan ten przeklęty rusznic, bo sądził pan, że

najlepiej go przypilnują. Nie przyszło panu do głowy, żeby go oddać strażnikom?

- Nie ruszamy w pogoń, kapralu Marchewa? - zapytał niepewnie Piżama.

- Pogoń za kim? Którędy mamy go gonić? - mruknął zniechęcony Vimes. - Przyłożył Fredowi w głowę i uciekł. Może schować się za rogiem, przerzucić rusznic przez mur i kto go pozna? Nie wiemy, kogo szukać!

- Ja wiem - odezwał się Marchewa. Wstał, trzymając się za ramię.

- Łatwo jest biegać - rzekł. - Dużo już biegaliśmy, ale nie tak się poluje. Poluje się, siedząc i czekając we właściwym miejscu. Kapitanie, niech sierżant wyjdzie i powie ludziom, że schwytaliśmy zabójcę.

- Co?

- Nazywa się Edward d'Eath. Niech powie, że mamy go w areszcie. Że został schwytany i jest ciężko ranny, ale żyje.

- Przecież nie...

- Jest skrytobójcą.

- Nie schwytaliśmy...

- Tak, kapitanie. Nie podobają mi się te kłamstwa, ale tym razem chyba nie ma innego wyjścia. Zresztą to już nie pański problem.

- Nie? A dlaczego nie?

- Za niecałą godzinę odchodzi pan ze służby.

- Ale w tej chwili jestem jeszcze kapitanem, kapralu. I macie mi wyjaśnić, co się dzieje. Tak to się robi w Straży Miejskiej.

- Nie mamy czasu, kapitanie. Proszę iść, sierżancie.

- Marchewa, wciąż jestem dowódcą straży! Ja powinienem wydawać rozkazy!

Marchewa spuścił głowę.

- Przepraszam, kapitanie.

- Dobrze. I nie zapominajcie o tym. Sierzancie Colon!

- Tak jest.

- Ogłóście, że aresztowaliśmy Edwarda d'Eatha. Kimkolwiek jest.

- Tak jest.

- A następne posunięcie, Marchewa? - zapytał Vimes. Marchewa spojrzał na zebranych wokół magów.

- Przepraszam pana bardzo...

- Uuk?

- Najpierw musimy się dostać do biblioteki...

- Najpierw - przerwał mu Vimes - niech ktoś mi pożyczy hełm. Bez hełmu nie czuję, że jestem w pracy. Dzięki, Fred. W porządku... hełm... miecz... odznaka... do roboty.

Pod miasto docierał dźwięk. Przesączał się tu różnymi drogami, ale był niewyraźny -jak szum ula. Widać też było najdelikatniejsze lśnienie. Wody - używając tego określenia w najszerszym możliwym sensie - rzeki Ankh obmywały - naginając definicję do granic - tunele przez wieki.

Teraz rozległ się dodatkowy odgłos: czyjeś kroki po mule. Odgłos ledwie słyszalny, chyba że uszy przyzwyczały się do dźwiękowego tła.

Niewyraźny kształt przesuwiał się w mroku.

Przystanął przed kręgiem czerni prowadzącym do węższego tunelu...

- Jak pan się czuje, wasza miłość? - zapytał kapral Nobbs, awansujący towarzysko.

- Kim jesteś?

- Kapral Nobbs, sir! - Nobby zasalutował.

- Zatrudniamy cię?

- Tak jest!

- Aha. Jesteś krasnoludem, prawda?

- Nie, sir! Krasnoludem był zmarły Cuddy, sir. Jestem człowiekiem, sir.

- I nie zostałeś zatrudniony w wyniku... specjalnych procedur naboru?

- Nie, sir! - zapewnił z dumą Nobby.

- Coś podobnego - mruknął patrycjusz.

Trochę kręciło mu się w głowie z upływu krwi. W dodatku nadrektor dał mu solidny łyk czegoś, co - jak twierdził - stanowiło cudowne remedium, choć nie sprecyzował, co takiego leczyło. Zapewne pionowość. Lepiej jednak siedzieć wyprostowanym. Lepiej być widzianym żywym. Sporo ciekawskich osób zaglądało przez drzwi. Ważne, by ich przekonać, że pogłoski o jego śmierci są stanowczo przesadzone.

Kapral samozwańczy człowiek Nobbs i kilku innych strażników otaczało patrycjusza na rozkaz kapitana Vimesa. Niektórzy wyglądali na bardziej rozrośniętych, niż sobie dość niejasno przypominał.

- Hej! Ty, mój dobry człowieku. Wziąłeś Królewskiego Szylinga? - zwrócił się do jednego z nich.

- Niczego żem nie brał.

- Kapitalne. Dobra robota.

Potem nagle wszyscy się rozstąpili. Coś złocistego i mniej więcej podobnego do psa przebiegło, warcząc, z nosem przy ziemi. I zaraz zniknęło, długimi, lekkimi skokami ruszając w stronę biblioteki. Patrycjusz usłyszał prowadzoną półgłosem rozmowę.

- Fred...

- Tak, Nobby?

- Czy to nie wydało ci się znajome?

- Wiem, o co ci chodzi. Nobby kręcił się zakłopotany.

- Powinieneś ją objechać za to, że biega bez munduru.

- To nie takie proste.

- Gdybym ja tędy przebiegł bez ciuchów, przywaliłbyś mi pół dolara grzywny za nieodpowiedni ubiór.

- Masz tu pół dolara, Nobby, i zamknij dziób.

Vetinari uśmiechnął się do nich promiennie. Zwrócił też uwagę na innego strażnika, w kącie. Jednego z tych wielkich, barczystych...

- Nadal w porządku, wasza miłość? - upewnił się Nobby.

- Kim jest ten dżentelmen?

Nobby podążył za wzrokiem patrycjusza.

- To troll Detrytus, wasza miłość.

- Dlaczego on tak siedzi?

- Myśli.
- Nie rusza się już od jakiegoś czasu.
- Myśli wolno, wasza miłość.

Detrytus wstał. Sposób, w jaki to zrobił, miał w sobie coś - jakąś sugestię wielkiego kontynentu, który rozpoczyna ruchy tektoniczne, prowadzące do porażającej kreacji łańcucha niezdojanych gór - co skłoniło wszystkich do zniecierpienia i spojrzenia na niego. Żaden z patrzących nigdy nie oglądał kreacji górskiego łańcucha, ale teraz mniej więcej wiedzieli, jak to wygląda: jak Detrytus wstający na nogi, z pogiętym toporem Cuddy'ego w dłoni.

- Ale czasem bardzo głęboko - dodał Nobby, wypatrując możliwych dróg ucieczki.

Troll spojrział na zebranych, jakby się zastanawiał, co tu robią. Potem, machając rękami, ruszył przed siebie.

- Funkcjonariusz Detrytus... - zaczął Colon. - E... tego... co wy tam...

Detrytus nie zwracał na niego uwagi. Wbrew pozorom poruszał się szybko, jak to zwykle czyni lawa. Dotarł do ściany i jednym ciosem odsunął ją z drogi.

- Czy ktoś mu dawał siarkę? - zapytał Nobby. Colon rozejrzał się nerwowo.

- Młodszy funkcjonariusz Boksyt! Młodszy funkcjonariusz Węglarz! Zatrzymać funkcjonariusza Detrytusa!

Dwa trolle spojrzały najpierw na oddalającą się postać Detrytusa, potem na siebie nawzajem, wreszcie na Golona. Boksyt zaskłutował.

- Proszę o zgodę na odejście z powodu konieczności udziału w pogrzebie babki!

- Dlaczego?

- Albo jej, albo mój, sierżancie.

- Wkopie nam do środka nasze „goohuloog” łby - wyjaśnił Węglarz, myśliciel nie tak wyrafinowany.

Błysnęła zapalka. W kanałach jej płomyk był niczym nowa. Vimes zapalił najpierw cygaro, potem latarnię. - Doktor Cruces? - powiedział. Główny skrytobójca zamarł.

- Kapral Marchewa, tu obok, też ma kuszę. Nie jestem pewien, czyjej użyje. To dobry człowiek. Uważa, że wszyscy inni też są dobrymi ludźmi. Ale ja jestem inny. Ja jestem złośliwy, wredny i zmęczony. A teraz, doktorze, miał pan czas się zastanowić. Jest pan człowiekiem inteligentnym... Po co pan tu właściwie przyszedł, jeśli wolno spytać? Przecież nie po to, żeby popatrzeć na doczesne szczątki młodego Edwarda, ponieważ nasz kapral Nobbs przeniósł go dziś rano do kostnicy straży, pewnie przy okazji usuwając wszelkie drobne elementy biżuterii, jakie znalazł przy zwłokach, ale Nobby taki już jest. Ma przestępczy umysł ten nasz Nobby. Jedno trzeba mu przyznać: nie ma przestępczej duszy.

Vimes dmuchnął dymem z cygara.

- Mam nadzieję, że zmył biedakowi tę klaunowską charakteryzację. To przykre... wykorzystał go pan, prawda? Zabił biednego Fasolla, potem zabrał rusznic i był na miejscu, kiedy rusznic zabił Młotokuja. Zostawił nawet w drzwiach kawałek peruki Fasolla. I kiedy akurat przydałaby się mu dobra rada, na przykład żeby się sam do nas zgłosił, pan go zabił. Ciekawa sprawa, naprawdę ciekawa, to że Edward nie mógł być tym człowiekiem na wieży przed chwilą. Nie z raną od sztyletu w sercu i w ogóle. Wiem, że bycie martwym nie zawsze jest przeszkodą w korzystaniu z dyskretnych rozrywek w naszym mieście, ale nie przypuszczam, żeby młody Edward kręcił się po okolicy. Ten kawałek materiału to było niezłe pociągnięcie. Wie pan, osobiście nigdy nie wierzyłem w te wszystkie ślady stóp na trawniku, wiele mówiące zgubione guziki i takie rzeczy. Ludzie myślą, że na tym polega

policyjna robota. Wcale nie. Policyjna robota to szczęście i harówka, na ogół. Ale wielu ludzi wierzy. Cóż, on nie żył od... ilu... od dwóch dni, a tu, na dole, jest przyjemnie i chłodno. Mógłby go pan stąd wyciągnąć; więcej nawet, mógłby pan przekonać ludzi, jeśli nie przyglądaliby mu się zbyt uważnie na katafalku. I miałby pan człowieka, który zabił patrycjusza. Trzeba pamiętać, że połowa miasta walczyłaby już wtedy z drugą połową. Nastąpiłyby kolejne zgony. Zastanawiam się, czyby się pan nimi przejął. Umilkł na chwilę.

- Wciąż pan nic nie mówi.

- Niczego nie rozumiesz - powiedział Cruces.

- Naprawdę?

- D'Eath miał rację. Był obłąkany, ale miał rację.

- W jakiej kwestii, doktorze Cruces? - zainteresował się Vimes.

I wtedy skrytobójca zniknął. Zanurkował w cień.

- No nie... - mruknął Vimes.

- Kapitanie Vimes... - Szept odbił się echem od ścian zbudowanej przez ludzi jaskini. -Jedną z rzeczy, których uczy się dobry skrytobójca, to... - Zagrmiał wystrzał i lampa rozpadła się na kawałki. - ...nigdy nie stawać blisko światła.

Vimes padł na ziemię i przetoczył się w bok. Drugi strzał trafił o stopę od niego. Na kapitana spadły krople zimnej wody.

Pod nim też była woda.

Ankh wzbierała i - zgodnie z prawami starszymi niż miejskie -woda znajdowała sobie drogę do tuneli.

- Marchewa - szepnął Vimes.

- Tak?

Głos dobiegał z absolutnej ciemności po prawej stronie.

- Nic nie widzę. Kiedy zapaliłem tę przeklętą lampę, przestałem widzieć po ciemku.

- Czuję, że wlewa się woda.

- Musimy... - zaczął Vimes i urwał. Wyobraził sobie ukrytego Crucesa mierzącego w źródło dźwięku.

Powinienem od razu go zastrzelić, pomyślał. To przecież skrytobójca!

Musiał się trochę podnieść, żeby utrzymać twarz nad powierzchnią wody.

Rozległo się ciche drapnięcie, a potem błysnęło światło. Cruces zapalił pochodnię i Vimes zobaczył jego chudą sylwetkę. Drugą ręką skrytobójca trzymał rusznic.

Z pamięci wypłynęło wspomnienie czegoś, czego Vimes nauczył się jako młody strażnik. Jeśli już musisz spojrzeć wzdłuż drzewca strzały z jej niewłaściwego końca, jeśli ktoś ma cię w swej mocy, to módl się jak tylko potrafisz, żeby był złym człowiekiem. Ponieważ źli lubią władzę, władzę nad ludźmi - chcą widzieć twój strach. Chcą, byś wiedział, że umierasz. Dlatego gadają. Napawają się swoją przewagą.

Chcą patrzeć, jak się wijesz w przerażeniu. Dlatego odkładają moment zabójstwa, jak ktoś inny mógłby odkładać na później dobre cygaro.

Trzeba więc mieć nadzieję, że zabójca jest złym człowiekiem. Dobry człowiek zabije cię bez słowa.

I wtedy, ku swej niezmierzonej grozie, zauważył, że Marchewa wstaje.

- Doktorze Cruces, aresztuję pana za zabójstwo Bjorna Młotokuja, Edwarda d'Eatha, klauna Fasolla, Letycji Knibbs oraz funkcjonariusza Cuddy'ego ze Straży Miejskiej.

- Na bogów, ich wszystkich? Obawiam się, że brata Fasollo zabił

Edward. To był jego pomysł, tego głuptasa. Mówił, że wcale nie chciał. Natomiast Młotokuj, jak rozumiem, zginął wskutek wypadku. Dziwaczego wypadku. Grzebał przy rusznicu, ładunek wypalił, kula odbiła się od kowadła i go zabiła. Tak mówił Edward. Potem przybiegł do mnie. Był bardzo zdenerwowany. Wyznał wszystko. Więc go zabiłem. Co innego mogłem zrobić? Był wyraźnie obłąkany. Z takim człowiekiem nie da się nic ustalić. Czy mogę prosić, żebyś się odsunął, sire? Wolałbym cię nie zabijać. Nie! Chyba że będę musiał!

Vimes miał wrażenie, że Cruces kłóci się sam ze sobą. Rusznic kołysał się gwałtownie.

- Bredził - mówił dalej Cruces. - Powiedział, że rusznic zabił Młotokuja. Spytałem: To był wypadek? A on na to: Nie, rusznic zabił Młotokuja.

Marchewa zrobił krok naprzód. Zdawało się, że Cruces przebywa teraz w swoim własnym świecie.

- Nie! Rusznic zabił też tę żebraczkę. To nie byłem ja! Po co miałbym robić coś takiego?

Cruces odstąpił o krok, ale rusznic skierował się w stronę Marchewy. Vimes miał wrażenie, że poruszył się samodzielnie, jak zwierzę łapiące zapach...

- Padnij! - szepnął.

Wyciągnął rękę i usiłował odnaleźć swoją kuszę.

- Powiedział, że rusznic był zazdrosny! Młotokuj zrobiłby więcej rusznicowi Nie ruszaj się!

Marchewa zrobił kolejny krok.

- Musiałem zabić Edwarda! Był romantykiem, wszystko by pomieszał! Ale Ankh-Morpork potrzebuje króla!

Rusznic szarpnął się i wystrzelił w tej samej chwili, w której Marchewa

odskoczył na bok.

Tunele jarzyły się od zapachów, głównie gryzących żółci i pomarańczowych brązów starych ścieków. Prawie nie było podmuchów, które mogłyby zakłócić tropy. Linia będąca Crucesem sunęła w ciężkim, nieruchomym powietrzu. I był też zapach rusznica, ostry jak rana.

W gildii pachniało rusznicem, pomyślała. Kiedy tylko obok przeszedł Cruces... Gaspode twierdził, że to normalne, bo przecież rusznic leżał w gildii - ale przecież nie strzelał w gildii. Wyczuła go, bo ktoś z niego wystrzelił.

Brnąc w wodzie, dotarła do wielkiej jaskini i zobaczyła - nosem - wszystkich trzech: niewyraźną sylwetkę pachnącą Vimesem, padającą postać Marchewy, odwracający się kształt z rusznicem...

I wtedy przestała myśleć mózgiem; pozwoliła, by ciało przejęło kontrolę. Wilcze mięśnie pchnęły ją naprzód, do skoku; krople wody pryskały z grzywy, oczy wpatrywały się w szyję Crucesa.

Rusznic wystrzelił cztery razy. Ani razu nie chybił.

Vimes poderwał się w rozbryzgach wody.

- Sześć strzałów! To było sześć strzałów, ty draniu! Teraz cię mam!

Widząc, że Vimes brnie w jego stronę, Cruces odwrócił się i pobiegł tunelem, rozchlapując wodę.

Vimes wyrwał Marchewie kuszę, wycelował rozpaczliwie i nacisnął spust. Nic się nie stało.

- Marchewa! Ty idioto! Nawet jej nie napiąłeś! - Odwrócił się. - Idziemy! Nie możemy pozwolić mu uciec!

- To jest Angua, kapitanie!

- Co?

- Ona nie żyje!

- Marchewa! Posłuchaj! Potrafisz znaleźć wyjście z tej plątaniny? Nie! No więc chodź za mną!

- Ja... nie mogę jej tak zostawić...

- Kapralu Marchewa! Za mną!

Vimes na wpół biegł, na wpół brnął przez wzbierającą wodę w stronę tunelu, który pochłoniął Crucesa. Droga prowadziła pod górę - czuł, że poziom wody opada z każdym krokiem.

Nigdy nie dawaj uciekającemu czasu do namysłu. Tego się nauczył pierwszego dnia w straży. Jeśli już musisz go gonić, to bądź konsekwentny. Wystarczy, że ścigany zdąży się zastanowić, a mijając najbliższy róg spotkasz skarpetę z piaskiem lecącą w przeciwną stronę.

Ściany i strop zbliżały się coraz bardziej.

Z boków mijał inne tunele. Marchewa miał rację. Setki ludzi musiało pracować latami, żeby stworzyć coś takiego. Ankh-Morpork było zbudowane na Ankh-Morpork.

Vimes zatrzymał się.

Nie słyszał chlapania; otaczały go wyloty tuneli.

A potem w jednym z bocznych zauważył błysk.

Pobiegł ku niemu i zobaczył parę nóg w strudze światła padającego z otwartej klapy.

Rzucił się do nich i chwycił jeden but, który już znikał na górze. Noga szarpnęła; Vimes usłyszał, że Cruces przewraca się na podłogę.

Chwycił się krawędzi otworu, podciągnął i przeszedł.

To już nie był tunel. Pomieszczenie wyglądało raczej jak piwnica. Pośliznął się w błocie i uderzył w wilgotną ścianę. Na czym to zbudowane jest Ankh-Morpork? No właśnie...

Cruces był o kilka sążni od niego; wspinał się i ślizgał na stopniach. U ich szczytu stały kiedyś drzwi, jednak już dawno przegniły.

Kolejne stopnie, kolejne pomieszczenia. Pożar i powódź, powódź i odbudowa. Pomieszczenia zmieniały się w piwnice, piwnice w fundamenty. To nie był elegancki pościg: obaj ślizgali się, padali, wstawali znowu, przedzierali przez zasłony brudu. Tu i tam Cruces zostawił świece - dawały akurat tyle światła, by Vimes pożałował, że to robią.

Aż nagle poczuł pod stopami suchy kamień, a potem minął już nie drzwi, ale otwór wybity w murze. Stały tam beczki, połamane meble, zamknięte i zapomniane stare sprzęty.

Cruces leżał o kilka stóp dalej, z trudem łapał oddech i wbijał do rusznica następny szereg rurek. Vimes zdołał jakoś podnieść się na kolana i nabrał tchu. Niedaleko płonęła wbita w szczelinę świeca.

- Mam... cię... - wysapał.

Cruces spróbował wstać. Wciąż ścisnął rusznic. - Jesteś... za stary... na takie... biegi... - wykrztusił Vimes. Cruces podniósł się wreszcie i chwiejnie postąpił o krok. Vimes zastanowił się chwilę.

- Ja też jestem za stary na takie biegi - dodał i skoczył.

Przetaczali się obaj w kurzu, z rusznicem między sobą. O wiele później Vimesowi przyszło do głowy, że człowiek mający choć odrobinę rozsądku na pewno nie walczyłby wręcz ze skrytobójcą - tacy przecież wszędzie mieli poukrywaną broń. Jednak Cruces nie chciał wypuścić rusznica. Ścisnął go oburącz i starał się uderzyć Vi-mesa lufą albo kolbą.

Co ciekawe, skrytobójcy właściwie nie uczyli się walki wręcz. Zwykle nie była im potrzebna, gdyż dobrze radzili sobie z bronią. Dżentelmeni nosili broń; plebs używał rąk.

- Mam cię - dyszał Vimes. - Jesteś aresztowany! Bądź aresztowany, dobrze?

Ale Cruces nie rezygnował. Vimes nie mógł ustąpić - Cruces wyrwałby mu rusznic. Stękając, szarpali go między sobą z desperacką zaciętością.

I wtedy eksplodował.

Wystrzelił jęzor czerwonego płomienia, uniósł się smród fajerwerków i coś stuknęło o trzy ściany. Vimes poczuł, że pocisk uderza z brzękiem w jego hełm i odbija się do stropu.

Spojrzał na wykrzywioną twarz Crucesa. Potem schylił głowę i mocno szarpnął rusznic.

Skrytobójca wrzasnął i puścił, chwytając się za nos. Vimes odtoczył się do tyłu. W rękach ścisnął rusznic... który poruszył się nagle. Niespodziewanie kolba znalazła się przy ramieniu, a palec na spuście.

„Jesteś mój.”

„On nie jest już nam potrzebny.”

Vimes był tak zaszokowany, że aż krzyknął.

Potem przysięgał, że wcale nie naciskał spustu - spust poruszył się sam i pociągnął za sobą palec. Rusznic uderzył mocno w ramię, a w ścianie obok głowy skrytobójcy, zasypując go tynkiem, pojawiła się sześciocalowa dziura.

Przez czerwoną mgłę przesłaniającą oczy Vimes niewyraźnie widział, że Cruces zatacza się w stronę drzwi, wychodzi i zatrząskuje je za sobą.

„Wszystko, czego nienawidzisz, wszystko, co źle - teraz możesz naprawić.”

Vimes dosięgnął drzwi i szarpnął za klamkę. Były zamknięte.

Przesunął rusznic, nieświadom żadnej myśli, i pozwolił, by spust znów pociągnął jego palec. Spory fragment drzwi i framugi zmienił się w najeżoną

drzazgami dziurę.

Otworzył je kopniakiem i podążył za rusznicem.

Znalazł się w korytarzu. Kilkunastu młodych ludzi przyglądało mu się ze zdumieniem zza uchylonych drzwi pokoiów. Wszyscy nosili się na czarno.

Był w Gildii Skrytobójców.

Uczeń gildii spojrzał na niego przez nozdrza.

- Kim jesteś, jeśli wolno spytać?

Rusznic przesunął się ku niemu. Nim wypalił, Vimes zdołał poderwać łufę do góry; strzał wyrwał kawał sufitu.

- Przedstawicielem prawa, wy sukinsyny! - wrzasnął. Patrzyli na niego w milczeniu.

„Zastrzel ich wszystkich. Oczyszczyć świat.”

- Zamknij się! - Vimes, stwór z głębi ziemi, z przekrwionymi oczami, pokryty kurzem, ociekający błotem, spojrzał na trzęsącego się studenta. - Dokąd poszedł Cruces?

Mgła kłębiła mu się w głowie. Stawy trzeszczały z wysiłku niestrzelania.

Młody człowiek nerwowo wskazał palcem schody. Stał bardzo blisko, kiedy wypalił rusznic. Pył tynku pokrył go niczym diabelski łupież.

Rusznic znów ruszył do przodu, wlokąc za sobą Vimesa - obok pokoiów chłopców, po schodach, gdzie pozostały ślady czarnego blocka. Dotarł na kolejny korytarz. Otworzyły się drzwi - i zatrasnęły, kiedy rusznic wystrzelił, rozbijając żyrandol.

Korytarz doprowadził go do szerokiego podestu u szczytu o wiele bardziej imponujących schodów i szerokich dębowych drzwi naprzeciwko.

Vimes przestrzelił zamek, kopnął drzwi, po czym walczył z rusznicem dostatecznie długo, by się uchylić. Bełt z kuszy świsnął mu nad głową i trafił kogoś daleko w głębi korytarza.

„Zabij go! Zastrzel!”

Cruces stał przy biurku i gorączkowo usiłował umieścić w kuszy następny bełt...

Vimes starał się uciszyć śpiew w uszach.

Ale... dlaczego nie? Czemu nie strzelić? Zawsze przecież chciał oczyścić miasto, więc równie dobrze może zacząć tutaj i teraz. A potem ludzie się dowiedzą, co to znaczy prawo...

Oczyścić świat...

Nastało południe.

Zabrzmiął pęknięty spiżowy dzwon z Gildii Nauczycieli; miał południe tylko dla siebie przez co najmniej siedem uderzeń, nim dopędził go szybko bijący zegar Gildii Piekarzy.

Cruces wyprostował się i zaczął wycofywać za osłonę jednej z kolumn.

- Nie możesz mnie zastrzelić - oświadczył, wpatrzony w rusznic. - Znam prawo. I ty też. Jesteś strażnikiem. Nie możesz mnie zabić z zimną krwią.

Vimes spojrzał wzdłuż lufy.

To byłoby takie łatwe... Spust lekko ściągał mu palec.

Zadźwięczał trzeci dzwon.

- Nie możesz mnie tak po prostu zabić. Takie jest prawo. A ty jesteś strażnikiem. - Cruces oblizał zeschnięte wargi.

Lufa opadła trochę. Cruces niemal się odprężył.

- Tak. Jestem strażnikiem.

Lufa uniosła się znowu, celując w czoło skrytobójcy.

- Ale kiedy dzwony ucichną - dodał spokojnie Vimes - już nim nie będę.

„Zabij go! Zastrzel!”

Vimes z wysiłkiem wcisnął kolbę pod pachę, uwalniając jedną rękę.

- Zrobimy to według regulaminu - powiedział. - Są zasady. Zgodnie z regulaminem.

Nie patrząc, zerwał z resztek żakietu odznakę. Wciąż lśniła, mimo brudu. Zawsze starał się ją polerować. Kiedy raz czy dwa zakręciła się w powietrzu jak moneta, miedź błysnęła, odbijając światło.

Cruces patrzył na nią jak kot.

Dzwony cichły. Większość zegarów już skończyła. Teraz słychać było już tylko dźwięk gongu ze świątyni Pomniejszych Bóstw oraz dzwon Gildii Skrytobójców, jak zawsze elegancko spóźniony.

Gong zamilkł.

Doktor Cruces powoli i starannie odłożył kuszę na biurko.

- Proszę. Odłożyłem broń.

- Aha - potwierdził Vimes. - Ale chcę mieć pewność, że już jej nie podniesiesz.

Czarny dzwon Gildii Skrytobójców przebił się do południa. I umilkł.

Cisza uderzyła jak grom.

Cichy, metaliczny brzęk odbijającej się od podłogi odznaki kapitana Straży Miejskiej wypełnił gabinet od ściany do ściany.

Vimes delikatnie uniósł rusznic i rozluźnił palce.

Zabrzmiął dzwonek.

Grał metalicznie wesołą melodyjkę, ledwie słyszalną, gdyby nie rozlegała się w tej kałuży absolutnej ciszy...

Kling, bing, a-bing, bong...

...ale dokładniejszą niż wszystkie klepsydry piaskowe i wodne, dokładniejszą niż wahadła.

- Proszę odłożyć rusznic, kapitanie - polecił Marchewa, wspinając się wolno schodami.

W jednej ręce trzymał miecz, w drugiej pamiątkowy zegarek.

...bing, bing, a-bing, kling...

Vimes nawet nie drgnął.

- Proszę odłożyć. Niech pan go odłoży, kapitanie. Już.

- Mogę przeczekać jeszcze jeden dzwoneczek - oświadczył Vimes.

...a-bing, a-bing...

- Nie mogę na to pozwolić, kapitanie. To by było morderstwo.

...bong, a-bing...

- Powstrzymasz mnie?

- Tak. ...dzyń... dzyń...

Vimes odwrócił nieco głowę.

- On zabił Anguę. Czy to cokolwiek dla ciebie znaczy?

...dzyń... dzyń... dzyń... dzyń...

Marchewa przytaknął.

- Tak. Ale osobiste to nie to samo, co ważne.

Vimes spojrzał wzdłuż swego ramienia. Twarz doktora Crucesa, z otwartymi ze zgrozy ustami, kołysała się na końcu luty.

...dzyń... dzyń... dzyń... dzyń... dzyń...

- Kapitanie Vimes...

...dzyń.

- Kapitanie? Odznaka numer 177, kapitanie. Nigdy nie zbrukało jej nic oprócz brudu.

Niezmożony duch rusznica, płynący wzdłuż ramion Vimesa, napotkał maszerujące z naprzeciwka armie czystej, upartej vimesowości.

- Na pańskim miejscu odłożyłbym go, kapitanie. Nie jest panu potrzebny - mówił Marchewa, jakby zwracał się do małego dziecka.

Vimes patrzył na przedmiot, który trzymał w rękach. Teraz krzyk rozbrzmiewał ciszej, stłumiony.

- Rzućcie to, strażniku! To rozkaz!

Rusznica uderzył o podłogę. Vimes zaszalutował i dopiero wtedy uświadomił sobie, co robi. Zamrugał, patrząc na Marchewę.

- Osobiste nie jest tym samym, co ważne? - zapytał.

- Posłuchaj mnie - odezwał się Cruces. - Przykro mi z powodu... dziewczyny, ale to był wypadek; chciałem tylko... Mam dowody! Mam...

Cruces właściwie nie zwracał uwagi na strażników. Porwał z biurka i pomachał skórzaną teczką.

- Są tutaj! Wszystko tu jest, sire! Dowody! Edward był głupi, uważał, że to tylko korona i ceremonie, nie miał pojęcia, co naprawdę znalazł! A potem, zeszłej nocy, to było jak...

- Nie jestem zainteresowany - wymamrotał Vimes.

- Miasto potrzebuje króla!

- Nie potrzebuje morderców - odparł Marchewa.

- Ale...

I nagle Cruces skoczył... Porwał z podłogi rusznic.

W jednej chwili Vimes starał się uporządkować swoje myśli, a w następnej uciekały już w najdalsze zakamarki świadomości. Patrzył prosto w wylot lufy - uśmiechała się do niego.

Cruces oparł się chwiejnie o kolumnę, ale rusznic pozostał nieruchomy, skierowany w Vimesa.

- Wszystko tam jest, sire - mówił Cruces. - Wszystko spisane. Cała historia. Znamiona, przepowiednie, genealogia i w ogóle. Nawet twój miecz. To jest ten miecz!

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Marchewa. - Mogę zobaczyć?

Opuścił miecz, podszedł do biurka i - ku przerażeniu Vimesa - wyjął z teczki plik dokumentów. Cruces z aprobatą pokiwał głową, jakby obserwował grzecznego chłopczyka.

Marchewa przeczytał jedną stronicę, odwrócił ją, zerknął na kolejną.

- Interesujące - stwierdził.

- Otóż to - zgodził się Cruces. - Ale teraz musimy się pozbyć tego natrętnego policjanta.

Vimes miał wrażenie, że może zajrzeć w głąb rury, że widzi małą kulkę

metal, która wkrótce pomknie ku niemu...

- To przykre - mruknął Cruces. - Gdybyś tylko... Marchewa stanął przed rusznicą. Jego ręka zmieniła się w niewyraźną smugę. Właściwie nic nie było słychać.

Módl się, żebyś nigdy nie stanął przeciwko dobremu człowiekowi. Zabije cię bez jednego słowa.

Cruces popatrzył w dół. Miał krew na koszuli. Uniósł dłoń do sterczącej z piersi rękojeści miecza i spojrzał Marchewie prosto w oczy.

- Ale dlaczego? Mogłeś zostać...

Umarł. Rusznica wypadł mu z rąk i wystrzelił w podłogę. Zapadła cisza.

Marchewa wyszarpnął miecz. Ciało osunęło się bezwładnie. Vimes oparł się o blat, dysząc ciężko.

- Niech... go... demony... -wyszeptał.

- Kapitanie?

- On... on nazywał cię „sire”. Co było w tych...

- Jest pan spóźniony, kapitanie - przerwał mu Marchewa.

- Spóźniony? Spóźniony? O co ci chodzi? - Vimes walczył, by powstrzymać swój mózg przed rozstaniem z rzeczywistością.

- Miał pan się ożenić... - Marchewa spojrzał na zegarek, po czym zamknął klapkę i wręczył go Vimesowi - ...dwie minuty temu.

- Tak, tak. Ale on mówił do ciebie „sire”, przecież słyszałem...

- To pewnie złudzenie. Może echo.

Jakaś myśl przebiła się przez chaos w umyśle Vimesa. Miecz Marchewy miał kilka stóp długości. Przebił Crucesa na wylot. Ale Cruces

opierał się plecami o kolumnę...

Przyjrzał się jej. Była granitowa, średnicy około stopy. Nie znalazł żadnego pęknięcia ani szczeliny, jedynie otwór w kształcie ostrza, od przodu do tyłu.

- Marchewa... - zaczął.

- Strasznie pan wygląda. Musi się pan jakoś doprowadzić do porządku.

Marchewa sięgnął po skórzaną teczkę i zawiesił ją sobie na ramieniu.

- Marchewa...

- Tak?

- Rozkazuję ci oddać...

- Nie, drogi panie. Już nie może mi pan rozkazywać. Bo teraz jest pan, bez obrazu, cywilem. Zaczął pan nowe życie.

- Cywilem?

Vimes potarł czoło. Wszystko mu się mieszało: rusznic, kanały, Marchewa i fakt, że działał na czystej adrenalinie, która wkrótce przedstawi rachunek, a nie udziela kredytu. Przygarbił ramiona.

- Przecież to moje życie, Marchewa. Moja praca.

- Gorąca kąpiel i coś do picia, tego panu teraz potrzeba - zapewnił Marchewa. - Zaraz poczuje się pan lepiej. Chodźmy.

Vimes raz jeszcze spojrział na bezwładne ciało Crucesa, a potem na rusznic. Sięgnął po niego, ale zdążył się pohamować.

Nawet magowie nie dysponowali niczym podobnym. Jeden błysk z laski i musieli położyć się, by odpocząć.

Nic dziwnego, że nikt nie chciał go zniszczyć. Nie można zniszczyć

czegoś tak doskonałego. Przemawiało do myśli ukrytych gdzieś głęboko. Wystarczyło wziąć rusznic do ręki i człowiek zyskiwał moc. Większą niż z dowolnym łukiem czy kuszą - jeśli się dobrze zastanowić, one magazynowały tylko energię mięśni. A rusznic dawał moc z zewnątrz. Człowiek nie wykorzystywał jej - to ona jego wykorzystywała. Cruces był pewnie dobrym człowiekiem; prawdopodobnie uprzejmie wysłuchał Edwarda, a potem wziął rusznic i stał się jego własnością.

- Kapitanie Vimes, chyba powinniśmy stąd wyjść. Marchewa schylił się.

- Cokolwiek chcesz zrobić, nie dotykaj go! - ostrzegł Vimes.

- Dlaczego? To przecież tylko mechanizm.

Marchewa podniósł rusznic za lufę, przyglądał mu się przez chwilę, po czym roztrzaskał o ścianę. Kawałki metalu rozsypały się, wirując na podłodze.

- Jedyne w swoim rodzaju - rzekł. - Jedyne w swoim rodzaju zawsze jest czymś szczególnym, jak mawiał mój ojciec. Chodźmy.

Otworzył drzwi. Zamknął drzwi.

- Przy schodach czeka koło setki skrytobójców - poinformował.

- Ile bektów masz do swojej kuszy? - spytał Vimes. Wciąż wpatrywał się w połamany rusznic.

- Jeden.

- To dobrze się składa, że i tak nie zdążysz przeładować. Ktoś grzecznie zapukał do drzwi.

Marchewa zerknął na Vimesa, który wzruszył ramionami. Otworzył.

W progu stanął Downey. Uniósł pustą rękę.

- Mogą panowie schować broń. Zapewniam, że nie będzie potrzebna.

Gdzie jest doktor Cruces?

Marchewa wskazał palcem.

- Cóż... - Downey westchnął. - Zechcą panowie zostawić nam ciało? Zostanie inhumowany w naszej krypcie.

- Zabił... - zaczął Vimes.

- A teraz jest martwy. Muszę panów prosić o opuszczenie terenu gildii.

Downey otworzył drzwi. Skrytobójcy stali rzędami po bokach szerokich schodów. Nigdzie nie było widać broni, ale u skrytobójców nie jest to konieczne.

U stóp schodów leżało ciało Angui. Strażnicy powoli zeszli na dół, a Marchewa przyklęknął i podniósł je.

Skinął Downeyowi głowę.

- Niedługo przyślę tu kogoś po zwłoki doktora Crucesa.

- Sądziłem, że doszliśmy do porozumienia...

- Nie. Musi być widoczne, że nie żyje. Rzeczy muszą być widoczne. Rzeczy nie powinny się dziać w mroku ani za zamkniętymi drzwiami.

- Obawiam się, że nie mogę spełnić pańskiej prośby - oświadczył stanowczo Downey.

- To nie była prośba, drogi panie.

Dziesiątki skrytobójców obserwowały, jak Vimes i Marchewa idą przez dziedziniec.

Czarne wrota były zamknięte. Najwyraźniej nikt nie miał zamiaru ich otworzyć.

- Miałeś rację - rzekł Vimes - ale może powinieneś to jakoś inaczej

ująć. Wcale nie wyglądają na zadowolonych...

Wrota się rozpadły. Sześciostopowa żelazna strzała przemknęła na przeciwną stronę dziedzińca i usunęła spory fragment muru. Kilka ciosów powaliło resztkę wrót i do środka wkroczył Detrytus. Rozejrzał się po zebranych skrytobójcach; oczy jarzyły mu się czerwienią. Warknął.

Co bardziej inteligentnym skrytobójcom przyszło do głowy, że w ich arsenale nie ma niczego, co mogłoby zabić trolla. Dysponowali wąskimi sztyletami, ale tutaj potrzebowaliby młotów. Dysponowali strzałkami maczanymi w wyrafinowanych truciznach - ale żadna z nich nie działała natrolle. Nikt nigdy nie uznał trolli za tak ważne, by je skrytobójczo mordować. Nagle jednak Detrytus okazał się bardzo, ale to bardzo ważny. W jednej ręce trzymał pogięty topór Cuddy'ego, w drugiej swą potężną kuszę.

Co rozsądniejsi skrytobójcy rzucili się do ucieczki. Niektórzy mieli mniej rozsądku - kilka strzał odbiło się od Detrytusa. Strzelcy zobaczyli jego oblicze, gdy odwrócił się w ich stronę, i upuścili kusze.

Detrytus sięgnął po maczugę.

- Funkcjonariusz Detrytus!

Słowa odbiły się echem na dziedzińcu.

- Funkcjonariusz Detrytus! Baa-czność! Detrytus bardzo powoli uniósł prawą rękę. Brzdęk!

- Posłuchajcie mnie uważnie, funkcjonariuszu Detrytus - powiedział Marchewa. -Jeżeli istnieje niebo dla strażników, a bogowie świadkami, mam nadzieję, że istnieje, to tam właśnie znajduje się obecnie funkcjonariusz Cuddy: pijany jak zwariowana małpa, ze szczurem w jednej ręce i kuflem bearhuggera w drugiej. Patrzy na nas z dołu* [przyp.: Niebo trolli znajduje się pod ziemią.] i mówi: Mój przyjaciel funkcjonariusz Detrytus nie zapomni, że jest strażnikiem. Nie Detrytus.

Przez długą, niebezpieczną chwilę trwała cisza. Wreszcie zabrzmiało kolejne „brzdęk”.

- Dziękuję wam, funkcjonariuszu. Teraz odprowadzicie kapitana Vimesa na uniwersytet. - Marchewa obejrzał się na skrytobójców. - Do widzenia, panowie. Zapewne jeszcze tu wrócimy.

Trzej strażnicy przekroczyli zrujnowane wrota. Vimes milczał, dopóki nie znaleźli się na ulicy, w bezpiecznej odległości od gildii. Dopiero wtedy zwrócił się do Marchewy.

- Dlaczego on cię nazywał...

- Proszę wybaczyć. Zabiorę ją na komendę.

Vimes spojrzał na ciało Angui i poczuł, że ciąg jego myśli załamuje się nagle. Istniały sprawy zbyt trudne, by je rozważać. Potrzebował godziny w spokoju, by jakoś to wszystko sobie poukładać. „Osobiste to nie to samo, co ważne”. Jaki człowiek mógłby myśleć w taki sposób?

I przyszło mu wtedy do głowy, że wprawdzie Ankh miało w historii swoją porcję złych, okrutnych władców i zwyczajnych marnych władców, nigdy jednak nie znalazło się pod butem dobrego władcy. Byłaby to pewnie najbardziej przerażająca perspektywa.

- Kapitanie? - odezwał się grzecznie Marchewa.

- Uhm. Pochowamy ją przy Pomniejszych Bóstwach. Co o tym myślisz? To taka strażnicza tradycja.

- Tak jest. Proszę iść z Detrytusem. Nie sprawia kłopotów, jeśli wyda mu pan rozkaz. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chyba nie wezmę udziału w ceremonii. Wie pan, jak to jest.

- Tak, tak. Naturalnie. Ale... wiesz, Marchewa... - Vimes zamrugał, by odsunąć podejrzenia, które gwałtownie domagały się przemyślenia. - Nie powinniśmy zbyt surowo oceniać Crucesa. Nienawidziłem drania jak wszystkie demony, więc chcę być wobec niego uczciwy. Wiem, co rusznik robił z ludźmi. Dla rusznika wszyscy byliśmy tacy sami. Ja też byłbym taki jak on.

- Nie. Pan rzucił rusznic, kapitanie Vimes. Vimes uśmiechnął się blado.
- Mów do mnie: panie Vimes - powiedział.

Marchewa wrócił do Pseudopolis Yard i ułożył ciało Angui na katafalku w zaimprovizowanej kostnicy. Obejmował je już „rigor mortis”.

Przyniósł wodę i starannie oczyścił futro.

To, co zrobił potem, zdumiałoby pewnie - powiedzmy - krasnoluda, trolla czy kogokolwiek, kto nie zna reakcji ludzkiego umysłu na sytuacje stresowe.

Napisał raport. Zamiótł podłogę w głównej sali - mieli dyżury i dzisiaj wypadała jego kolej. Umył się. Zmienił koszulę i opatrzył zranione ramię. Wyczyścił pancerz - wyszorował go metaliczną wełną, a później polerował coraz delikatniejszymi ściereczkami, aż znowu mógł się w nim przejrzeć.

Z daleka słyszał dźwięki „Marsza weselnego” Fondela w interpretacji na Monstrualne Organy z akompaniamentem Różnorodnych Odgłosów Farmy. Wyłowił pół butelki rumu z miejsca, które sierżant Colon uważał za bezpieczną kryjówkę, nalał sobie odrobinę i wzniósł toast: - Za zdrowie pana Vimesa i lady Ramkin!

Powiedział to czystym, szczerym głosem, który wzbudziłby silne poczucie skrępowania u każdego, kto by go usłyszał.

Coś zaskrobało w drzwi. Wstał i wpuścił Gaspode’a. Kundel bez słowa ukrył się pod stołem.

Potem Marchewa wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno.

Popołudnie chyliło się wolno ku wieczorowi. Deszcz przestał padać mniej więcej w porze herbaty. W całym mieście zapłonęły światła.

Wreszcie pojawił się księżyc.

Drzwi otworzyły się. Bardzo cicho weszła Angua.

Marchewa odwrócił się z uśmiechem.

- Nie byłem pewien - powiedział. - Ale pomyślałem, sobie: przecież można je zabić tylko srebrną kulą. I nie traciłem nadziei.

Minęły dwa dni. Deszcz padał bez przerwy. Nie przechodził w ulewę, ale sączył się z szarych chmur i płynął strumyczkami w błocie. Wypełniał Ankh, która znowu chlupotała w swym podziemnym królestwie. Przelewał się paszczami gargulców. Trafiał ziemię tak mocno, że unosiła się mgielka rykoszetów.

Bębnił o nagrobki na cmentarzu za świątynią Pomniejszych Bóstw i spadał do niewielkiego dołu, wykopanego dla funkcjonariusza Cuddy'ego.

Tylko strażnicy przychodzą na pogrzeb strażnika, mówił sobie Vimes. No, czasem jeszcze krewni, na przykład dzisiaj lady Ramkin i Ruby, dziewczyna Detrytusa, ale nigdy nie zjawiają się tłumy. Marchewa miał chyba rację. Kiedy człowiek zostaje strażnikiem, przestaje być czymkolwiek innym.

Co prawda dzisiaj przyszli też inni ludzie i stali w milczeniu przy ogrodzeniu cmentarza. Nie byli na pogrzebie, ale chcieli popatrzeć.

I był nieduży kapłan, który wygłosił standardowe kazanie typu „tu wstawić imię zmarłego”, napisane tak, żeby mniej więcej zadowolić dowolne bóstwa, jakie mogłyby akurat słuchać. Potem Detrytus opuścił trumnę do grobu, a kapłan rzucił na nią ceremonialną garść ziemi, tyle że zamiast zwykłego grzechotu usłyszeli stanowcze plaśnięcie.

A Marchewa, ku zdumieniu Vimesa, wygłosił mowę. Słyszeć ją było wyraźnie na całym mokrym cmentarzu, aż po ociekające deszczem drzewa.

Właściwie opierała się na jedynym tekście, możliwym do wykorzystania przy takiej okazji: był moim przyjacielem, był jednym z nas, był dobrym gliną.

Był dobrym gliną. Coś takiego Vimes słyszał na wszystkich pogrzebach strażników, w jakich uczestniczył. Takie zdanie padnie pewnie nawet na pogrzebie kaprała Nobbsa, choć wszyscy będą krzyżować palce za plecami. Po prostu trzeba to powiedzieć.

Vimes patrzył na trumnę. I nagle, zdradziecko jak deszcz spływający po karku, nadciągnęło dziwne wrażenie. Nie było właściwie podejrzeniem - gdyby pozostało w umyśle dostatecznie długo, mogłoby się w podejrzenie zmienić. W tej chwili było tylko słabym mrowieniem przeczucia.

Musiał zapytać. Jeśli tego nie zrobi, nigdy nie przestanie o tym myśleć.

Kiedy więc odchodzili już od grobu, odezwał się:

- Kapralu...

- Tak jest!

- Nikt nie znalazł rusznicy, prawda?

- Nie.

- Ktoś mówił, że wy mieliście go ostatni.

- Musiałem go gdzieś odłożyć. Wie pan przecież, ile było pracy.

- Tak. O tak. Ale jestem niemal pewien, że widziałem, jak wynosicie większą jego część z gildii...

- To możliwe.

- Tak. Hm... w takim razie mam nadzieję, że odłożyliście go gdzieś w bezpieczne miejsce. Czy, no... czy sądzą, że trafił w bezpieczne miejsce?

Za nimi grabarz zaczął zrzucać do dołu mokry, lepki muł Ankh-Morpork.

- Tak chyba musiało być. Nie sądzi pan? Bo przecież nikt go nie znalazł. Znaczy, szybko byśmy się chyba dowiedzieli, gdyby ktoś znalazł rusznic!

- Może jeszcze wszystko dobrze się skończy, kapralu Marchewa.

- Mam taką nadzieję, proszę pana.

- On był dobrym gliną.

- Tak jest.

Vimes zaatakował wprost:

- Właściwie zdawało mi się, kiedy nieśliśmy tę małą trumnę, że jest... trochę cięższa...

- Rzeczywiście, proszę pana? Nie mogę powiedzieć, żebym coś zauważył.

- Ale przynajmniej miał uczciwy krasnoludzi pogrzeb.

- O tak, dopilnowałem tego - zapewnił Marchewa.

Woda bulgotała, spływając z dachów pałacu. Gargulce za jęły miejsca na wszystkich rogach i odcedzały przez uszy muchy i komary. Kapral Marchewa strząsnął krople ze swej skórzanej peleryny, wymieniając salut z trollem na straży. Przeszedł obok urzędników w sekretariacie i z szacunkiem zastukał do drzwi Podłużnego Gabinetu.

- Wejść.

Marchewa wszedł, przemaszerował do biurka, zsalutował i stanął na „spocznij”.

Patrycjusz poczuł lekkie napięcie.

- No tak - powiedział. - Kapral Marchewa. Oczekiwałem... czegoś w tym rodzaju. Jestem pewien, że przyszłicie prosić mnie... o coś?

Marchewa rozłożył pobrudzony kawałek papieru i odchrząknął.

- No więc, sir... Przydałaby się nam nowa tarcza do strzałek. Wie pan... kiedy jesteśmy po służbie...

Patrycjusz zamrugał. Nie zdarzało się to często.

- Przepraszam...

- Nowa tarcza, sir. Pomaga ludziom trochę się odprężyć po swojej zmianie.

Vetinari trochę się opanował.

- Następna? Przecież dostaliście nową w zeszłym roku!

- To przez bibliotekarza, sir. Nobby pozwala mu grać, a on wychyla się trochę i wbija strzałki pięścią. Psuje tarczę. Zresztą Detrytus rzucił strzałkę i przeszła na wylot. I przez mur za tarczą też.

- No dobrze. I...?

- I jeszcze... można by zwolnić funkcjonariusza Detrytusa z płacenia za te pięć dziur w jego pancerzu.

- Zgoda. Powiedźcie mu tylko, żeby na drugi raz uważał.

- Tak jest, sir. Wydaje się, że to chyba wszystko. Poza nowym czajnikiem.

Patrycjusz przesunął dłonią przed ustami. Starał się nie uśmiechać.

- Coś podobnego! I jeszcze nowy czajnik? A co się stało ze starym?

- Nadal go używamy, sir, nadal używamy. Ale będzie potrzebny drugi, z powodu nowej organizacji.

- Słucham? Jakiej nowej organizacji? Marchewa rozłożył drugi, znacznie większy arkusz.

- Straż powiększy swój skład do liczby pięćdziesięciu sześciu ludzi; dawne komisariaty przy Bramie Rzecznej, Bramie Opak i Bramie Osiowej zostaną ponownie uruchomione i obsadzone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

Twarz patrycjusza jakby cofnęła się, pozostawiając uśmiech opuszczony i samotny w okrutnym świecie.

- ...Nowy wydział... No, jeszcze nie mamy dla niego nazwy, ale żeby badał ślady i różne rzeczy, na przykład jak długo dane zwłoki są martwe; na początek potrzebny będzie alchemik i może ghoul, pod warunkiem że obieca niczego nie brać do domu i nie zjadać. Specjalny oddział psów, który byłby bardzo przydatny, a młodsza funkcjonariusz Angua może się tym zająć, bo potrafi, no... potrafi często być swoim własnym treserem. Mam też prośbę kaprała Nobbsa, żeby strażnicy mogli nosić całą broń, jaką zdołają unieść, choć byłbym wdzięczny, gdyby pan odmówił. Następnie...

Vetinari przerwał mu gestem dłoni.

- Wystarczy - stwierdził. - Widzę, dokąd to zmierza. Przypuśćmy jednak, że powiem „nie”. Co wtedy?

Nastąpiła jedna z tych długich, bardzo długich chwil milczenia, w czasie których można dostrzec szansę realizacji kilku różnych przyszłości.

- Wie pan, sir, nawet nie przyszło mi do głowy, że powie pan „nie”.

- Nie przyszło?

- Nie, sir.

- Zaintrygowałeś mnie. Czemu?

- Bo to wszystko dla dobra miasta, sir. Wie pan, skąd pochodzi słowo „policjant”? To znaczy „człowiek miasta”. Od dawnego słowa polis.

- Tak. Wiem.

Patrycjusz przyglądał się Marchewie. Zdawało się, że tasuje przyszłości w głowie.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zgadzam się na wszystkie prośby z wyjątkiem tej, z którą wystąpił kapral Nobbs. A ty, jak sądzę, powinienes awansować na kapitana.

- Ta-ak. Zgadzam się, sir. Tak będzie dobrze dla Ankh-Morpork. Ale nie będę dowodził strażą, jeśli o to panu chodziło.

- Dlaczego nie?

- Bo naprawdę mógłbym dowodzić strażą. Bo... ludzie powinni robić to, co należy, ponieważ rozkazał im oficer. A nie z tego powodu, że tak powiedział kapral Marchewa, tylko dlatego że kapral Marchewa jest... łatwy do słuchania. - Twarz Marchewy starannie nie wyrażała niczego.

- Interesujący punkt widzenia.

- Ale za dawnych czasów był jeszcze jeden stopień: komendant straży. Proponuję Samuela Vimesa.

Patrycjusz oparł się wygodniej.

- A tak - przyznał. - Komendant straży. Oczywiście, ta funkcja straciła na popularności po historii z Lorenzo Łagodnym. Vimes zajmował wtedy to stanowisko. Jakoś wolałem go nie pytać, czy to przodek.

- Tak, sir. Sprawdziłem.

- Ale czy się zgodzi?

- A czy najwyższy kapłan jest offlianinem? Czy smoki wybuchają w lesie?

Patrycjusz złożył czubki palców razem i spojrzał ponad nimi na Marchewę. Ten manieryzm wielu wyprowadzał z równowagi.

- Ale widzi pan, kapitanie, kłopot z Samem Vimesem polega na tym, że denerwuje on wiele ważnych osób. A sądzę, że komendant straży powinien poruszać się swobodnie w wyższych sferach, bywać na naradach gildii...

Wymienili spojrzenia. Patrycjusz wyszedł na tym lepiej, gdyż twarz Marchewy była większa. Obaj starali się skrywać uśmiechy.

- Doskonała kandydatura, muszę przyznać - stwierdził patrycjusz.

- Pozwoliłem sobie, sir, przygotować szkic listu do kap... do pana Vimesa, w pańskim imieniu. Żeby zaoszczędzić panu kłopotu, sir. Może zechce pan spojrzeć?

- Myśli pan o wszystkim, kapitanie...

- Staram się, sir.

Vetinari przeczytał list. Uśmiechnął się raz czy dwa. Potem sięgnął po pióro, podpisał na dole strony i oddał list Marchewie. - Czy to ostatnie z pańskich żą... propozycji? Marchewa podrapał się za uchem.

- Właściwie jest jeszcze coś. Potrzebuję domu dla małego psa. Musi tam być duży ogród, miejsce przy kominku i szczęśliwe, roześmiane dzieci.

- Wielkie nieba! Naprawdę? Cóż, chyba znajdę coś takiego.

- Dziękuję, sir. To już chyba wszystko.

Patrycjusz wstał i kulejąc podszedł do okna. W całym mieście zapalały się światła.

- Proszę powiedzieć, kapitanie - zaczął, stojąc plecami do Marchewy. - Ta historia, jakoby żył gdzieś następca tronu... co pan o tym myśli?

- Nie myślę o tym, sir. To bzdura, jak z tym mieczem w kamieniu. Królowie nie przychodzą znikąd, machając mieczem, żeby wszystko

naprawić. Każdy to wie.

- Krążyły jednak pogłoski o... o dowodach.

- Nikt nie wie, gdzie one są.

- Kiedy rozmawiałem z kapitanem... z komendantem Vimesem, twierdził, że to pan je zabrał.

- Więc chyba musiałem je gdzieś odłożyć. Zapewniam, sir, że nie pamiętam gdzie.

- Coś podobnego... Mam nadzieję, że w roztargnieniu odłożył je pan w jakieś bezpieczne miejsce.

- Jestem pewien, że są... dobrze strzeżone.

- Chyba wiele się pan nauczył od kapi... komendanta Vimesa, kapitanie.

- Ojciec zawsze mówił, że szybko się uczę, sir.

- Ale może miasto naprawdę potrzebuje króla. Zastanawiał się pan nad tym?

- Jak ryba... ryba potrzebuje tego czegoś, co nie działa pod wodą.

- Jednak król mógłby odwoływać się do uczuć swych poddanych, kapitanie. W sposób... bardzo zbliżony do tego, co pan zademonstrował ostatnio, jak słyszałem.

- Zgadza się, sir. Ale co by zrobił następnego dnia? Nie można traktować ludzi jak marionetki. Nie, sir. Pan Vimes zawsze powtarzał, że człowiek powinien znać swoje ograniczenia. Gdyby rzeczywiście żył gdzieś król, najlepsze, co mógłby zrobić, to wziąć się do jakiejś przyzwoitej pracy.

- W samej rzeczy.

- Gdyby jednak wystąpiła paląca potrzeba... wtedy może przemyślałby

to jeszcze raz. - Marchewa się rozpromienił. - To trochę podobne do służby w straży, sir. Kiedy jesteśmy potrzebni, to naprawdę jesteśmy potrzebni. A kiedy nie... wtedy lepiej, jeśli po prostu chodzimy sobie po ulicach i krzyczymy „Wszystko jest w porządku!”. Pod warunkiem że naprawdę jest w porządku.

- Kapitanie Marchewa - odezwał się Vetinari. - Ponieważ rozumiemy się tak dobrze, a myślę, że naprawdę się rozumiemy... chciałbym coś panu pokazać. Proszę tędy.

Kuśtykając, poprowadził Marchewę do pustej o tej porze sali tronowej.

- Wie pan zapewne, co to jest, kapitanie.

- Oczywiście. To złoty tron Ankh-Morpork.

- I nikt nie siedział na nim od wieków. Zastanawiał się pan kiedyś dlaczego?

- Nie bardzo rozumiem, sir.

- Tyle złota... A przecież nawet mosiądz zerwano z Mosiężnego Mostu. Niech pan spojrzy za tron, dobrze?

Marchewa wspiął się po stopniach.

- Wielcy bogowie! To tylko złota folia na drewnie...

- Słuszna uwaga.

Właściwie nie było to już nawet drewno. Walka próchna z kornikami utknęła w martwym punkcie nad ostatnim biodegradowalnym fragmentem. Marchewa szturchnął tron mieczem i niewielki kawałek opadł jako obłoczek pyłu.

- Co pan o tym myśli, kapitanie? Marchewa odszedł od tronu.

- Ogólnie rzecz biorąc, sir, chyba lepiej, że ludzie nie wiedzą.

- Też tak zawsze sądziłem. No cóż, nie będę pana zatrzymywał. Z pewnością ma pan wiele pracy organizacyjnej.

Marchewa zasalutował.

- Dziękuję, sir.

- Jak słyszałem, pan i ...hm, funkcjonariusz Angua dogadujecie się doskonale.

- Osiągnęliśmy głębokie porozumienie, sir. Oczywiście, wystąpią drobne trudności. Ale też, patrząc z tej lepszej strony, mam kogoś, kto zawsze chętnie przespaceruje się po mieście.

Marchewa trzymał już klamkę, gdy Vetinari raz jeszcze go zawołał.

- Tak, sir?

Marchewa popatrzył na wysokiego, chudego mężczyznę stojącego w wielkiej, pustej komnacie, obok złotego tortu przeżartego zgnilizną.

- Interesują pana słowa, kapitanie. Chciałbym, by rozważył pan coś, czego pański poprzednik nigdy w pełni nie zrozumiał.

- Tak?

- Czy zastanawiał się pan, od czego pochodzi słowo „polityk”? - zapytał patrycjusz.

- Jest jeszcze komitet Słonecznego Sanktuarium - mówiła lady Sybil ze swojej strony nakrytego stołu. - Musimy cię do niego wciągnąć. I Stowarzyszenie Właścicieli Ziemskich. I Liga Przyjaznych Miotaczy Ognia. Nie martw się. Ani się obejrzysz, a będziesz miał czas wypełniony po brzegi.

- Tak, moja droga - mruknął Vimes.

Dni rozciągały się przed nim, wypełnione komitetami, dobroczynnością... że nawet nie chciało się oglądać. To chyba lepsze niż chodzenie po ulicach.

Lady Sybil i pan Vimes.

Westchnął.

Sybil Vimes, primo voto Ramkin, przyglądała mu się z troską. Kiedy go poznała, aż wibrował od wewnętrznego gniewu, jak gdyby chciał aresztować bogów za to, że nie pracują należycie. Potem oddał swoją odznakę i stał się... stał się kimś, kto nie jest już właściwie Samem Vimesem.

Zegar w kącie wybił czwartą. Vimes sięgnął po swój pamiątkowy zegarek.

- Ten zegar spiesz się o pięć minut - oznajmił.

Zatrzasnął klapkę i raz jeszcze przeczytał dedykację:

„Na pamiątkę, wszystkich szczęśliwych godzin, od przystajców ze straży”.

To był pomysł Marchewy, na pewno. Vimes nauczył się rozpoznawać tę nieświadomość co do pozycji „r” i „z”, a także niesprawiedliwe okrucieństwo wobec pospolitego przecinka.

Mówią ci „do widzenia”, wykreślają z rozkładu dni i dają zegarek...

- Przepraszam jaśnie panią...

- Słucham, Willikins.

- Przed drzwiami czeka strażnik, jaśnie pani. Przy wejściu dla dostawców.

- Posłałeś strażnika do wejścia dla dostawców? - zdziwiła się lady Sybil.

- Nie, jaśnie pani. On sam tam zapukał. To kapitan Marchewa. Vimes potarł czoło.

- Został kapitanem, ale puka do kuchennych drzwi... - powiedział. - Tak, to cały Marchewa. Wprowadź go.

Kamerdyner zawahał się prawie niedostrzegalnie - ale nie dla Vimesa - i spojrzał na lady Sybil, czekając na jej aprobatę.

- Zrób, co każe twój pan - powiedziała uprzejmie.

- Nie jestem niczym... - zaczął Vimes.

- Daj spokój, Sam.

- Bo nie jestem - upierał się Vimes.

Marchewa wszedł i stanął na baczność. Jak zwykle pokój subtelnie przemienił się w tło dla jego osoby.

- W porządku, chłopcze - rzekł Vimes najłagodniej, jak potrafił. - Nie musisz salutować.

- Owszem, muszę, sir - zapewnił Marchewa. Wręczył Vimesowi kopertę. Miała pieczęć patrycjusza. Vimes sięgnął po nóż i otworzył ją.

- Pewnie grzywna pięć dolarów za zużycie kolczugi - mruknął. Poruszał wargami, czytając. - Niech mnie - rzucił w końcu. - Pięćdziesięciu sześciu?

- Tak jest. Detrytus czeka już, żeby ich przeskolić.

- W tym nieumarłych? Tutaj jest napisane: otwarta dla wszystkich, niezależnie od gatunku i stanu śmiertelności...

- Tak jest - potwierdził stanowczo Marchewa. - Wszyscy są

obywatelami.

- To znaczy, że możesz mieć w straży wampiry?

- Doskonale się sprawdzają w nocnych patrolach. I rozpoznaniu lotniczym.

- Albo kiedy trzeba będzie aresztować jakiegoś kołka.

- Tak jest.

Vimes patrzył, jak ten nie najlepszy żarcik przelatuje przez głowę Marchewy, nie uruchamiając mózgu. Wrócił do listu.

- Hm... renty dla wdów, jak widzę...

- Tak jest.

- Uruchomienie dawnych komisariatów?

- Tak jest napisane, sir. Vimes czytał dalej.

„Uważamy w szczególności ze, ta powiększona straż potrzebuje przewodnictwa człowieka doświadczonego, cieszącego się Szacunkiem we wszystkich grupach społecznych i, jesteśmy przekonani iż pan, winien wypełnić tę Rolę. Natychmiast podejmie pan zatem Obowiązki jako, Komendant Straży Miejskiej Ankh-Morpork. Stanowisko to tradycyjnie łączy się z tytułem rycerskim który zamierzamy, w tym celu przywrócić. W nadziei że pozostaje pan w dobrym zdrowiu Szczezre oddany

Havelock Vetinari (Patrycjusz)”

Vimes przeczytał jeszcze raz.

Zabębnił palcami po stole. Nie ma wątpliwości, podpis jest

autentyczny. Ale...

- Kapra... Kapitanie Marchewa!

- Tak jest. - Marchewa patrzył prosto przed siebie, z miną człowieka obowiązkowego, skutecznego i zdecydowanego za wszelką cenę unikać odpowiedzi wprost na dowolne bezpośrednie pytanie.

- Ja...

Vimes podniósł list, odłożył, podniósł znowu i podał Sybil.

- Coś podobnego! - zawołała. - Szlachectwo! W samą porę, muszę przyznać.

- Nie! Nie ja! Wiesz dobrze, co myślę o tak zwanych arystokratkach w tym mieście... z wyjątkiem ciebie, naturalnie.

- Może więc pora, by trochę udoskonalić stado.

- Jego wysokość stwierdził - dodał Marchewa - że poszczególne elementy propozycji nie podlegają negocjacjom, sir. Znaczący, wszystko albo nic, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Wszystko...?

- Tak jest.

- ...albo nic.

- Tak jest.

Vimes znowu zabębnił palcami.

- Wygrałeś, co? - mruknął. - Wygrałeś.

- Nie wiem, o czym pan mówi, sir. - Twarz Marchewy promieniała szczerą ignorancją.

Zapadła groźna chwila ciszy.

- Ale oczywiście - dodał Vimes - w żaden sposób nie mógłbym nadzorować czegoś takiego.

- Nie bardzo rozumiem, sir.

Vimes przysunął sobie kandelabr i stuknął palcem w list.

- Popatrz, co tu jest napisane. Chodzi o uruchomienie dawnych komisariatów przy bramach. W jakim celu? Na samych obrzeżach miasta?

- Jestem pewien, że szczegóły organizacyjne mogą ulec zmianom, sir - zapewnił Marchewa.

- Utrzymywać posterunki przy bramach, owszem. Ale jeśli chcesz trzymać palec na pulsie... Pomyśl. Będzie potrzebny komisariat gdzieś przy ulicy Wiązów, gdzieś w pobliżu doków na Mrokach, drugi jakoś w połowie Krótkiej, i może mniejszy przy Królewskiej Drodze. W każdym razie w tej okolicy. Musisz pilnować regionów gęsto zamieszkałych. Ilu ludzi planujesz na każdym komisariacie?

- Myślałem o dziesięciu. Żeby obsadzić wszystkie zmiany.

- Nie, to na nic. Najwyżej sześciu. Kapral i jeden funkcjonariusz na zmianę. Resztę trzeba przesuwac po mieście, powiedzmy co miesiąc. Chcesz przecież, żeby zachowali czujność, prawda? No i dzięki temu każdy będzie patrolował wszystkie ulice po kolei. To ważne. Dalej... przydałaby się mapa... o, dziękuję ci, moja droga. Właśnie. Popatrz tutaj. Masz oficjalnie pięćdziesięciu sześciu ludzi, tak? Ale przejmujesz dzienną służbę, musisz uwzględniać dni wolne, dwa pogrzeby babki rocznie na strażnika... Bogowie jedni wiedzą, jak nieumarli sobie z tym poradzą, może będą brać wolne, żeby chodzić na własne pogrzeby... Mogą się też zdarzyć choroby i tym podobne. Czyli... mamy ludzi na czterech zmianach, rozrzuconych po mieście. Masz ognia? Dziękuję. Nie chcemy też, żeby cała straż jednocześnie kończyła swoją zmianę. Z drugiej strony należy każdemu dowódcy komisariatu zostawić trochę inicjatywy. Powinniśmy też utrzymywać specjalną grupę w Pseudopolis Yard, na nieprzewidziane sytuacje... Podaj mi ołówek. I ten

notes. Dobrze...

Dym cygara wypełnił pokój. Pamiątkowy zegarek co kwadrans odgrywał swoją melodyjkę, nie zwracając niczyjej uwagi.

Lady Sybil z uśmiechem zamknęła za sobą drzwi i poszła nakarmić smoki.

„Kochani Mamo i Tato,

Mam dla Was zadziwiające wieści gdyż, zostałem Kapitanem! Mieliśmy bardzo pracowity i ciekawy tydzień co zaraz Wam, przedstawię...”

I jeszcze coś...

W jednej z ładniejszych dzielnic Ankh stoi duży dom. Ma rozległy ogród i dziecięcą chatkę na drzewie oraz - prawdopodobnie - przytulne miejsce przy kominku.

I okno, właśnie wybijane...

Gaspode wylądował na trawniku i na złamanie karku pognął w stronę płotu. Z jego sierści spływały pachnące kwiatami bąbelki piany. Miał też obrożę z kokardą, a w pysku niósł miskę podpisaną PAN PIESZCZUCH.

Gorączkowo przekopał się pod ogrodzeniem i wyskoczył na drogę.

Świeży stosik końskich odchodów załatwił sprawę kwiatowych aromatów, a pięć minut drapania usunęło kokardę.

- Ani jednej pchły nie zostawili - jęknął, upuszczając miskę. -A miałem

już prawie pełny zestaw! O rany! Wreszcie się wyrwałem. No!

Nastrój szybko mu się poprawił. Był wtorek, to znaczy stek i paszteciki z podejrzanymi organami w Gildii Złodziei; główny kucharz znany był tam z podatności na merdający ogon i przenikliwe spojrzenie. Zdaniem Gaspode'a trzymanie w pysku pustej miski i żalosny wygląd musiały przynieść pożądane rezultaty. Zdrapanie PANA PIESZCZOCHA nie powinno być trudne.

Może nie tak miało się to ułożyć. Ale tak się ułożyło.

Szczerze mówiąc, uznał Gaspode, mogło się ułożyć o wiele gorzej.